

ANDRZEJ SAWICKI

A man in a military uniform, likely a Polish legionnaire, is the central figure. He wears a dark green jacket with white rope-like decorations and gold buttons. He has a sword slung across his chest. The background is a hazy, dusty battle scene with soldiers and a flag. The overall tone is dramatic and historical.

# HONOR LEGIONU

BÓG, OJCZYZNA, SŁAWA I PIENIĄDZE...

KAMPANIE KAZIMIERZA LUXA

ANDRZEJ SAWICKI

# HONOR LEGIONU

KAMPANIE KAZIMIERZA LUXA

INSTYTUT  
WYDAWNICZY ERICA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

15 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(5 grudnia 1797 roku)

16 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(6 grudnia 1797 roku)

17 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(7 grudnia 1797 roku)

18 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(8 grudnia 1797 roku)

19 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(9 grudnia 1797 roku)

20 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(10 grudnia 1797 roku)

22 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(12 grudnia 1797 roku)

23 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(13 grudnia 1797 roku)

25 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(15 grudnia 1797 roku)

27 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(17 grudnia 1797 roku)

29 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(19 grudnia 1797 roku)

30 frimaire’a VI roku ery republikańskiej  
(20 grudnia 1797 roku)

1 nivôse’a VI roku ery republikańskiej  
(21 grudnia 1797 roku)

2 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(22 *grudnia 1797 roku*)

3 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(23 *grudnia 1797 roku*)

4 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(24 *grudnia 1797 roku*)

5 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(25 *grudnia 1797 roku*)

6 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(26 *grudnia 1797 roku*)

7 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(27 *grudnia 1797 roku*)

8 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(28 *grudnia 1797 roku*)

9 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(29 *grudnia 1797 roku*)

10 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(30 *grudnia 1797 roku*)

Noc z 10 na 11 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(*noc z 30 na 31 grudnia 1797 roku*)

21 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(10 *stycznia 1798 roku*)

22 nivôse'a VI roku ery republikańskiej  
(11 *stycznia 1798 roku*)

Przypisy





# WSTĘP



Ostatnie lata XVIII wieku. Po upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej i klęsce powstania kościuszkowskiego wielu polskich oficerów i żołnierzy zostało siłą wcielonych do armii trzech zaborców lub znalazło się na uchodźstwie – głównie w Turcji, Francji, Szwajcarii, Saksonii.

Niektórzy z uciekinierów próbowali utworzyć polskie oddziały na terenie Turcji, lecz bez powodzenia. Rezultaty przyniosła dopiero działalność grupy patriotów przebywających we Francji, między innymi Józefa Wybickiego. W 1796 roku ścignęli do Paryża generała Jana Henryka Dąbrowskiego, by zaproponował Dyrektoriatowi, jak nazywano porewolucyjny rząd Pierwszej Republiki Francuskiej, sformowanie podlegającego armii francuskiej polskiego legionu. Jednakże konstytucja młodej republiki nie zezwalała na obecność obcych wojsk na terenie Francji, dlatego Dąbrowski został odesłany do stacjonującego na terenach włoskich generała Napoleona Bonaparte, dowódcy Armii Italii. Bonaparte poparł utworzenie polskich oddziałów, czego Polacy nigdy mu nie zapomnieli.

Legiony Polskie narodziły się w styczniu 1797 roku jako wojsko wspierające władze nowo utworzonej Republiki Cisalpińskiej (Zaalpejskiej), późniejszej Republiki Italii. Państwo to powstało z inicjatywy rewolucyjnej Francji i znajdowało się pod jej zwierzchnictwem, a w jego skład wchodziły niektóre ziemie północnej Italii.

Do Legionów wstąpili przetrzymywani we Francji jeńcy polskiego pochodzenia, a także rzesza polskich dezertersów z armii austriackiej, pruskiej i rosyjskiej. Na proklamację Dąbrowskiego masowo odpowiedzieli też Polacy z terenu zaborów, szczególnie z Galicji. Wkrótce ochotników było tak wielu, że Pierwszą Legię rozwinęto do dwóch Legionów – każdy składał się z trzech batalionów i kompanii artylerii.

W Legionach obowiązywało polskie umundurowanie i regulamin wojskowy, choć formalnie oddziały te pozostawały na żołdzie włoskim. Stworzyły trzon formującej się armii młodego państwa północnoitalskiego. Jako część kierowanego przez Francuzów Korpusu Romanii

wzięły udział w próbach zjednoczenia całego półwyspu. Pomogły zająć Wenecję i Weronę, a potem zostały skierowane do Rimini, miasta nad Adriatykiem, leżącego blisko granicy Republiki Cisalpińskiej z Państwem Kościelnym – rządzonym przez papieża i wrogiem rewolucyjnej Francji. Tu długi czas beczynnie oczekiwały na rozkaz wyruszenia do Polski przeciwko zaborcom.

Dąbrowski zdawał sobie sprawę, że w najbliższym czasie nie nadejdzie szansa na wyzwolenie ojczyzny, a Legiony, pozostając na obcym żołdzie, mogą z czasem stracić narodowy charakter. Postanowił więc scalić jedność oddziałów dzięki głośnemu sukcesowi militarnemu, który przypomniałby równocześnie sprzymierzeńcom o istnieniu sił polskich.

Zdecydował się przeprowadzić samodzielną akcję przeciw Państwu Kościelnemu, a w efekcie powiększyć obszar Republiki Cisalpińskiej i wyzwolić kolejne włoskie prowincje spod papieskiego jarzma. Atak przeprowadził bez wiedzy i zgody zarówno Dyktoriatu francuskiego, jak i rządu cisalpińskiego. Legiony uderzyły bez wypowiedzenia wojny na państwo formalnie pozostające w stanie pokoju z Republiką Cisalpińską i Francją, ale stojące na drodze do zjednoczenia Włoch, a co za tym idzie – do szybszego powrotu Polaków do ojczyzny.

## 15 frimaire’a VI roku ery republikańskiej<sup>[1]</sup> (5 grudnia 1797 roku)



S kóra Sofii pachniała cyprysową żywicą, którą nasiąkła od świeżych desek służących kochankom za łoże. Kazik zanurzył twarz w ciemnych, kręconych włosach dziewczyny. Przesunął językiem po szyi i obojczyku drobnej włoskiej ślicznotki, po czym wyprostował się gwałtownie, by zarzucić jej nogę na swoje ramię. Syknęła i wydeła usta w grymasie bólu, a zarazem rozkoszy, gdy wszedł w nią energicznie. Młody żołnierz brał ją zachłannie i szybko, jedną ręką trzymając dziewczynę za łydkę, a drugą opierając o małą pierś. Biust Sofii podskakiwał rytmicznie, deski chygotały się i skrzypiały, a z nagich ciał unosiły się smugi pary, znikając po chwili w chłodnym powietrzu.

Gdzieś na zewnątrz, zapewne na placu przed ratuszem miasteczka San Leo, załomotały o bruk buty maszerującego oddziału. Dziewczyna jęknęła głośno, zacisnęła dłoń w pięść i włożyła ją w usta, by stłumić krzyk. Nad warsztatem stolarskim spała macocha i dwójka bachorów – przyszywane rodzeństwo Sofii. O to, że do pracowni pełnej nieukończonych mebli i surowych desek wejdzie ojciec, dziewczyna nie musiała się martwić. Pochowano go tydzień temu – Szwajcarzy z Gwardii Papieskiej zakłuli go bagnetami, gdy nie chciał oddać klucza do spiżarni. Jego śmierć była bezsensowna, bo załoga twierdzy broniącej się przed republikańskim wojskiem już wcześniej zabrała mieszkańcom miasteczka całą żywność.

Kant deski wbijał się w jej plecy, pośladki tarły po nieheblowanym drewnie, a polski żołnierz nacierał z prawdziwą furią. Czowała ból zlewający się z przyjemnym gorącem. Wygięła się i złapała Kazika za szyję, a potem przyciągnęła go do siebie. Opadł na nią, przygniótł całym ciężarem, a ona oplótła go nogami. Znow jęknęła. Na placu rozległo się bębnienie w werbel. Skóra żołnierza paliła żarem. Sofia zadrżała, gdy młodzieńczy zarost piechura podrapał ją w szyję i boleśnie otarł się o sutek. Głos werbla narastał w coraz szybszym rytmie. Polak odruchowo zgrał z nim ruchy swoich bioder.

– Co się dzieje? – wydyszała.



– Francuski kapral i dwóch doboszy obrabowało jakichś cywili – wyjęczał Kazik niemal nienagannym włoskim.

– Dostaną baty?

– Nie. – Piechur wyprężył się gwałtownie. – Coś więcej.

Werble załomotały po raz ostatni i ucichły. Kazik zadrżał i opadł na dziewczynę. Na rynku pluton egzekucyjny wymierzył muszkiety w poblady z przerażenia więźniów. Gruchnęła salwa. W tej samej chwili w stolarni wystrzelił jeszcze jeden żołnierz.

Dziewczyna poczekała chwilę, by ochłonał, a potem odepchnęła go bezceremonialnie. Złapała za stojące w kącie wiadro z wodą i schowała się za częściowo zmontowaną szafą. Kucnęła nad naczyniem.

– Cóżżeś zrobił! – rzuciła ze złością. – Nie wiedziałeś, że trzeba wyciągnąć, zanim to się stanie? Zrobisz mi dzieciaka, pusty łbie!

Kazik usiadł na stole. Miał niepewną minę. Wstydliwie zasłonił przyrodzenie. Nie wiedział, rzecz jasna. Miał raptem siedemnaście lat, a Sofia była pierwszą dziewczyną, która dopuściła go aż tak blisko.

– Ożenię się więc z tobą – bąknął niepewnie.

Wyszła z za szafy i kołysząc biodrami, przemaszerowała przez warsztat. Uśmiechnęła się do Kazika. Podobał się jej ten niebywale wysoki przystojniak. Miał gęste, czarne włosy oraz błękitne oczy, pełne życia i humoru. Do tego uroczy dołeczek w brodzie i zawadiacki uśmiech. Całości nie psuły nawet dziobate policzki, poznaczone licznymi bliznami po ospie. Dodawały surowości chłopięcej urodzie żołnierzyka. Pięknie, pięknie. Szkoda tylko, że uroda to nie wszystko – pomyślała.

– Ożenisz się? I co dalej? Schowasz mnie do plecaka i zabierzesz na wojenkę?

– Mam lepszy pomysł. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. – Wystąpię do szefa batalionu o oficjalną zgodę na ślub. Potem ty, już jako moja żona, poprosisz o przydział na kantynoskę...

– Na kogo?

– No, na markietankę.

Groźnie zmarszczyła brwi. Włożyła koszulę i szybko zapięła guziki. Ku żalowi Kazika urocze piersi i krągłe biodra znikły pod białą tkaniną. Dziewczyna ze złością chwyciła getry i sięgające kolana majtki.

– Chcesz zrobić ze mnie wojskową dziwkę?! – wrzasnęła niespodziewanie i cisnęła bielizną w twarz żołnierza. – Jak śmiesz?!

– Co ty opowiadasz, Zosiu! Nie wszystkie kantynoski kupczą własnym ciałem. Te, które są żonami żołnierzy, dostają oficjalną blachę z numerem przydziału armijnego, wóz z końmi

i prowiant. Bogacą się na prowadzeniu obwoźnej kantyny i za pieniądze cerują żołnierzom mundury i gacie. Wiesz, ile moglibyśmy zarobić?

Błyskawice w czarnych oczach Włoszki przygasły. Jej twarz nieco złagodniała, ale dziewczyna i tak sięgnęła po drewniany chodak. Wyglądało na to, że zaimprovizowana broń zostanie użyta przeciwko Kazikowi. Żołnierz uśmiechnął się zaczepnie i śmiało podszedł do dziewczyny.

– Wiesz, że trafiłaś na nie byle kogo. Jestem szlachcicem i mam szarżę. – Wskazał na wiszącą na oparciu krzesła granatową kurtkę mundurową. Na jej rękawie, ponad łokciem, błyszczał pojedynczy pasek: zielony galon, oznaka kaprała-furiera<sup>[2]</sup>. – Jestem unteroficerem<sup>[3]</sup>! I to odpowiedzialnym za rozdział prowiantu i furazu. Dzięki temu mam dostęp do zasobów kwatermistrzostwa. Czekam na oszałamiającą karierę w intendenturze – niedługo dostanę patent oficerski i awans na kwatermistrza całego batalionu. Będę załatwiał towar, który ty upłynnisz między żołnierzami i zamienisz na brzęczącą monetę. Wódka, mięso, owoce, wino.

– Będziesz kradł dla mnie? – Zatrzepotała rżęsami.

– Pewno! – Dumnie wyprężył chudą pierś. – Nigdy nas nie złapią. Jestem warszawskim spryciarzem, nie byle łapserdakiem<sup>[4]</sup>. Zarobimy krocie, zwiedzimy pół świata. A potem kupię ci kamienicę albo dworek pod Warszawą, będziesz wielką panią.

– Urodzę ci gromadkę małych dzieciątek, mój ty Casimiro. – Przytuliła się do żołnierza. – Teraz jednak wracaj do oddziału i załatw nam coś do jedzenia.

Pokiwał głową i zaczął wciągać kalessony. Nałożył koszulę o przykrótkich rękawach i zapiał na niej białą kamizelkę. Sofia przyglądała mu się z zadumą. Musiała poważnie rozważyć jego propozycję, która wbrew pozorom nie była taka głupia. W złupionym przez papistów San Leo nic na dziewczynę nie czekało. Zgwałcą i zabiją – jeśli nie gwardia papieża, to rewolucjoniści. Nawet gdyby uszła z życiem, to zdechnie z głodu razem z macochą i dwójką rodzeństwa. Potrzebowała opiekuna. Niby już takiego miała, ale starego i nudnego. Wolałaby przystojnego i energicznego młodzieńca, najlepiej oficera. Na Kazimierza Luxa trafiła przypadkiem. Wzięła go za porucznika, bo miał czysty i zadbany mundur. Zmyliła ją krótka szabla dyndająca u pasa piechura i epolety na ramionach, z których jeden ozdabiała zielono-biało-czerwona tasiemka Republiki Cisalpińskiej z wyszytym napisem: *Gli uomini liberi sono fratelli*<sup>[5]</sup>.

Uwiodła go w jednej chwili. Dopiero potem wydało się, że jest ledwie podoficerem, a nie nosi muszkietu tylko dlatego, że targa wór z żarciem dla żołnierzy. Ale właśnie to okazało się jedną z zalet Kazika. Nakarmił rodzinę Sofii i ją samą, okradając z żywności własnych kompanów. Dopóki zostanie z nim, będzie miała pełny brzuch. W czasie wojny i tak nie mogła przebierać w zalotnikach. Chłopcy z San Leo, zamiast się o nią starać, przyłączyli się do

papieskich powstańców i uciekli w góry. Musiała sama dbać o siebie. Możeżeczywiście powinna wyjść za polskiego przystojniaka i wstąpić do wojska? Lepsze to niż śmierć głodowa lub wydanie się za starego, śmierzącego mieszczanina z Rimini, który smalił do niej cholewki.

Kazik nałożył granatowy mundur, zapinając nawet wyłogi w kurtce – na znak, że jest na służbie. Z pietyzmem wcisnął na głowę wysoką na łokieć, kanciastą czapkę z czarnego płótna. Była ozdobiona zielonym otokiem uszytym z tego samego sukna co galon na rękawie i wyłogi. Barwa ozdób oznaczała przynależność do konkretnego oddziału, w tym wypadku do Drugiego Batalionu Pierwszej Legii Polskiej. Wyprężył się przed Sofią na baczność, a trójkolorowa kita na rogatywce dotknęła sufitu. Dziewczyna z przyjemnością patrzyła na żołnierza. Dzięki swojemu wzrostowi mógłby należeć do grenadierów. Na razie jednak – z powodu młodego wieku i niewielkiego doświadczenia – służył w formacji mniej poważanych i niespecjalnie imponujących fizylierów.

– Niedługo przyniosę ci jakiś prezent – obiecał. – Jak tylko zdobędziemy twierdzę i wezmę na papistach łupy.

– Nie bajdurz. – Uśmiechnęła się szeroko. – Lepiej przynieś coś do jedzenia.

Pocałowała go w policzek i wypchnęła za drzwi. Słyszała dobiegające z góry kroki macochy. Lepiej, by chłopak już sobie poszedł.

Kazik wymaszerował dziarskim krokiem na ulicę średniowiecznego miasteczka. Wciągnął w płuca chłodne, grudniowe powietrze i wystawił twarz na powiew górskiego wiatru. Wzdłuż ulicy stały piętrowe kamienice, przytulone jedna do drugiej, a obecnie gęsto wypełnione kwaterującym wojskiem. Ponad nimi, wysoko nad miastem, wznosiła się potężna góra o ostrych stokach, zwieńczona starą twierdzą. Nad jej blankami powiewały czerwono-żółte papieskie chorągwie. Lux pogroził im w myślach, a potem ruszył w kierunku pobliskiego rynku.

Pluton egzekucyjny złożony z grenadierów – potężnych chłopów z sumiastymi wąsiskami – minął go, nie obdarzywszy nawet jednym spojrzeniem. Kazik zasalutował sprężyście prowadzącemu ich sierżantowi, ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Niezrażony, że starsi koledzy go ignorowali, furier ruszył szybko przed siebie i pogwizdywał raźnie. Musiał się pospieszyć, bo słońce wspięło się już wysoko i żołnierze pewnie czekali na swojeienne racje.

Na rynku dwaj chłopci wrzucali na wóz rozstrzelanych Francuzów. Skazani na śmierć przez generała Dąbrowskiego nieszczęśnicy już w areszcie zostali odarci ze wszystkiego, co cenne. Na plac przyprowadzono ich boso i w samych koszulach – poszarpanych kulami i zbryzanych krwią. Lux nie poświęcił trupom wiele uwagi. Zauważył tylko, że jeden z zabitych doboszów był Murzynem. Kula zgruchotała mu szczękę i przez ziejącą w niej wielką dziurę groteskowo

wystawał język.

– Niech będzie pochwalony! – Kazik ukłonił się stojącemu przy wozie i mamrocącemu modlitwę żołnierzowi.

Ksiądz Skwarski skinął mu w odpowiedzi, nie przerywając ostatniej posługi. Nakreślił każdemu zabitemu znak krzyża na czole, wzdychając przy tym ciężko. Duchowny nosił się jak zwykły piechur, bo w republikańskiej armii kapelani nie powinni służyć. Jeśli już się na to zdecydowali, robili to na własną prośbę i nie cieszyli się z tego powodu żadnymi przywilejami. Chłopak zauważył, że ksiądz lekko się chwieje, a oczy ma okropnie przekrwione. Udało mu się zatem wczoraj dorwać do jakiejś beczki wina. Stary pijanica miał dobrego nosa – potrafił wywęszyć ukryty alkohol i wydobyć go nawet spod ziemi.

Kwatermistrzostwo zajmowało austerię na obrzeżach miasteczka. Kazik dotarł tam po krótkim marszu i z impetem wpadł do środka, rozpychając się między żołnierzami wszystkich trzech batalionów Pierwszej Legii. Z tłoku wywnioskował, że dotarły tu zmarznięte i głodne czujki, które nocą patrolowały okolicę oraz pilnowały dróg prowadzących do republiki San Marino i papieskiego miasta Urbino. Wojacy próbowali wepchnąć się do karczmy, by ogrzać gnaty i dostać coś ciepłego do jedzenia.

W życiu trzeba umieć używać łokci – pomyślał Kazik, wpychając się przed jakiegoś niepozornego strzelca, a potem przeciskając między potężnymi grenadierami.

Zatrzymał się na chwilę przy trzech fizylierach z zielonymi wyłogami mundurów, które oznaczały, że żołnierze należą do tego samego batalionu co on. Dwaj z nich wyglądali niemal identycznie. Krępe i silne chłopaki o zaciętych gębach polskich chłopów. Bliźniaki Antoni i Anzelm Kura z Galicji. Towarzyszył im gefrajter Stachowski, ścigany na terenach zaboru rosyjskiego za morderstwo carskiego urzędnika i grabież.

– Czołem, wiara! Górale się pokazali? – zagaił furier.

– Sukinsyny – mruknął Stachowski. – Siedzieli w krzakach przy drodze. Wyrznęliby nas, gdyby kapitan nie kazał wysłać kilku chłopców w awangardzie. I tak stary Kobacki oberwał tasakiem w łeb i ducha na miejscu wyzionął. A pięciu chłopców Włosi pokiereszowali śrutem, bo walili do nas jak do kaczek – ładunkami na ptactwo.

– Ale gówno to rebellom<sup>[6]</sup> dało – dodał Antoni. – Ruszyli my na nich z marszu, bez ładowania, i wzięli ich na bagnety. Kilku zwało, bo ciemno było jak diabli, ale resztę my wykłuli. Będzie ze dwa tuziny zawszonych makaronów wysłanych na tamten świat.

– Znaczy u nas pięciu rannych i jeden zabity? – upewnił się chłopak. – Rannych zabrali już do Rimini?

– Aha. – Stachowski skinął głową. – Skołuj nam coś mocniejszego, Kazik. Gnaty musimy rozgrzać.

Młodzieniec klepnął gefrajtra w ramię i kazał mu czekać z bliźniakami przy składach, na tyłach karczmy. Cała trójka naburmuszyła się, że goni ich do roboty, ale żaden nie śmiał się postawić. Furier mógłby się zemścić i pominąć buntownika przy rozdziale wódki lub mięsa.

Lux wszedł głębiej w tłum. Zatrzymał się przy kontuarze, za którym krzątało się dwóch wydających prowiant pomocników kwatermistrzów. Zasalutował im służbiście. Łaskawie wpuszczony, przeszedł na zaplecze austerii. Zastał tam pogrążonych w pracy dwóch kwatermistrzów legionowych, Antoniego Caccianiga i Giuseppe Rebuffa. Od tego pierwszego, wesołego grubasa o rumianej twarzy, uczył się włoskiego. Drugi z kolei uchodził za niechętnego Polakom. Siedział przy stole i pilnie notował w księgach wydaną żywność. Nawet nie spojrzął na furiera, tylko od razu zażądał podania numeru kompanii.

Kazik przewrócił oczami. Pewnie przez zamieszanie z oblężeniem twierdzy San Leo zamiast kwatermistrza batalionowego obsługiwali dziś osobiście kwatermistrze legionowi, najwyżsi rangą. Musiał zapomnieć o machlojkach z zaprzyjaźnionymi, polskimi funkcjonariuszami intendentury. Z tymi cholernymi Włochami trudniej się dogadać.

– Jakie są stany? – warknął Rebuff.

– Jeden piechur poległ w nocy, czyli jest stu dziewiętnastu, z czego stu osiemnastu w obozie, a jeden odesłany do szpitala – gładko skłamał Polak.

– Jeśli bierzesz żarcie na martwe dusze, staniesz przed plutonem egzekucyjnym – ostrzegł Rebuff.

– Casimiro to uczciwy chłopiec. – Caccianiga uśmiechnął się. – Wypisz mu kwit na stu osiemnastu.

Kazik odpowiedział uśmiechem. Nigdy nie brał na „martwe dusze” – wiedział, czym to grozi. Za to zawsze fałszował liczbę chorych i rannych, bo tych nie sposób było się doliczyć – szczególnie, gdy wojsko stało rozrzucone na dużym obszarze.

– Panowie kochani, dorzućcie coś dla weteranów, którzy całą noc walczyli z rebelią. Zziębnięci, przemoczeni i głodni, cierpią katusze dla wolności waszej ojczyzny. Krew przelewają dla was, a wy trzymacie ich o chlebie i wodzie. Okażcie serce starym żołnierzom.

– Wódki się zachciewa, co? – syknął Rebuff. – Krew przelewają? Dobre sobie! Rabują i gwałcą, ledwie oczy od nich odwrócić. Masz tu przydział i precz mi z oczu, gówniarzu. Ani butelki ponad normę! Następny!

Chłopak pieczołowicie sprawdził wypisany dokument i podpisał się w księdze. Funkcję zawdzięczał właśnie temu, że potrafił czytać i pisać – w czterech językach. Do tego świetnie radził sobie z liczeniem. Miał do tych spraw wrodzony talent. Z nauki obcej mowy czerpał prawdziwą przyjemność.

Giuseppe Rebuff wyrwał mu pióro i odgonił niczym natrętną muchę, a gruby Włoch wstał



i odprowadził furiera do wyjścia. Przeszedł z nim do pomieszczeń magazynowych, gdzie nadzorował wydanie prowiantu przez pomocników. Kazik rzucił worki z jedzeniem i beczkę z winem trzem fizylierom czekającym na niego na tyłach karczmy. Gdy potem napełnił własny mantelzak<sup>[7]</sup>, Caccianiga wziął go pod rękę i odciągnął w kąt. Aż nadto czule pogładził chłopaka po policzku i wrzucił do jego worka jeszcze dwie butelki wina, kamionkowy flakon gorzałki, a na koniec – okazały pakunek zawinięty w elegancką, białą ściereczkę.

– To spory kawałek soczystej pieczeni baraniej, którą komisarz ordynator cisalpiński przesłał w prezencie dla sztabu dywizji – wyjaśnił szeptem. – Obywatel komisarz Luigi Gazzari życzy sobie pojednania z polskimi oficerami. Niepotrzebne są przecież te niesnaski wśród sojuszników, prawda? Zapomniał tylko o prostych żołnierzach... Ale ja podzieliłem pieczeń na porcje. Zjedzcie sobie, chłopaczki moje.

Złapał kaprała za policzek i uszczypnął go weń soczyście. Furier zasalutował i odwrócił się, by na odchodnym dostać jeszcze zalotnego klapsa w pośladek. Zacisnął zęby i wyszedł, zachowując stoicki spokój. Sądząc po ciężarze mantelzaka, dostał w prezencie z pięćdziesiąt uncji mięsa. Za coś takiego zbierałyby klapsy przez cały dzień, ba!, dałby się nawet pocałować panu Antoniemu.

Czym prędzej pognął dróżką prowadzącą w dół, ciągnąc za sobą trzech fizylierów. Ich ponure gęby pojaśniały, gdy wręczył Stachowskiemu flaszkę wódki. Wszyscy byli więc zadowoleni. Kazik cieszył się, że nie musi targać ponad pięćdziesięciu chlebów, worka cebuli i marchwi oraz beczki wina, a fizylierzy – że we trzech osuszą flaszeczkę.

Zostawili za sobą miasteczko i groźną twierdzę pełną papieskiego wojska. Minęli odchodzącą na południe drogę do Urbino, której pilnowali grenadierzy, i po paru minutach dotarli do skrzyżowania z traktem na San Marino. Kawałek dalej, w małej wiosce, znajdowała się kwatera główna generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Lux bał się trochę naczelnego wodza. Jego potężna sylwetka budziła taki sam respekt jak rządy, które utrzymywał silną ręką. Jeszcze większą grozę budził w Kaziku major Chłopicki, od którego dostanie po łbie, jeśli spóźni się z rozdziałem racji dla kompanii. Przyspieszył kroku, by po kolejnych paru minutach dotrzeć do zaimprovizowanego obozu Drugiego Batalionu, rozłożonego wzdłuż drogi do Veruggio.

Żołnierze kulili się w lichych szałasach lub ogrzewali przy niewielkich ogniskach. Nad płomieniami kilku z nich kiwały się blaszane kociołki z cienką zupą. Wiatr co chwilę rozganiał tumany dymu z wilgotnego, ledwie tłącego się drewna. Śnieg nie padał, a zima była cieplejsza niż w Polsce, ale obozowanie w grudniu w szałasach pozbawionych nawet lichej słomy nie należało do przyjemności. Mimo kiepskiej atmosfery żołnierze Pierwszej Kompanii powitali swojego furiera radosnymi okrzykami. Kazik ukłonił się im i pomaszerował prosto do namiotu kapitana.

Piotr Bazyli Wierzbicki przyjął go zakutany w ciężki płaszcz i z oficerskim halsztukiem<sup>[8]</sup> nieregulaminowo naciągniętym aż na twarz. Na lewym naramienniku oficera błyszcząły cztery gwiazdki – oznaka kapitana. Na głowie nosił granatową rogatywkę, ozdobioną srebrnym kordonem z kutasem zakończonym kiwającym się bulonem. Zbył meldunek wyprężonego Kazika niedbałym machnięciem i kazał mu rozdzielić prowiant. Dowódca kompanii był tylko cztery lata starszy od furiera i wąs ledwie mu się sypał. Mimo młodego wieku miał już spore doświadczenie bojowe i słynął ze zdecydowania. Zdarzało mu się lekceważyć regulaminy i drogę służbową, ale uważano go za dobrego oficera. A prości żołnierze doceniali, że wolał cierpieć z nimi niewygody, a nie, jak większość wysokich szarż, grzać się u boku generała. Kazik nagroził go za poświęcenie – i przede wszystkim za to, że kapitan słowem nie wspomniał o jego nocnej nieobecności – kawałkiem pieczeni i dodatkową butelką wina.

– Słuchajcie no, kapralu. – Wierzbicki przywołał Luxa już po rozdzieleniu żywności. – Mam dla was dodatkowe zadanie. I to bojowe!

– Służba, panie kapitanie! – Lux wyprężył się jak struna.

– Ktoś musi zanieść jedzenie i picie plutonowi kapitana Walentego Borowskiego – oznajmił krótko Wierzbicki. – Furier z jego kompanii nażarł się zepsutego żarcia i wylądował wczoraj w lazarecie.

– Tak jest. – Piechur nawet ucieszył się z rozkazu, bo trafiała się kolejna okazja, by wycygnąć coś z magazynów. – Proszę tylko o napisanie upoważnienia dla kwatermistrzostwa, bo dziś wydają makaroniarze i bez kwitów...

– Zaraz dostaniesz dokument. – Kapitan zadrżał z zimna, po czym postawił kołnierz płaszcza. – Walenty z grupą strzelców celnych<sup>[9]</sup> podszedł pod samą twierdzę. Mają nękać papistów ogniem ze specjalnej broni – gwintowanych fuzji. Musisz bardzo uważać, bo prócz szwajcarskiej załogi za murami fortecy w okolicy działa kilkuset górali – ponoć świetnych myśliwych. Przeskakuj od drzewa do drzewa, chyłkiem, o tak.

Wierzbicki pochylił się i ugiął kolana. W tej absurdalnej i dziwacznej pozie okrążył własny namiot, zataczając się dodatkowo i robiąc uniki przed wyimaginowanymi kulami. Kazik nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Dawno nie widział czegoś takiego, nawet pijany ksiądz Skwarski nie odstawiał podobnych cyrków. Kapitan nie był jednak skory do żartów, więc bez namysłu walnął chłopaka pięścią w brzuch. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, by furier z jękiem zgiął się wpół.

– O tak. Widzę, że zaczynasz łapać – mruknął oficer. – I nie śmieję się jak ostatni dureń, tylko słuchaj, co do ciebie mówię. Od tego może zależeć twoje zakichane życie. Zrozumiałeś, jak masz się przemieszczać pod ostrzałem?

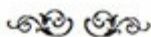
– Tak jest, panie kapitanie – stęknął Lux.

– Dobrze. Walenty Borowski i jego ludzie czają się gdzieś na linii tamtych drzew, może

trochę na południe. Nie wiem. Myślę, że jakoś ich znajdziesz. Zajęli pozycje jeszcze w nocy i pewnie są głodni. Pobierzesz prowiant i zanieś im. Aha, masz z powrotem to wino i mięso. Oddaj je Borowskiemu, niech rozdzieli między swoich ludzi.

Kazik zasalutował i odebrał podany pakunek. Skoro Wierzbicki jest głupi – czy tam szlachetny, na jedno wychodzi – proszę bardzo. Furier poczuł się nawet trochę urażony, że jego dar został odrzucony i tak zwyczajnie przekazany prostym żołnierzom. Kto tam trafi za oficerami? Zamiast zachowywać się normalnie, we wszystkim kierowali się cholernym honorem i innymi, wydumanymi i głupimi przymiotami. Powinni dbać przede wszystkim o siebie i własny interes. Lux już dawno zauważył, że oficer żył tym krócej, im bardziej był natchniony i pozbawiony przywar. Honorowi rycerze – bohaterowie uważający się za nowego Zawiszę Czarnego – ginęli w niepotrzebnych i pozbawionych sensu pojedynkach. Albo na czele oddziału, w marszu pod huraganowy ogień wroga. Albo z głodu, oddając własne racje. Albo ratując przyjaciół. Durnie.

Kazik już dawno obiecał sobie, że jego działaniom zawsze przyświecać będzie stara francuska maksyma: *Charité, bien entendue, commence per soi-même*<sup>[10]</sup>.



Okna na piętrze Pałacu Królewskiego w Neapolu pokryła para wodna, buchająca z wiader wnoszonych przez łaziebne. Dwie wielkie cynowe balie stały obok siebie na środku sali. Rozłożono przed nimi puszyste futra, by szykujące się do kąpieli kobiety nie musiały stąpać boso po kamiennej posadzce. Ściany buduaru zamienionego na łaźnię pokryte były wielkimi zwierciadłami. Także one natychmiast zaparowały, optycznie zmniejszając pomieszczenie. Jedna ze służebnych dorzuciła kilka szczap do wbudowanego w róg komnaty kamionkowego pieca. Następnie, kłaniając się, wycofała się do drzwi. W sali zrobiło się jeszcze goręcej.

Jej wysokość Maria Karolina, królowa Neapolu i Sycylii<sup>[11]</sup>, niedbale zrzuciła jedwabny peniuar – natychmiast podniesiony przez jedną z łaziebnych – i całkiem naga przemaszerowała przez buduar. Zanim weszła do wanny, poprawiła jeszcze upięte włosy, by się nie zamoczyły. Syknięciem nakazała służebnej zawinąć wokół nich ręcznik. Lubiła gorące kąpiele – szczególnie zimą, gdy rozgrzewały starzejące się ciało – ale mycia włosów unikała z przyczyn zdrowotnych. Mokłą głowę łatwo było przeziębic w przestronnych i wietrznych korytarzach pałacu. Poza tym włosy niemal zawsze pozostawały ukryte pod wysoką, białą peruką. Nie było sensu myć ich częściej niż raz w miesiącu.

Służące rozbierały towarzyszącą jej damę, lady Hamilton. Aż dwie osoby musiały rozsznurowywać jej gorset. Brytyjska piękność, najbliższa przyjaciółka neapolitańskiej królowej, nie cierpiała tego ciasnego i niewygodnego elementu bielizny. Wolała gęste zwoje luźnych sukien i podomek, udrapowanych na wzór antycznych strojów. Sama nawet

wprowadziła na nie modę i teraz każda dama w Europie chciała wyglądać tak powabnie i dostojnie jak lady Hamilton, znana jeszcze kilka lat temu pod mniej szlachetnym nazwiskiem Emmy Hart. Nawet ona jednak musiała czasami wkładać suknię bardziej oficjalną, gdyż jako żona brytyjskiego ambasadora nie mogła paradować po królewskim pałacu w strojach, które uwielbiała jako tancerka i modelka.

Maria Karolina z przyjemnością patrzyła na stopniowo ukazujące się ciało przyjaciółki. Emma była kilkanaście lat młodsza od pięknej niegdyś władczyni. Nadal promieniała dziewczęcą jeszcze urodą – w przeciwieństwie do przygasającej już Marii. Odkąd tancerka i muza malarzy zamieszkała w Neapolu i zbliżyła się do królowej, jej sylwetka mocno się zaokrągliła. Monarchini z zadowoleniem zauważyła, że puszystość dodawała Emmie uroku. Jej arystokratycznie małe piersi, zgodne z antycznymi wzorcami urody, wreszcie zyskały godną oprawę w łagodnie zaokrąglonych ramionach i lekko wydętym brzuszku. Doprawdy, lady Hamilton dojrzała na królewskim dworze.

– Wyglądasz na zmartwioną, moja kochana – powiedziała Emma, powoli zanurzając się w wannie.

Leżały teraz naprzeciw siebie, a dwie łąziebne nacierały każdą miękkimi ściereczkami, by rozgrzać i ujędrnić skórę. W kolejce czekała bateria balsamów i wonnych olejków, ustawionych na stoliku w barwnych flakonikach z ciętego kryształu.

– Znów kłopoty. – Królowa westchnęła. – Wszystko przez przeklętych Francuzów. Niech ich piekło pochłonie.

Emma pokiwała głową ze zrozumieniem. Jej wysokość nienawidziła Francuzów, odkąd ścięli jej ukochaną siostrę, a swoją królową – Marię Antoninę von Habsburg-Lothringen. Zwalczała ich z niezwykłą energią i bezwzględnością. Do akcji posyłała nie tylko oddziały wojska, ale przede wszystkim zamachowców uzbrojonych w sztylet i truciznę. Królowa nie wahała się przed niczym, by zniszczyć zwolenników republiki, a utrzymać monarchię i absolutyzm. Także w królestwie Neapolu bez skrupułów rozprawiała się z bojownikami o wolność ludu. Rewolucjoniści płonęli na stosach, wisieli na szubienicach i ginęli od kul plutonów egzekucyjnych. Maria Karolina nie miała dla nich żadnej litości. Skazanym zawsze odmawiała prawa łaski.

– Spójrz na to. – Wskazała na stolik przed lustrem, na którym, pomiędzy grzebieniami i szkatułkami z biżuterią, leżał okazały stos papierów. – Meldunki od stronników i szpiegów.

– Dyrektoriat znów knuje? – domyśliła się Emma.

– Już nie tylko knuje. Armia cisalpińska wtargnęła na tereny należące do Państwa Kościelnego – odparła władczyni. – Kierują się na papieską twierdzę w San Leo. Teraz pewnie już ją oblegają.

– Mówiłaś, że to tylko banda źle uzbrojonych i tchórzliwych obwiesi. – Była tancerka

skinęła na łazienką, by podała jej kielich wina. – Wyślij wojsko, by wsparło papieża. Pod pretekstem ochrony wiary, obrony miejsc kultu. Wszyscy wiedzą, co wyprawiają żabojady. Rabują kościoły, mordują księży, niszczą przydrożne krzyże i sadzą w ich miejsce „drzewka wolności”. Masz pełne prawo bronić świętej wiary.

– Ha! I kto to mówi? Protestantka radzi mi ratować papieża – parsknęła królowa. – Wiem, że mam pretekst do ataku, do wsparcia Państwa Kościelnego, ale nie mogę tego zrobić. To byłoby równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Francji, a jesteśmy na to za słabi. Jeszcze. Na razie kazałam przesunąć wojska ku granicy. Jutro mój mąż ogłosi kolejny pobór. Wzmocnimy się, poczekamy.

– Może papież własnymi siłami poradzi sobie z republikanami? – zastanawiała się Emma. – Przy twoim drobnym wsparciu, rzecz jasna. Wyślij mu oficerów, szpiegów... Może żołnierzy w przebraniach Gwardii Szwajcarskiej?

– Twoja śliczna główka dobrze pracuje, moja kochana. – Monarchini rozparła się wygodnie i przymknęła oczy. – Już to zrobiłam. Dziesiątki ochotników są w drodze do Rzymu. Niestety, armia papieża ma marne szanse. Poza batalionami Szwajcarów składa się głównie z bogobojnych chłopów i górali. A armia cisalpińska dysponuje nie tylko własnym wojskiem, ale też oddziałami kondotierów.

– Najemnicy? – zdziwiła się Emma. – A więc można ich przekupić!

– Próbuję to zrobić. Moi agitatorzy już są na miejscu i obiecują kondotierom fortuny i awanse w zamian za przejście na moją stronę. Niestety, najemnicy tytułują się wojskiem auxyliarnym, czyli wspierającym.

– Co to znaczy?

– Walczą z pobudek ideologicznych i odzégnują się od bycia kondotierami. Wydaje się im, że bijąc monarchistów, niosą Italii wolność. Nie wiedzą, że są tylko narzędziem w łapach tego małego, młodego generała...

– Bonapartego?

– ...który użyje ich do podbicia Rzymu, a potem pośle do diabła. Francuzi wysługują się nimi, by zagarnąć bogactwa Italii. Cholerny Dyktariat, cholerna Francja! Tumania wszystkich hasłami o równości, wolności i braterstwie, a tak naprawdę knują, jak podbić Europę. Ograbić ją, zgwałcić! Zabiję ich wszystkich – wycodziła przez zęby Maria Karolina.

Zanurzyła się, mocząc ręcznik chroniący włosy. Po chwili wyprostowała się i prychnęła z wściekłości.

– Nie denerwuj się tak, złotko. – Emma uniosła pulchną nóżkę, by łazienki miały czym się zająć. – Czy ci najemnicy naprawdę są tak groźni?

– To Polacy. – Królowa westchnęła. – Armia nieistniejącego państwa. Weterani, desperaci



i szaleńcy, którzy szukają wolności ojczyzny w innych krajach. Niebezpieczni żołnierze, lepiej byłoby mieć ich po swojej stronie.

– Niestety, są po przeciwnej.

Władczyni uśmiechnęła się do ulubienicy. Jej surowa twarz na chwilę się rozpromieniła i przybrała dobrotliwy wyraz. Emma wiedziała, że to pozorna łagodność. Pod jej maską krył się spryt i bezwzględność. Ci, którzy lekceważyli królową, szybko trafiali na tamten świat. Tylko ktoś taki jak ona mógł pokonać potężną i złą Francję – córa Habsburgów, Austriaczka na włoskim tronie.

– Czeka cię wielka przyszłość, moja pani – powiedziała tancerka zmysłowym głosem, po czym niedbałym gestem odgoniła łaźiebne. – Zatańczę dla ciebie.

Nie czekając na zgodę jej wysokości, wstała, wijąc się zmysłowo. Uniosła ręce wysoko nad głowę, jakby sięgając po coś, a jej biodra zaczęły zataczać kręgi. Obróciła się raz i drugi, woda pryskała na wszystkie strony. Emma zaczęła wyginać się w akrobatycznym, pantomimicznym układzie, z którego słynęła niegdyś w całej Europie. Z rozgrzanej, zarumienionej skóry unosiły się smugi pary. Królowa zachichotała jak podlotek. Oto płaśała dla niej najpiękniejsza, niegdyś najbardziej pożądana tancerka świata. Monarchowie wszystkich krajów także i dziś zabijaliby się, by móc podziwiać ją nagą.

Emma postawiła stopę na krawędzi wanny i przechyliła się w tył, w niewiarygodny sposób. Jej piersi i biodra kołysały się nieustannie hipnotycznym ruchem. Nagle oparła obie dłonie o dno wanny i wykonała salto, lądując miękko na futrach. Ukłoniła się klaskającej radośnie Marii Karolinie i powolnym, zmysłowym krokiem podeszła do niej. Usiadła na krawędzi wanny.

– Napijesz się wina, kochana? – spytała. – A może wymasować ci plecy?

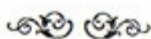
– Chodź, zmijko, wymasuj moje stare, zwiędłe ciało – odparła władczyni, objęła żonę ambasadora i przyciągnęła ją do siebie.

Emma z piskiem wpadła do wody. Obie kobiety śmiały się głośno i przepychały, chlapiąc mydlinami na wszystkie strony. Wreszcie Maria Karolina cmoknęła przyjaciółkę w usta i wypchnęła z wanny. Na koniec klepnęła ją w pośladek, aż trzasnęło.

– Dosyć zabaw, muszę zająć się moim królestwem – oznajmiła. – Natrzemy się olejkami i jazda do pisania rozkazów.

– Wymyśliłaś, co zrobić z Polakami?

– Tak, złotko. – Monarchini uśmiechnęła się groźnie. – Zniszczę ich.



Otwory strzelnicze dwóch przysadzistych baszt, wzniesionych na krańcach muru fortecy,

zdawały się spoglądać z wysokości na wspinającego się po stoku furiera. Podejście było strome i upiornie męczące, a ogrom budowli zdawał się przygniatać piechura. Co jakiś czas powietrzem wstrząsał huk. Nie wiedząc, skąd i do kogo strzelano, Kazik za każdym razem rzucał się na ziemię. Wreszcie postanowił poruszać się chyłkiem, od drzewa do drzewa – tak jak radził kapitan Wierzbicki.

Furier targał na plecach mantelzak pełen wiktuałów przeznaczonych dla strzelców. Oczywiście, zanim ruszył pod twierdzę, zatrzymał się w miasteczku i wręczył Sofii bochenek, kilka marchwi, trochę octu, mąki i ryżu oraz połowę pieczeni podarowanej mu przez kwatermistrza. W zamian otrzymał całusa, ale tylko w policzek, bo obok stała macocha dziewczyny. Ta jednak nie tylko nie protestowała przeciwko tej czułości, lecz sama prawie rzuciła się żołnierzowi na szyję. Polak liczył więc, że po powrocie uda mu się zatrzymać u niemalże już oficjalnej narzeczonej i po raz kolejny zdobyć coś więcej niż tylko całusa.

Od samego wspomnienia rozchyłonych zachęcająco ust, zmrużonych powiek, spod których błyszcząły czarne oczy, białej skóry i ciemnych brodawek wieńczących małe piersi poczuł przyjemne mrowienie – nie tylko na plecach. Na chwilę zapomniał o czających się na blankach zamku góralach z myśliwskimi fuzjami i o mierzących w dół lufach armat. Wyprostowany ruszył sztywno przed siebie, w myślach zanurzając twarz we włosach Sofii.

– *Qui vive?!<sup>[12]</sup>* – Z zamyślenia wyrwało go zawołanie wartownika.

– Swój! – odparł bez wahania po polsku. – Furier z żarciem!

– No, wreszcie. – Strażnik wychylił się zza najbliższego drzewa. – Chodź no tu, bratku.

W garści ścisnął karabin z nasadzonym bagnetem. Otok jego czapki i wyłogi munduru były w tym samym zielonym kolorze, a więc służył w batalionie Kazika. Wyszczерzył do niego popsute, upiornie żółte zęby i przyjacielsko objął ramieniem.

– Gdzie kapitan? – rzeczowo spytał chłopak.

– Na awanpoście<sup>[13]</sup>, ać kilka kroków stąd. A masz może wódkę? Zmarzli my jak cholera.

– Mam. Ale oddam dowódcy. Muszę się rozliczyć z towaru.

Kapitan Walenty Borowski siedział z trzema strzelcami w pobliskim wykrocie. Oficer, niespełna trzydziestoletni, przystojny i dobrze zbudowany mężczyzna, spokojnie palił faję. Nie wyjmując jej z ust, odezwał się do Kazika:

– Sierżant ze zmianą? Przysłali cię na nasze miejsce? A gdzie masz ludzi?

– Niestety, panie kapitanie, melduję, że jestem tylko furierem. Z prowiantem.

– Co, do kurwy nędzy, wyobraża sobie ten Chłopicki? Że będę tu konsystował do usranej śmierci? Amunicja nam się kończy, ludzie zmarznięci i głodni, w dupę jego mać! – kłął kapitan, nadal zaciskając zęby na cybuchu. – Cholerne Szwajcary pukają do nas na okrągło. Cud, że nikogo nie trafili. Na każdą naszą kulę od razu odpowiadają dwudziestoma. Dobrze

się pilnują i rzadko który gębę na blankach pokazuje. I jak tu walczyć? A gdzie sapery, które miały kopać aprosze<sup>[14]</sup>? Dąbrowski obiecał przysłać Włochów z łopatami, ale jakoś żadnego nie widzę. Jak jenerał zamierza zdobyć tę twierdzę, nawet nie zacząwszy prac oblężniczych? A gdzie artyleria? To co, mam z kilkoma strzelcami wypukać całą załogę?

Kazik wzruszył ramionami i bez słowa wręczył oficerowi flaszę wódki. Kapitan wyjął korek zębami i pociągnął dwa łyki wprost z butelki. Siedzący obok strzelec skończył właśnie nabijać karabin, wylazł z wykrotu i kucnął za pniem zwalonego drzewa. Celował przez chwilę, po czym pociągnął za spust. Kurek z krzemieniem trzasnął w panewkę i broń gruchnęła głośno. W powietrzu rozszedł się siarkowy smród palonego prochu. Wszyscy przez chwilę patrzyli na pnące się nad nimi mury twierdzy. Po kilku sekundach w otworach strzelniczych błysnęło parę ogników z luf muszkietów i blanki okryły się chmurkami dymu. Żołnierze skulili się w wykrocie, tylko

kapitan nawet nie drgnął. Pociski zagwizdały niedaleko. Jedna z kul pacnęła głucho w pień drzewa.

– Patałachy – mruknął Borowski. – Ech, Pietrek, chyba któregoś trafiłeś, bo szybko zaczęli strzelać.

– Sie wie, panie kapitanie – oznajmił strzelec. – Widziałem, jak fiknął koziołka, musiał dostać.

– Widzicie, kapralu, jakich mam strzelców celnych? – Oficer mrugnął do Kazika. – Z pięciuset kroków potrafią wystrychować<sup>[15]</sup> nieprzyjaciela, który ledwie na mgnienie oka pojawi się na blankach. A wszystko dzięki tym karabinom z gwintem – to broń przyszłości. Chodź no tu, Pietrek! Dawaj kubek, naleję ci do pełna. Zasłużyłeś.

– Piękna robota, panie kapitanie, aż miło popatrzeć. – Warszawiak uśmiechnął się szeroko i zaczął rozdawać żołnierzom żywność.

Okazało się, że za drzewami jest ich jeszcze siedmiu. Na każdego wypadało po pół bochenka *pagnotte* – okrągłego, włoskiego chleba. Do tego jedna czwarta pinty wina, czyli tak zwany kielich mediolański, oraz mały kieliszek wódki. Do tego powinni dostać mięso, warzywa i ocet, ale zamiast nich intendentura wydała po solidnym plastrze wędzonej słoniny i główce surowej cebuli. Kazik uszczknął z przydziału to i owo dla siebie – włącznie z całością ryżu, którego żołnierze na pozycjach oblężniczych i tak nie mieli jak ugotować. Furier zamierzał zanieść Sofii skradzioną żywność na kolację. Tylko przez mgnienie oka miał wyrzuty sumienia, ale okradanie kompanów było chlebem powszednim każdego kwatermistrza, więc szybko zapomniał o głupich rozterkach.

Kapitan pociągnął kilka razy z butelki, a z każdym łykiem robił się bardziej gadatliwy. Gniew i żale mu minęły, więc zaczął opowiadać o pulchnej matronie z wielkimi cyckami,

u której kwaterował sztab Dąbrowskiego. Strzelcy na czas posiłku wstrzymali ogień i zgromadzili się w wykrocie. Furier pociągnął z krążących butelek najpierw łyk wina, potem wódki, a na końcu znów wina. Zrobiło mu się miło i sympatycznie. Któryś z żołnierzy poczęstował go fajeczką nabitą tytoniem. Strzelcy śmiali się z opowieści dowódcy, nic sobie nie robiąc z górującej nad nimi wielkiej twierdzy pełnej wrogów. Młodemu warszawiakowi imponowało ich towarzystwo. To byli w większości *moustachus*<sup>[16]</sup>, jak zwano we francuskiej armii weteranów – wiarusów. Ci z oddziału Borowskiego walczyli kilka lat temu w insurekcji kościuszkowskiej albo służyli w armiach – austriackiej, pruskiej czy carskiej. Prawdziwi żołnierze, którzy nie bali się patrzeć śmierci w oczy. A teraz traktowali Kazika jak swojego, jak młodszego brata!

Pchnięty jakimś niezrozumiałym impulsem, chwilą słabości albo porywem zmiękczonego przez alkohol serca, sięgnął do mantelzaka i wydobył resztę baraniej pieczeni. Wręczył ją szybko zaskoczonemu kapitanowi, który – zmierzyszy wzrokiem furiera – wzruszył ramionami i nie dopytywał o pochodzenie podarunku. Przekazał go jednemu ze swoich wąsaczy i kazał podzielić. Sam oficer nie jadł mięsa, zadowolili się chlebem i wódką. Młody kapral, któremu kapitan zdążył już zaimponować, nieświadomie zaczął go naśladować. Po chwili dopadły go wyrzuty sumienia, że w tak durny sposób pozbył się mięsa, które zamierzał zjeść sam, ale doszedł do wniosku, że nieświadomie zachował się jak prawdziwy oficer. Okazanie raz na jakiś czas bezinteresownej dobroci nie powinno mu chyba zaszkodzić. Trzeba tylko uważać, by z tym nie przesadzać, bo jak po oddziałach rozejdą się wieści o rozrzutnym i głupim kwatermistrzu, jego kariera może runąć w gruzach.

Żołnierze zjedli i wypili, ale każdy zostawił sobie na później po kawałku chleba. Na polecenie Borowskiego zaczęli z ociąganiem wracać na stanowiska. Kazik trochę żałował, że pewnie zaraz zostanie odesłany do kompanii.

– Chcesz ustrzelić Szwajcara? – Strzelec celnych, na którego wołali Pietrek, przyjaźnie szturchnął go w ramię. – Chodź, młody, nauczę cię, jak się wali z karabinu tak, by trafić wroga.

Furier, ożywiony wypitym alkoholem, poderwał się energicznie, gotowy do akcji. Strzelec też wstał i oparł fuzję kolbą o ziemię. Otarł wierzchem dłoni usmarowane tłuszczem usta i wąsiska, po czym sięgnął do wiszącego u pasa patrontasza<sup>[17]</sup>. Wyciągnął papierowy ładunek i rozerwał go zębami. Wsypał proch do lufy, ale zamiast wrzucić za nim kulę, wydłubał ją z papieru i zawinął ściśle w niewielki kawałeczek natłuszczonej szmatki wyciągniętej z ładownicy. Dopiero wtedy z pietyzmem wepchnął kulę do lufy i sięgnął po stempel. Zamiast ubić ładunek dwoma szybkimi uderzeniami, wpychał go powoli i z mozołem.

– Idzie o to, by kula ciasno siedziała w lufie – wyjaśnił chłopakowi. – Trzeba ją przepchnąć, ale tak, by nie uszkodzić gwintu. Widzisz, lufa ma w środku skręcające się rowki,

inaczej niż muszkiet.

– To one wprowadzają wystrzelony pocisk w ruch wirowy – wtrącił kapitan, ponownie nabijając fajkę. – Dzięki temu kula poleci prosto tam, gdzie się ją wyceluje i uderzy z większym kopnięciem.

Strzelec pociągnął Kazika do zwałonego pnia. Oficer dołączył do nich, ale zamiast kucnąć za drzewem, usiadł na nim okrakiem, nic sobie nie robiąc z zagrożenia ostrzałem. Wyciągnął z kabury u pasa rozkładaną lornetę.

– Powiem wam, gdzie strzelać, chłopcy – oznajmił.

– Masz. – Pietrek wręczył młodzieńcowi broń. – Muszka, no ta kulka na lufie, i ta ramka, o tutaj, to są przyrządy celownicze. Ramka jest ustawiona na pięćset kroków, czyli tyle, ile nam trzeba. Musisz teraz tak się ustawić, by ramka, muszka i cel znajdowały się w jednej linii. Przyciśnij kolbę do ramienia, głowa tutaj. Nie bój się ognia z panewki, najwyżej trochę cię przypali i będziesz wyglądał jak chłop z prochem pod skórą, a nie jak baba z taborów. Uspokój oddech, nie wierć się, ramiona oprzyj mocno, widzisz? Karabin zaczyna cię słuchać. Ciągnij spust powoli, powoli. Nie szarp!

Kazik oberwał kilka bolesnych szturchańców, gdy wążacz poprawiał pozycję furiera ciosami pięści. Widocznie jego tak samo szkolono w austriackiej armii. Lux stłumił wściekłe przekleństwo. Przez tego durnia dorobi się siniaków. Jak będzie wyglądał nagi w łóżku Sofii?

– Czekajże, jeszcze nie strzelaj – rozkazał Borowski. – Tym razem spróbujemy trafić dalej niż w obrońców na blankach. Mój dalekowiedz<sup>[18]</sup> coś mi podpowiedział. Spójrz na budynek zamczyska za murami...

– Mnóstwo dużych i małych okien – mruknął warszawiak.

– W jednym z nich – na samej górze, po lewej – ktoś zapalił lampkę oliwną. Musi być znaczny gagatek, skoro pracuje w dzień przy świetle. Pewnie siedzi nad papierami, znaczy jakiś oficer. Może dowódca obrony? Co jakiś czas pojawia się na tle blasku. Widzisz? Teraz sylwetka zasłoniła światło.

– Tak! Ktoś stał w oknie. – Kazik zamrugał i otarł dłonią załzawione z wysiłku oczy.

– Strzelaj, kiedy powiem. Poczekamy, aż pojawi się po raz kolejny...

Zapadła cisza. Furier uspokoił oddech, przytulił się do kolby, oddychał tylko nosem. Czuł zapach drewna i metalu broni, przede wszystkim jednak nagaru ze spalonego prochu. Ustawił broń tak, że muszka złała się z ramką celownika i widocznym ledwie jako punkt oknem. Nie spodziewał się udanego strzału, ale wypadało przynajmniej spróbować, wszak prawdziwi wojacy poświęcają mu czas i uwagę. Nie mógł tak po prostu odstawić fuszerki. Skupił się jeszcze bardziej.



Pietrek najpierw chrząknął, a po chwili mruknął, że źle się czuje i musi udać się na stronę. Z przekąsem dodał jeszcze, że włoska wódka zawsze mu szkodzi. Pewnie kwatermistrze kupują ją od miejscowych Żydów, a ci wszak gorzałę nagminnie fałszują.

Kapitan siedział nieruchomo z lunetą przyklejoną do oka. Gdzieś niedaleko strzelcy celni zaczęli pojedynczo pukać. Odpowiedziały im liczne muszkiety obrońców i kule zagwizdały w lesie pozbawionym liści. Borowski nic sobie z tego nie robił, Lux też nie śmiał nawet drgnąć. Mijały minuty.

– Cel – szepnął oficer. – Pal!

Kazik powoli pociągnął za spust, uważając, by nie rwać broni i nie zmieniać ustawienia lufy nawet o źdźbło. Trzask opadającego kurka wręcz go zaskoczył. Ułamek sekundy później eksplodujący proch na panewce zupełnie oślepił furiera. Kolba mocno kopnęła go w ramię. Wrzasnął z bólu i przerażenia, poleciał w tył i z impetem usiadł na ziemi. Na szczęście nie narobił sobie wstydu i nie upuścił broni.

– Hm – mruknął Borowski, kontemplując cel za pomocą blaszanego dalekowiedza. – Wygląda na to, że trafiłeś! Coś się tam poruszyło i światło zgasło. Brawo, chłopaku!

Z trzaskiem złożył lunetę, schował ją do kabury i zeskoczył z pnia.

– Jeśli się okaże, że trafiłeś jakiegoś ważnego typu, przedstawię cię generałowi do nagrody – oznajmił lekko. – Masz niezłe oko, wezmę cię do swoich strzelców i wyszkolę na celnego. Zawsze biłbyś się za pierwszą linią i wykonywał niebezpieczne misje na tyłach wroga. Emocje, przygoda i liczne nagrody gwarantowane. To co, pisać wniosek o twoje przeniesienie?

– Dziękuję, panie kapitanie, ale w kompanii fizyliarów jest mi całkiem dobrze – odpowiedział Kazik i spłonął rumieńcem. Wiedział, jak to zabrzmiało: „nie chcę się narażać, wolę roznosić żarcie, w spokoju wykradać mięso i wódkę”. Furierowi zrobiło się wstyd, chciał wycofać swoją kategoryczną deklarację, ale tylko zaczął się jąkać. Oficer zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Niejeden z legionowych chłopaków dałby się pokroić za szansę służby w doborowych oddziałach, niejeden marzył o takim honorze.

– Właściwie nie wiem, czy to możliwe, by w tej części zamku był sztab – lodowatym tonem oświadczył obrażony kapitan. – Okno było trochę małe, pewnie to tylko luft jednej z cel. Wiesz, że ten zamek to przede wszystkim papieskie więzienie? W lochach trzymają najbardziej plugawych bandziorów, a w celach na piętrze arystokratycznych heretyków i bogatych buntowników przeciw papieskiej władzy. Pewnie trafiłeś jakiegoś więzionego nieszczęśnika, a może nawet zraniłeś... ducha. Módl się, by twoja kula nie trafiła Alessandra Cagliostro...

– Kogo? – zdumiał się warszawiak.

– Ja ci źle nie życzę, kapralu, ale marny twój los. Cagliostro był jednym z najbardziej

znanych magików w tym stuleciu. Zajmował się czarami i alchemią, założył też tajne stowarzyszenie oddające cześć dawnym egipskim bogom. Papież kazał go uwięzić w tym zamku, by dokonał żywota w celi. Magik zmarł dwa lata temu, ale od tamtej pory jego duch ponoć nie opuszcza więzienia.

– Co też pan kapitan mówi – nerwowo parsknął Lux. – Co takiego może mi zrobić jakiś tam duch?

– Może cię zniszczyć. Szczególnie że to wściekły duch czarnoksiężnika, który nie znosi, gdy ktoś zakłóca mu spokój – z marsową miną odparł Borowski. – Dla drania, który jedną nogą stoi w piekle, rzucenie klątwy to tyle, co splunąć.

Kazik poczuł rozlewającą się po piersi falę przerażenia. Przeżegnał się ukradkiem. Nie był specjalnie strachliwy ani zabobonny, ale co innego słuchać opowieści o duchach przy obozowym ognisku, a co innego osobiście narazić się prawdziwemu, choć martwemu czarnoksiężnikowi.

Dowódca parsknął śmiechem, a potem z rozmachem klepnął chłopaka w plecy. Furier w jednej chwili zrozumiał, że oficer żartuje sobie z niego. Zazgrzytał zębami ze złości.

– Wybacz, kapralu, ale nie mogłem sobie odmówić tego dowcipu. – Kapitan uśmiechnął się. – Chodźmy do wykrotu.

Lux opuścił głowę, by ukryć rumieniec. Co za wstyd. Najpierw wyszedł na tchórza, a potem na głupka. Nic dziwnego, że Borowski się z niego naigrywa. Teraz nawet gdyby furier prosił go o to na kolanach, kapitan pewnie nie przyjąłby Kazika do strzelców. Chłopak ruszył za oficerem, który różnym krokiem zmierzał do kryjówki. Po drodze wyciągnął z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać. Wypuścił ją jednak z ręki, gdy stanął nad krawędzią wykrotu.

– O cholera. Pietrek oberwał – warknął i wskoczył do dziury.

Kazik podbiegł do wykrotu i zsunął się za oficerem. Strzelec, który dał mu spróbować zabawy gwintowanym karabinem, leżał na dnie dziury, twarzą w dół, z szeroko rozrzuconymi rękoma. Kapitan pochylił się nad nim i przewrócił na plecy. Mężczyzna miał twarz nabrzmiałą i zaczerwienioną, oczy szeroko wytrzeszczone, a usta otwarte niczym do wrzasku. Wyglądał jakby umarł z przerażenia, a nie od kuli.

Borowski odsunął się od trupa i potarł nerwowo brodę. Zmarły wyglądał upiornie. Choć oficer widział wielu zabitych, w tym okrutnie okaleczonych cięciami szabli, zadźganych bagnetami, porozrywanych armatnimi kulami, to tak okropnego wyrazu twarzy nieboszczyka jeszcze nie zdarzyło mu się oglądać. Lux stał obok, dygocząc ze zgrozy. Co się stało temu nieszczęśnikowi? Obaj wiedzieli, że nie poległ od papieskiej kuli, bo na jego mundurze nie dostrzegli śladów krwi. Furier odruchowo spojrział w tył, na wznoszący się wysoko zamek. Czy mu się wydawało, czy w oknie znów rozbłysło światło?

– Chryste! – gdzieś niedaleko rozległ się przeraźliwy wrzask.

Kapitan wyskoczył z wykrotu, a Kazik za nim. Nie spieszyło mu się, by pomóc. Po prostu wolał nie zostawać sam z martwym żołnierzem.

Przemknęli między drzewami i wpadli na skulonego strzelca, który dopiero co krzyknął. Mężczyzna wymiotował głośno, kaszlał i prychał. Twarz miał purpurową z wysiłku, a usta umazane w wymiocinach. Klęczał przed obrzydliwą kałużą z mieszanki przeżutego jedzenia i przetrawionego wina. Warszawiak ze zgrozą spostrzegł, że treść żołądka mężczyzny opalizuje, a właściwie lekko świeci.

– Co się dzieje? Co ci jest? – Borowski potrząsnął ramieniem strzelca.

Ten nie odpowiedział, tylko ciężko runął przed siebie. Jako że stali na pochyłym stoku, żołnierz obrócił się i zaczął staczać w dół. Kapitan nie próbował go łapać, bo piechur był już martwy, wzrok miał nieruchomy. Przekoziołkował po wertepach, aż wreszcie zatrzymał się na kępie uschniętych krzaków.

Na murach zagrzmiała karabinowa salwa. Obaj sparaliżowani zgrozą mężczyźni nie próbowali się nawet schować przed ostrzałem. Stali i patrzyli na siebie w oszołomieniu.

– To ten czarownik – wyjącał Kazik. – Cagliostro.

– Gówno tam czarownik – warknął kapitan. – Czary nie zabijają.

Obrócili się na pięcie. Z trzaskiem gałęzi coś leciało z góry, taranując krzaki na swej drodze. Lux sięgnął do boku i wyszarpnął z pochwy krótką, szeroką szablę piechoty, będącą faktycznie tasakiem do cięcia faszyny. Borowski wyszarpnął z za pasa pistolet i odciągnął kurek. Obaj jednak szybko opuścili broń. Do ich stóp stoczył się kolejny martwy strzelec. Ten też miał twarz czerwoną i wytrzeszczone oczy, a mundur umazany wymiocinami mieniącymi się bladozielonym blaskiem.

– Wiara, do mnie! – ryknął kapitan. – Zbiórka!

Odpowiedziały mu zdławione odgłosy krztuszenia się i wymiotów. Kapitan wymierzył pistolet w pierś Kazika. Oczy oficera błyszczały lodowatą wściekłością. Łagodna i sympatyczna mina znikła bez śladu. Teraz przed chłopakiem stał gniewny wojownik, który właśnie stracił grono przyjaciół i marzył o zemście na ich zabójcy.

– To trucizna – syknął. – W czym była, sukinsynu? W winie, chlebie? Ach nie, czekaj! Tylko my dwaj nie jedliśmy mięsa. I tylko nam nic nie jest. Rzuć tasak! Już!

– Co pan, panie kapitanie? – Kazik jęknął, ale wykonał rozkaz. Cofnął się o krok. – To nie ja, ja nikogo nie otrujęm.

– Dla kogo pracujesz? Dla Austriaków, Rosjan? Może dla monarchistów lub papistów? Przekupili cię włoscy arystokraci? Gadaj, bo od razu wpakuję ci kulę w łeb!

Lux uniósł trzęsące się ręce w błagalnym geście. W uszach huczały mu muszkietowe

wystrzały, okropne rżenie i dławienie się umierających strzelców. Nie docierało do niego, co się właściwie stało. Wszystko działo się zbyt szybko.

– Dla nikogo nie pracuję, nikogo nie otrułem. Przyniosłem tylko jedzenie z kwatermistrzostwa.

– Od kiedy intendentura rozdaje żołnierzom pieczoną baraninę? Skąd ją wzięłeś? – Oficer szturchnął lufą pistoletu pierś pobladłego furiera.

– Dał mi ją sam kwatermistrz legionowy Antoni Caccianiga. Przysięgam, nie kłamię! Kazał rozdać żołnierzom. Cały wielki kawał mięsa był przeznaczony dla sztabu legionowego, ale kwatermistrz odkroił kawałek dla mnie. Resztę pewnie przekazał kucharzowi generała. To podarunek od komisarza ordynatora cisalpińskiego, by pojednać się z Polakami!

Obok głów żołnierzy zabzyczała muszkietowa kula. Brzęknęła o pobliski głaz i pomknęła w niebo. Górale i Szwajcarzy wypatrzyli dwóch żołnierzy i zaczęli do nich celować. Jeszcze chwila, a któryś trafi. Borowski ignorował jednak ostrzał, patrzył przenikliwie na Luxa i zastanawiał się nad jego słowami.

Kazik przełknął ślinę. Czarny otwór lufy mierzył prosto w jego serce, śmierć była o krok. Miała twarz marszczącego brwi oficera. Wystarczy, że jego palec omsknie się na spuście i koniec.

– Wierzę ci – mruknął kapitan i opuścił broń. – Jakiś sukinsyn zatrzał mięso, a to trafiło w twoje ręce przypadkiem. Która godzina?

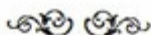
Obaj spojrzeli w zachmurzone niebo. Słońce przekroczyło już zenit i zmierzało w stronę gór Republiki San Marino.

– Musimy się spieszyć – warknął Borowski i wetknął pistolet za pas. – Może zdążymy do sztabu, zanim generałowie zasiądą do obiadu. Jeśli się spóźnimy, jeszcze dziś Legiony przestaną istnieć.

– Biegniemy? – Kazik podniósł swoją szablę. Ręce ciągle mu dygotały.

– Ile sił w nogach. – Dowódca ruszył w dół, z miejsca sadząc wielkie susy.

Furier pognał, nie oglądając się za siebie. Wolał nie patrzeć – ani na błyskającą lufami muszkietów twierdzą, ani na poskręcane w spazmatycznych pozach trupy polskich strzelców.



Główny salon przestronnej willi zapełnił się oficerami w barwnych mundurach. Właścicielka i gospodyni domu, pulchna wdowa po producencie oliwy, przyglądała się im przez otwarte drzwi do kuchni i uśmiechała szeroko. Rada byłaby przygruchać sobie któregoś z tych przystojnych mężczyzn. Wszyscy, szczególnie przybysze z dalekiej Północy, zachowywali się wobec niej niezwykle grzecznie, wręcz szarmancko. Ach, gdyby ten wysoki

polски generał zainteresował się jej wdziękami! Szkoda, że nic tego nie zapowiadało. Nieważne, z jak głębokim dekoltem sukienkę włożyła, on gapił się tylko na mapy lub pisał listy i rozkazy. Kłaniał się jej i całował w dłoń, a za kwaterowanie płacił złotymi florenami, ale zupełnie nie miał ochoty na miłość. Ach, zapewniłaby mu łożę tak gorące, że nie trzeba byłoby rozpalać w kominku.

Generał Dąbrowski był człkiem niedźwiedziej postury i wyglądał na takiego, co potrafi przytulić, aż dech zapiera. I wiek miał odpowiedni, dostojny, ale jeszcze znamionujący siłę. Lekko siwiejące skronie dodawały mu powagi większej niż granatowy mundur obszyty białym, generalskim szlaczkiem. Jego oficerowie wyglądali na zbyt młodych dla wdowy. Każdy liczył niewiele ponad trzydziestkę – zarówno zwawy generał Kniaziewicz, który dowodził Pierwszą Legią, jak i jego pułkownicy: Forestier i Strzałkowski. Adiutanci, Carlo Rosignana i Elias Tremo, to już w ogóle szczenięta. Uwagę wdowy przyciągali także włoscy generałowie, którzy dopiero dziś zjawili się w sztabie: dowodzący Brygadą Brescjańską Giuseppe Lecchi i Giuseppe La Hoz d’Orlz, naczelnik Cisalpińczyków. Najmniej ciekawy, bo najbiedniej odziany, był wenecki pułkownik, którego nazwiska gospodyni nie dosłyszała.

Rozmyślenia nad tym, jak upolować któregoś z oficerów, przerwał łomot naczyń. Wdowa odwróciła się i wydarła na całe gardło, łajając trzy dziewczki kuchenne. Każda oberwała ścierą w tyłek lub plecy, ale razy były słabe i należały do zwykłej bury, z której kucharki i tak nic sobie nie robiły. Ważne, że z garów unosił się zapach sosu do pasty, a makaron osiągnął już odpowiednią miękkość. Gospodyni kazała nałożyć go do misy, którą osobiście wniosła do salonu.

Niestety, stojący po całym pokoju oficerowie zajęci byli rozmową i zwrócili na nią uwagę jedynie przez grzeczność, robiąc jej przejście do stołu. Trwał zjazd sztabu włoskiej armii, w którego trakcie odbywały się niezrozumiałe dla gospodyni rozgrywki polityczne. Nie był to chyba dobry moment, by błyszczeć urodą i wabić przystojnych oficerów. Postawiła więc z impetem misę na środku blatu, obok półmisek z pokrojoną w plastry pieczenią baranią na zimno.

– Proszę! – huknęła na tyle głośno, by choć na chwilę skupić na sobie wszystkie spojrzenia.

Odwróciła się zwinnie, zarzucając potężnymi biodrami i rozkołysanym krokiem wymaszerowała z sali. Zatrzepotała rękami do patrzącego na nią generała La Hoza. Ten przewrócił tylko oczami z zażenowaniem i sięgnął po kieliszek wina.

– A próbował pan generał pieczeni? – zagadnął go Lipczyński, major grenadierów Pierwszego Batalionu. – Wyjątkowo soczyste i tłuste mięso. Całkiem niezłe.

Polak trzymał nadgryziony plaster na widelcu i uśmiechał się przyjaźnie. Generał stłumił grymas niechęci, ale odpowiedział z uśmiechem:

– Wybacz pan, ale dziękuję. Nie jadam mięsa – odparł i pociągnął łyk z kieliszka.



Starał się obserwować nastroje w polskim korpusie, wyraźnie coraz bardziej skłóconym. I bardzo dobrze! Liczył, że jeśli Polakom powinie się noga w czasie szturmowania twierdzy, skoczą do gardeł nieudolnemu Dąbrowskiemu i sami się nawzajem zagryzą. Włoskie państwo nie potrzebowało ani kondotierów z Północy, ani ich francuskich mocodawców. Italia samodzielnie może wywalczyć sobie wolność. Nie potrzebuje do tego barbarzyńskich hord Franków i Sarmatów.

Przysunął się do szepczącej w kącie grupki oficerów pozostających w opozycji do Dąbrowskiego. Ci przyjęli go serdecznie i zaprosili do swojego grona. Majorowie Grabiński i Kosiński oraz kapitanowie Hauman, Dembowski i Zeyditz nie działali otwarcie przeciw naczelnemu wodzowi, ale coraz śmielej go krytykowali. La Hoz liczył, że szeregi niezadowolonych będą się powiększały i z czasem dojdzie do otwartego buntu przeciw Dąbrowskiemu. Póki co, postanowił trochę ich podrażnić i spytał, jak długo zamierzają pozostawać na żołdzie młodej włoskiej republiki.

– Ależ generale, zapewniam pana, że jak najkrócej – obruszył się Grabiński. – Wszyscy pragniemy szybko wrócić do ojczyzny. Gdyby to ode mnie zależało, jeszcze dziś wymaszerowalibyśmy do Mediolanu, zamiast prowadzić ofensywę na południe. Powinniśmy przesuwać się ku granicy z Austrią, a nie brnąć na Rzym. Zwalczenie Państwa Kościelnego nijak się ma do utraconej przez Polskę niepodległości.

Generał Dąbrowski zastukał w kieliszek, by uciszyć rozmowy, i wznosił toast za szybkie zdobycie San Leo oraz wyzwolenie całej prowincji.

– Panowie, wszyscy wiemy, że droga do chwały Polski to podążanie ścieżką wyznaczoną nam przez Francję – powiedział jakby w odpowiedzi na zarzuty Grabińskiego. – Mamy obowiązek nieść przez Europę wielkie ideały rewolucji: wolność, równość, braterstwo. Tylko wtedy, gdy święty płomień wolności ogarnie świat, powali na kolana tyranów i obali wrogię nam monarchie, a wreszcie wyzwoli lud, będziemy mogli ocalić naszą ojczyznę. Zniesiemy wolność wszystkim uciemżonym, których wskaże nam generał Bonaparte. Zniszczymy tyranie wszędzie, gdzie będzie to konieczne, a wtedy wielka Francja poprowadzi nas do ziemi dziadów. I zwróci nam ją wolną i piękną.

Kapitan Hauman prychnął ze złością, lecz stojący przy głównowodzącym generał Kniazewicz i major Chłopicki wzniesli kielichy. Ten gest powtórzyli za nimi wszyscy obecni – także naburmuszeni poplecznicy Grabińskiego oraz włoscy oficerowie.

– Zapraszam panów do skosztowania posiłku, który przygotowała nasza droga gospodyni – Dąbrowski odezwał się nieco koślawym włoskim. W drzwiach kuchni natychmiast pojawiła się rumiana dama w wydekolowanej sukni. Uśmiechnęła się i dygnęła łaskawie. – Sława wspaniałej kuchni szanownej pani powędruje z naszym wojskiem aż do dalekiej Polski. Dziękuję za gościnę w imieniu całego sztabu.

Kobieta pokraśniała z dumy i radości, zatrzepotała rzęsami i skromnie spuściła wzrok.

– Cała przyjemność po mojej stronie, generale – odparła mocnym głosem. – Niech przynoszące nam oswobodzenie wojsko pozna gościnność Italii. My, kobiety tej ziemi, mamy wam do zaoferowania nie tylko miskę stawy, ale i ciepło domowego ogniska, dobre serce i spokój, tak potrzebny żołnierzowi. Pamiętajcie o tym, panowie, gdy który znajdzie się w potrzebie.

Zaskakująca deklaracja nieco zakłopotała żołnierzy. Na szczęście część polskiego sztabu nie rozumiała po włosku i tylko uśmiechała się do pulchnej matrony. Dąbrowski przerwał kłopotliwe milczenie, zasiadając za stołem. Jego adiutant, Eliasz Tremo, nałożył mu na talerz solidną porcję makaronu z sosem. Salon znów wypełnił się szumem rozmów, do których dołączył brzęk naczyń. Oficerom rzadko trafiała się okazja kosztowania prawdziwego domowego obiadu. Ciepła stawa w grudniowe popołudnie smakowała im po dwakroć, rażno więc zabrali się do jedzenia.

Dąbrowski, wkładając do ust makaron nawinięty na widelec, pomyślał o głodnych i zmarzniętych piechurach tkwiących w szałasach na wzgórzach otaczających San Leo. Miał nadzieję, że cisalpińscy kwatermistrze stosownie o nich zadbali, bo on ze swojej strony zrobił wszystko, co należało. Pilnował, by wojsko dostawało prowiant i mundury, choć po prawdzie z jednym i drugim różnie bywało. To samo tyczyło się żołdu. No cóż, walka wymagała poświęceń od wszystkich. Sam też cierpiał – musiał podejmować wysokich oficerów rozwodnionym winem i kluchami z pomidorami. Dobrze chociaż, że komisarz ordynator podesłał im pieczeń. Posłużyła teraz jako królewska przekąska.

Za oknem powoli zapadał zmierzch, a zimny wiatr uderzył w szyby. Gospodyni wysłała służące, by zamknęły okiennice, sama zaś dorzuciła drew do kominka. Generał odprowadził ją spojrzeniem, delektując oczy miłym widokiem kobiecych krągłości. Wreszcie potrząsnął głową, by odgonić niegodne żołnierza myśli. Na szczęście w tej samej chwili przysiadł się do niego brescjański generał, Giuseppe Lecchi. Oficerowie rozpoczęli niezobowiązującą rozmowę po francusku.

Lecchi był szefem włoskiej brygady podległej Dąbrowskiemu. Mimo że musiał służyć pod rozkazami Polaka, nie narzekał, w przeciwieństwie do swoich kolegów. Roześmiany, smagły chudzielec był jednym z najbardziej energicznych Włochów, jakich miał okazję poznać polski dowodzący. Po chwili grzecznej rozmowy Giuseppe rozochocił się i zaczął gadać głośno, wymachując przy tym rękoma:

– I mówiłem im, że brescjańskie armaty mają nietypowy kaliber, więc będzie trudno dobrać do nich amunicję, ale czy ktoś mnie słuchał?! „Na wszystkie demony piekieł, idź na wroga z tym, co masz” – tak mówili! Wyobraża pan sobie, generale? A moi artylerzyści też mają to w dupie, chcieliby zadekować się w jakiej twierdzy, pić wino i macać markietanki. Tak sobie

wyobrażają rewolucję. Myślą, że na sam ich widok monarchiści uciekną na Madagaskar. Zmusić ich nie mogę do ćwiczeń. Boję się, że jak zaczną strzelać, zbombardują całą okolicę, a w zamek nawet nie trafią.

Dąbrowski westchnął ciężko. Żałował, że nie udało się ściągnąć z Rimini polskiej artylerii. Szanse na zdobycie San Leo zmniejszyły się znacząco. A twierdza musiała paść za wszelką cenę. Legiony potrzebowały głośnego, błyskotliwego sukcesu. Atak na Państwo Kościelne był inicjatywą generała i musiał się udać, by Francuzi zaczęli traktować go poważnie. Jeśli Polacy oberwą i narażą sojuszników na straty oraz hańbę porażki, Bonaparte im tego nie daruje. Legiony zostaną podporządkowane Cisalpińczykom, którzy zadbają, by oddziały Dąbrowskiego szybko straciły swój polski charakter. A to pogrzebie szanse na powrót do ojczyzny jedynej narodowej formacji. Pogrzebie nadzieje na odzyskanie niepodległości dzięki wsparciu Francji.

Adiutant Tremo nalał rozmawiającym generałom wina i podsunął im usłużnie półmisek z pieczystym. Gdzieś na zewnątrz ktoś kłócił się głośno, po polsku. Lecchi nie zwrócił uwagi na podane mięso, za to jednym łykiem osuszył kielich. Dąbrowski nadział solidny kawał baraniny na widelec. Uniósł go do ust.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadło dwóch potężnych grenadierów – strażników pilnujących spokoju biesiadującego sztabu. Runęli na podłogę, rozległ się łomot upuszczanej broni. Mężczyźni zostali wepchnięci do środka przez młodziutkiego chudzielca w rogatywce przekrzywionej na bakier i kapitana piechoty. Atak musiał być niespodziewany, skoro ściał z nóg dwóch silnych, starych wojaków. Depczący po leżących strażnikach kapitan krzychał coś o truciznie w jedzeniu, a młodzieniec próbował wyrwać nogę z uścisku jednego z grenadierów. Dąbrowski zauważył, że chłopak jest w wieku jego syna.

Kazik Lux z kolei patrzył wytrzeszczonymi oczyma na generała, który bezwiednie wsuwał widelec z mięsem do ust. Wreszcie chłopak obrócił się i kopnął w zęby trzymającego go grenadiera. Odbił się dwoma susami i skoczył szczupakiem na stół. Przejechał po nim brzuchem, zwalając naczynia i kosząc kielichy. Dotarł aż do Dąbrowskiego i w ostatniej chwili wyrwał mu widelec z ręki.

– Co to ma znaczyć, do diaska!?! – ryknął generał, podrywając się z krzesła. – Co to za maniery, sierżancie?

– Jestem tylko kapralem-furierem, wasza miłość – powiedział chłopak, leżąc w makaronie. – Melduję, że mięso zostało zatrute.

– Każdy, kto jadł pieczeń, musi natychmiast zmusić się do wymiotów! – gorączkował się kapitan Borowski. – Trucizna jest bardzo silna. W pół zdrowaśki zabiła dziesięciu moich strzelców. To nie są żarty!

Major grenadierów, Lipczyński, który już zaczynał czuć się źle, rzucił się biegiem do

wyjścia, pakując sobie palce do gardła. Do salonu wpadło kilku wartowników z bagnetami na muszkietach. Przewróceni grenadierzy poderwali się z podłogi i nie śmiejąc bić kapitana, rzucili się na Kazika. Generał poprawił kołnierz munduru i otrzepał spodnie.

– Proszę o spokój – powiedział, unosząc ręce. – Kapitan Tremo i dwaj legionieści ze mną do gabinetu, a panów proszę o chwilowe powstrzymanie się od spożywania posiłku.

Lux został siłą zaciągnięty na piętro, do pokoju zajmowanego przez generała. Dowódca strzelców celnych wszedł po schodach sam, nie zwracając uwagi na bagnety przytknięte do pleców. Generał i jego adiutant podążali za nimi z marsowymi minami. Chwilę później Borowski, wyprężony na baczność, meldował cały przebieg zdarzenia zasepionemu dowodzącemu.

– Kapitanie, proszę wziąć kilku grenadierów i aresztować kwatermistrza – Dąbrowski rozkazał adiutantowi. – Tylko dyskretnie i grzecznie. Może być areszt domowy. Zabezpieczyć też magazyn – trzeba będzie poprosić naszych chirurgów o przebadanie żywności. Czy mamy w oddziałach oficerów, którzy studiowali nauki przyrodnicze? Przydałby się jaki alchemik... Może wśród artylerzystów się trafi?

– Panie generale, czy mogę się odmeldować? – wtrącił niepytany warszawiak.

Trzej oficerowie spiorunowali go wzrokiem. Co za szczyt bezczelności i skandaliczny brak dyscypliny! Przerwać w pół słowa generałowi?! Za to należy się pluton egzekucyjny. Kazik wiedział, że ryzykuje życie, ale nic innego mu nie pozostało. Całą drogę spod twierdzy do generalskiej kwatery dręczył go niepokój o Sofię. Wszak zostawił jej solidny kawał zatrutego mięsa. Pozostawała nadzieja, że dziewczyna ze swoją rodziną czeka z kolacją na jego powrót. Musiał jak najszybciej pobiec do miasteczka i ocalić ukochaną.

– Panowie wybaczą, ale tak się złożyło, że oddałem część pieczeni pewnej biednej, włoskiej rodzinie. Jeśli ich natychmiast nie ostrzeżę...

– Jak śmiecie, kapralu! – ryknął mu prosto w ucho kapitan Tremo.

– Zostawcie – mruknął Dąbrowski zmęczonym głosem. – Niestety, jesteście jednym z podejrzanych, kapralu. Na razie nie możemy dać wiary waszym słowom. Może to wy zatruliście mięso, a teraz będzie próbowali zdezerterować i zniknąć? Zostaniecie w areszcie do wyjaśnienia. Zabrać go.

Lux znalazł się za drzwiami kwatery dowódcy. Wielkie łapska grenadierów opadły na jego ramiona i obróciły w miejscu. Ani się spostrzegł, gdy był już na zewnątrz budynku. Chłodne powietrze uderzyło go w twarz, ale nie przyniosło ulgi. Szedł bezwolnie, popychany przez żołnierzy. Czarna rozpacz zalała mu serce. To jakiś koszmar! Lada chwila Sofia padnie martwa, szarpana potwornymi skurczami, a on nie może nic zrobić. A przecież, gdy wracali spod twierdzy, powinien był odłączyć się od Borowskiego i pognać do miasteczka, ale przez głupotę koniecznie chciał pomóc kapitanowi ocalić Legiony. I oto, co go spotyka. Wpakują go

do lochu, a potem pewnie zastrzelą.

Przeszli przez podwórko willi i skierowali się w stronę zabudowań gospodarczych. Pewnie jeden z chlewików służył za tymczasowy areszt. Gdyby nie ta cholerna pieczeń, dzisiejszą noc Kazik spędziłby w ramionach Sofii.

– Przejmuję więźnia! – Jak spod ziemi wyrósł kapitan Borowski. – I bez gadania, biorę go na swoją odpowiedzialność. Zabierajcie się stąd chłopcy, już.

Luxa ogarnęła fala euforii. Może jeszcze nie wszystko było stracone! Przez chwilę wahał się, czy rzucić się przed oficerem na kolana i błagać o pomoc. Nie zdążył się zdecydować, bo ten ścisnął go za ramię i spojrzał głęboko w oczy.

– Nadal ci ufam, chłopcze – powiedział. – Leć do tych swoich Włochów. Tylko wróć najdalej za dwie godziny. Może przez ten czas zdołam ukryć twoją nieobecność, a generał nie zażyczy sobie wezwać cię na przesłuchanie. Pamiętaj, że poręczyłem za ciebie. Jeśli zdezerterujesz, zostanę posądzony o zdradę i zapłacę głową. Rozumiesz, że ryzykuję dla ciebie życie?

W jednej chwili Kazik poczuł do Borowskiego ogromną wdzięczność. Wzruszenie ścisnęło mu gardło, nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Kapitan zjednął go sobie ostatecznie, więc kapral ukłonił mu się tylko i wykonał gest, jakby chciał pocałować dobroczyńcę w rękę. Oficer wyszarpnął dłoń i trzepnął furiera w czapkę, przy okazji ją prostując.

Kazik odwrócił się i ruszył biegiem w stronę San Leo. Borowski odprowadził ponurym spojrzeniem znikającą w wieczornej szarówce sylwetkę kaprała. Miał nadzieję, że zaufa właściwemu człowiekowi i nie zmarnował sobie kariery. Wyciągnął z kieszeni fajeczkę i zaczął ją nabijać wilgotnym, tanim tytoniem. Zaraz wyruszy pod twierdzę, musi tylko wcześniej zorganizować wózek na ciała swoich strzelców.

Czekał go zbiorowy pogrzeb całego oddziału, a szturm San Leo nawet się jeszcze nie rozpoczął.



Rozedrgane światło trzech łożowych świeczek nie przeszkadzało doktorowi Jakubowi Hoffmanowi w pracy nad swoim największym wynalazkiem. Dobiegający czterdziestki chirurg pracowicie szkicował rysikiem skomplikowany diagram. Pochylał się nad blatem stołu i bezwiednie wysuwał język, niczym sztubak rozwiązujący zadanie z geometrii. Od dawna poświęcał cały wolny czas zagadnieniom związanym z mechaniką cieczy, teoriom przepływów i ciśnień. Starał się udoskonalić napęd zaprojektowanej przez siebie łodzi podwodnej. Wiosła uważał w tym wypadku za coś prostackiego i niewygodnego. Nawet niewielki statek wiosłowy musiałby zabierać kilkunastu galerników, a to przecież znacznie zwiększyłoby jego obciążenie. Medyk zastanawiał się więc, czy możliwe byłoby zainstalowanie z tyłu *navis*



*submarina*<sup>[19]</sup> śruby, którą napędzałyby jeden człowiek, wspierany systemem kół zębanych i dźwigni. Tylko czy śruba byłaby w stanie popychać kadłub solidnej wielkości? Jak to wyliczyć? Jak silny opór stawia woda i jak zaplanować optymalny kształt statku? Czy temperatura wpływa na gęstość cieczy? Czy łódź płynęłaby tak samo szybko zimą w Bałtyku, jak latem w Morzu Śródziemnym?

Rozmyślenia zostały przerwane przez krzyki dobiegające z zewnątrz. Po chwili załomotano do drzwi. Od czasów insurekcji kościuszkowskiej Hoffman nie pracował w tak spokojnym miejscu, jakim była niewielka kwatera w suterenie kamienicy na rynku San Leo. Wyglądało na to, że spokój ów właśnie się skończył. Pewnie któryś z legionistów został ranny albo zrobił coś sobie po pijanemu. Tydzień temu doktor opatrywał bohatera cisalpińskiej armii, który w czasie gwałtu na zwolenniczce kleru i monarchii wetknął penis w dziurę po sęku znajdującą się w drzwiach, do których przyparł niewiastę. Nie potrafił sam wyjąć przyrodzenia. Wtedy też było sporo zamieszania i wrzasków.

Niechętnie odłożył pióro i podszedł do drzwi. Do środka wpadł chłopak w grantowym mundurze polskiego legionisty i zatrzymał się dopiero w objęciach zaskoczonego lekarza. Głowa młodzieńca niemal sięgała powały. Dyszał ciężko i chwiał się ze zmęczenia, a ospowata twarz miał bladą niczym trup. Chwilę łapał powietrze, wreszcie chwycił doktora za poły surduta. Hoffman podtrzymał go, dochodząc do słusznego wniosku, że stało się coś niedobrego.

– Jesteś ranny? Nic ci nie będzie, zaraz przyniosę instrumenty – powiedział uspokajającym tonem. – Zaczęliście już szturm czy to starcie z rebellami?

– Panie doktorze, niech pan pójdzie ze mną, szybko – wydyszał ledwie przytomny z przerażenia Kazik. – Trzeba je ratować. Trucizna! Może jeszcze da się ocalić im życie. Błagam, niech pan pomoże!

Hoffman próbował uspokoić chłopaka, ale bezskutecznie. Dowiedział się tylko, że jakieś kobiety z dziećmi zostały otrute. Nie pozostawało mu nic innego, jak ruszyć na pomoc. Z przyborów zabrał tylko zrolowane, oczyszczone jelita owcze i lejek do płukania żołądka lub lewatywy, a poza tym jeszcze sole trzeźwiące. Nie miał nic więcej na zatrucia pokarmowe. Chorującym na rozstrój żołądka żołnierzom zwykle kazał pić gorące napary ziołowe i modlić się o poprawę. Medycyna nic więcej nie mogła na to poradzić.

Kazik niemal siłą wyciągnął lekarza na zewnątrz. Hoffman szedł, kuląc się z zimna. Jedną ręką zapinał surdut sięgający kolan, a w drugiej ścisnął oliwną latarnię. Zapadła lodowata grudniowa noc. Miasteczko San Leo pogrzyżyło się w ciemnościach i bezruchu. Z rynku dobiegały głośne śpiewy po włosku i po polsku – widocznie żołnierze dorwali ukrytą gdzieś beczkę wina. Dwaj mężczyźni przeszli wąską uliczką, by za rogiem niemal wpaść na kołyszącego się na piętach legionistę. Stał na środku chodnika i mamroczał coś pod nosem,

oddawał mocz na bruk ulicy. W pierwszej chwili warszawiak chciał odepchnąć pijaka, ale w świetle latarni poznał w nim kapelana Skwarskiego.

– Ksiądz jest w stanie udzielić ostatniej posługi cierpiącemu? – Potrząsnął ramieniem duchownego.

– Synu – zachnął się sługa boży – jestem nawet gotów odprawić mu mszę pogrzebową!

Zmarszczył brwi, przyglądając się intruzom i jednocześnie oburącz zapinając guziki w kłapie spodni. Nie wyglądał na kompletnie pijanego. Właściwie zachowywał się jak zwykle, a i mówił płynnie i składnie.

– Możliwe, że ktoś umiera – łamiącym się głosem dodał Kazik. – Chodźcie szybko, panowie.

– Ktoś? Ale nie ten żydowski mason? – Ksiądz wskazał Hoffmana. – Szkoda. Myślałem, że udzielię ostatniego namaszczenia heretykowi.

– Wolnomularze nie są heretykami – burknął doktor. – Po prostu pracujemy nad rozpowszechnianiem nauki, zgłębianiem wiedzy, szerzeniem mądrości wśród ludu. To dlatego pozostajemy w opozycji do kleru, który sieje ciemnotę i zabobony. Boicie się nas, boicie się, że doprowadzimy do tego, że każde, nawet chłopskie dziecko będzie pobierać nauki i stanie się świadome otaczającego je świata. Kogo wtedy będziecie mamić i otumaniać? Kto wtedy będzie łożył na kościelne pałace i napychał kieszenie tłustych biskupów?

– Wybaczam ci, bracie starowierco, bo błędzisz – łaskawie odparł Skwarski. – Odwróciliście się od Boga przez głupią pychę. Myślicie, że pozjadaliście wszelkie rozumy – mędrzy ze szkiełkiem, kurwa wasza mać. Mamicie się, że te wasze tajne znaki i śmieszne tajemnice stawiają was ponad wszystkim. Ale jeszcze zrozumiesz, że się mylisz, łapiduchu, jeszcze będziesz błagał o odpuszczenie grzechów...

Mężczyźni spierali się, ale bez większych emocji i zaangażowania, bo dobrze się znali i wielokrotnie prowadzili tę rozmowę. Szli za oddalającym się Kazikiem, który długimi nogami sadył wielkie kroki, by wreszcie dotrzeć na podwórko jednego z niegdyś wystawnych, a obecnie podupadających domostw. Lux, szlochając, wpadł bocznymi drzwiami do środka, by po sekundzie wybiec w jeszcze większym przerażeniu. Łkał i zawodził, z trudem łapiąc oddech. Gdy opuszczał dom Sofii, ta jeszcze żyła, choć cierpiała katusze, wymiotując w boleściach. Teraz wyglądała tak koszmarnie, że furier nie mógł znieść jej widoku.

Hoffman odsunął go i śmiało wszedł do środka. Skwarski podążył za nim, coraz bardziej zaniepokojony. Światło ich latarni ledwo rozjaśniało obszerną kuchnię. Przy stole, z głową na blacie, tkwiła martwa kobieta w średnim wieku. Czołem opierała się o miskę z kawałkami mięsa wymieszanego z makaronem i warzywami. Świeczka wetknięta w drewnianą miskę stojącą na stole całkiem się wypaliła, a stopiony łój zalał dłonie zmarłej. Zagięte w skurczach palce niemal wbiły się w drewno. Na podłodze obok leżały ciała dwóch kilkuletnich

chłopców, którzy w agonii zsunęli się z krzesel.

– Chryste – jęknął doktor.

Ksiądz już chciał skomentować nawrócenie krakowskiego Żyda na rzymską wiarę, ale w tej samej chwili dojrzał widok, który tak wstrząsnął lekarzem, i sam zamarł ze zgrozy. Twarz leżącej w kącie dziewczyny zastygła w koszmarnym grymasie bólu i wrzasku. Nieruchomymi, wytrzeszczonymi oczami patrzyła na oniemiałych żołnierzy. Jej usta, broda i przód sukienki umazane były świecącymi, białozielonymi wymiocinami. Upiorna ciecz mieniła się niezwykłym, nienaturalnym blaskiem i oświetlała powyginane w drgawkach ciało.

– *Apage, Satanas...* – zaczął duchowny i niepewnie postąpił krok naprzód.

– Przestań, Władek – przerwał mu Hoffman. – To żaden szatan, tylko jakaś wymyślna trucizna. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego.

Podszedł do Sofii i kucnął. Ujął jej rękę, potem przyłożył dłoń do szyi. Wreszcie włożył palec w wymiociny i go powąchał. Skwarski stał nad nim i odmawiał półgłosem modlitwę. Ksiądz musiał stłumić zalewającą go złość, bo z tego wszystkiego całkiem wytrzeźwiał. Nie lubił tego stanu – źle się czuł, gdy miał zbyt jasne myśli.

Kazik nieśmiało wszedł do środka, stanął przy drzwiach i pociągnął nosem.

– To moja wina – wydukał. – Spóźniłem się. Niech mnie diabli, to ja im dałem zatrute żarcie. To samo, którego omal nie zjadł sztab Legionów. Generałów zdołaliśmy razem z kapitanem Borowskim ostrzec, ale do Sofii nie zdążyłem już dobiec. Przeze mnie nie żyje. I co ja teraz zrobię? Tak jąkochałem...

Hoffman najpierw z ciekawością wysłuchał zadziwiającej opowieści furiera o planowanym zamachu, a potem pochylił się, by szeroko rozewrzeć usta zmarłej. Próbował obejrzeć przełyk i język dziewczyny, ale było zbyt ciemno. Otworzył szybkę latarni i zbliżył ją do twarzy ofiary.

Oślepiający błysk, niczym wpadający przez okno piorun, rozświetlił całe pomieszczenie. Syknęło upiornie, usta dziewczyny wypełniły się białym ogniem, od którego natychmiast zajęto się jej ubranie. Lux wrzasnął ze zgrozy. Doktor przewrócił się na plecy, upuścił latarnię, ale natychmiast poderwał się na kolana i tyłem wycofał. Tylko Skwarski zachował przytomność umysłu, doskoczył do ściany i złapał jedną z wiszących na wieszaku ścierek. Energicznymi uderzeniami zgasił płomienie. Pomieszczenie wypełnił ohydny smród. Żołnierze czym prędzej wybiegli na zewnątrz.

– To jednak klątwa – oświadczył grobowym głosem Kazik. – Ten martwy alchemik, Cagliostro, rzucił na mnie zły urok. Ludzie, na których mi zależy, umierają w potworny sposób. Jestem przeklęty.

– Nie gadaj głupstw – burknął ksiądz. – Jakub zaraz ci wszystko wyjaśni. I co ci, konowale, mówi twój racjonalny, naukowy umysł? Co to było?

– Trucizna wytworzyła palny gaz. – Poblady Hoffman westchnął. – W kontakcie z sokami żołądkowymi, rzecz jasna. I ten dziwny zapach wymiocin... Jakby gaz błotny, ale trochę mniej siarkowy, bez zwykłej zgnilizny. Hmmm. Tak, to z pewnością jakaś niezwykła substancja – coś jeszcze gorszego niż arsenik. Wydaje mi się, że kiedyś czytałem o świecącym w ciemności środka, ale gdzie to było? Nie pamiętam..

– Słyszysz, chłopaku? – Skwarski poklepał furiera po plecach. – Wszystko zaczyna być jasne. Kto ma dostęp do niezwykłych trucizn? I kto chciałby zniszczyć sztab Legionów? Wywiad obcego mocarstwa, to jasne jak słońce. A jakie mocarstwo dysponuje taką potęgą?

– Każde wrogi Francji – odpowiedział lekarz. – Najbardziej podejrzewałbym szpiegów papieża.

– Akurat! Ojciec Święty nie wysyłałby przeciw nam trucicieli, tylko emisariuszy – oburzył się ksiądz.

– Czyżby Rzym nigdy nie zajmował się podstępny pozbywaniem się wrogów? Każdy papież to aniołek? A ród Borgiów? Truciciele, jakich mało!

– Powtarzasz pomówienia heretyków – syknął Skwarski. – Jestem przekonany, że podstępem atakują nas Ruscy albo Prusacy. To są dopiero plugawe i zakłamate nacje.

– A Habsburgowie? Nie zapominaj, że to Austria ma najwięcej interesów we Włoszech. Przejęła już Wenecję i Weronę – dodał Hoffman dobitnie. – A i dysponuje odpowiednimi środkami, by walczyć w ten sposób.

– Jest jeszcze Fryderyk Burbon, król Neapolu i Sycylii. – Ksiądz uniósł palec w niebo. – Ale to dobry chrześcijanin, katolik, choć interesują go głównie polowania i cyncate karczmaki. No i jest zbyt prostacki na podobne intrygi. Za to car Paweł, ten to dopiero gagatek. Robi wszystko, czego nauczyła go matka, okrutna Katarzyna. Ta dziwka była wcielonym złem, a car jest wiernym jej nasieniem.

Kazik osunął się po ścianie i usiadł w kucki. Opuścił głowę na kolana i zapłakał. Całe jego życie runęło w gruzy. Wszystkie wspaniałe plany rozwiały się bez śladu. Był skończony jako żołnierz – przyczynił się do śmierci ukochanej i całej gromady strzelców. To jakiś zły sen. To niemożliwe, absurdalne. Cóż uczynił, że spotykają go tak wielkie cierpienia?

– Nie becz – burknął Skwarski. – Nie bądź baba. Otrząśnij się, żołnierzu! Nie przyjechałeś tu dla zabawy, to nie niedziela na Bielanach<sup>[20]</sup>. To jest wojna! Ktoś nas atakuje, próbuje pozabijać, chce rozbić Legiony. Udało ci się ująć z życiem z podstępnego ataku, choć wszyscy wokół polegli.

– To fatalna ujma na honorze Legionów. – Hoffman pokiwał głową. – Obrażona została cześć polskiego żołnierza. Winni muszą za to zapłacić. Nie mogą pozostać bezkarni, bo znów uderzą i wreszcie dopną swego. Zamiast płakać, musisz stanąć do walki.

Kazik otarł oczy i powoli się wyprostował. Chciał powiedzieć tym dwóm dziwakom, gdzie ma ich gładzenie o honorze, cześć polskiego żołnierza i bajdurzenie o konieczności walki. Gadanina dobra dla nadętych oficerów, same bzdury. W dupie ma honor! Stracił ukochaną!

Opanował się jakoś, rękawem otarł nos. Żal powoli przyćmiewała rosnąca złość, a tę – lodowata wściekłość. Furier uspokoił się i próbował zebrać myśli.

Jacyś skurwysyni omal go nie zabili, skrzywdzili przyjaciół i ukochaną. Zemści się na nich. Od tej chwili będzie to jedyny cel jego życia. Dopadnie każdego po kolei i wypruje flaki. Jeśli będzie trzeba, puści z dymem całą cholerną Italię, ale ich dopadnie.

Bez przebaczenia, bez litości.



## 16 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (6 grudnia 1797 roku)



**Z**łote kandelabry w Pałacu Królewskim w Neapolu lśniły blaskiem setek świec. Ogniki pełgały w błyszczących plafonach ozdobionych malowidłami aniołów, które unosiły się wśród skłębionych chmur. W szerokim, pękatym kominku trzaskały polana, ale bijące od nich ciepło ledwie ogrzewało wysoką komnatę o sięgających sufitu oknach, otulonych ciężkimi, udrapowanymi zasłonami.

W głębokim fotelu siedziała królowa, ubrana w bogato zdobioną, niewygodną krynolinę, którą wkładała tylko na oficjalne okazje. Powoli przeglądała listy z meldunkami, podawane przez osiemnastoletnią królowną Marię Krystynę. Druga córka, trzy lata młodsza od siostry Maria Amelia, siedziała na poduszkach u stóp matki, odbierała przeczytane dokumenty i układała je w zgrabny stosik. Trzecia królowna, Maria Antonietta, najmłodsza i wyglądająca jak porcelanowa, uśmiechnięta laleczka, przycupnęła grzecznie na stołeczku przy drugim boku monarchini i z uwagą przysłuchiwała się prowadzonej przez nią rozmowie. Zgodnie z wolą matki, trzy spośród czterech jej córek dyskretnie uczestniczyły w naradzie, by pobierać w ten sposób nauki w zakresierządzenia.

Królowa nie raczyła jeszcze spojrzeć na dwóch znajdujących się w komnacie dżentelmenów, choć z nimi rozmawiała. Jeden, wyłysiały żołnierz w pięknie szamerowanym mundurze, stał wyprężony na bacność i próbował nie oddychać, by nie urazić majestatu jej wysokości. Natomiast drugi, starszy jegomość w białej, upudrowanej peruce i angielskim fraku z czerwonymi wyłogami, nie wydawał się owym majestatem onieśmielony. Przechadzał się od okna do okna, zerkając na plac przed pałacem.

– Nie widzę pośród tych meldunków ani jednego raportu, z którego wynikałoby, że nasze operacje przeciw Francji przyniosły jakiegokolwiek owoce – oznajmiła królowa, spoglądając na starszego dostojnika.

Ten przerwał spacer i uklonił się lekko, ale dystygowanie. W każdym jego ruchu znać było arystokratyczne maniery i angielską powściągliwość. Brytyjski baronet John Acton piastował

w rządzie Neapolu i Sycylii stanowisko premiera. Należał do niewielu osób, w których monarchini pokładała pełne zaufanie.

– Owoce muszą jeszcze dojrzeć, wasza wysokość – odparł. – Przynajmniej jeśli chodzi o politykę. Rozmowy z Austrią i Rosją są w toku, ale w najbliższym czasie nie ma wielkich szans na przymierze militarne przeciw Francji. Usilnie jednak próbuję wymóc pomoc wojskową od Wielkiej Brytanii. Tu szanse są znacznie większe.

– Widzę. – Maria Karolina westchnęła. – Transport muszkietów i prochu jest w drodze. Przydadzą się, ale mogą nie wystarczyć. Potrzebujemy bardziej znaczącej pomocy, na przykład kilku pułków piechoty albo artylerii z prawdziwego zdarzenia.

– Nie trzeba mi o tym przypominać, wasza miłość – zimno odparł premier i pozwolił sobie nawet na sugestię, że jest lekko urażony. – Proszę mi zaufać. Robię wszystko, co w mej mocy.

– Liczę, że te działania nie ograniczą się do prób umocnienia angielskich wpływów w Neapolu, a przełożą się na realne wsparcie – prychnęła królowa. – Rozczarowuje mnie pan, premierze. Szybciej już mogę liczyć na Emmę i jej przyjaciela, tego angielskiego kontradmirała...

– Tak, tak. – Acton pokiwał głową. – Tak, można liczyć na admirała jako na świetnego żołnierza, ale polityk z niego żaden. Co zaś się tyczy działań militarnych – płynnie zmienił temat – to nasz drogi feldmarszałek z pewnością ma do zakomunikowania wieści o jakichś sukcesach.

– Żebyś pan wiedział – burknął ze złością Karol Mack von Leiberich, głównodowodzący armii neapolitańskiej. – Wasza wysokość, melduję, że twierdze wzdłuż granicy z Państwem Kościelnym już zostały obsadzone podwójnymi stanami. Przemieszczamy całą kawalerię na północ. Trwa zbieranie furazu i magazynowanie żywności przed kampanią. We wszystkich prowincjach rozpoczęliśmy intensywny zaciąg. Kupcy żydowscy udzielili nam opustów na zakup sukna na mundury, a z Austrią podpisaliśmy umowę na dostarczenie dwudziestu nowoczesnych armat różnych kalibrów.

– Wiem, wiem to wszystko. – Władczyni machnęła ręką. – Umiem czytać. Interesują mnie działania dywersyjne w szeregach nieprzyjaciela. A także to, co dzieje się w armii papieskiej. Feldmarszałku?

– Armia Kościoła opiera się na nielicznych oddziałach regularnego wojska, Gwardii Szwajcarskiej i formacjach uzbrojonych mieszczan i chłopów. W bezpośrednim starciu z Cisalpińczykami ma niewielkie szanse, szczególnie że rewolucjonistów prowadzą cholerni Polacy. Robimy jednak, co możemy. Nasi agitatorzy podburzają chłopstwo do wystąpień przeciw Francuzom i ich kondotierom, księża organizują punkty oporu, trwa szkolenie oddziałów powstańczych, werbujemy wiernych Kościołowi górali oraz włościan – wyliczał Mack. – Nie możemy, niestety, liczyć na armię papieża. Jego świątobliwość dostał niedawno

ataku apopleksji i władzę w Rzymie sprawuje jego sekretarz stanu, kardynał Pamphili. Purpurat ten panicznie obawia się Francji i zakazał kościelnemu wojsku podejmowania walki z wrogiem. Nie chce dopuścić do wypowiedzenia wojny i prowadzi zabiegi dyplomatyczne, by obłaskawić zarówno Francuzów, jak i Polaków. Przechwyciliśmy jego listy do generała Dąbrowskiego, w których nazywa barbarzyńców z Północy „zaprzyjaźnionym wojskiem” i prosi ich o odsunięcie się od granicy. Podejrzewam, że nawet jeśli Polacy otwarcie zaatakują, kardynał będzie udawał, że nic się nie stało. Odrzucił ofertę naszej pomocy w postaci kadry oficerskiej, ale i tak przerzuciliśmy przez granicę kilku dowódców, by wsparli chociaż oddziały partyzanckie.

– Dobrze i to – mruknęła królowa. – Proszę ograniczyć przygotowania do wojny, nie stać nas na utrzymywanie zbyt dużej armii. Jestem jednak zadowolona z pana energiczności i obiecuję, że niedługo będzie pan miał okazję udowodnić nam swoją waleczność i umiejętności dowódcze. Ale jeszcze nie dziś.

– Ujęliśmy też agitatorów republikańskich, tak zwanych patriotów. Przygotowywali lud na przyjście armii wyzwolenczej, jak nazywają Cisalpińczyków i Polaków. Kilkunastu wicherzycieli, wszyscy pochodzenia włoskiego. Czy przekazać ich sądom cywilnym?

– Nie – ucięła władczyni. – Zastosować sądy wojenne i oskarżyć o zdradę stanu. Dla wszystkich wyrok śmierci, konfiskata mienia, a rodziny na bruk. Wyroki wykonać publicznie, na miejskich rynkach. Żadnego pobłażania. Nie będę pana dłużej zatrzymywać, proszę odmaszerować.

Feldmarszałek ukłonił się głęboko, trzasnął podkutymi butami i wyszedł, pobrzękując austriackimi orderami. Ledwie gwardziści zamknęli za nim drzwi, najmłodsza królowna uśmiechnęła się do matki, a ta skinieniem głowy pozwoliła jej zabrać głós.

– Wasza wysokość, czy brak pobłażania dla „patriotów” ma działać odstrasząco na innych? Czy nie jest to zbyt surowe ostrzeżenie? – Trzynastolatka miała poważną minkę, ale uroczo ufryzowana w loczki grzywka i krynolina z setkami wstążek nadawały jej wygląd niewinnego dziewczątka. – Czy lepszego skutku nie odniosłoby okazanie łaski choćby części z nich?

– Moje dziecko, cieszę się, że masz dobre serduszko, ale zapamiętaj, że pobłażanie tym rewolucyjnym szumowinom i bandytom nie przyniesie niczego dobrego, a będzie przez nich odebrane jako słabość. Musimy zrobić z nimi ostateczny porządek, wybić jak robaki. – Królowa pogłaskała córkę po główce. – Nie zapominaj, z kim mamy do czynienia. Ci ludzie chcą wprowadzić rządy ludu, a wszystkich arystokratów ściąć na gilotynie. Kochasz swoje siostry, Mario Antonietto?

– Oczywiście, bardzo kocham.

– Wyobraź sobie, co byś czuła, gdyby jacyś brudni chłopci zawlekli je na szafot i pucinali

im głowy. Rozumiesz? Nie mogę do tego dopuścić, dlatego każdy oberwaniec głoszący w moim państwie idee wolności, równości i braterstwa musi skończyć na stryczku. – Groźnie zmarszczyła brwi. – Dopadli moją kochaną siostrzyczkę...

– Ciocię Marię Antoninę, królową Francji? – retorycznie spytała najstarsza królowa.

– ...zabili bez litości. Moją niewinną, słodką duszyczkę. Jako dzieci byliśmy nierozłączne, wszystko robiliśmy razem. Opiekowałam się nią pilnie, uczyłam piękna, dumy i szlachetności. Była mi wierna, naśladowała każdy mój gest i krok, stałyśmy się niczym dwie krople wody – identyczne i nierozłączne. Co jej zrobili ci „bojownicy o wolność”? Wywlekli z pałacu, odarli z godności, zbrukali. A potem ucięli jej głowę. Przekłęci Francuzi. Nie spocznę, póki im się za to nie odwdzięczę.

Zapadła cisza, przerywana stukaniem butów spacerującego nieustannie premiera. John Acton wreszcie się zatrzymał i nie zwracając uwagi na nastrój królowej, uśmiechnął się do niej szeroko.

– Nie miałem jeszcze okazji przekazać waszej wysokości meldunku od arcybiskupa Saluzzo.

– To namiestnik jednej z papieskich prowincji, prawda? Siedzi w naszej kieszeni? Nie pamiętam już, kogo przekupiliśmy. – Władczyni westchnęła.

– Arcybiskup Ferdynand Saluzzo to papieski gubernator prowincji Urbino i Marchii Ankony – odpowiedziała królowa Maria Krystyna. – Z tego, co pamiętam, jest rodowitym Neapolitańczykiem.

– Bardzo ładnie, moje dziecko – pochwaliła ją matka. – Rozumiem zatem, że współpracuje z nami dobrowolnie?

– Tak, uważa się za syna tej ziemi. Zawsze mieliśmy sojusznika w arcybiskupie. – Acton skinął głową. – Regularnie wysyłamy mu wsparcie materialne w złocie, bo ponoć papieska kasa świeci pustkami. Za te pieniądze arcybiskup prowadzi werbunek w szeregach wroga. A ostatnio zameldował, że udało mu się nawiązać współpracę z wysokim oficerem cisalpińskiej armii.

– Mamy republikańskiego generała? – Na ustach królowej pojawił się lekki uśmiech.

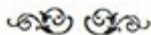
– Już rozpoczął działania dywersyjne. Liczę, że uda mu się od wewnątrz wyrządzić duże szkody, a nawet na jakiś czas sparaliżować działania republikańców. Kto wie, może doprowadzi ich armię do kompletnej zagłady?

– Premierze, odzyskuję wiarę w pana umiejętności. – Maria Karolina obdarzyła dostojnika łaskawym spojrzeniem. – Generał w armii przeciwnika jest na wagę złota. Proszę mu nie żałować pieniędzy, a nawet obiecać wysokie stanowisko w naszych siłach zbrojnych, o ile dobrze się spisze.

– Już to zrobiłem, wasza miłość. – Acton uśmiechnął się.

– Wspaniale. Poprawił mi pan humor. – Władczyni odłożyła listy i wstała z fotela. – Chyba z tej okazji pozwolimy sobie na małą przejażdżkę. Wybierzemy się w odwiedziny do Emmy. Co wy na to, dziewczynki?

Królewny odpowiedziały uśmiechami i energicznie skinęły głowami, a najmłodsza nawet zaklaskała z radości, choć zbytnie okazywanie emocji nie należało na dworze do dobrego tonu. Jednak możliwość wyrwania się z nudnego, zimnego pałacu i pobytu w wesołej, ciepłej rezydencji angielskiej lady każdej z nich poprawiła humor. Może nawet jej wysokość pozwoli na lekcję tańca pod okiem Emmy?



Szopa, w której miejscowy garbarz na co dzień trzymał swoje trzy muły, posłużyła legionistom za tymczasowy areszt. Kazik tkwił w nim od wczorajszego wieczoru – od chwili, gdy wrócił z San Leo i zameldował się kapitanowi Borowskiemu. Drzwi zamknięto na drewniany skobel, który mógłby wyłamać bez większego wysiłku, ale wiedział, że uwięzienie go było tylko symboliczne. Kapitan nawet nie postawił przed aresztem warty, licząc na dobrą wolę więźnia. Furier spędził noc w samotności, głęboko zagrzebany w słomie, której sterta leżała na klepisku szopy. Choć było mu ciepło i wygodnie, długo nie mógł zasnąć, a potem męczyły go koszmary. Starał się nie rozpaczać po stracie Sofii, tylko skupić myśli na zemście. Na tym, jak dopaść trucicieli. Ukojenie jednak nie przychodziło, dręczyła go nieustająca galopada myśli i obrazów. Do świtu przekręcał się z boku na bok, zły i zmęczony.

Rankiem pojawili się dwaj kolejni aresztanci. W celi wylądowali znajomi Kazika z batalionu: gefrajter Stachowski i sierżant Sawicki. Obaj panowie ledwie trzymali się na nogach, zionęło od nich wódką jak z gorzelnii, a mundury mieli uwalane błotem i ponaddzierane. Sierżant, krępy osiłek z połamanym wielokrotnie nosem i blizną na brodzie, oddał mocz w spodnie, po czym zasnął. Nie trudno było się domyślić, że do aresztu trafili za pijaństwo i bijatykę. Nie męczyli specjalnie Kazika, bo obaj przez większą część dnia chrapali w najlepsze. Obudzili się dopiero, gdy jeden z furierów przyniósł im chleb i wodę – jedyny pokarm należny aresztantom.

– No i chuj – filozoficznie stwierdził Sawicki, oddzierając galon sierżanta z rękawa kurtki mundurowej. – To już mi się nie przyda. Za burdę po pijaku należy się degradacja na trzy miesiące, nie licząc miesiąca twierdzy o chlebie i wodzie, rzecz jasna. A ty się nie szczerz, Franek, bo dostaniesz w zęby. Skończę to, co wczoraj zacząłem i przefasonuję ci tę wstrętną chałapę.

– Bez urazy, Rysiu – spokojnie odparł Stachowski. – Trochęśmy narozrabiali po wódzie, ale to nie powód, by się dąsać. Kto się czubi, ten się lubi. Zresztą najbliższy miesiąc spędzimy



razem, w jednej celi. Lepiej się zatem nie kłóćmy.

– Już dostaliście wyrok? – zaciekawiał się Kazik.

– Nie, ale regulamin znamy – odpowiedział gefrajter. – Nic złego nie zrobiliśmy, tylko trochę wypiliśmy i wzięliśmy się za łby. Nie byliśmy na służbie, więc za niechlujny wygląd i picie należy się nam tylko trzydzieści dni aresztu, ale mogą doliczyć jeszcze po dziesięć dni za bijatykę. A ty za co siedzisz?

– Podejrzenie zdrady – odparł chłopak. – Ale jestem niewinny!

– Za zdradę długo nie posiedzisz. – Sawicki wyszczerzył zęby. – Raz, dwa cię rozstrzelają, ani się obejrzysz.

– Nie strasz chłopka. – Stachowski szturchnął kompana. – Daj lepiej karty, co będziemy tak siedzieć.

Najpierw jednak sierżant zdjął spodnie i kalesony, a z kieszeni munduru wyciągnął kłębek nici z wbity igłą. Spokojnie i mozolnie zabrał się do cerowania spodni, potem pozszywał jeszcze kurtkę kolegi i rozdarł na rękawie Kazika. Tymczasem na zewnątrz wybuchło zamieszanie, słychać było wrzaski podoficerów i bicie werbli. Lux próbował patrzeć przez szpary między deskami, ale wiele nie dostrzegł. Jedna z kompanii fizylierskich przemaszerowała przed szopą i znikła w wylocie ulicy. Dwóch współwięźniów to nie zainteresowało. Wyciągnęli pomiętą i brudną talię kart, po czym rozgarnęli siano, by zrobić „stolik”. Gier na pieniądze prawo legionowe surowo zakazywało, więc za stawki służyły kawałki chleba. Kazik nie wziął udziału w zabawie, bo żołnierze grali w tradycyjnie polskiego mariasza, a była to gra tylko dla dwóch osób. Zaproponowali wprowadzić, że rozegrają partyjkę w trzyosobowego pamfila, ale furier nie miał na to najmniejszej ochoty.

– Czego nie chcesz pograć? – dopytywał się Sawicki. – Tak bardzo się boisz tego rozstrzelania?

– Moja narzeczona wczoraj umarła – burknął. – Nie mogę się z tego otrząsnąć.

– Narzeczona? Tutaj? Jakaś Włoszka? – zdumiał się Stachowski. – Długo ją znałeś?

– Trzy dni – odparł warszawiak.

– Trzy dni i już się chciałeś żenić? Chłopaku, upadłeś na głowę? – ryknął zdegradowany sierżant. – Trzymajcie mnie! Powinieneś się cieszyć, że wybrała się do Bozi. Znów jesteś wolnym człowiekiem!

Lux zazgrzytał ze złości zębami. Miał ochotę rzucić się z pięściami na tego chama, ale wiedział, że z silnym zabijaką nie ma najmniejszych szans. Zamiast tego kopnął wściekle w ścianę szopy. Nikt go nie rozumiał, otoczony był nieczułymi durniami.

Dechy załomotały pod kolejnym kopniakiem. Nagle, niczym echo, odpowiedział im armatni wystrzał. Działo musiało stać gdzieś blisko, bo huk był potężny. Szopa aż się zatrzęsa. Po

chwili rozległ się kolejny wystrzał i jeszcze jeden.

– Wala włoskie armaty – spokojnie zauważył Sawicki. – To brescjańczycy pukają w twierdzę. Znaczy, że szykuje się natarcie. Dziwne, bo nawet nie zaczęły się prace oblężnicze, nie szykowaliśmy drabin ani faszyny.

– Chyba że to tylko próbne strzały. – Stachowski wzruszył ramionami. – A masz kralką kozerną, biorę twojego wyżnika. Lewa moja. Na nic twoje szachrowanie.

– To ja cię tuzem! Teraz moja lewa, możesz się ze swoim niżnikiem schować, cymbalisto. – Były sierżant zgarnął karty i mrugnął do Kazika. – Ja rozumiem, że serce ci pęka, ale młody jesteś, to i głupi. Szybko się zakochałeś, więc i szybko się odkochasz. Niejedna dziewczyna na świecie, jeszcze wiele miłości spotkasz. No chyba, że cię jednak rozstrzelają. A gdyby tak się stało, to pewnie będą do ciebie strzelać nasi grenadierzy. Powiedz ich sierżantowi, że jesteś kumplem Sawickiego. Będą lepiej celować, prosto w serce. Nic nie poczujesz.

– Dziękuję – niepewnie bąknął młodzieniec. – Ciekawe, czy to jednak może natarcie? Cholera, biją wroga, a mnie tam nie ma! Chcę się mścić! Może jest tam szpieg, który zatrął nam żywność?

– Nie podniecaj się, Kaziu – powiedział Stachowski. – Ja tam myślę, że to tylko strzały na postrach. Ci Włosi to dupy, a nie artylerzyści. Widziałem, jak ciągnęli armaty. Toć to same dzieciaki. Mam ósemkę kozerną, moja lewa. Che, che, pożegnaj się z królem. A jakie mają armaty, pożał się Boże! Zupełnie niewymiarowe kalibry. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Te patałachy muszą się wpierw nauczyć, jak trafić w twierdzę. Przecież w życiu nie wstrzelają się w jeden punkt, by zrobić breszę<sup>[21]</sup> dla naszych chłopców.

Armaty jednak grzmiały nieustannie, z prawdziwą pasją. Dziesięć dział dudniło raz po raz. Młodzi włoscy artylerzyści musieli uwijać się przy nich jak w ukropie. Kazik wsłuchiwał się w wystrzały, starał się wyłapać z huku odgłos kul dudniących o mury twierdzy. Przełknął ślinę, gdy grzmoty się nasiliły i powietrze przeszyło buczenie przechodzące w gwizd. Gdzieś niedaleko pacnęła w błoto kula wystrzelona przez obrońców.

– He, ci w twierdzy są takimi samymi strzelcami jak brescjańczycy – zauważył Sawicki. – Przynajmniej miejmy taką nadzieję.

– Uwaga, ktoś idzie. – Chłopak, który przykleił się do szpary w deskach, wypatrzył zbliżającego się żołnierza. – Chyba oficer.

Po chwili ociągania były sierżant zgarnął wszystkie karty i schował do kieszeni. Widocznie nie chciał zostać oskarżony o uprawianie hazardu. Nie wiadomo, który oficer mógł się trafić, a nie wszyscy dobrze odnosili się do prostych żołnierzy. Trafiali się wśród nich złośliwcy i nudziarze nierozumiejący koszarowych rozrywek.

– Kazik, jesteś tam? – spytał przybyły, nie otwierając szopy.

– Tak jest, panie kapitanie – zameldował Lux. Odwrócił się do współwięźniów i wyjaśnił krótko: – To Piotr Wierzbicki, dowódca mojej kompanii. Równy gość.

– To twoje więzienie jest najwyższym budynkiem w okolicy, uwierzysz? – odezwał się oficer. Jego buty zachrobotwały o ścianę. Słysząc było stęknienie, a po chwili deski dachu zajęczały pod obciążeniem. Oficer wspiał się na budę. – Dobry punkt obserwacyjny. Mam stąd drogę do twierdzy jak na dłoni. Wypróbuję swoją nową lunetę, prezent od siostry. Przysłała ją z kraju, posłańcem. Kochana dziewczyna.

– Panie kapitanie, co tam się dzieje? Atakujemy? – spytał furier.

– Nie wszyscy. Wysłali tylko grenadierów z Pierwszego Batalionu i fizylierów z Drugiego, ale beze mnie. To zaimprovizowany atak, mający wystraszyć papistów. O nie, jak ci brescjańczycy strzelają? Wygląda to fatalnie! Chyba jeszcze żadna kula nie trafiła w mury! Wałą w glacis<sup>[22]</sup> poniżej.

Wierzbicki milczał dłuższą chwilę, lornetując twierdzę i prowadzącą do niej drogę. Włoskie armaty ucichły, przestali też strzelać papiescy Szwajcarzy. Za to z daleka, niczym huk odległej burzy, niosło się basowe buczenie. Kazik zorientował się, że to chóralny ryk z setek gardeł.

– To nasi? – spytał.

– Tak, idą kolumnami, wrzeszcząc na całe gardło. Krok podwójny, a stok jest stromy – informował kapitan. – Musi im być ciężko, ale co tam. Oho, a to im się krotochwila udała! Zatknęli czapki na lufy muszkietów, imaginujcie to sobie! Wygląda to, jakby każdy nasz żołnierz miał półtora sążnia<sup>[23]</sup> wzrostu, istne olbrzymy. Prawdziwy pokaz mocy. A teraz grenadierzy się zatrzymali i ładują. Z twierdzy padają pojedyncze strzały, jakoś niemrawo, bez przekonania. Fizylierzy też stanęli, nabijają broń.

Gruchnęła równa salwa, niczym grom w czasie burzy. Jej echo przetoczyło się między stokami wzgórz. Kazik aż podskoczył. Czuł dławienie w gardle, jakieś niezrozumiałe podniecenie zagotowało mu krew w żyłach. Nawet dwaj pijacy poderwali się na równe nogi i nasłuchiwali z przejętymi minami. Lux miał ochotę kopniakiem wywalić drzwi więzienia i pognać na pomoc walczącym kolegom. Nigdy nie podejrzewałby się o podobne uczucia. Co jak co, ale samemu pchać się do walki? Można przecież zginąć! Nie po to zgłosił się do wojska, by dać się zabić, ale by przeżyć przygodę, zdobyć łupy i stać się bogaczem. Co też go teraz napadło, że tak bardzo chce się bić? To pewnie przez śmierć Sofii, choć na chwilę zupełnie o niej zapomniał. Co się z nim działo! Pewnie ta gadanina o honorze i powinności wbiła mu się do głowy i zaczęła zmieniać go w głupka podobnego do oficerów. Jeszcze trochę i będzie pierwszy gnał do ataku.

Tymczasem padła kolejna salwa i jeszcze jedna. Legioniści podchodzili pod twierdzę, rażąc obrońców skoordynowanym ogniem. Nie mieli drabin, a w murach nie zrobiono im wyłomów,

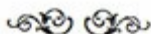
więc mowy nie było o zdobyciu potężnego zamczyska. Mimo to Kazik zaczął miotać się po szopie, jakby omijała go najważniejsza na świecie batalia.

– I już po wszystkim. Cofają się – oznajmił Wierzbicki. Złożył lornetę i zeskoczył z dachu. Chwilę mocował się ze skoblem i wreszcie otworzył więzienie. – Idziemy, Lux. Sam generał chce cię zobaczyć.

Chłopak wyszedł z celi, mrużąc oczy od światła. Nałożył rogatywkę, a po chwili poprawił ją starannie. Spojrzał w stronę skalnego wzniesienia zwieńczonego masywnymi basztami. Zauważył, że znikły z nich czerwono-żółte chorągwie papieskie. Wierzbicki uśmiechnął się przyjaźnie do furiera i klepnął go ponagłajaco. Ruszyli ścieżką w kierunku drogi na San Marino.

– Niech pan spojrzy, kapitanie – powiedział Kazik. – Zdobyliśmy ją!

Oficer aż przystanął, spoglądając ze zdumieniem na twierdzę. Wysoko nad blankami łopotały białe flagi.



W ciemności migotały liczne ogniska rozpalone przed szałasami. Wiatr rozdmuchiwał gęsty dym z wilgotnego drewna i niósł jego słodkawy, aromatyczny zapach po całej okolicy. Polscy żołnierze, z braku opału, zrabali w okolicy sporo drzewek winogronowych. Owocowe, soczyste drewno paliło się słabo, ale mimo wszystko dawało trochę ciepła zmarzniętemu wojsku i pozwalało ugotować cienkie zupy w blaszanych kociołkach. Z okazji zwycięstwa rozdzielono dodatkowy przydział wódki i obiecano rychłą wypłatę zaległego żołdu, z obozowiska niosły się zatem śpiewy i wesołe śmiechy. Świątowano niespodziewany sukces, który nie został okupiony najmniejszymi nawet stratami.

Kazik i kapitan Wierzbicki siedzieli na przewróconym dnem do góry korycie i czekali na przyjęcie przez generała Kniaziewicza. Dowódca Pierwszego Legionu przebywał w swojej kwaterze – chłopskiej, glinianej chałupie, stanowiącej najwystawniejszy budynek biednego gospodarstwa, leżącego samotnie na skraju traktu. Generał zajęty był ważnymi sprawami i legioniści musieli cierpliwie oczekiwać na wezwanie. Godzinę temu do kwatery weszło dwóch adiutantów i od tamtej pory dyskutowali z dowódcą.

Piotr Bazyli wyciągnął z kieszeni kurtki mundurowej dwie brzożowe fajeczki i jednej użył Kazikowi. Podzielił się z nim tytoniem, a potem zajął się mozolnymi próbami wzniesienia ognia za pomocą stalowego krzesiwa i krzemienia od muszkietu. Furier osłaniał go w tym czasie od wiatru, a potem na zmianę dmuchali w hubkę, gdy padły na nią iskry. Wreszcie obaj zaciągnęli się dymem. Gdzieś w obozowisku rozszczękał się pies – pewnie przybłąkał się ze wsi w poszukiwaniu czegoś do żarcia. Ktoś niedaleko wymiotował, rycząc na całe gardło. Kazik drgnął, słysząc ten dźwięk. Przeszedł go zimny dreszcz. Kapitan

natomiast nie zwracał uwagi na zwykłe obozowe odgłosy. Zamyślił się, patrząc w niebo na zasnuwany kłębiącymi się chmurami księżyc.

– W takie noce cknę mi się za domem – powiedział. – Siedziałbym teraz z siostrami przed kominkiem, drewnianka wesoło by trzaskała. Ojciec kazałby zapalić świece i czytałby nam głośno *Nowy Testament*. Potem Ania, moja młodsza siostra, zagrałaby na klawikordzie. Napilibyśmy się podgrzanego soku malinowego ze słoika przygotowanego latem przez gospozię, Halinkę. Może pośpiewalibyśmy trochę razem. Ojciec, jeśli by miał dobry humor, kazałby nalać po kieliszku nalewki, na dobry sen. Matka postawiłaby pasjansa, zanim nadeszłaby pora na gaszenie świateł. A potem hops, pod pierzynkę.

– Ja pewnie ślęczałbym jeszcze nad książkami pod okiem francuskiego guwernanta – odparł Kazik. – Możliwe, że dostałbym w łeb, że robię błędy w ćwiczeniach z kaligrafii. Potem dostałbym po łbie od ojca za to, że za dnia się szlajałem po mieście i jestem zakałą rodziny. Pewnie znów uciekłbym do zaprzyjaźnionego Żyda, który prowadzi traktiernię przy rynku Nowego Miasta, i urzynałbym się z żakami ze Szkoły Rycerskiej. Nocami toczylibyśmy dysputy o dziełach wojskowych Cezara, Montecuccolego, Folarza, Gilberta, Turenniusza.

– Jesteś z Warszawy, prawda? Poznałem już wcześniej po tym, jak mówisz. – Wierzbicki uśmiechnął się w ciemności. – Chyba nie pochodzisz z mieszczaństwa jak ja?

– Jestem szlachcicem, choć szaraczkowym. Ojciec utrzymuje rodzinę z jednego folwarku pod Warszawą, bida z nędzą. Staruszek wpakował w moje wykształcenie całe oszczędności, ale na Szkołę Rycerską już nie było nas stać. W kraju nic ciekawego na mnie nie czekało, chyba tylko mieszkanie w sutenerze kamienicy i mozolne ciułanie groszy. Folwark podupada, bo ile można zarobić na wycince lasu i handlu pszenicą z kilku mórg? Co to za życie?

– Uciekłeś z domu? – Kapitan nie był specjalnie zdziwiony.

– Kiedy tylko się dowiedziałem, że Dąbrowski zakłada polską armię i wzywa rodaków, od razu zwędziłem ojcu trochę grosza na podróż. Spakowałem do węzełka ciepłe gacie, koszulę, kawałek chleba ze słoniną i tyle mnie w Warszawie widzieli. I nie zobaczą, dopóki nie zostanę legionowym kwatermistrzem i nie będę miał tysięcy złotych talarów w trzosie. Wtedy pokażę staruszkowi, gdzie może sobie wsadzić swój folwark. Kupię mu perukę, cylinder i porządny frak – niech na starość poudaje arystokratę. Postawię też pomnik na grobie matki, i to z granitu. Oddam długi w traktierni i zaproszę do niej chłopaków z Nowego Miasta na wódkę. Całą kompanię, nawet klawiszników i doliniarzy<sup>[24]</sup> ze wszystkich podwórek.

– Niezbyt romantyczne marzenia. – Wierzbicki westchnął.

– A pan jakie ma plany na życie po wyzwoleniu ojczyzny, panie kapitanie? Ożeni się, narobi dzieciaków i będzie czytał im *Biblię*, popijając soczek?

– Oczywiście, że się ożenię. – Oficer nie sprawiał wrażenia obrażonego. – I to z dziewczyną z duuużym majątkiem. – Pokazał z jak dużym, kreśląc w powietrzu

wyimaginowany biust i biodra. – Zbuduję manufakturę, gdzieś tuż za granicami miasta, może we wsi Wola i będę produkował powozy. Potem zacznę budować kamienice i sprzedawać je z ogromnym zyskiem.

– Czyli będzie pan zwykłym mieszcuchem z dużym brzuszyskiem i pełną kieszą, który żeruje na pracy biednych ludzi. Zatem niczym się nie różnimy. Honor żołnierza zawiesi pan razem z szablą nad kominkiem? – beczelnie drążył Kazik.

– Nic dziwnego, że ojciec często tłukł cię po łbie – odparł bez urazy w głosie oficer. – Sam mam na to ochotę. No, uwaga, adiutanci wychodzą, chyba teraz nasza kolej.

Dwóch oficerów wymaszerowało sprężystym krokiem, a w drzwiach stanął młody legionista, ordynans generała. Płytko ukłonił się siedzącemu na korycie kapitanowi i gestem zaprosił obu oczekujących do środka.

Kazik wszedł drugi, wpuszczając przodem dowódcę. Znaleźli się w niskiej, kurnej chacie, składającej się z jednej izby, zaopatrzonej w piec kuchenny z otwartym paleniskiem. Płonął w nim ogień, ledwie ogrzewając chałupinę. Przez okna, pozbawione szyb i nawet okiennic, a zasłonięte jedynie kocami, wpadał lodowaty powiew. Generał Karol Kniaziewicz siedział zawinięty w pelerynę, z kubkiem parującego naparu w garści. Był jeszcze młodym mężczyzną, choć już mocno wyłysiałym, o sympatycznej twarzy i zmęczonych, podkrążonych oczach. Skinął głową wyprężonym na baczność żołnierzom i kazał im usiąść. Obaj zdjęli czapki i zasiedli na koślawych zydelkach przy stole zawalonym papierami.

– Kapral-furier Lux, jak mniemam – mruknął generał i siorbnął łyk herbatki. Potem odstawił kubek i złapał za pióro stojące w kałamarzu. – Zrobili cię podoficerem, bo umiesz czytać?

– Tak jest!

– Co jeszcze umiesz, chłopcze? – Dowódca rozłożył przed sobą kartkę i spojrzał znad niej na Kazika.

Chłopak poczuł się niepewnie. Zdawał sobie sprawę, że właśnie ważą się jego losy. Generał zastanawia się, jaki rozkaz ma wypisać – wyrok śmierci czy ułaskawienie. Co zrobić z furierem zamieszonym w morderstwo i będącym pośrednim sprawcą otrucia kilku żołnierzy i cywilów? Jedyna szansa na przetrwanie to pokazać się z jak najlepszej strony. Jeszcze kilka godzin temu Kazikowi nie chciało się żyć, ale odkąd rozpacz została zastąpiona wściekłością i chęcią zemsty, jego zachowanie zasadniczo się zmieniło.

– Doskonale znam francuski i niemiecki, uczę się włoskiego i dobrze mi idzie. Szybko łapię.

– Mhm. – Kniaziewicz łaskawie skinął głową. Otarł zaostrzoną końcówkę pióra o krawędź kałamarza. – Jakie masz relacje z kwatermistrzami, zarówno batalionowymi, jak i legionowymi?



– Doskonałe! Znam każdego. Batalionowi to sami Polacy, ci z Pierwszego Legionu są dla mnie jak starsi bracia. Piłem z nimi i grałem w karty, z każdym jestem po imieniu. Co do kwatermistrzów legionowych, Włochów, to mam wspaniałe, przyjacielskie stosunki z Antonim Caccianigą...

– On ma wspaniałe stosunki z każdym młodym i przystojnym chłopcem. Nie ma czym się chwalić – mruknął generał. – No dobrze...

Zaczął starannie kaligrafować jakieś pismo, co chwilę maczając pióro w kałamarzu. Dwaj żołnierze siedzieli w milczeniu. Pióro skrzypiało na papierze, ogień huczał w piecu. Kazik czuł krople potu na plecach, choć w chałupie zdecydowanie nie było gorąco. Ordynans generała zabrał się do nacierania tłuszczem jego butów i glansowania.

– Słuchajcie, żołnierzu – powiedział wreszcie dowódca Legionu. – Powinniście spędzić w celi kilka miesięcy, do czasu, aż sprawa się ostatecznie wyjaśni i przycichnie. Zostaliście zamieszani w nią przypadkiem, jak mniemam, ale dla bezpieczeństwa waszego i Legii powinienem kazać was przymknąć. Taki też miałem zamiar, ale niespodziewanie wstawiło się za tobą, chłopaku, dwóch dobrych oficerów. Twój bezpośredni dowódca, obecny tu kapitan Wierzbicki, i kapitan Borowski. Obu bardzo szanuję jako żołnierzy – ludzi honorowych i dzielnych. Zostaniesz więc zwolniony, ale nie bezwarunkowo...

Kazik, szturchnięty przez Wierzbickiego, poderwał się ze stołka i wyprężył na baczność. Kilka miesięcy twierdzy mogło zakończyć się śmiercią, dobrze o tym wiedział. Siedzenie o chlebie i wodzie w zimnej celi prowadziło do osłabienia i ciężkich chorób, z których zwykle się nie wychodziło. Tyfus, szkarlatyna, dur i czerwonka – nieformalni kaci dziesiątkowali szeregi uwięzionych, nawet tych niewinnych.

– Jestem gotów na wszystko, panie generale – zameldował, wbijając wzrok w ścianę.

– Skrytobójcze zamordowanie dziesięciu naszych strzelców jest niczym policzek w twarz – obraziło honor Legionu. Musimy go ratować, póki się jeszcze da – przemówił Kniaziewicz. – Zanim sprawa się rozejdzie i wszyscy pomyślą, że można nas bezkarnie zabijać.

W dupie mam honor – gorączkowo pomyślał warszawiak. – Dajcie mi się po prostu zemścić na tych skurwysynach.

– Do tego doszła śmierć dwóch kobiet i dwójki dzieci. Chciałeś im pomóc i złamałeś regulamin. Ukradłeś i oddałeś wojskową żywność, ale dzięki temu ocaliłeś sztab Legii. Nie chcę cię karać za to, że okazałeś serce potrzebującym, biednym Włoszkom. Niestety, efekty są fatalne. Przez niewyparzone jęzory Cisalpińczyków huczy o tym już w całej prowincji, a wiesz, co mówią po wsiach i miasteczkach? – Generał zmarszczył brwi. – Opowieści o wielkich wojownikach szturmujących twierdzę zlewają się w jedno z historią otrucia cywili. Mówi się, że Polacy to olbrzymy potrafiące rzucać czarami. Ci, którzy staną im na drodze, giną w męczarniach, a ich trupy świecą w ciemnościach lub stają w płomieniach. I jak to

brzmi? Głupio, ale chłopci i prości ludzie w to wierzą. To fatalnie psuje obraz armii niosącej wolność. Jeśli dojdzie do kolejnych podobnych incydentów, zły wizerunek Legionów się utrwali, a to może przynieść nam ogromne szkody. Niechętni nam Włosi wykorzystają to, by przejąć dowództwo nad polskimi oddziałami, a Bonaparte nas się wyprze i każe rozformować korpus. I co wtedy? Nie dość, że stracimy honor, to jeszcze szanse na oswobodzenie ojczyzny. Nie możemy do tego dopuścić.

– Jak mogę zmazać swoje winy, panie generale? – spytał furier, jeszcze bardziej prężąc chłopięcą pierś.

Kniaziewicz pokiwał głową z uznaniem dla pokory żołnierza i złożył zamaszty podpis na dokumencie. Dmuchał na kartkę i odłożył ją, by pismo wyschło.

– Podoba mi się twoja postawa, żołnierzu. – Po raz pierwszy spojrzał na Luxa nieco łaskawszym wzrokiem. – Destynuję<sup>[25]</sup> cię na szpiega. Masz w absolutnej tajemnicy wybadać wszystkich kwatermistrzów i ich pomocników, sprawdzić magazyny, przetrząsnąć wozy z transportami, porozmawiać z woźnicami i wartownikami, podsłuchiwać i podglądać, kogo się da. Chcę, byś miał oczy dookoła głowy. Próbuj nawiązać kontakt z kaptownikami wrogów. Jeśli będą chcieli cię przekupić, skłonić do dezercji czy udziału w jakichś świństwach, zgódź się. Wejdź w ich szeregi, poznaj wszystkich – niech wezmą cię za swojego. Trzeba znaleźć trucieli, zanim znów zaatakują, jasne?

– Tak jest!

– Ciszej, bo głowa mi pęknie. – Kniaziewicz machnął ręką. – Nikt nie ma prawa dowiedzieć się o twoim zadaniu. Rozkaz na piśmie trafi do kancelarii tajnej. – Pchnął w kierunku Kazika wypisany dokument. – Możesz go teraz przeczytać. O wszystkim masz meldować kapitanowi Wierzbickiemu. A pan, kapitanie, będzie mi pisał raporty. Chcę je mieć co dekadę<sup>[26]</sup>. Wszystko jasne?

Wierzbicki poderwał się i strzelił obcasami.

– Wynocha – mruknął generał.

Nawet nie wiedząc kiedy, Lux wypadł na zewnątrz, wprost w lodowate objęcia grudniowej nocy. Nie mógł otrząsnąć się z szoku.

Właśnie zrobiono z niego szpiega.

## 17 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (7 grudnia 1797 roku)



O świcie brama twierdzy ze zgrzytem się otworzyła i ze środka wymaszerowali Szwajcarzy. Kazik obserwował ich z żołnierzami swojej kompanii i towarzyszącym im doktorem Hoffmanem. Gwardia papieska – w barwnych mundurach i bufiastych spodniach – maszerowała dumnie pod bronią, a za nią ciągnęły wozy z bagażami i rannymi. Poszkodowanych w oblężeniu było zaskakująco wielu – Lux naliczył najmniej pięćdziesięciu, z czego pewnie część tylko udawała urazy, licząc na litość zdobywców. Mimo to widać było, że ostrzał umocnień przyniósł jakiś skutek – i to nie tylko psychologiczny.

Za Szwajcarami wyszli mocno wystraszeni górale, którzy z własnej inicjatywy zaczęli rzucać na jedną stertę muszkiety. Legioniści byli trochę rozczarowani, bo oficerowie zabronili im zaczepiać papistów, a górale mieli zostać wypuszczeni wolno do domów, bez bicia i grabienia. Takie ustalono warunki kapitulacji. W ręce zdobywców przechodziła tylko twierdza i zasoby jej magazynów.

– Tak oto padła „papieska Bastylia” – triumfalnie oznajmił doktor Hoffman. – Ostatnia w tym kraju jaskinia ciemnoty i symbol ucisku, w której więziono myślących inaczej i protestujących przeciw tyranii kleru.

– Bez przesady z tą Bastylią! – prychnął ksiądz Skwarski. – Ojciec Święty trzymał tu głównie złoczyńców i szaleńców, magików i heretyków. Żadnych myślicieli. Nie mąćcie w głowie wojsku, panie łapiduchu.

– Na nic twoje mataczenia, klecho – warknął lekarz. – Żołnierze zaraz sami zobaczą, jak plugawe to miejsce. Chodźmy!

Fizylierzy musieli jednak poczekać. Pierwsi wmaszerowali do środka żołnierze biorący udział we wczorajszym szturmie. Dowodzili nimi kapitanowie Drzewiecki i Downarowicz. Dostali zaledwie kilka minut na złupienie twierdzy, zanim przejmie ją nowo mianowany komendant, którym został Cisalpińczyk, major Ronconi. Polakom udało się wdrzeć tylko do

składu z koszulami oraz butami i przechwycić odrobinę tych skarbów, zanim Włosi położyli na nich łapę. Braki mundurowe wszystkim dawały się we znaki i zdobycie ubrań, szczególnie butów, przyjęto entuzjastycznie.

Kazik pilnie obserwował zachowanie kolegów i Cisalpińczyków, ale nie wypatrzył niczego niepokojącego. Nie zdobyto ani kropli alkoholu, a nawet jednego bochenka chleba. Nie było więc szans, by truciciel miał szansę na ponowne uderzenie. Uspokojony nieco furier wybrał się z księdzem i doktorem na zwiedzanie zamczyska. Główny budynek twierdzy rzeczywiście okazał się więzieniem. Cele o podrapanych ścianach i siennikach leżących bezpośrednio na kamiennej posadzce nie robiły przyjemnego wrażenia. W kącie każdej z nich stało wiadro na nieczystości i brudna miska na jedzenie. Śmierdziało moczem i wilgocią.

Na korytarzach mijali uwolnionych więźniów – w większości typów spod ciemnej gwiazdy lub obdartych chłopów. Brakowało zapowiadanych przez Hoffmana więźniów sumienia. Kilku brescjańskich żołnierzy szarpało uwolnionego osobnika o rzadkiej, ale długiej brodzie i w nieco lepszym stroju, jakby chcieli wytrząsnąć z niego jakiś grosz, choć przecież przed wtrąceniem do lochu został z pewnością dokładnie przeszukany i ograbiony. Wreszcie kopniakami pogoniono nieszczęśnika na wolność. Chwilę później wpadł w ramiona Kazika i płacząc, przytulił się do niego.

– Rodacy! – ryknął. – Ratujcie! Nie pozwólcie mi tu zginąć! Ja swój!

– Coś pan za jeden? – burknął Skwarski. – Heretyk?

– Ja heretyk? Pierwsze słyszę. Jestem studentem jesziwy, szkoły talmudycznej, poszukiwaczem wiedzy i prawdy! Majer Bauman z Sochaczewa. – Żyd uwolnił Kazika z objęć i uścisnął dłoń księdzu. – Przybyłem tu, by odbyć dyskusję teologiczną z papieżem. A oni mnie pobili, okradli i wtrącili do lochu! Mnie, wędrownego mędrca, który pragnie tylko poznać prawdę.

– I widzicie? Miałem rację. Papiści, zamiast wysłuchać innowiercy i z nim porozmawiać, postanowili, by zgnił w lochu. – Hoffman pokiwał głową. – Jakie to typowe dla katolickich oligarchów! Jeszcze ten student zadałby im zbyt docieklive pytanie i co wtedy?

– Gówno tam docieklive – prychnął Skwarski. – To przecież tylko wioskowy głupek, który chciał dyskutować z Ojcem Świętym. Zamknęli go w wariatkowie i tyle. Zrobili to, co się robi ze świrami na całym świecie.

Kazik dokładnie przyjrzał się Żydowi. W przeciwieństwie do doktora Hoffmana Bauman sprawiał wrażenie typowego przedstawiciela swojej nacji. Wzrostu raczej niskiego i lichej postury, lekko przygarbiony, ze skłonnością do zacierania rąk, co nadawało mu wygląd chytrego lichwiarza, a nie teologa.

– Jak długo pan tu siedzi? – dociekał furier.

– Dwa tygodnie. Zatrzymali mnie w drodze do Rzymu, gdy przemawiałem w karczmie w Urbino. Wyzwałem na intelektualny pojedynek największego mędrca w tym mieście – pewnego arcybiskupa, który kiedyś mieszkał w Warszawie, ale zamiast podjąć dyskusję, wezwał strażę.

– Mieszkał w Warszawie? A kto to taki? – Lux nadstawił uszu.

– Były nuncjusz papieski w Polsce, Ferdynand Saluzzo – odparł Żyd. – Teraz pilnuje dla papieża granicznych prowincji, ale kiedyś zwąchał się z Rosjanami. Ostro potępił insurekcję kościuszkowską i wyjechał z Warszawy do Petersburga. Chyba nas nie lubi albo co.

Kazik postanowił zapamiętać to nazwisko. Najchętniej by je zapisał, ale nie miał na czym, poza tym wyglądałoby to zbyt podejrzanie. Szpiegiem był raptem od kilku godzin i nie chciał się zdemaskować już pierwszego dnia. Musiał nauczyć się zapamiętywać daty i nazwiska, szybko kojarzyć fakty. Arcybiskup, wróg Polaków, może mieć swoich ludzi we włoskich oddziałach. Do tego głównym podejrzanym jest skłócony z Polakami komisarz ordynator cisalpiński. To on przesłał pieczęć w prezencie, ale nie można otwarcie go oskarżyć. Ponoć sam zjadł część tego mięsa na obiad i nic mu się nie stało. Zatem zostało ono zatrute już w obozie. Kto jeszcze jest podejrzany? Kandydatów na mocodawcę truciciela było wielu, ale jak dopaść samego mordercę? Luxa czekało sporo pracy, jeśli chciał go odnaleźć.

Chodził z legionistami po zamczysku, ale myślami wędrował gdzie indziej. Nie słuchał sprzeczek księdza z lekarzem-ateistą pochodzenia żydowskiego, nie zwracał uwagi na bezowocnie szukających skarbów Cisalpińczyków. Wrócił na ziemię, gdy dotarli na ostatnie piętro i weszli do celi, której ściany w całości pokrywały napisy i rysunki. Cała trójka w milczeniu przyglądała się znakom. Ktoś pracowicie wyrył w tynku zawile zygzaki i diagramy, potem rysikiem pozapisywał niemal każde wolne miejsce kolumnami cyfr i znaków. Litery rzymskiego alfabetu przeplatały się z dziwnymi zawijasami, układały się w szeregi, wiły się ślimakami i okręcały do góry nogami. Czasem litery pojawiały się między nimi jako lustrzane odbicia, stapiały się z rysunkami wieloramiennych gwiazd i piramid. Nie brakowało też ludzkich i nieludzkich postaci, starożytnych bóstw, w tym nagiego mężczyzny z głową psa lub ptaka i kobiety z głową kota.

– To pisał jakiś twój znajomek, Jakubie, prawda? – ksiądz zwrócił się do lekarza. – Wygląda mi to na masonskie szyfry.

– Jesteśmy w celi Cagliostro – przyznał Hoffman. – Ale nie był moim znajomkiem, choć wymyślił i zaprojektował ryt wolnomularski, wzorowany na kulturze starożytnych Egipcjan. Osobiście założył egipską lożę wolnomularską w Warszawie, ale ja do niej nie należę.

– A do jakiej pan należy, panie doktorze? – niewinnie spytał Kazik, który czuł ciarki, widząc te wszystkie tajemnicze znaki i magiczne zapiski.

– Po likwidacji rytu Wielkiego Wschodu Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa

Litewskiego należą do rytu francuskiego, jak większość polskich masonów – dumnie przyznał doktor. – To najnowocześniejsza i najbardziej racjonalna na świecie organizacja, która zrzesza ludzi myślących, wierzących w postęp i siłę rozumu.

– Te bohomy nie wyglądają mi na wyraz siły rozumu, ale na mistyczne brednie wytworzone przez zapijaczony umysł – burknął Skwarski. – Jakieś pogańskie bożki, gusła, hokus-pokus. Bzdura. Nic dziwnego, że trzymali tego masona w ciupie. Cały ten zamek do dom wariatów!

Furier pokiwał głową i rozejrzał się uważnie po celi. Zamarł na chwilę, ciężko przełknął ślinę. Podszedł powoli do okna, czując, jak włosy na głowie stają mu dęba. W grubej szybie z mętnego szkła ziała okrągła dziura po pocisku karabinowym. Tym, który sam wystrzelił. Więc jednak! Rzeczywiście strzelił do ducha maga-wolnomularza? JezuChryste!

A jeśli nie ma żadnych trucicieli i działa na nich tylko egipska klątwa? Jeśli doprowadził do szału demona czerpiącego moc od starożytnych, pogańskich bóstw?

– Coś tak pobladł, młody człowieku? – Kapelan huknął go w plecy. – Źle się czujesz?

– Doskonale, proszę księdza, doskonale – wybełkotał Kazik. – Panie doktorze, niech pan powie, proszę, czy masoni potrafią wezwać na pomoc jakieś potężne moce i zabijać ludzi na odległość? Potraficie rzucać klątwy?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale reprezentuję niższy stopień wtajemniczenia – odparł Hoffman, nieustannie jeżdżąc nosem po napisach. – Loża zrzesza największe umysły naszych czasów – naukowców i myślicieli. Jak wielką potęgą władają, nie wiem. Obawiam się jednak, że rzucanie klątw nie zostało naukowo potwierdzone. Pracujemy nad różnymi nowoczesnymi rodzajami broni, opracowujemy niezwykle wynalazki, ale myślę, że nawet Kawalerowie Wybrani, najwyżsi stopniem masoni mego rytu, nie władają nadludzkimi mocami. Nasza siła tkwi w jedności i umyśle. Mistycyzm i rytuały są tylko dodatkami, ozdobnikami pozwalającymi zachować elitarność naszej organizacji.

– Trzymajcie mnie – zadudnił Skwarski. – Śmieją się z liturgii, kapłanów i chrześcijańskich obyczajów, a sami naśladują pogańskich czarowników i ich gusła. I nazywają siebie myślicielami i krzewicielami prawdy! Spójrzcie na te zaszyfrowane czary, magiczne klątwy i zapiski czciciela diabła. Oto, ile jest warte całe to wolnomularstwo. Banda bufonów uważających się za wielką elitę. Jeno blichtr i piach w oczy, a w środku – pustka i wiara w czary.

– Mam wrażenie, Władku, że trochę mi zazdrościsz przynależności do loży. – Hoffman uśmiechnął się.

– Błędzisz, pełny pychy człecze! – ryczał coraz bardziej czerwony ksiądz.

Warszawiak podrapał się po brodzie usianej rzadkim zarostem. Może morderstwa to jednak



nie czary, ale działania masonów? Mają ogromne możliwości i władzę – ponoć to oni teraz sterują losami całych królestw, dyktują swoją wolę władcom i panom świata. Mówi się, że rewolucja francuska była ich wymysłem i pierwszym krokiem do panowania nad światem. Ponoć większa część Dyrektoriatu to właśnie wolnomularze. A co, jeśli zdecydowali, że po cichu usuną polskie oddziały? Jeśli ich istnienie jest im nie na rękę? Jeśli nie chcą, by Polska odzyskała niepodległość, bo mają wobec niej inne plany?

Czyżby śledztwo w sprawie śmierci Sofii doprowadziło Kazika do odkrycia międzynarodowego spisku? Czyżby wpadł na trop potężnej organizacji, dla której życie milionów ludzi nie miało najmniejszego znaczenia? Dla masonów liczył się tylko postęp, nakierowanie ludzkości na rozwój technologiczny i umysłowy.

– Co trzeba zrobić, by zostać przyjętym do pańskiej loży, panie doktorze? – spytał z głupia frant.

– Nie, chłopcze! Upadłeś na głowę? Imponuje ci to? – Skwarski aż się zapłuł z oburzenia.

Hoffman natomiast oderwał się od zapisków Cagliostro i przychylnie spojrział na furiera.

– Jestem tylko czeladnikiem, mam najniższy stopień wtajemniczenia. Do obrządku francuskiego bardzo trudno jest się dostać. Nie przyjmuje się tam byle kogo. To kandydata zaprasza się do loży, nie odwrotnie. Przekażę jednak twoją prośbę mistrzowi, zobaczymy, co powie.

– Miałbyś większe szanse, gdybyś był synem jakiegoś księcia lub twój ojciec dysponowałby fortuną. – Książdz był już spokojny. – Nie widzisz, że te cwaniaki dybią tylko na złoto i władzę? Biedny chłopaczek z szeregów nie ma u nich szans. Heretycy, zdrajcy, mąciwody. Swojego też w potrzebie zostawiają, jeśli już jest nieprzydatny. Spójrz na ściany tej celi. Zobacz, jak bracia pomogli Cagliostro. Dali mu zgnieć w samotności! I na nic się zdały jego masońskie czary i gusła. Mam nadzieję, że wszystko to sobie przemyślisz, Kaziu. Zapraszam, jeśli będziesz chciał się wypowiedzieć i pojednać z Bogiem.

Na zamkowym dziedzińcu rozległo się bicie w werbel – dobosz grał sygnał do apelu. Płądrujący więzienie żołnierze byli wzywani na zbiórkę.

– Pora się wynosić – burknął Skwarski. – Pewnie nowy komendant obejmuje twierdzę. Zaraz obsadzi ją cisalpińskie wojsko, a my pomaszerujemy dalej.

– Wiesz, dokąd Legiony ruszą teraz? – zaciekawiał się Hoffman.

– Tam, gdzie idą cały czas. Do Polski.

## 18 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (8 grudnia 1797 roku)



**K**rólowa Maria Karolina, ubrana w prostą, pozbawioną ozdób sukienkę, szła energicznym krokiem przez pałacowy korytarz. Oddychała pełną piersią, nieskrępowaną gorsetem. Krew kipiała w jej żyłach na myśl o tym, kto czeka na nią w pałacowych piwnicach. Radość mieszała się z euforią, a podniecenie odbiło się rumieńcami na policzkach pięknej niegdyś Austriaczki. Nie czuła hulającego w pałacu przeciągu i chłodu zimy. Była gorąca i pełna życia jak rzadko.

Zajrzała do jednej z głównych sal, w której królowny zabawiały się szykowaniem świątecznego balu. Dziewczynki wspólnie planowały budowę dekoracji, mającej zmienić wnętrza pałacu w lodową jaskinię. Plafony i ozdobne gzymsy pod sufitem pokryją się granatowymi draperiami z gwiazdkami szronu. Zwisać z nich będą sople ze szkła i kryształów. Zasłony w oknach zmienią się w lodowe kurtyny z jasnego sukna, ozdobione płatkami śniegu z białego muślinu.

Królowny biegały między służącymi, śmiejąc się i dokazując. Za trzema nastoletnimi pannicami pędziło dwóch królewiczów: siedmioletni Leopold i pięcioletni Albert. Na końcu gnała trzyletnia Maria Izabela, najmłodsza córka. Jej wysokość podbiegła do niej cicho, złapała ją od tyłu i podniosła ze śmiechem. Ucałowała oba policzki roześmianej dziewczynki i zapominając o etykiecie, sprawdziła, czy mała nie nasikała w majtki. Potem, w przelocie, potargała czupryny swoich synów. Pochwaliła zaangażowanie dzieci, nieco zaskoczonych niezwykle wylewnością matki, i przeszła korytarzem prowadzącym do pomieszczeń gospodarczych.

Przy schodach do piwnic czekał już na nią zgięty w ukłonie pułkownik Adriano Pinedo. Przystojny wąsacz w zielonym mundurze neapolitańskim rozpromienił się, gdy jej wysokość powitała go łaskawym uśmiechem. Pobrzękując rapierem, ruszył przodem, wyjmując płonącą pochodnię z uchwytu w ścianie. Oboje zeszli na dół, do ciągu lochów urządzonych w dawnych piwnicach na wino.

Po wielkich beczkach zostały ślady na wilgotnych ścianach, w które wkuto haki i koła do mocowania łańcuchów oraz kraty, wydzielając w ten sposób otwarte cele. Większość pomieszczeń stała pusta, ale w jednej stał oburzony jegomość z okazałym brzuszyskiem, ubrany we frak i koszulę z żabotem. Jego cienkie nogi były ozdobione wysokimi butami z błyszczącej skóry, zaopatrzonymi w pozłacane klamry. W dłoni, na której błyszczał pierścień z rubinem, nerwowo gniótł zerwaną z głowy perukę. Jego twarz była czerwona od gniewu, ale na widok kobiety nieco ochłonął.

Dwóch gwardzistów w koszarowych, pozbawionych ozdób mundurach otworzyło kratę i wywlokło bogacza na zewnątrz. Maria Karolina zatrzyma się przed nim i obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. Z twarzy królowej znikł uśmiech, a usta znów tworzyły surową, wąską kreskę. Odezwała się nienagannym francuskim:

– Miło mi gościć w Neapolu członka Dyrektoriatu, przedstawiciela rządu Republiki Francuskiej. Czym sobie zasłużyliśmy na ten zaszczyt, panie Jean-Baptiste Beteau?

– Ależ, droga pani, jestem tylko członkiem Rady Pięciuset, przedstawicielem niższej izby naszego parlamentu. Nie reprezentuję rządu Francji, przynajmniej nie oficjalnie – odparł grubas. – Przybyłem do Neapolu całkiem prywatnie. Jestem handlarzem win. Dwa moje statki czekają na załadunek w waszym porcie, a ja ubijam interesy ze sprzedawcami tego trunku.

– Panie pułkowniku, czy to prawda? – Maria Karolina zwróciła się po francusku do Adriano Pinedo.

– Z grubsza – mruknął żołnierz. – Ciekawe tylko, co na pokładzie robiła prasa drukarska i kilka ryz papieru? I na co neapolitańscy wichrzyciele, aresztowani kilka dni temu, przygotowali wielkie pomieszczenie w składzie towarów na skraju portu? Czyżby na nielegalną drukarnię? Co w niej chcieli drukować, wiemy, bo znaleźliśmy w domu jednego przygotowane do powielania odezwy do ludu – mówiły o przybywającej armii wyzwolenczej i potrzebie odebrania własności uciskającym lud arystokratom i biskupom.

– To pomówienie – bąknął pobladły nagle Francuz. – Nie macie żadnych dowodów! Jestem uczciwym francuskim obywatelem i wypraszam sobie podobne...

Na nabrzmiałą, spoconą twarz pana Beteau spadła pięść królowej. Jej wysokość uderzyła lekko, bez zamachu, ale jej pierścień rozorał usta mężczyzny, które natychmiast zalały się krwią. Grubas zachwiał się, zupełnie zaskoczony. Zanim zdążył zareagować, jego szyi dotknęło ostrze sztyletu trzymanego przez pułkownika Pinedo. Dwaj gwardziści stali z tyłu, gotowi interweniować.

– Kłamiesz, psie – syknęła Maria Karolina. – Jesteś ohydny skurwysynem, który próbuje rozpuścić rewolucyjną zarazę na mój Neapol. Chciałbyś zobaczyć mnie na gilotynie? Chciałbyś gwałcić zakonnice i plądrować pałace? To samo robiłeś w Paryżu w czasie rewolucji?

Królowa powoli rozmasowała bolącą dłoń. Jej surowa twarz wykrzywiła się w grymasie nienawiści. Krew kipiała w żyłach Austriaczki, trzęsąc całym ciałem. Wściekłość i zemsta. To było to, co kochała najbardziej, co dodawało sił. Francuz dotknął krwawiących ust i cofnął się o krok. Pobladł gwałtownie, a jego oczy wypełniły się zwierzęcym strachem. Oparł się plecami o kratę. Nie miał dokąd uciekać.

– Jak zdobyłeś przywilej zasiadania w Dyrektoracie? – cedziła monarchini. – Byłeś jednym z nich, z tych rewolucyjnych bandziorów? To wtedy dorobiłeś się majątku? Łupiąc arystokratów i gwałcąc ich córki? Może byłeś pośród sędziów, którzy wydali wyrok śmierci na Obywatela Capeta<sup>[27]</sup>? A może wlokłeś go na szafot? Albo okradałeś Wersal i inne królewskie pałace?

– Zapracowałem na wszystko, co mam – niepewnie bąknął Francuz.

– Pewnie, wszyscy tak mówicie. Złodzieje i zdrajcy. – Władczyni stała o krok od niego. – Ciekawe tylko, który z was ukradł wszystko, co należało do Wdowy Capet? Którzy z was dręczyli ją w lochach, poniżali w sądzie i ścięli na gilotynie? Którzy z was, skurwysyny, zamęczyli moją kochaną Marię Antoninę? Jedyłą radość mojego życia!

Oczy królowej wypełniły się łzami. Pociągnęła nosem i odchyliła głowę, ale zaraz potem twarz Austriaczki ściągnęła się w pozbawioną uczuć maskę. Jej wysokość wyciągnęła z rękawa chusteczkę i z godnością otarła oczy. Spojrzała na przerażonego więźnia lodowatym, niewyrażającym niczego spojrzeniem. Jej złość i rozpacz znikły bez śladu. Skinęła głową pułkownikowi.

Adriano Pinedo obrócił w dłoni sztylet, zamachnął się krótko i precyzyjnie wbił go w brzuch Francuza. Beteau załkał płaczkliwie, wytrzeszczył oczy z bólu i grozy. Pułkownik ciął przez całą szerokość brzuszyska i dopiero wtedy wyciągnął ostrze. Z rany bryznęła krew, a uwolnione wnętrzości gwałtownie chlusnęły na podłogę. Monarchini dystygowanym gestem zasłoniła nos chusteczką, specjalnie na tę okazję uperfumowaną. Francuz chwiał się, patrząc na własne jelita spływające mu po nogach i wysypujące się na posadzkę. Zawył wreszcie i złożył się wpół.

– Nie dobijać – zimno oznajmiła Maria Karolina. – Niech cierpi.

Pułkownik spokojnie wytarł sztylet w przeznaczoną do tego szmatkę. Królowa patrzyła na klęczącego nieszczęśnika, który już tylko jęczał. Zrozumiał, że nic go nie uratuje, a do rychłego końca czeka go wyłącznie cierpienie. Wreszcie runął twarzą w śmierdzącą kałużę krwi i wnętrzości.

Maria Karolina odwróciła się i bez słowa ruszyła po schodach do wyjścia. Niedługo król, Franciszek Burbon, powinien wrócić z wyprawy łodzią na ryby. Pewnie będzie chciał napić się gorącego wina z korzeniami. Trzeba dać znać kucharzom, by zaczęli je przyrządzać. Dobrze też sprawdzić, czy w pokoju chłopców napalono w piecu. Lepiej nie ryzykować, że

mały Albert znów się zaziębi.

## 19 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (9 grudnia 1797 roku)



**N**ad Ceseną – spokojnym, starym miasteczkiem – wznosiło się wzgórze zwieńczone średniowiecznym zamkiem, zwanym Rocca Malatestina. Nieliczną włoską załogę starej twierdzy wzmocniło w południe dziewięciuset polskich żołnierzy Drugiego Batalionu Pierwszej Legii. Piechurzy rozlokowali się w zimnych komnatach, natychmiast wystawili warty i rozesłali pierwsze patrole po okolicy. Ponoć wierni papieżowi chłopci zbierali się w uzbrajane przez wojskowych agentów bandy, które wprowadzały niepokój w prowincji. Włóścianie atakowali republikanów, srogo mścili się na rodakach przychylnych rewolucji, bezlitośnie mordowali „patriotów” i ostrzeliwali cisalpińskie oddziały. Częste zmiany lokalizacji polskich wojsk i przemarsze legionistów miały utrudnić życie powstańcom, a w końcu doprowadzić do uśmierzenia chłopskich buntów.

Kazik nie zabawiał długo na miejscu. Po krótkiej rozmowie ze swoim dowódcą, Piotrem Wierzbickim, zaczął zbierać się do ponownego wymarszu. Jeszcze tego samego dnia zamierzał dotrzeć do Rimini, gdzie szef sztabu Legionów, markiz Aleksander Trivulzi, urządził główny skład kwatermistrzowski. Oficjalnie Lux miał dopilnować terminowego przewozu prowiantu dla obsady zamku, ale w rzeczywistości miał przede wszystkim wybać włoskich zaopatrzeniowców. Należało dyskretnie sprawdzić intendentów, nie zawsze przyjaznych Polakom, i przypilnować, by żywność nie została zatruta.

Dla warszawiaka była to szansa na rehabilitację i odzyskanie honoru. Przy odrobinie szczęścia mógł odnaleźć mordercę, który zabił jego ukochaną. Nie narzekał więc ani słowem na czekającą go wyprawę, tylko z miejsca złapał za plecak i muszkiet, po czym ruszył w kierunku bramy. Wierzbicki dogonił go jednak i przydzielił trzech legionistów dla bezpieczeństwa. Kilkunastokilometrowy marsz do Rimini mógł przejść spokojnie, ale jeśli spotka niechętnych republikanom chłopów, lepiej mieć ze sobą paru chwatów do pomocy.

Okazało się, że nieźle znał dwóch spośród przydzielonych żołnierzy – byli to bliźniacy Antoni i Anzelm Kura. Trzecim był nieco roztargniony, ale poczciwy lwowiak, Stasiek



Biernacki. Stawili się na wezwanie niechętnie i z oporami, ale kiedy dowiedzieli się, że mają eskortować swojego kompanijnego furiera, na ich twarzach pojawiło się zadowolenie. Żołnierze ciągle niedojadali, a towarzystwo kwatermistrza dawało szansę na napełnienie żołądka i mocniejszy napitek.

Cała czwórka nałożyła płaszcze z wysokimi kołnierzami, a na rogatywki płócienne ochraniacze, bo właśnie zaczynał prószyć śnieg i szkoda było zamoczyć mundury.

Zasalutowali kapitanowi i wymaszerowali ulicą prowadzącą ostro w dół. Przed nimi rozpościerał się widok na leżące poniżej miasteczko. Widzieli jak na dłoni płataninę wąskich uliczek z ciasno przytulonymi do siebie kamiennymi domkami. W niebo mierzyły wieże kilku kościołów i klasztorów, leniwie snuły się nieliczne dymy z kominów. Piechurzy szli rażno, szybkim krokiem, by jeszcze przed nocą dotrzeć do Rimini – stolicy prowincji i głównej siedziby polsko-włoskiego korpusu.

Na uliczkach nie spotkali wielu przechodniów. Za to zaczęło ich kilka starych, ale szeroko uśmiechniętych przekupek, prezentując trochę zwiędłych warzyw, które miały na sprzedaż. Potem brzuchaty karczmarz wyszedł przed swój przybytek i zachęcał piechurów do wejścia obietnicą taniego wina. Żołnierze nie mieli jednak ani denara<sup>[28]</sup> w kieszeni, bo swoje żołdy, które dostali blisko trzy miesiące temu, dawno przehulali i nie zanosilo się, by szybko dostali zaległe należności. Obeszli się więc smakiem i pomaszerowali dalej. Po drodze kusiły ich jeszcze zapachy dobiegające z czyjejs kuchni, ale pozostało im posilić się w biegu paskami suszonej wołowiny, którą rozdano im pod San Leo jako żelazne racje.

Opuścili miasto i szli traktem wybrukowanym chyba jeszcze przez Rzymian, a prowadzącym na południowy wschód, w stronę Morza Adriatyckiego. Mijali widoczne z drogi pojedyncze gospodarstwa, otoczone polami z drzewkami oliwnymi i sadami owocowymi. Śnieg padał ospale i niemal natychmiast się topił. Po niebie ciągnęły ponure, szare chmury. Wyglądało na to, że zima na dobre dotarła do słonecznej Italii.

– Jasna anielka, odpadła mi podeszwa! – oznajmił legionista Biernacki.

– Trza było nareperować przed drogą. – Antoni Kura wzruszył ramionami. – Tera za późno, będziesz szedł na bosaka.

– No, jak na bosaka w taką pogodę? Panie kapralu, przecie mi noga zamarznie i zgnije. Nie mogę iść bez buta!

Podsunał Kazikowi pod nos drewnianą podeszwę, która zupełnie odpadła od buciora. Żołnierz musiał już od jakiegoś czasu iść z kłapiącym czubkiem, a mimo to nie raczył przyczepić jeszcze nie do końca zepsutej podeszwy. Legioniści posuwali się nawet do wiązania trepów sznurkami, gdy nie było pod ręką szewskich gwoździaków. Psujące się obuwie było odwiecznym problemem żołnierzy. Trzewiki, szczególnie te wytwarzane przez Włochów, nie za bardzo nadawały się do długich marszów. Zwykle wystarczały na ledwie trzy

tygodnie użytkowania, zanim całkiem się rozpadły.

– Na co czekasz, człowieku? Wyciągaj z plecaka zapasowy but – zirytował się Kazik.

Każdy żołnierz powinien zostać zaopatrzony w trzy, z czego jeden miał znajdować się w plecaku. Produkowano ledwie trzy rozmiary obuwia, nie odróżniano też butów lewych od prawych – wszystkie były takie same. Niestety, przez braki w zaopatrzeniu raczej nie zdarzało się, by ktokolwiek miał regulaminowy dodatkowy bucior, o czym Lux, rzecz jasna, wiedział. Sam zresztą też takowego nie miał. Żołnierze dzielili się nimi z kolegami, których kamasze się rozpadły. Machnął więc ręką, widząc bezradną minę piechura i z westchnieniem zdjął muszkiet z ramienia. Rozmasował obolały obojczyk, bo broń ważyła dobrych kilka kilogramów, i rozpiął płaszcz. Wreszcie zrzucił plecak i po chwili wyciągnął z niego kawałek sznurka.

– Wiąż szybko, bo nie mamy czasu – mruknął. – Albo pójdziesz dalej w jednym bucie.

Lwowiak usiadł na kamieniu i zabrał się do reperacji. Nie raz zdarzało się, że legioniści chodzili z kawałkami kory zamiast podeszew, a latem – zupełnie boso. Biernacki miał tyle szczęścia, że drewno nie rozpadło się na kawałki i przynajmniej miał co przymocowywać do reszty buta.

– Słuchaj, Kazik, może byśmy zajrzeli do tamtej chałupy? – zaproponował, korzystając z postoju, Anzelm Kura. – Jeśli trafi się dobry gospodarz, poratuje wojaków dzbankiem mlika, może da kawał syra. A kto wie? Sięgnie do piwniczki po jakie wino?

Kazik spojrzał gniewnie na krępego osiłka, ale po prawdzie jemu też już kiszki marsza grały i marzył, by coś zjeść. Jeśli zбочą z drogi na kilka minut, nie narażą się na duże spóźnienie, a prośba o coś do jedzenia nie zostanie chyba odebrana jako grabież maruderów. Nie zastanawiając się więc dłużej, skinął przyzwalająco głową i pierwszy ruszył w kierunku majaczących za śnieżną kurtyną zabudowań. Bracia ochoczo do niego dołączyli, tylko lwowiak został na drodze, mocując się z butem.

– Zostawcie coś i dla mnie, przyjaciele! – rzucił przez ramię.

– Tera to przyjaciele, a wczora nazwał mnie wsiowym głupkiem – mruknął Anzelm.

Po paru chwilach dotarli do niewysokiego murku z żelazną bramą, otwartą zachęcająco na oścież. Przed nimi wznosił się piętrowy budynek otynkowany na biało. Warszawiak pomyślał, że wygląda na siedzibę miejscowego szlachciury, a z pewnością nie mieszkał tu żaden biedny chłopina – przynajmniej sądząc po rozmiarach gospodarstwa. Kazik nastawił się na rozmowę ze służbą, bo pewnie zaraz będzie chciał ich spławić byle parobek. Albo oszczeka miejscowy burek. No, chyba że gospodarz to „patriota” i zwolennik republiki – wtedy mogą liczyć na poczęstunek.

Zamiast powitania lub gróźb zastali na podwórku martwego psa. Śnieg padał na truchło

leżące w kałuży krwi, najwidoczniej zarąbane szablą lub siekierą. Furier odruchowo poprawił pendent, do którego miał przymocowaną pochwę z tasakiem. Niemal identycznymi gestami bliźniacy złapali za flintpasy<sup>[29]</sup>.

– Założyć bagnety – syknął furier i sam zdjął muszkiet z ramienia.

Cała trójka wyciągnęła z pochewek u pasa bagnety i wcisnęła je na lufy. Kazik doszedł do wniosku, że nie ma sensu nabijać broni, szkoda było na to czasu i fatygi, zresztą śnieg i tak pewnie zamoczyłby proch na panewce.

Lux nawet nie pomyślał o tym, by się wycofać. Ktoś napadł na to gospodarstwo, więc teoretycznie on, jako reprezentant armii wprowadzającej w Italii porządek, miał obowiązek sprawdzić, co się stało. Oczywiście w nosie miał wszelkie służbowe i moralne powinności, ale z drugiej strony lubił awantury i przygody. To pewnie zbuntowani chłopci splądrowali posiadłość jakiegoś „patrioty”. Wypadało zobaczyć, czy ktoś przeżył. Jeśli nie, może przynajmniej znajdzie się coś do jedzenia. Szkoda byłoby porzucać niepilnowany przez nikogo łup. Ruszył więc pierwszy w stronę otwartych drzwi. Kątem oka dostrzegł dwa lub trzy konie, spokojnie stojące w otwartej stajni. Bliźniacy rozsunęli się na boki i każdy z nich rozpiął płaszcz, by zyskać swobodę ruchów. Pochylili muszkiety w pozycji bojowej, przed sobą.

– Są tam – szepnął Antoni.

Rzeczywiście, z wnętrza domu dobiegały śmiechy i jakby stłumiony płacz.

– Wchodzimy? Nie wiemy, ilu ich i co to za jedni – dodał Anzelm. – Kazik, lepiej spierdalajmy.

Lux nie wiedział, jak duży ma autorytet i czy piechurzy go posłuchają, ale uciekać nie miał najmniejszej ochoty. Przebudziła się w nim żyłka warszawskiego łobuza, który dla zabawy prał się z chłopakami ze Starego Miasta, włóczył po dziurach z podwórkową kompanią, a w potyczkach pod austeriami szukał emocji i rozrywki. W dupie miał honor i obowiązek, ale jeśli biją słabszych, trzeba pomóc i walić po łbach zbójów. Nieważne, ilu ich jest.

– Wpadamy do środka i walimy chamów – rozkazał pewnym głosem. – Idę pierwszy.

Nie czekając na reakcję bliźniaków, skoczył w ciemny otwór otwartych drzwi. Bracia spojrzeli po sobie niepewnie. Ich młody dowódca nie grzeszył rozumem, skoro zaatakował, nie robiąc rozpoznania, a nawet nie próbując podejrzeć przez okna, co się dzieje.

– Ma jaja, gówniarz jeden – zauważył Anzelm.

Mrugnął do brata i jeden po drugim wpadli do środka.

Kazik dotarł już korytarzem do przestronnej izby głównej. Jeszcze w biegu dostrzegł jakiegoś nieszczęśnika rozciągniętego na stole. Starszego mężczyznę za ręce i nogi trzymało dwóch zbójów, a trzeci ścisnął w garści rozgrzany do czerwoności pogrzebacz, który zamierzał przyłożyć do nagich stóp więźnia. Furier runął z rykiem na najbliższego złoczyńcę

i pchnął go bagnetem. Mężczyzna – wąsaty, śniady drab w rozchełstanej koszuli – sparował cios pogrzebaczem i odskoczył zwinnie, schodząc z drogi rozpędzonemu piechurowi.

Bagnet wbił się z głuchym odgłosem w drzwi potężnej szafy. Furier oparł się o nią, ratując przed upadkiem, a potem szarpnął zablokowaną broń. Rozejrzył się gorączkowo. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn. Wszyscy sięgnęli po broń. W ich rękach pojawiły się pistolety i szable. Kazik zauważył, że dwóch jest w zielonych mundurach cisalpińskich. Trzeci nosił elegancki frak, barwną kamizelę i miał twarz dumnego arystokraty, ozdobioną zakręconymi w górę wąsikami. Wydał mu się znajomy.

– *Non sparate!*<sup>[30]</sup> – krzyknął fircyk. – Panowie, nie strzelać!

Ostatnia prośba, wykrzyczana czystą polszczyzną, skierowana była do braci Kura, którzy weszli do pomieszczenia z muszkietami wymierzonymi we Włochów. Lux spostrzegł siedzącą na krześle, zapłakaną kobietę w średnim wieku i dwóch klęczących obok chłopaków w niechlujnych, chłopskich portkach i kapotach. Obaj mieli gęby umazane krwią i opuchnięte, z wyraźnymi śladami bicia. Furier natychmiast zorientował się, że to dwaj parobkowie, a para jest właścicielami gospodarstwa. Rozbójnicy mogli być dezertierami z armii cisalpińskiej. Tak przynajmniej sugerowały ich mundury.

– Opuścić broń! – ryknął wąsacz. Sam jednak mierzył do intruzów z dwóch pistoletów. – Co ma znaczyć ten atak? Który z was dowodzi?

– Ja – krótko odparł Kazik, ignorując wymierzone w pierś ostrza szabli. – Furier Lux.

Bliźniacy oparli muszkiety kolbami o podłogę i stanęli w nieco luźniejszych pozach. Do pokoju wpadło jeszcze dwóch Cisalpińczyków, jeden z nich podciągał spodnie. W pomieszczeniu zaczynało robić się ciasno.

– Co też ci strzeliło do głowy, chłopcze? – oburzył się fircyk. – Przeszkadzasz nam w rozprawie z buntownikami. Przesłuchujemy papieskich powstańców! Znalazłem tu i zająłem bazę wroga – gniazdo szumowin szykujących prowincję do powstania. Broń, agitacyjne ulotki. Pierwsi ochotnicy, by podrzynać nam gardła.

– Ach, wybaczy pan – bąknął nieco oszołomiony warszawiak.

Polski oficer machnął ręką swoim Cisalpińczykom. Dwaj z nich znów zniknęli w sąsiednim pomieszczeniu. Kiedy otworzyli drzwi, z wnętrza dobiegło kobiece łkanie i zawodzenie. Bez wątplenia trzymali tam rozpaczającą kobietę. Opuszczone spodnie jednego z żołnierzy sugerowały, co się tam działo.

Kazik patrzył, jak pozostali w pokoju Włosi wracają do przerwanej roboty. Znów mocniej chwycili ręce i nogi przesłuchiwanego nieszczęśnika, a drab z pogrzebaczem przytknął rozpalony pręt do nóg mężczyzny. Pomieszczenie wypełnił ohydny swąd, torturowany zaczął wrzeszczeć, a jego żona rozplakała się wniebogłosy. Osunęła się z krzesła z zawodzeniem, ale

jeden z żołnierzy złapał ją za włosy i szarpnięciem zmusił do pozostania na miejscu.

– Lepiej wyjdźmy stąd, panowie. – Wąsacz złapał furiera pod ramię i stanowczo poprowadził w głąb domu. Bliźniacy szli zaraz za nimi.

Znaleźli się w dużej kuchni. Nad otwartym paleniskiem suszyły się girlandy czosnku i papryki, na hakach wisiały miedziane garnki i chochle. Ścianę ozdabiały barwne makatki. Było tu sympatycznie i przytulnie. Widać, że domostwo należało do zasobnych gospodarzy. Szafki i regały już splądrowano, po podłodze wały się potrzaskane garnce i butelki. Na stole leżała kupka kurzych kostek i pokruszony chleb. Dom nie wyglądał na jaskinię bandytów. Chłopscy powstańcy najczęściej wywodzili się z biedoty, a nie z dostatnich domostw.

– Jestem admirał Zaręba – oznajmił elegant i podkręcił wąsa. – Napijmy się, rodacy. Za pomyślność w łapaniu buntowników, za wolność naszą i tych brudnych Italiańców.

Kazik dopiero teraz zorientował się, że mężczyzna jest nieźle wstawiony. Chwiejąc się, sięgnął na jedną z półek i złapał za potężny dzban wina. Napełnił kubki, które wetknął przybyłym w dłonie. Sam wypił pierwszy. Bliźniacy osuszyli swoje naczynia łapczywymi łykami. Kazik poczuł suchość w gardle, więc i on napił się z przyjemnością. Za ścianą biedny Włoch wrzeszczał jak opętany. Ktoś kłął, kobiety płakały.

Ciekawe, ile ich tam jest? Córki gospodarzy, służące? I co z resztą parobków? Już nie żyją? – myślał Lux. Zaręba znów napełnił kubki. – Gdzie ja widziałem tego admirała? Skądś go znam.

– Idziecie do Ceseny? – spytał elegant. – Czy w drugą stronę? Zresztą nieważne – rozumiem, że to tajemnica. Nie mogę was tu przenocować, bo organizujemy pułapkę na powstańców. Będziecie musieli sobie pójść. Oczywiście zaopatrzę was na drogę, trochę dobra się złupiło na bandytach. Wino, wędzona szynka, mąka, peklowana wołowina. Bierzcie, ile zdołacie unieść!

Za ścianą znów zagrzmiały ryki i przekleństwa. Z łomotem runął jakiś mebel. Rozległy się trzaski i bolesne jęknięcia. Teraz przesłuchiwanym bito chyba pięściami.

– Czy ja dobrze słyszę? Wydaje mi się, że żołnierze pytali gospodarza, gdzie ukrył pieniądze? – bąknął Kazik.

– Wy, kwatermistrze, macie do tych spraw jakiś dodatkowy zmysł! – Admirał roześmiał się. – Dobrze słyszałeś! Dostaliśmy informację, że mogą mieć tu papieskie złoto przeznaczone na sfinansowanie buntu. Pieniądze wydarte wcześniej zwykłym ludziom w złodziejskich podatkach. Musimy je odebrać i zwrócić merostwu prowincji. Co do lira!

– Oczywiście. – Kapral skinął głową.

Teraz już był przekonany, że coś tu śmierdzi. Zaręba nie wyglądał na oficera. Raczej na ufiokowanego szlachcica, synalka arystokraty, jakich wielu rozbijało się po warszawskich

lupanarach. Choć, z drugiej strony, tacy też trafiali się w szeregach Legionów Polskich. Bawidamki, okrutnicy, pijaki i łobuzy spod ciemnej gwiazdy. Nie przeszkadzało im to w byciu świetnymi żołnierzami. Tylko jeśli Zaręba służył w armii cisalpińskiej, dlaczego nie nosił munduru?

– Nie będziemy jednak gaworzyli po próżnicy, szkoda czasu. – Admirał czknął i dystyngowanie zasłonił usta. – Ładujcie mantelzaki, ile wlezie. W tej szafie jest trochę żarcia, w piwniczce znajdziecie wino i wędzone mięso. Bierzcie, rodacy, ile dusza zapragnie. Nie mogę was zbyt długo zabawiać, bo gonią mnie obowiązki. Muszę nadzorować przesłuchanie, bo chłopcy z rozpędu jeszcze pozabijają tych powstańców. A ich trzeba wszak demokratycznie rozstrzelać! Mam rację?

Bracia Kura energicznie przytaknęli. Obaj się nie odzywali, przyzwyczajeni do tego, że z oficerami się nie dyskutuje. Zaręba, choć bez munduru, wyglądał na wielkiego pana, a w dodatku przedstawił się jako admirał. Miał w sobie to coś, co wymuszało posłuch u zwykłego żołnierza. Kazik skinął więc przyzwalająco podkomendnym i bliźniacy rzucili się do ładowania podróжных worów. Na podłogę poleciały stare onuce i podarte gacie, które niepotrzebnie zapychały plecaki. Ich miejsce zajęła drogocenna żywność. Furier wreszcie machnął ręką na rozterki. Wino przyjemnie ogrzewało pusty brzuch, poprawiało nastrój i rozwiewało zmartwienia. Chłopak rzucił się do radosnego rabunku, starając się nie myśleć o gwałconych za ścianą kobietach. Wepchnął w usta solidny plaster mortadeli z pistacjami i czarnymi oliwkami, a potem całą kulkę mozzarelli. Nie jadł tak dobrego, świeżego i wykwintnego jedzenia od dawna, a właściwie odkąd trafił do wojska.

Poklepywany przez uśmiechniętego Zarębę znalazł się w końcu za drzwiami, znów na podwórku. Tym razem w bramie minęli znużonego Cisalpińczyka z muszkietem, a więc Włosi zdecydowali się wystawić wartę. Admirał odprowadził legionistów, a gdy ci mijali bramę, niespodziewanie objął Kazika za szyję i wcisnął mu w dłoń garść monet. Ich ciężar sugerował wcale pokaźną sumę. Lux zeszywniał z zaskoczenia.

– To na drogę, byście się nie spieszyli do koszar. Jeśli chcesz, kapralu, polecę ci burdele w Rimini i Cesenie, znam je wszystkie. – Zaręba uśmiechał się. – Rozumiesz, o co mi chodzi? Chcę, byście zapomnieli o naszym spotkaniu i nikomu o nim nie meldowali.

Kazik zacisnął zęby. Miał ochotę cisnąć w ziejącą winem twarz admirała te zbrukane krwią pieniądze, jednak spotkał się z nim wzrokiem. Patrzyły na niego zimne, złe oczy. Mimo wypitego alkoholu Zaręba uścisk miał mocny i pewny. Jego dwa zatknięte za pas pistolety nadal miały odwiedzone kurki. Znużony wartownik lustrował legionistów nadspodziewanie czujnym spojrzeniem, a muszkiet trzymał tak, jakby chciał go za chwilę przyłożyć do ramienia i pociągnąć za spust. W jednej chwili Lux zrozumiał, że jeśli nie przyjmie pieniędzy, nie przejdzie nawet trzech kroków. Bracia Kura szli przed siebie, wystawiając plecy na strzał.



Oni też nie mieliby szans na przeżycie.

– Mamy zapomnieć o tym spotkaniu, bo pana misja jest ściśle tajna? – spytał z głupia frant.

– Oczywiście, kapralu. Bystry z ciebie młodzieniec, sądzę, że szybko awansujesz. – Zaręba poklepał go po plecach. – Bóg da, to jeszcze się spotkamy. Bywajcie!

Furier spojrzał na dłoń pełną monet. Błyszczały na niej srebrne franki i włoskie liry. Na oko – kilkumiesięczny żołd legionisty! Pokażna żołnierska fortunka. Uśmiechnął się do admirała i ruszył przed siebie. W duchu modlił się o każdy krok, jednocześnie czekając na kulę, która za chwilę trafi go w plecy.

Admirał darował im życie. Wrócili na trakt nietknięci. Lwowiak czekał na nich, spokojnie paląc fajkę. Lux bez słowa wręczył każdemu piechurowi po franku i kilka soldów. Bliźniacy miny mieli nietęgę.

– Skąd macie pieniądze? – zdumiał się Biernacki. – Co się tam stało?

– Lepiej nie pytaj, nie chcesz wiedzieć – mruknął Antoni. – Masz dolę i zamknij się.

– Kojarzycie tego Zarębę? – spytał Kazik, którego coraz mocniej zaczęło dręczyć sumienie. Szczególnie płacz i krzyki kobiet nie dawały mu spokoju.

– Pewno. – Anzelm machnął ręką. – To oficyjer z Trzeciego Batalionu, którego generał wywalił na zbity pysk, to jest na rentę.

– Ach tak, już pamiętam. – Lux palnął się w czoło.

Zaręba był jednym z awanturników usuniętych karnie z Legionów za obrazę czci i zhańbienie wizerunku legionisty. Nie opuścił jednak Italii, tylko ogłosił się polskim admirałem, co o dziwo zostało potraktowane poważnie i uznane przez władze Republiki Cisalpińskiej. Warszawiak dałby sobie rękę obciąć, że ten awanturnik nie prowadził żadnej akcji przeciw powstańcom, tylko, korzystając z chaosu i bezprawia, łupił Bogu ducha winnych nieszczęśników. Furier zrozumiał, że mieli niebywałe szczęście, iż uszli z życiem. Maruderzy z pewnością wymordują torturowanych włościan i ich służbę, a winę zrzucą na papieskich buntowników. A trupy trzech legionistów mogłyby tylko uprawdopodobnić całe zdarzenie.

Były oficer Legionów wypuścił ich w przypiływie dobrego humoru – widocznie Kazik zrobił na nim wrażenie takiego cwaniaka i zbója, jakim był sam admirał. Zaręba pewnie stwierdził, że dobrze mieć sojusznika w oddziałach legionowych. Teraz trzymał kaprala w garści, a właściwie w kieszeni. Furier pozwolił mu na mord na niewinnych i przyjął łapówkę za przymknięcie oka. Teraz będzie musiał robić, co bandyta mu każe.

– Kurwa mać – wycedził przez zęby.

Bracia Kura smutno pokiwali głowami, a lwowiak zrozumiał, że stało się coś złego i nie zadawał głupich pytań.

Kazik miał ochotę trzasnąć łbem w pobliskie drzewo. Czemu prześladował go taki pech?

Cholerna klątwa czy co? Wpakował się w kolejną kabałę i to przez własną głupotę. Powinien wrócić tam i dać się zastrzelić, przynajmniej nie nawyczyniałby więcej szkód. A tak, nie dość, że wyszedł na zwykłą szumowinę, obwiesia rabującego bezbronnych, to nie ocalił nieszczęsnych chłopów. Cisalpińscy maruderzy zamęczą ich, kobiety pogwałcą i zadźgają bagnetami, a gospodarstwo złupią i spalą.

Mógł to powstrzymać. Mógł powiedzieć „nie”.

Tylko po co? Nie poradziliby we trzech całej bandzie. Zginęliby bez sensu. A tak mieli plecaki pełne żarcia i wina, a do tego złoto w kieszeniach. Pieprzyć, że ostatecznie pogrzebał swój honor, honor żołnierza.

Jaki honor? Przecież zawsze miał go nosie! Zawsze był wolnym ptakiem, który myśli przede wszystkim o sobie.

– Idziemy – rozkazał krótko.

Ruszyli w dalszą drogę. Kapral szedł z opuszczoną głową, starając się nie myśleć o niczym. Czuł, że twarz płonie mu rumieńcem wstydu i gniewu. W uszach ciągle huczał mu krzyk i płacz dręczonych wieśniaczek.

## 20 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (10 grudnia 1797 roku)



Snieg przykrył grubą warstwą dachy domów w Urbino. Wielkie, zlepione płaty zsuwały się po ścianach Pałacu Książęcego – pamiętającego czasy, gdy miasto było stolicą suwerennego księstwa – i z pacnięciem spadały na bruk, by powoli się roztopić. Biały puch litościwie zasłonił strzaskaną trzęsieniem ziemi kopułę widocznej w oddali katedry – do niedawna dumy całego miasta. Jego świątobliwość Pius VI nie znalazł w papieskim skarbcu stosownych zasobów, by odbudować zabytkową świątynię. Od ubiegłego roku, który upamiętnił się kataklizmem rujnującym część Urbino, tkwiła więc w środku miasta niczym memento, symbol boskiego niezadowolenia. Arcybiskup Ferdinando Maria Saluzzo miał nadzieję, że prace budowlane nad odtworzeniem kościoła ruszą najpóźniej wiosną, gdy wreszcie przeminie zagrożenie ze strony rewolucjonistów.

– Italia od wieków nie widziała takiej zimy – odezwał się mężczyzna w płaszczu z kapturem siedzący w ciemnym kącie Komnaty Herkulesa.

Arcybiskup stał przy oknie, tyłem do gościa i patrzył na sypiący śnieg – tak obfity, jakby ołowiane chmury rozdarła boska ręka. Nie zanosilo się, by miało przestać padać. Pałac Książęcy wystawał z białego morza niczym samotna skała. Wzgórza i domy, jak sięgnąć wzrokiem, zostały już pochłonięte przez białą nawałę.

Saluzzo ubrany był w czarny, skromny habit, ozdobiony jedynie ciężkim krzyżem zwisającym na srebrnym łańcuchu z szyi oligarchy. Całkiem siwe, ale gęste i mocne włosy nosił zaczesane do tyłu, tak by swobodnie opadały na kołnierz. Stał wyprostowany jak struna, a jego poważna twarz podkreślała surowość sylwetki.

– Może zima da popalić tym przeklętym Polakom, jak sądzi wasza ekscelencja? – spytał zakapturzony gość.

– Nie liczyłbym na to – odparł Saluzzo. – Mieszkałem przez dziesięć lat w Polsce jako nuncjusz papieski. Przeżyłem tam zimy, przy których ten śnieżek jest niczym ogień w kominku

przy żarze drzemającym w Wezuwiuszu. Opady śniegu, utrudniające komunikację i transport między twierdzami, mogą co najwyżej zmusić Polaków do manewrów. Spodziewam się, że Dąbrowski spróbuje wykorzystać zimę do wsparcia miejscowych ruchów rewolucyjnych.

– Wasza ekscelencja sądzi, że ten Polak jest na tyle sprytny, by prowokować zamieszki na papieskiej ziemi? – Mężczyzna wstał z krzesła i podszedł do arcybiskupa. Stał obok niego, ale nie zdjął kaptura, jakby bał się, że ktoś może go rozpoznać. – Wydaje mi się, że Polacy to banda kondotierów, którzy pragną jedynie łupić, co wpadnie im w łapy. Podają się za niosących wolność bojowników o sprawiedliwość i równość, a tak naprawdę to tylko barbarzyńcy z Północy.

– Nie docenia ich pan, generale. – Saluzzo zimno spojrział na gościa. – Rządzą nimi ideały, szczególnie oficerami wywodzącymi się z polskiej szlachty. Oni naprawdę wierzą, że niosą wolność Italii. Nie udało im się to w ich kraju, więc walczą tutaj. Pamiętam, jak ogłosili swoją konstytucję. Musiałem zgłosić protest, bo była jawnie rewolucyjna. Przewracała do góry nogami porządek wypracowany przez wieki. Zrównanie stanów, ograniczenie wpływów Kościoła, toż to zamach na religię! Na szczęście Rosja, Austria i Prusy wykorzystały słabość upojonych wolnością Polaków i zrobiły z nimi porządek. Inaczej rewolucja, podobna do francuskiej, już dawno rozlałaby się na całą Europę. Teraz pozbawieni ojczyzny polscy żołnierze nadal niosą w świat przekłete rewolucyjne ideały. I nie robią tego dla zysku, proszę o tym pamiętać. Będą się bili dla idei, dla wydumanej wolności.

– Głupcy – syknął generał. – Nie widzą, że są tylko marionetkami w łapach Francuzów?

– Widzą, ale wierzą, że w nagrodę Francja pomoże im odzyskać ojczyznę. Jeszcze raz pana ostrzegam – to świetni żołnierze i nienajgorsi stratedzy. Proszę ich nie lekceważyć. – Arcybiskup westchnął ciężko. Odruchowo zaczął pocierać krzyż na piersi. – Jej wysokość Maria Karolina pokłada zaufanie w pana umiejętnościach. Zarówno ona, jak i ja nie chcielibyśmy, by coś się panu stało przez zbytnią pobłażliwość dla wroga. Zainwestowaliśmy w pana okazałą fortunę, liczymy zatem, że te pieniądze nie przepadną...

Gość zaczął przechadzać się wzdłuż okien. Z zabytkowej pałacowej komnaty spoglądał na leżące w dole miasteczko, teraz uśpione pod zwałami śniegu.

– Słowa ekscelencji mnie zabolowały. Wy, Neapolitańczycy, myślicie, że każdego można kupić i wszyscy będą skakać na wasze skinienie. Nie wziąłem ani lira dla siebie. Wszystko przeznaczyłem na zakup broni i prochu dla powstańców. Moglibyście wymagać ode mnie posłuszeństwa i oddania, gdybym był na waszym żołdzie, ale ja jestem wolnym człowiekiem. Zależy mi jedynie na ojczyźnie.

– Cieszę się, generale – spokojnie odparł arcybiskup. – Cieszę się, że przejrzał pan na oczy i stanął po właściwej stronie. Proszę wybaczyć mi uwagę o pieniądzach, ale wie pan, z jakimi trudnościami boryka się Neapol i Rzym. Walczymy o istnienie z potężnym przeciwnikiem...

– Wiem. Francja jest równie potężna, jak kłamliwa i zdradliwa. Przejrzałem ją, przejrzałem matactwa Dyrektoriatu i tego ich małego generała Bonapartego. Przyniosą Italii demokrację, a przy okazji całkiem ją ograbią – zimno powiedział oficer. – To dlatego zdecydowałem się zdradzić, złamać przysięgę i skałać honor włoskiego żołnierza. Jestem tu, by ustrzec Italię przed republikanami i ich zachłannością. Wasza ekscelencja powinien zabezpieczyć skarby tego pałacu, dzieła sztuki, dziedzictwo naszej kultury. Lepiej byłoby je wywieźć do Rzymu, na wypadek gdyby do Urbino wkroczylibarbarzyńcy.

– Modłę się, by do tego nie doszło. Nasz drogi kardynał Pamphili robi wszystko, co się da, by nie dopuścić do wypowiedzenia nam wojny przez Republikę Cisalpińską i zaangażowania w konflikt armii francuskiej. To dlatego, właściwie bez walki, oddaliśmy Polakom twierdzę San Leo i nie odpowiedzieliśmy na tę prowokację. Wiemy, że Dąbrowski czeka na pretekst, by wtargnąć w głąb Państwa Kościelnego i rozpocząć otwartą wojnę. Nie dopuścimy do tego. Po to dobry Bóg zesłał nam pana, generale. Wysoko postawiony oficer w armii przeciwnika może zdziałać cuda. Powstrzyma pan Polaków, Cisalpińczyków i Francuzów. Z moim błogosławieństwem z pewnością się to panu uda.

– Na początek staram się ich skłócić. – Gość uśmiechnął się. – Zniszczyć dobre imię polskich Legionów. Piszę na nich skargi do Dyrektoriatu, to samo robią zaufani komendanci twierdz i merowie miasteczek. Winy za burdy, łupiestwa i gwałty, czynione przez niezdyscyplinowanych brescjańskich i cisalpińskich żołnierzy, zrzucamy na Polaków. To zaczyna działać. Ponoć naczelną wódz armii francuskiej, generał Berthier, mocno się na Dąbrowskiego rozgniewał. Niestety, Polacy ciągle cieszą się renomą wśród Włochów. Miasteczka zagrożone wybuchem „patriotycznych” lub papieskich rokoszy same proszą, by wkroczyły do nich Legiony. Czują się bezpieczniejsze, bo Polacy nie zabijają kogo popadnie, a faktycznie wprowadzają porządek. To także będę musiał jakoś zmienić...

– Trzeba wykorzystać zabobony i wiarę w gusła wśród ludu. Rozpuścić pogłoski o barbarzyńskich zwyczajach, o klątwach niesionych przez Polaków, o demonach w ich szeregach, o krwiopijcach i wilkołakach – dodał arcybiskup. – Dodatkowo zjedna nam to przychylność ludu. Choć z drugiej strony, sam wolałbym Polaków, których dobrze znam, niż rodzimych „patriotów” i cisalpińską armię. Jeśli dojdzie do rewolucji w Urbino, pierwszy zwrócę się do Dąbrowskiego o pomoc przeciwko miejscowym „patriotom”.

Generał ze smutkiem pokiwał głową. Co za los, prosić barbarzyńców o ochronę przed własnym narodem. Wszystko przez cholerną francuską rewolucję. Namieszała ludziom w głowach, a jej idee wprowadziły chaos. Oficer sięgnął po jeden z dwóch stojących na stole kielichów. Wino z papieskich winnic miało pełny smak, było gęste i ciężkie. Należało do najlepszych włoskich trunków. Generałowi zaszklily się oczy. W myślach widział żołdactwo wybijające dna w beczkach i wylewające w błoto ten nektar, który uważali za symbol

rozpasania kleru i zepsucia arystokracji.

– Po zdobyciu San Leo Dąbrowski wezwał do siebie naczelników i proboszczów trzydziestu sąsiednich miejscowości i rozkazał im złożyć przysięgę wierności – powiedział gość. – Wszyscy wykonali polecenie. W każdej wiosce i każdym miasteczku zrąbano krzyże na rynkach, a w ich miejscu zasadzono „drzewka wolności”. Wasza ekscelencja traci swoją prowincję. Płomień rewolucji ogarnia kolejne wsie i miasteczka. A jeśli pożre całą okolicę, Polacy odniosą miażdżący sukces i to bez wypowiedzenia wojny. Moja praca nad zniszczeniem ich wizerunku i splamieniem honoru nie będzie już miała znaczenia. Zwycięzców nikt nie sądzi.

Arcybiskup uniósł kielich i umoczył w nim usta.

– Proszę zorganizować więcej oddziałów powstańczych i kazać im uderzyć na podległe Polakom miejscowości. Niech wierni nam rebelianci niszczą „drzewa wolności”, zabijają „patriotów” i z powrotem stawiają krzyże. Trwa walka o rząd dusz. Albo my, albo oni.

– By prowadzić udane operacje, musiałbym osobiście dowodzić powstańcami...

– Jeszcze nie, jeszcze nie może pan opuścić cisalpińskich szeregów. Tam jest pan bardziej potrzebny – zaprotestował książę Kościoła. – Proszę wrócić do sztabu korpusu i dalej prowadzić operacje mające skłócić francuskich sojuszników. I nie wahać się przed użyciem przekupstwa i grózb.

– Rozkaz, wasz ekscelencjo. – Generał ukłonił się, a potem odstawił opróżniony kielich. – A teraz proszę o kolejną porcję złota, muszę wręczyć kilka łapówek.

– Oczywiście. – Arcybiskup podszedł do szkatuły stojącej przy kominku i otworzył ją kluczykiem. Wyciągnął dwie ciężkie sakwy. Położył je na stole i rozwiązał jedną, prezentując oficerowi zawartość. – Jak zwykle, prawdziwe francuskie franki i cisalpińskie srebrne liry. Najtwardsza waluta, na dodatek niewzbudzająca podejrzeń, bo w takiej samej dostają żołd Legiony. Dwa tysiące franków i cztery tysiące lirów. Proszę dobrze je wykorzystać.

Generał patrzył na bogactwo z nieudawanym obrzydzeniem. Wykorzysta je zgodnie z rozkazem – na opłacenie prowokatorów, agentów i sprzedawczyków, na wynajem kondotierów i morderców. Chował pieniądze z odrazą, zły na cały świat i samego siebie. Oto, do czego doprowadziła go ta sytuacja – do kalania się czymś niegodnym żołnierza, intrygami i zdradą.



## 22 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (12 grudnia 1797 roku)



**K**azik szedł ponurym, odrapanym korytarzem staregozamczyska. Wkroczył do przestronnego holu, w którym hulał zimny wiatr wpadający przez nieosłonięte otwory okienne. Żołnierz skulił się z zimna, mrużąc pod nosem z niechęcią. Powinien się spieszyć, bo był już spóźniony na pogadankę edukacyjną, ale jakoś nie miał na to chęci. O mdłości przyprawiała go wizja sterczenia dwie lub trzy godziny w zimnej komnacie i wysłuchiwanie nudziarstw o historii Rzeczypospolitej albo, co gorsza, omówienia kolejnych punktów Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela lub Konstytucji 3 Maja. Te rzeczy za grosz go nie interesowały, miały się nijak do wojskowego życia, były nudne, głupie i do niczego niepotrzebne. Ucieszyłby się z dyskusji o historii wojskowości lub literaturze, ale przy kuflu polskiego piwa, w przytulnej traktierni.

Wszystko przez tego mądralę Józefa Wybickiego, zaufanego przyjaciela jenerała i wybitnego działacza niepodległościowego. To on wymyślił, że trzeba prostych żołnierzy edukować, by uczynić z nich świadomych obywateli i patriotów. Na rozkaz jenerała utworzono „wędrowną szkołę wojskową”, do której musiał uczęszczać każdy żołnierz. Piechurów uczono przede wszystkim pisania i czytania oraz języków obcych, ale wpajano im też wiedzę ogólną, by budzić w nich obywatelską świadomość i umacniać patriotyzm. Najgorsze, że Kazik też miał obowiązek pracy jako nauczyciel. Wszyscy furierzy, jako mający przynajmniej podstawowe wykształcenie podoficerowie, dostali rozkaz, by w wolnych chwilach edukować prostych żołnierzy.

Lux, zamiast od razu skierować się do sali lekcyjnej, skrzył ku najbliższemu oknu, a właściwie otworowi strzelniczemu, i wyjrzał na zewnątrz. Śnieg wciąż padał. Trzeci dzień sypało, że światła nie widać. Rimini, stolica cisalpińskiej prowincji i główna baza Korpusu Romanii, znikła pod białym płaszczem. Kazik widział w oddali, ponad zasypanymi dachami, kanał portowy i przerzucony przez niego starożytny most Tyberiusza. Nim miały przejść oddziały Drugiego Batalionu, które Dąbrowski kazał ponoć ściągnąć z Ceseny. Wojsko jednak

nie nadchodziło i wyglądało na to, że furiera nie ominie wykład.

Dwa dni w zamku Sismondo, głównych koszarach korpusu, stały się czasem straconym. Młodzieniec nie posunął się ze śledztwem ani o krok. Kwatermistrze włoscy okazali się strasznymi nudziarzami, pozbawionymi fantazji i energii. Sprawiali wrażenie pilnych urzędników, sterroryzowanych despotycznymi rządami głównego kwatermistrza legionowego Giuseppe Rebuffa. Choć nie przepadał za Polakami, surowy i oschły oficer pełnił swoją funkcję niezwykle skrupulatnie i absolutnie bez zarzutu. Magazyny były pilnowane dzień i noc. Nikt niepożądany nie miał prawa zbliżyć się do zasobów. Nawet Kazik został z nich wyrzucony i o mało nie wylądował w celi za zbytnie wścibstwo.

Teraz Lux patrzył na przekłętą Italiańca spacerującego po zamkowym dziedzińcu. Chudy kwatermistrz pykał z fajeczki i laził po placu. Co rusz spoglądał w stronę głównej baszty z bramą wjazdową do twierdzy. Czekał na kogoś.

Kapral odlepił się od gzymsu i powłócząc nogami, podszedł do sali wykładowej. Starał się otworzyć drzwi delikatnie i wśliznąć się do środka niepostrzeżenie. Wrota jednak zazgrzytały upiornie i furier znalazł się w pomieszczeniu pełnym żołnierzy z różnych kompanii i batalionów legionowych. Wszyscy popatrzyli na niego wyczekująco, łącznie z prowadzącym zebranie podporucznikiem Hipolitem Turkiewiczem. Kazik grzecznie uklonił się mówcy i stanął w kącie. Dwudziestoparoletni oficer z cienkim wąsikiem i zaciętym wyrazem twarzy spiorunował go wzrokiem, groźnie marszcząc brwi.

– Witam, kapralu Lux – odezwał się cienkim, chłopięcym głosikiem. – Cieszę się, że raczył nas pan zaszczyścić swoją obecnością. Myślę, że dodatkowa służba wartownicza poprawi waszą punktualność. A jeśli i to nie pomoże, przypilnuję, byście spędzili kilka nocy z rzędu na zamkowych murach, z muszkietem w garści.

Kazik wyprężył się na baczność, odpowiadając śmiałym spojrzeniem. Podpadł już raz nieszczęsnemu podporucznikowi, przez roztargnienie nie oddając mu honorów. Niektórzy z oficerów byli bardzo czuli na punkcie swojej godności i traktowali takie zachowanie jako dramatyczne naruszenie dyscypliny. Turkiewicz należał do tych niedowartościowanych, niepewnych swojej pozycji młokosów, którzy z pasją dręczyli podkomendnych i na każdym kroku podkreślali swoją wyższość. Lubił się wydzierać i używać władzy do poniżania i karania niższych stopniem. Po pierwszym incydencie oficer zagroził furierowi karą chłosty, jakby zapomniał, że w wojsku francuskim kary cielesne były zabronione. Tym razem za byle drobiazg ukarał go dodatkową służbą. Sterczenie w nocy na zamkowych murach nie należało do przyjemności, szczególnie w taką pogodę – gdy od morza dodatkowo ciągnął wilgotny, chłodny wiatr.

– Obywatele służący w Legionach są różnych religii i przekonań politycznych – kontynuował podporucznik, nie spuszczać rozgniewanego wzroku z warszawiaka. Ten oparł

się o ścianę, blisko okna. Z racji wzrostu odrobinę wystawał ponad głowy stojących przed nim żołnierzy. – Ramię w ramię służą w naszych oddziałach katolicy i agnostycy, starozakonni, prawosławni i luteranie. Z racji zapatrywań politycznych są wśród nas republikanie, jakobini, demokraci i monarchiści. To jednak nie ma znaczenia i nie budzi wielkich animozji w szeregach, albowiem wszystkim nam przyświeca jeden cel! Kto wie jaki? Może dajmy szansę furierowi Luxowi. Proszę, kapralu, jaki cel nam przyświeca?

– Wolność, równość, braterstwo? – palnął pierwszy slogan, który przyszedł mu do głowy. – Ludzie wolni są braćmi?

– Kpicie sobie ze mnie czy co?! – piskliwie rozdarł się Turkiewicz. – Idiota. Naszym jedynym celem jest oswobodzenie ojczyzny. Walczymy o wolność Polski, dlatego nie dzielą nas różnice przekonań. Legiony to „naród pod bronią”! Macie jakieś pytanie, Lux?

Kazik zazgrzytał zębami. Czemu ten palant się na niego uwziął? Już miał przecząco pokręcić głową, ale zdecydował się odpysknać:

– Skoro tak bardzo zależy nam na wolności ojczyzny, czemu ciągle maszerujemy na południe? Wyzwoliliśmy Wenecję i Weronę, stacjonowaliśmy w Mantui, Mediolanie, a teraz w Rimini. Miasto po mieście przesuwamy się w przeciwnym kierunku, niż leży Polska.

Zebrany tłumek zaszumiał i poruszył się niespokojnie. Większość żołnierzy przyklasnęła Luxowi. Nawet wąsacze, zwykle zdyscyplinowani, okazali niezadowolenie i zaczęli głośno domagać się wyjaśnień. Kazik celowo i złośliwie poruszył niewygodny temat. Legionistów od zawsze niepokoił przedłużający się pobyt we Włoszech. Każdy chciałby już maszerować w stronę domu. W Polsce większość zostawiła rodziny, często bez środków do życia. Przybyli na wezwanie Dąbrowskiego, by wspomóc tworzenie ojczystych oddziałów, które miały czym prędzej uderzyć na Austrię i wyzwolić kraj. Zamiast tego bili się z góralami i chłopami oraz przyglądali się, jak Francuzi plądrują kościoły. Większości strasznie grało to na nerwach, szczególnie rewolucyjny zwyczaj niszczenia krzyży.

W sali rósł pomruk niezadowolenia, a ci, którzy siedzieli, poderwali się na równe nogi, bo kilku fizylierów szarpało się z ryczącym grenadierem. Część domagała się natychmiastowego powrotu do ojczyzny, część stała po stronie wyższej racji – służenia Francji. Ktoś przeklinał na całe gardło i wygrażał podporucznikowi. Dostał w nos od stojącego obok kolegi, dbającego o szacunek dla oficerów. Turkiewicz darł się na całe gardło, próbując zapanować nad chaosem. Kazik złożył ręce na piersi i uśmiechał się złośliwie.

– Panowie, proszę o spokój! – piszczął podporucznik. – Zrozumcie, że tu też bijemy się o wolność Polski! Musimy ponieść demokrację na całą Europę, by odzyskać ojczyznę. Musimy obalić tyranię, stojąc u boku światłej i potężnej Francji! Nieważne, czy maszerujemy na południe, wschód, czy zachód. Nieważne, w którą stronę idziemy, zawsze idziemy do Polski!

Warszawiak machnął ręką na całe zamieszanie i odwrócił się do okna. Śnieg wciąż padał.

Po bruku dziedzińca nieustannie spacerował kwatermistrz Rebuff. Nagle zatrzymał się i zaczął stukać fajeczką o podeszwę buta, by wytrząsnąć z cybucha resztę popiołu. Podskakiwał przy tym zabawnie na jednej nodze. Lux miał ochotę kopnąć go w tę sztywną, urzędniczą dupę. Nagle Włoch zastygł bez ruchu i wyprężył się na baczność przed podchodzącymi do niego dwoma ludźmi. Jednego z nich furier natychmiast rozpoznał – był to porucznik-kwatermistrz batalionowy Adrian Roos. Zatem Rebuff salutował drugiemu – wysokiemu mężczyźnie w płaszczu z kapturem zarzuconym na głowę. Oficerowie uścisnęli sobie dłonie, Rebuff skłonił się tajemniczemu gościowi i wskazał mu drogę przodem. Ruszyli w kierunku magazynów.

*Kim, u diabła, może być zakapturzony osobnik, skoro nadęty Rebuff tak się przed nim płaszczy? I po co poszli do składów z prowiantem?*

– Chłopcy, muszę stąd natychmiast zniknąć! – Kazik klepnął w plecy jednego z kłócących się ze sobą o drogę do ojczyzny braci Kura.

– To znikaj, człowieku – burknął Anzelm.

– Mamy cię zaczarować czy co? – dodał Antoni.

– Postarajcie się odwrócić uwagę Turkiewicza.

Po chwili ociągania bliźniacy ruszyli przez wzburzony tłumek w stronę podporucznika i zasypali go lawiną pytań i pretensji, wprowadzając dodatkowe zamieszanie. W tym czasie furier dotarł do drzwi i wymknął się na zewnątrz. Rzucił się biegiem przez hol i korytarz. Zleciał po wąskich średniowiecznych schodkach, sadząc ogromne susy. Klucząc korytarzami, które z grubsza zdążył poznać, dotarł w końcu do wyjścia na dziedziniec. Przemknął po śniegu niczym duch i wreszcie przywarł do ściany. Zimny, mokry mur pachniał lochem i mchem.

Młodzieniec przesunął się wzdłuż niego aż do bramy zabudowań magazynowych. O dziwo, wartownicy gdzieś sobie poszli. Kazik zauważył ich po chwili, stojących przy murze w oddali. Widocznie kazano im się oddalić na czas wizyty osobnika w kapturze. Rozmawiali, wyglądając przez ambrazury<sup>[31]</sup> i zupełnie nie zwracając uwagi na to, co dzieje się przy magazynach. Lux nie zastanawiał się długo – kilkoma susami dopadł uchylonych wrót i zajrzał do środka.

Trzej mężczyźni stali na środku przestronnego pomieszczenia wypełnionego beczkami i pakami. Rozmawiali o czymś, aż wreszcie zakapturzony wyciągnął z kieszeni niewielki przedmiot i przystawił go do wieka beczki. Potem powtórzył tę operację jeszcze na kilku pakunkach, wybierając wskazane przez Rebuffa. Kazik próbował nadstawić ucha, ale, stojąc przy drzwiach, nie słyszał ani słowa. Wreszcie wśliznął się do pomieszczenia i kucnął za najbliższą beczką. Kiedy zorientował się, że nie został zauważony, przeszedł na czworakach do kolejnej i przepełził w ten sposób dalej, w głąb magazynu.

– Czy to konieczne, mistrzu? – Rebuff zwrócił się do kaptura.

– Musimy to zrobić w imię wyższych celów. Nie możemy stać z boku, gdy dzieje się taka niesprawiedliwość – odparł przybysz. – Przykro mi, że muszę was nakłaniać do łamania regulaminu, ale w takiej sytuacji musimy wejść w konflikt z prawem.

– Ocalimy dzięki temu wiele istnień – dodał porucznik Roos. – W szerszej perspektywie wprowadzamy ład i dobrobyt. Pozwalamy rozprzestrzeniać się światłu, wypieramy mrok z tej umęczonej ziemi.

– Dlaczego nie powiadomiliśmy o tym Dąbrowskiego? – wahał się Rebuff. – Mogliśmy zrobić to oficjalnie. – Wskazał na beczki oznakowane przez ważnego gościa.

– Nic z tego, nie ufam generałowi. – Kaptur poruszył się gwałtownie. Pod rozchylnym płaszczem Kazik ujrzał twarz mężczyzny w średnim wieku. Na chwilę odsłonił się też zielony, cisalpiński mundur. Osobnik nosił u boku szablę w zdobionej pochwie, był więc oficerem. – Dąbrowski jest gorącym patriotą. Miłość do ojczyzny mogłaby przysłonić mu powinność wobec rytu, wobec światłości. To, co robimy, uznałby za szkodzenie jego Legionom, więc z pewnością stwarzałby problemy. Wy, bracia, rozumiecie, jak ważne są nasze czyny. Potraficie spojrzeć na nie z góry, pojąć, jak wiele dobra przyniosą, jak brzemienne urodzą owoce. Nie wszyscy jednak są tak oddani sprawie i doskonaleniu. Wielu weszło do łóż dzięki koligacjom i nepotyzmowi, wielu jest słabych, nie są oddani ideałom. Tkwia w stowarzyszeniu, licząc na profity, a nasze wielkie cele mają w nosie. Dlatego jeszcze raz dziękuję wam za poświęcenie.

Kaptur wykonał skomplikowany gest dłonią i położył ją na piersi. Dwaj kwatermistrze skłonili głowy z nabożną czcią.

– Wasze oddanie i gotowość do poświęceń nie zostaną zapomniane. Dowie się o nich wielki mistrz i całe zgromadzenie. Spodziewajcie się rychłych awansów na kolejny stopień wtajemniczenia.

Gość ruszył do wyjścia, a kwatermistrze z przejętymi i szczęśliwymi minami szli za nim niczym podwójny cień. Po chwili zniknęli na zewnątrz. Wrota do magazynu pozostawały otwarte. Kazik bez ruchu klęczał w ukryciu. Wreszcie wstał i jednym susem doskoczył do naznaczonych beczek. Przyjrzał się wieku jednej z nich i wypatrył niewielki znak, wybity przez kaptura pieczęcią z czarnym atramentem. Symbol przedstawiał ptaka z szyją długą jak u łabędzia i łbem dotykającym własnej piersi. Pod nim znajdował się prosty symbol trójkąta bez jednego boku, skierowanego czubkiem w dół.

– Hej, ktoś ty? – wrzasnął cisalpiński wartownik, który właśnie próbował zamknąć skrzydło wrót.

Lux uśmiechnął się promiennie i uniósł ręce w uspokajającym geście. Przy wrotach się zakotłowało. Buciory zadudniły na kamiennej podłodze. W pierś kaprała zostały wymierzone trzy muszkiety z nasadzonymi bagnetami. Furier podszedł do wartowników lekkim krokiem

i spytał z niewinną miną:

– Nie widzieliście gdzie tu, chłopcy, kwatermistrza batalionowego, porucznika Roosa? Widziałem go na dziedzińcu, szedł w tę stronę. Mam do niego pilną sprawę...

– Kim jesteś, do stu diabłów? – wydarł mu się w twarz jeden z Włochów.

– Furierem Pierwszej Kompanii! – Kazik wskazał na galon naszyty na ramieniu nad łokciem. – Muszę wyfasować żelazne porcje dla mojego oddziału, który będzie maszerował dziś przez Rimini. Szukam swego kwatermistrza.

Wartownicy opuścili broń. Spojrzeli na najstarszego pośród nich, który widocznie był dowódcą warty.

– Nie możemy dopuścić, by Rebuff dowiedział się, że pozwoliliśmy mu tu wejść – zauważył gefrajter po chwili namysłu. – To my będziemy mieli kłopoty, a nie furier szwędający się gdzie nie trzeba. Dobra, kolego. Zjeżdżaj stąd i to w podskokach. Nigdy cię tu nie było, jasne? Szukaj sobie Roosa gdzie indziej.

Warszawiak zaszutrował im niedbale i spokojnie wyszedł z magazynu. Spacerowym krokiem skierował się w stronę dziedzińca, czując na plecach spojrzenia wartowników. Odetchnął dopiero, gdy usłyszał łomot zamykanej i ryglowanej bramy magazynu. Uśmiechnął się w myślach do siebie. Udało się! Wreszcie wpadł na jakiś trop. Kwatermistrze byli zamieszani w masońskie spiski, możliwe też, że to oni pozwolili zatruć mięso tajemniczemu typowi w kapturze. Teraz skazili część beczek z prowiantem. Trzeba o tym natychmiast poinformować generała Kniaziewicza. Nie ma na co czekać – powinien zabrać swoich trzech piechurów i wyjść naprzeciw nadchodzącej do Rimini kompanii. I w pierwszej kolejności odnaleźć kapitana Wierzbickiego.

– Chodź no tu, gagatku! – zapiszczał podporucznik Turkiewicz.

Oficer pojawił się jak spod ziemi. Dopadł Kazika jednym susem i oburącz złapał za mundur pod brodą. Pchnął go z całych sił w stronę zamkowego muru. Lux uderzył plecami o kamienie, na chwilę stracił oddech. Oficer poruszył cienkim wąsikiem w nerwowym tiku.

– Mam cię, sukinsynu. Po raz kolejny nie oddałeś honorów oficerowi. Postawię cię za to przed sądem wojennym. Ha! – ostatnie słowo wyrzycał, niemal dotykając czołem brody znacznie wyższego furiera. – W najlepszym wypadku wylądujesz w celi, ale postaram się, byś dostał najwyższy wymiar kary. Pluton egzekucyjny! I co teraz, spryciarzu? Myślisz, że możesz wejść mi na epolety? I po nich skakać?! Że jesteś nie wiadomo jak sprytny? Że pozwolę się ośmieszać byle obszarpańcowi i obrażać cześć oficera? Dopadłem cię, a teraz zniszczę, wichrzycielu, robaku, czerwiu! Co tak stoisz? Baczość! Baczość, żołnierzu!

Kazik zacisnął zęby. Ten perfumowany goguś coraz bardziej działał mu na nerwy. Niestety, gdyby tylko strzelił go teraz w pysk, faktycznie mógłby stanąć przed plutonem egzekucyjnym.



Nie mógł go nawet odepchnąć, bo byłoby to naruszenie nietykalności oficera. Pozostało mu zatem bierne czekanie, aż gniew Turkiewicza minie.

– Oskarżę cię jeszcze o sianie defetyzmu i prowokowanie buntu w czasie wykładów. Z tego się nie wywiniesz – syczał podporucznik. – Kazamaty, a potem kula w łeb. Tacy jak ty są zakałą Legionów. Pozbawieni sumienia awanturnicy, niepotrafiący okazać szacunku dowódcy. Ale źle trafiłeś, bardzo źle. Takich jak ty rozgniatam niczym komary! Jestem porucznik Turkiewicz! Zapamiętaj to sobie, chamie!

– Podporucznik – nie wytrzymał kapral. – Jest pan podporucznikiem.

Oficerowi w jednej chwili wąsy się zjeżyły. Lux był przekonany, że za chwilę zaliczy po gębie. Postanowił jednak nie odwracać wzroku i śmiało patrzył Turkiewiczowi prosto w oczy. Ten w jednej chwili nad sobą zapanował. Puścił Kazika i odstąpił kilka kroków. Z pietyzmem poprawił wyłogi munduru, obciągnął oficerski feldcech<sup>[32]</sup> na szablę, obszyty karmazynowymi szlakami i ozdobiony kutasem w tym samym kolorze.

– Naciesz się ostatnimi chwilami wolności, Lux – powiedział chłodno. – Stój tu, a ja za chwilę wrócę z wartą. Osobiście zerwę ci pagon z dewizą Legionów i galon z rękawa. Wylądujesz w lochu, w którym spokojnie poczekaasz na sąd wojenny. Zarzutów będzie mnóstwo i z żadnego się nie wywiniesz. Jak nic czeka cię pluton egzekucyjny. Baczność, czekać tu i modlić się.

Turkiewicz odwrócił się i ruszył przed siebie. Zanim skręcił w kierunku wartowni, odwrócił się jeszcze i pogroził Luxowi pięścią. Ten poczekał, by oficer zniknął za rogiem, po czym rzucił się biegiem do koszar. Wpadł na grupę żołnierzy i rozepchnął ich, nie zważając na okrzyki oburzonego sierżanta. Pomknął na piętro, do komnaty, w której spędził dwie noce, i w biegu złapał swój plecak. Bracia Kura siedzieli na sienniku i rznąli w karty, a Biernacki wyglądał przez okno z tęskną miną. Na widok zziąjanego Kazika wszyscy trzej odwrócili się w jego stronę.

– Diabli cię gonią czy co? – spytał Alojzy.

– Turkiewicz chce mnie zapakować w kajdany i rozstrzelać – oznajmił furier, wiążąc troki plecaka. – Muszę wiać. Mam meldunek dla generała Kniaziewicza. Jeśli ci durnie wpakują mnie do lochu, nie zdołam go przekazać, a wtedy znów mogą zginąć ludzie.

– Idziemy z nim, braciszku? – spytał Anzelm.

– Ano – zgodził się Alojzy i zgarnął karty. – Muszkiety stoją w koźle na korytarzu. Stasiek, leć zabrać nasze. No już, cymbale!

Lwowiak skinął głową i już miał oderwać się od okna, by wykonać polecenie, ale nagle znów do niego przywarł.

– Czekajcie! To nasi! Tam, na moście Tyberiusza!

– Gdzie idą? Skręcają na zamek? – Kapral doskoczył do Biernackiego.

– Nie. Idą dalej, drogą w stronę morza.

– Znaczy, że nie zatrzymają się w mieście. Dobra nasza – ucieszył się Lux. – Teraz trzeba tylko wymknąć się z zamku i do nich dołączyć. Tylko jak, do cholery, ominąć wartę? Turkiewicz pewnie już mnie szuka i kazał zablokować bramę. Kurwa mać, to znów ta klątwa. Los ciągle rzuca mi kłody pod nogi!

Bliźniacy zakładali swoje plecaki i zapinali płaszcze. Słyszając skargę Kazika, spojrzeli na niego pobłażliwie. Anzelm pokiwał tylko głową.

– Oj, Kaziu, młodyś ty i durny. A jak myślisz, którądy żołnierze omijają wartę, wychodząc na dziwki i po gorzałkę?

– Nie wiem. – Furier wzruszył ramionami. – Tajnym wyjściem?

– Dobrze myślisz, jednak nie głupiś. – Alojzy pokiwał głową. – Idziemy.

Czterech piechurów wymaszerowało z koszar i przeszło na tyły zamku, między drewniane budynki gospodarcze. Bliźniacy powitali dwóch chłopców stajennych, zajętych czyszczeniem oficerskich koni. Ci skinęli przyzwalająco głowami na znak, że droga jest wolna, a żołnierze wmaszerowali do jednej z szop.

Ta przywierała do zamkowego muru, który stanowił jej tylną ścianę. Ku swemu zdumieniu Kazik ujrzał, że mur jest w tym miejscu pęknięty – czy to ze starości, czy po ubiegłorocznym trzęsieniu ziemi. Zamiast go naprawić, ktoś pracowicie wydlubał z niego kilka wielkich kamieni, tworząc w ten sposób przejście.

– Dziura w murze. – Warszawiak westchnął.

Wystarczyło przecisnąć się przez nią na czworakach, by znaleźć się w ciemnym zaułku naprzeciw wylotu wąskiej, brudnej uliczki. Jako że wokół starego zamku niemal nie było esplanady, piechurzy, którzy pojawili się znikąd, nie rzucali się w oczy i szybko mogli zniknąć w ciasnych uliczkach miasta. Lux wyprostował się i otrzepał granatowe spodnie. Pewnie podporucznik Turkiewicz ogłosił już alarm, by go złapać. Może nie postawił na nogi całego garnizonu, ale z pewnością pogonił dowódcę warty.

– Teraz pewnie ogłosi mnie dezertorem – mruknął Kazik, zarzucając muszkiet na ramię. – I was pewnie też.

– Nic to. – Alojzy wzruszył ramionami. – Za chwilę dołączymy do naszego oddziału i będzie mógł nas co najwyżej w dupę pocałować. Żołnierze co chwilę się oddalają i zawieruszają, a potem wracają w szeregi. Jakby tak chcieli każdego oskarżyć o dezercję, wszyscy byśmy wylądowali w ciupie i podporucznik Turkiewicz musiałby sam sobie oddawać honory.

– A poza tym my jesteśmy jedna drużyna – dodał dumnie lwowiak Biernacki. – Zawsze się

będziem wspierać, prawda, chłopaki? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

– Chybaś na głowę upadł – mruknął pod nosem któryś z bliźniaków. – Powinno być tak, że każdy pilnuje własnej rzyci i nie wadzi reszcie.

Kazik nie słuchał filozoficznych wypowiedzi definiujących różne postawy życiowe legionistów. Maszerował rażno przed siebie, zastanawiając się, jaka wybuchnie awantura, gdy o jego odkryciu dowie się generał Kniaziewicz. Masoni trują legionistów, chcą doprowadzić do rozbicia polskich oddziałów i splamić ich honor. Co za afera!

## 23 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (13 grudnia 1797 roku)



S nieżna piguła trafiła Kazika w tył rogatywki i strąciła ją z głowy. Furier złapał czapkę w locie i odwrócił się gwałtownie. Strzelcy Drugiej Kompanii, siedzący na kamieniach wzdłuż dróżki, patrzyli na niego wyzywająco. Ich ponure gęby nie wróżyły niczego dobrego, a jeden z nich splunął nawet pod nogi Luxa. Kolejny wstał ciężko, podpierając się karabinem. Cisnął w pierś furiera połówką bochenka, którą dopiero co od niego dostał.

– Nie będę jadł niczego, co roznosi truciciel – oznajmił głośno. – Jeszcze śnieg nie zdążył przysypać mogił naszych kompanów, a ten znów się pojawił. Co tym razem spali nam kichy? Chleb, wino, może ocet?

– To on? Ten szczeniak? – rozległy się szepty.

Kazik z trudem przełknął ślinę. Przyszedł tu sam. Z własnej woli podjął się zadania zanieśienia prowiantu strzelcom, których kompanię wyznaczono do ubezpieczenia i obserwacji nieprzyjaciela. Batalion zatrzymał się w nadmorskim Cattolica, na samej granicy Republiki Cisalpińskiej. Wojska Państwa Kościelnego znajdowały się w małej wiosce za miasteczkiem, kilkaset metrów dalej. Strzelcy obsadzili wzniesienie Monte Vici, zwieńczone ruinami średniowiecznej wieży obserwacyjnej, skąd mieli oko na papistów. Kazik znalazł się więc teraz na awanpoście, sam na sam z niechętnymi mu żołnierzami. Mogli go zakłuć bagnietami lub zastrzelić, a winę zrzucić na wroga.

Kolejnych kilku wścazy wstało i powoli utworzyło półokrąg, odcinając Luxowi drogę na dół. Na widok umięśnionych sylwetek i zaciętych, surowych twarzy chłopak zrobił kilka kroków w tył. Zimne oczy, złe i pełne gniewu, zdawały się przeszywać furiera na wylot. Poczł zimną strużkę potu na plecach. Wiedzieli, że to on przyniósł zatrute mięso i – chcący lub niechcący – zabił dziesięciu ich przyjaciół. Mętne tłumaczenia nie miały teraz sensu. Walka z kilkoma weteranami, prawdziwymi zabijakami, też nie rokowała najlepiej. Powinien biec pod górę i modlić się, by dotrzeć do pozycji kapitana Borowskiego, zanim dopadną go strzelcy. Nie miał do nich żalu. Musieli komuś odpłacić za śmierć towarzyszy. Skoro nie mieli

pod ręką innych winowajców, Lux był jak znalazł.

Spojrzał na ścieżkę pnącą się po stoku wniesienia. Siedziało przy niej kilku kolejnych żołnierzy. Patrzyli na Kazika wyczekująco. Wystarczy, że któryś podstawia mu nogę lub pchnie, a będzie po sprawie. Lux stoczy się między porastające wzgórze agawy i już po nim. Wąsacze go dopadną i załatwią. Ciekawe, czy tylko skopią i poturbują, czy jednak zadźgają. Sądząc po minach, raczej to drugie. Ale chłopak nie miał najmniejszej ochoty umierać. Tu i teraz, tak głupio i bezsensownie. Poczul parcie na pęcherz. Tylko tego brakowało, by jeszcze zeszczał się ze strachu.

Zacisnął pięści i obrócił się do nadchodzących powoli strzelców. Bawili się strachem ofiary i nie spieszyli, wiedząc, że i tak im nie ucieknie. Zostawili karabiny, a więc na początek zamierzali go złać. Warszawiak zmarszczył brwi i zrobił krok w ich stronę.

– Który we mnie rzucił? Ty?! – Wskazał pierwszego, który się poniósł. Piechur był co najmniej trzydziestoletnim, mocno zbudowanym typem o pokrytej krostami gębie i blisko osadzonych, małych oczkach, nadających jego twarzy lisi wyraz. – Nazwałeś mnie trucicielem? Choć mało sam, kurwa, nie zginałem od trucizny? Och, ty łobuzie! Chojrak<sup>[33]</sup> jesteś, stojąc w grupie? Sam byś się bał do mnie wystartować! Trzymajcie mnie, bo rozwałę gębę temu bęcwałowi!

Prowodyr zagotował się ze złości, za to jego kompanów atak Kazika zbił nieco z tropu.

– No chodź, ale sam na sam! Zachowuj się jak mężczyzna, gnojku! – krzyczał Lux. – Nie chowaj się za plecami kompanów niczym pod kiecką matki! Cofnąć się, do cholery! Będziecie w dziesięciu bić jednego?

Już wszyscy strzelcy w zasięgu głosu podnieśli się ze stanowisk i biegiem zdążali do miejsca zamieszania. Tymczasem adwersarz Kazika znów splunął na ziemię.

– Wpakuję ci ten zatruty chleb do gardła, szcurze – wycodził, zdejmując czapkę. – Zeżresz wszystko, co tu przyniosłeś. Zapłacisz za to, co zrobiłeś naszym braciom.

– Ten chleb nie jest zatruty. – Młodzieniec podniósł rzucony bochenek i odgryzł kęs. – A każdy cham, który ciska chlebem i obrzuca niewinnych kłamstwami, powinien za to zapłacić.

Strzelec zaczął rozpinać kurtkę munduru – widocznie nie chciał go zniszczyć w czasie bijatyki. Furier poczekał, aż legionista będzie miał zajęte obie ręce i wykorzystując nieuwagę przeciwnika, skoczył na niego. Stał wyżej, więc spadł na mężczyznę z góry. W locie grzmotnął go czołem w twarz. Obaj runęli w śnieg. Przeturlali się, nawzajem trzymając za mundury. Stoczyli się ze ścieżki i zjechali po śliskim stoku. Wpadli wprost w grube liście wielkiej agawy i złamali je z chrzęstem. Kazik dostał pięścią w szczękę i brzuch. Oddał przeciwnikowi kolanem w krocze i szarpnął go za włosy.

– Dość! Co tu się wyprawia? – rozległ się ryk. Obaj walczący rozpoznali głos kapitana Borowskiego. Natychmiast zastygli w bezruchu. – Rozdzielić mi tych cymbałów!

Kazik napotkał wzrokiem spojrzenie strzelca. Za bójkę w czasie pełnienia służby groziły trzy miesiące kajdan. Nieciekawa perspektywa, szczególnie zimą. Porozumieli się bez słów. Wyskoczyli z objęć połamanej rośliny, ściskając się jak dwaj najlepsi przyjaciele.

– Panie kapitanie, nas nie trzeba rozdzielać – odezwał się Kazik. – Spadłem ze ścieżki i ten dzielny wojak rzucił mi się na ratunek.

– Lux? Co cię tu przygnało? – Borowski spojrzał podejrzliwie na furiera. – Ach, i oczywiście Trofim Maciąg. Mogłem się spodziewać. Co ci cię stało w nos, legionisto? Całą gębę masz zakrwawioną.

– To rodzinna przypadłość – odparł strzelec bez zajknięcia. – Uderzenia krwi z nosa, cierpią na to wszyscy w mojej rodzinie.

– Wszyscy wracać na pozycje, a furier Lux idzie ze mną – krótko rozkazał oficer.

Kazik podniósł rogatywkę i otrzepał ją ze śniegu, po czym chwycił mantelzak, ciężki od nierozdanego jeszcze prowiantu i butelek wina. Bez słowa ruszył za kapitanem. Strzelcy schodzili mu z drogi, a w ich spojrzeniach nie było już gniewu ani śmiertelnej groźby. Furier pokazał, że ma odwagę, by walczyć nawet z silniejszym, a ktoś taki nie mógł być trucicielem. To swój chłopak. Jeden z mijanych legionistów poklepał go nawet po plecach.

Mimo wszystko Lux czuł, jak uginają się pod nim kolana. Przed chwilą ci mili strzelcy o mało go nie zatłukli. Niewiele brakowało. Pewnie wszystko przez tę klątwę. Wlokła się za nim niczym zły cień. Gdzie się nie pojawił, coś dybało na jego życie, a każdy krok groził śmiertelnym niebezpieczeństwem. Nawet wśród rzekomych przyjaciół.

Kapitan zatrzymał się dopiero u stóp strzaskanej wieży, zwanej Malatesta. Na stercie cegieł leżała jego rozłożona derka, a na niej otwarta książka. Ze wzniesienia roztaczał się piękny widok na okolicę. Kazik wydał oficerowi przysługujący mu bochenek chleba i wręczył całą butelkę wina, którą Borowski przyjął z uśmiechem. Od morza nieźle wiało, alkohol był więc czymś bardzo mile widzianym. Lux z własnej inicjatywy zerwał zębami lak i kciukiem wepchnął korek do środka. Napełnił kubek kapitana i wręczył mu go niczym cenny puchar.

Oficer oparł jedną nogę o stos cegieł i pociągnął tęgi łyk. Westchnął z zadowolenia.

– Czyż nie wspaniałe, kapralu? Dobre wino z dolin Foglia – coś, czego w Polsce nie uświadczysz. Krew się od niego nagrzewa, a fantazja rośnie. A do tego piękne widoki! Spójrz, tam w dole rozciąga się stare miasteczko pełne przytulnych domów i szczęśliwych, pulchnych patriotek, wdzięcznych nam za opiekę. A po drugiej stronie, o strzał z armaty, czai się wróg. Tylko zejść i bić się. Albo nie, powąchaj tylko. Czujesz? To wiatr od Adriatyku przynosi powietrze pachnące przygodą i podróżą. Aż chciałoby się wsiąść na jaki okręt i odpłynąć



gdzieś w dal, hen! Ku zabawie, walce, szukać łupów i zwycięstw!

– Aż chce się żyć – przytaknął Kazik, który w jednej chwili zapomniał o przykrościach.

Na niego też działały takie rzeczy. W ponurych warszawskich traktierniach nasłuchiwał się o dalekich krajach i czekających w nich bogactwach, o wojnach i wielkich skarbach. To dlatego między innymi uciekł z domu i przyłączył się do wojska. Chciał zwiedzić dalekie strony i doświadczyć czegoś ciekawego, zamiast klepać biedę.

– Czemu urwałeś się z kompanii i tu przylazłeś? – spytał kapitan.

– Tylko wyręczyłem waszego furiera, bo znów jest chory – odparł chłopak, ale pod dociekliwym spojrzeniem oficera złamał się i kontynuował: – Musiałem zniknąć z miasteczka, bo pojawił się podporucznik Turkiewicz, który ma do mnie pewne żale. Pomyślałem, że pana odwiedzę. Strzelcy byli dla mnie ostatnio bardzo przyjaźni.

– No i co?

– Okazało się, że to nieaktualne. Myśleli, że to ja otrujęm chłopaków. – Warszawiak westchnął. – Gdziekolwiek się ruszę, spotykają mnie same kłopoty. Boję się, że to klątwa masonskiego czarnoksiężnika. Tego, któregośmy ustrzelili w San Leo.

– Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom – zauważył Borowski i sięgnął po lunetę.

Dopił wino, a potem jakiś czas oglądał pozycje wroga. Kazik wyteżył wzrok, dostrzegając w oddali ludzi kręcących się między chałupkami pobliskiej wioski rybackiej. Przed murkiem okalającym osadę zobaczył lufę niewielkiej armatki wymierzonej w ich stronę. Papiści bardzo poważnie traktowali obecność polskich Legionów przy granicy. Oba państwa – przynajmniej oficjalnie – nadal nie znajdowały się w stanie wojny. Polskie oddziały interweniowały natomiast tylko wtedy, kiedy należało wesprzeć lokalne ruchy rewolucyjne i uchronić ludność cywilną przed ewentualnymi zamieszkami oraz skutkami walk obu frakcji – katolickiej z republikańską. Przynajmniej taka była wersja rozpowszechniana przez Dąbrowskiego.

– Ponoć „patrioci” z miast prowincji Urbino zasypali generała listami, w których domagają się wsparcia i wkroczenia naszych wojsk na teren Państwa Kościelnego – powiedział kapitan.

– Dość mają księży i nadętej arystokracji, chcą wolności. Wydaje mi się, że już niedługo ruszymy dalej, na południe. – Wskazał pozycje wroga.

– O ile wcześniej masoni nas nie wykończą – mruknął Kazik.

– Coś się tak czepił tych masonów? – Borowski oderwał się od lunety. – Zrobili ci coś czy co?

– Podejrzewam, że to oni otruli pańskich żołnierzy i zabili moją narzeczoną. Teraz dybią na całą Legię. Wiem, że oznakowali beczki z żarciem. Pewnie zamierzają je zatruć – jednym tchem wypalił chłopak. – O cholera, miałem o tym nikomu nie mówić.

Oficer z metalicznym trzaskiem złożył lunetę.

– Co takiego? Zameldowałeś o tym komuś?

– Kazali mi zamknąć gębę i siedzieć cicho – odparł furier. – Moje śledztwo zostało zamknięte. To dlatego, że generał Dąbrowski też jest masonem i pewnie kupa innych oficerów. Jakiś koszmar, cholera jasna. Wszyscy teraz dybią na moje życie, bo wiem za dużo i trzeba mnie ostatecznie uciszyć. Niech się pan ratuje, panie kapitanie, bo Legiony niedługo przestaną istnieć. Niech pan ucieka na statek i płyń do odległych krajów. Ja mam jeszcze rachunki do zapłacenia. Zanim mnie rozstrzelają lub otrują, ktoś musi dać głowę za śmierć mojej Sofii.

Kapitan pokręcił głową z zafrasowaną miną.

– Nie wydaje mi się, by generał pozwolił na zniszczenie Legionów przez wolnomularzy. – Borowski sam napełnił sobie kubek. – Wszyscy oni to oddani sprawie patrioci, przynajmniej ci z Wielkiego Wschodu Francji. Co prawda są też ryty okultystyczne, jak ten stworzony przez znanego nam alchemika i maga, któregośmy ostrzelali. Wydaje mi się, że wdepnąłeś w jakieś wewnętrzne sprawy masonów, które nie mają związku z otruciem moich ludzi. I nie oddawaj się czarnym myślom. Na razie nikt cię nie morduje. Choć właśnie, *à propos* mordowania, wiesz, Kaziu, jaka kara grozi legionście za zabijanie cywilów i rabunek?

Lux poczuł niepokój kiełkujący gdzieś w brzuchu. Głos kapitana zmienił się nagle i przybrał zimną barwę.

– Oczywiście, że wiem. – Furier zapanował nad strachem i odpowiedział spokojnie i pewnie: – Gdyby któryś z Polaków popełnił zbrodnię, mogłoby to zniszczyć wizerunek Legionów i zhańbiłoby honor nas wszystkich. Za mord na cywilach należy się pluton egzekucyjny.

– No właśnie, śmierć w hańbie. – Borowski położył dłoń na ramieniu młodzieńca. – Z pewnością spotka ona drani, którzy napadli na samotne gospodarstwo opodal Ceseny. Wyobraź sobie, że ci barbarzyńcy zgwałcili i poderżnęli gardła dwóm kobietom i zatłukli na śmierć trzech mężczyzn. Jednego przypalali rozgrzanym żelazem. Potem ograbili dom i uciekli.

– Może to banda papistów wymierzyła sprawiedliwość rodzinie „patriotów”? Ponoć bardzo brutalnie mszczą się na rewolucjonistach i republikanach – bąknął Kazik, czując, że znów zaczyna się pocić.

– Niestety nie. Otóż jakiś parobek przyszedł do domu członka rady miejskiej Ceseny i przysiągł, że widział polskich żołnierzy wdzierających się do tego gospodarstwa. Wyobrażasz sobie? Polskich żołnierzy. – Ręka kapitana stawała się coraz cięższa, dłoń zacisnęła się boleśnie na ramieniu chłopaka. – Nic nie powiecie, kapralu?

– Co mam powiedzieć? – Warszawiak wzruszył ramionami. – To z pewnością pomówienie!

– Mimo to rada miejska zwróciła się do generała z żądaniem odnalezienia i ukarania

sprawców. Przesłuchano wszystkie patrole, które tego dnia wyruszyły w teren. Żaden nie zapuścił się w okolice tego gospodarstwa. Wszystkie oddziały wróciły o czasie do zamku, nie mogły więc dokonać tej zbrodni.

– I w czym problem?

– Tego dnia jeden z pododdziałów został wyprawiony w drogę do innego miasta. Legioniści z tej grupy nie meldowali się nigdzie przez dobę. W tym czasie mogli dokonać zbrodni.

Furier poczuł w gardle palącą suchość. Podmuchy morskiego wiatru nie przynosiły ulgi. Borowski niespodziewanie puścił jego ramię i stanął przed żołnierzem z poważną miną.

– Czy to ty zrobiłeś, chłopcze? Brałeś w tym udział? Legioniści cię do tego przymusili? Powiedz prawdę, a może uda mi się uratować twoje marne życie.

Lux spojrział śmiało na oficera. Tym razem nie musiał kłamać, przecież naprawdę tego nie zrobił.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Ani ja, ani żaden z podległych mi tego dnia żołnierzy. Pomaszerowaliśmy prosto do Rimini i nie napadliśmy na żadne gospodarstwo – powiedział głosem, w którym drżało oburzenie.

Borowski skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie. Kazik odetchnął z ulgą, ale w głębi duszy czuł palący wstyd. Wszak nie zrobił nic, by ratować tych biednych chłopów, choć wiedział, jaki los ich czeka.

– Wierzę ci, jesteś porządnym chłopakiem, a nie jakimś obwiesiem – rzekł oficer. – Poza tym w opowieści świadka nie zgadzała się jedna rzecz. Mianowicie mówił o trzech legionistach grabiących i mordujących, a wy wyruszyliście do Rimini we czterech i we czterech dotarliście na miejsce.

– Zatem zeznania parobka to prowokacja i próba oczernienia dobrego imienia Legionów! – oburzył się młodzieniec.

– Na to wygląda. – Kapitan skinął głową. – Mimo to major Chłopicki kazał dziś rano, kiedy byliście na apelu, przeszukać wasze plecaki. Nie znaleziono w nich niczego, co mogłoby pochodzić z grabieży.

Kazik znów odetchnął. Na szczęście zdobyte żarcie od razu rozdali chłopakom, a otrzymane od Zaręby pieniądze nosił przy sobie, w specjalnie uszytej wewnętrznej kieszonce kurtki. Bracia Kura i Biernacki też mieli łby na karku i nie afiszowali się z bogactwem. Nie będzie więc niewygodnych pytań, skąd u zwykłych legionistów taka ilość złota. Nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że zaoszczędzili ją z żołdów.

– Nie przejmuj się zatem, chłopcze, nikt nie dybie na twoje życie – beztrósco rzekł oficer. – No, może nie licząc podporucznika Turkiewicza. Po prawdzie to słyszałem, że oskarżył cię o wichrzycielstwo, łamanie regulaminu i brak szacunku do szarży. Na szczęście major

batalionu spławił go, mówiąc, że w tej chwili nie ma czasu na drobiazgi i niech podporucznik sam dba o honor oficera. Musisz się jednak mieć na baczności. Lepiej nie rzucaj się w oczy temu gołowąsowi.

Kapral pokiwał głową, patrząc z powagą na kapitana, który po raz kolejny bezinteresownie okazał mu serce. Wypadałoby się jakoś zrewanżować. Choć z drugiej strony Lux znalazł się w wyjątkowo nieciekawym położeniu i powinien skupić się na własnych sprawach. Pora ratować tyłek, bo wyglądało na to, że grunt coraz bardziej pali mu się pod nogami.

Borowski podał mu własny kubek napełniony winem. Kazik przepił do oficera, ukłonił się grzecznie, poprawił mundur i odmeldował się regulaminowo.

– Możesz tu sobie posiedzieć. – Oficer niedbale machnął ręką. – Skoro boisz się wracać do oddziału...

Furier poczuł falę wstydu. Bał się? A niby czego, u czarta? Turkiewicza i bandy masonów? Niech ich wszyscy diabli! Nie mógł pozwolić, by w oczach kapitana wyjść na tchórza. Nie mógł skompromitować się przy Borowskim. Wykrzywił więc tylko usta w szelmowskim uśmiechu, zasalutował i ruszył, by rozdać strzelcom resztę prowiantu.

Potem czekał go powrót do Cattolica i starcie z przeznaczeniem.

## 25 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (15 grudnia 1797 roku)



**T**opniejący śnieg ściekał z dachów domów w Urbino. Strumyki spływały ulicami w dolne rejonny położonego między dwoma wzniesieniami miasta. Łączyły się w rozległe kałuże, wypełniały rynsztoki i wypłukiwały z nich nieczystości. Drogi prowadzące do stolicy prowincji zamieniły się w błotniste trzęsawiska, uniemożliwiając podróże i ruchy wojsk. Z jednej strony uspokajało to nieco arcybiskupa Saluzzo, bo blokowało przyczajoną na granicy wrogą armię, z drugiej jednak – budziło dodatkowy niepokój, bo w razie buntu rewolucyjnie nastawionych mieszczan nie dotarłaby tutaj papieska pomoc.

Dostojnik nałożył kaptur na głowę i wyszedł na plac przed pałacem. Zapadał zmrok i miasto pogrążało się w ciemnościach. Ciasnymi uliczkami niósł się tylko plusk z rozbryzgujących się strumyków wody i chlupot, gdy kałużami przejeżdżał wóz. Arcybiskup skinął głową wysokiemu mężczyźnie trzymającemu latarnię. Ten ukłonił się grzecznie i ruszył przodem, wskazując drogę.

Saluzzo pokładał w nim pełne zaufanie. Karol Majochoy był jego osobistym sekretarzem, przyjacielem i powiernikiem wszelkich tajemnic. Służył mu od wielu lat, jeszcze od czasów biskupich w Rzymie. To on koordynował współpracę z wywiadem Królestwa Neapolu i nadzorował dywersję prowadzoną przez cisalpińskiego generała – najważniejszego agenta, jakiego mieli we wrogiej armii.

Klucząc labiryntem uliczek, dotarli w pobliże miejskiej bramy i weszli do stojącej przy niej, największej w Urbino austerii. Arcybiskup mocniej naciągnął kaptur na głowę, nie chcąc, by go rozpoznano. Dawno już minęły czasy, gdy jako młody kleryk bywał częstym gościem burdeli. Teraz pełnił zbyt wysoką funkcję, by pozwolić sobie na publiczną rozpustę. Co więcej, od lat nie przyjmował dziwek nawet na prywatnej kwaterze, żyjąc w prawdziwej czystości.

Nikt z gości karczmy nie zwrócił na niego uwagi. Grupki mieszczan i kupców były zbyt zajęte piciem i zabawą z dziewczętami, by przyjrzeć się podejrzanym osobnikom. Wszak co

chwile wchodził tu ktoś zakapturzony, by potem zniknąć na zapleczu lub na piętrze.

Majocho rzucił monetę karczmarzowi i poprowadził arcybiskupa na tyły austerii, na wewnętrzne podwórko. Wskazał dwa solidne wozy wypełnione beczkami przykrytymi płótnem. Dostojnik poklepał grzbiet jednego z koników zaprzęzonych do pojazdów. Transport dotarł po rozmokłych drogach tylko dzięki wyjątkowo szerokim kołom i uporowi woźniców.

– Wreszcie! – burknął mężczyzna, który szybkim krokiem wyszedł z otwartej stajni. – Nie mam wiele czasu, wasza ekscelencjo.

Cisalpiński generał znów ubrany był w sięgający ziemi płaszcz z kapturem, pod którym ukrywał mundur wrogiej armii. Saluzzo drgnął, gdy postawna sylwetka oficera błyskawicznie wynurzyła się z ciemności. Żołnierz kojarzył się dostojnikowi z drapieznikiem, z wilkiem – czymś śmiertelnie niebezpiecznym.

– Niepotrzebnie fatygował się pan osobiście – spokojnie powiedział arcybiskup. – I po co, u licha, życzył pan sobie mojej obecności? Widzę, że zdobył pan na wrogu jakieś dobra...

– Jakieś? – warknął generał. – Sześć beczek francuskiego prochu, który miał trafić do polskich Legionów. Do tego pięćdziesiąt muszkietów, kilkaset funtów ołowiu na amunicję, blisko sto tasaków, a przede wszystkim – kilkanaście beczek peklowanej wołowiny oraz całe wory mąki i ryżu.

– Pięknie, panie generale – wtrącił sekretarz, kierując mdłe światło latarni na wozy. – Bardzo nas to cieszy. Wolimy walczyć z przeciwnikiem, zadając mu tego typu straty, niż zabijając ludzi. Broń i jedzenie należało przekazać partyzanckim oddziałom w okolicach San Leo i Rimini. Po co ciągnął pan ten towar aż tutaj?

Oficer ze złością odrzucił kaptur, odsłaniając oblicze o szlachetnych rysach. Spiorunował obu mężczyzn wzrokiem, po czym gwałtownym ruchem zerwał plandekę z najbliższego wozu. Pchnął Majocho'ego i wyrwał mu latarnię z dłoni. Poświecił nią na jedną z beczek i wskazał palcem na pieczęć z ptakiem rozdziobującym własną pierś.

– Niełatwo było to ukraść. Musiałem posłużyć się fortelem i zdradzić członków własnego stowarzyszenia. Wykorzystałem autorytet, na który zapracowałem latami powolnego pięcia się w strukturach masonskich i zdobywania kolejnych stopni wtajemniczenia. Wiecie, co mi grozi, jeśli się wyda, że okłamałem współbraci i działałem na własną rękę?

– Bóg pomoże pana ocalić – spokojnie odparł Saluzzo. – Jeśli boi się pan zemsty wolnomularzy, proszę natychmiast wyjechać do Rzymu. Ojciec Święty otoczy pana opieką, a jego gwardia...

– Gównu zdziała gwardia jego świątobliwości, jeśli wezmą się do mnie masoni – burknął generał. – Nie ustrzegą mnie przed nimi nawet mury Wiecznego Miasta. Muszę udawać, że moje działania służą sprawie Światłości, sprawie zaprowadzania Ładu i Mądrości na Ziemi.



– Tak jest w istocie. – Majochy pokiwał głową, składając dłonie na piersi. – Służą zaprowadzeniu boskiego ładu i jedynej prawdziwej wiary.

– Proszę mnie nie irytować, do cholery! Dobrze wiecie, że chodzi o to, bym nadal mógł udawać masona. Tak oznakowane wozy nie mogły trafić do partyzanckich band, bo zbyt szybko wydałoby się, że zdradziłem. Wolnomularze w Republice Italii są niemal wszędzie – nie to, co tutaj, w Urbino. Nie łudźcie się jednak. Nawet w Gwardii Szwajcarskiej jest ich kilku. Dlatego musiałem osobiście dopilnować, by towar dotarł na miejsce. Sprowadźcie do karczmy swoich najbardziej zaufanych ludzi. Niech rozpakują zdobycz i zniszczą beczki. Rozumiecie? Niech je spalą. Zniknięcie żywności z magazynów Legionów da barbarzyńcom mocno w kość. Polscy żołnierze nie dojadają, a skoro znikła najlepsza część wojskowych zapasów, ten głód jeszcze się pogłębi. Będzie można łatwiej skłonić tych żołnierzy do dezercji i przejścia na stronę papieską.

– Co radzi pan zrobić ze zdobyczą? – spytał Saluzzo.

– Niech zasili magazyn garnizonu w Urbino, ale dyskretnie – odparł generał.

Dostojnik pokiwał głową. Nadal uważał, że oficer panikuje i niepotrzebnie zaprzęta takimi sprawami uwagę gubernatora prowincji. Powinien sam sobie radzić z podobnymi kłopotami. Wyciąganie arcybiskupa z pałacu tylko i wyłącznie z obawy przed węszącymi wkoło masonami zakrawało na żart. Saluzzo próbował jednak zrozumieć generała. Mężczyzna był na skraju nerwowego wyczerpania – organizował bandy chłopskie, a jednocześnie intrygował w sztabie armii cisalpińskiej. Ciągłe napięcie mogło odbić się na jego osądzie.

– Może chcesz, by cię wypowiedać, chłopcze? Może chcesz się wyzalić, otworzyć przed Bogiem? Z chęcią wysłucham twoich trosk i pomogę. – Arcybiskup położył dłoń na ramieniu przybysza.

Oficer stężał i zmierzył dostojnika groźnym spojrzeniem.

– Nie przyjechałem się modlić – warknął. – Trwa wojna. Uratujemy kraj lub wpadnie on w łapy pazernych Francuzów, którzy niosą nam niechcianą wolność. Proszę teraz ze mną, mam dla waszej dostojności coś jeszcze.

Nie czekając na duchownych, wszedł do stajni. Saluzzo popatrzył na sekretarza, ale Majochy wzruszył ramionami, sygnalizując, że nic nie wie o pozostałych zdobyczach generała. Ruszył przodem, oświetlając drogę księciu Kościoła.

Znaleźli się w stajni podzielonej na liczne komórki, w których stały konie goszczących w karczmie kupców. Oficer zatrzymał się przed ostatnią z wnek i wskazał na tłumoki leżące na kupie siana. Arcybiskup rozpoznał, czym są w istocie, gdy padł na nie blask latarni.

– Jezu Chryste – szepnął ze zgrozą.

Na sianie leżały związane cztery osoby – trzech mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy mieli

zakneblowane usta. Wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma patrzyli na przybyłych. Niewiasta oddychała spazmatycznie. Twarz miała umazaną we krwi. Dygotała i płakała, z trudem przełykając ślinę. Mężczyźni trzymali się lepiej, choć jeden z nich miał świeżą ranę ciętą czoła.

– Co to ma być, na miłość boską? – syknął Majochy.

– Wrogowie wiary – odparł generał – i naszej ojczyzny. Trzech „patriotów”, organizatorów republikańskich buntów, które miały wybuchnąć w Pesaro i Urbino. Przygotowywali je za francuskie pieniądze. Ci tutaj mieli za zadanie wywołać wojnę domową, by Francja dostała oficjalny pretekst do zajęcia Państwa Kościelnego. Organizowali rewolucję, w której wasza ekscelencja straciłby głowę. Dosłownie.

– Jak ich pan dopadł? – spytał sekretarz.

– Zatwierdzałem wydatki na ich misję. Oczywiście nie sam, tylko w porozumieniu z generałem Berthierem, głównodowodzącym francuskiego korpusu. Jadąc tutaj, odwiedziłem kryjówkę rewolucjonistów w Pesaro, w domu jednego z tych degeneratów. O, tego, którego żona leży obok. Ją też musiałem zgarnąć, to francuska wiedźma. Myśleli, że przywiozłem pieniądze na broń dla buntowników. Srodze się pomylili.

– Co mamy z nimi zrobić? – oburzył się Saluzzo.

– Zlikwidować – zimno odparł oficer. – To niebezpieczne jednostki, które gotowe były nieść wam śmierć i zniszczenie, doprowadzić do francuskiej okupacji. Poza tym wiedzą o mnie zbyt wiele.

Dostojnik spojrzał smutno na przybysza.

– Nie zabiję tych ludzi. Każę ich uwięzić.

– A jeśli inni „patrioci” ich uwolnią? Mamy ich bez liku nawet w Urbino – wtrącił Majochy. – Pan generał znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a jego misja się nie powiedzie. Ci ludzie muszą zniknąć na zawsze.

Arcybiskup patrzył z przykrością na cierpiących więźniów. Obejmując prowincję, nie spodziewał się, że zostanie zmuszony do decydowania o życiu i śmierci. Przynajmniej nie w taki sposób.

– Dlaczego obciąża nas pan takim brzemieniem? – spytał oficera.

– Byście wreszcie też ubrudzili sobie ręce – warknął tamten. – Dlaczego tylko ja mam ponosić ofiary i obarczać sumienie? Boicie się? Nie chcecie pchnąć każdego z nich nożem? Wyślijcie ich więc w prezencie królowej Neapolu. Maria Karolina uwielbia ponoć osobiście rozprawiać się z republikanami. Bardzo się ucieszy, jeśli w jej ręce wpadnie francuska rewolucjonistka. Ale ostrzegam – królowa nie zgotuje im szybkiej śmierci.

Dostojnik Kościoła zadrżał. Ciarki przebiegły po jego plecach, miał ściśnięte gardło. Złożył

ręce i zaczął się modlić. Kobieta szlochała i bełkotała przez knebel. Z pewnością prosiła o łaskę. Po raz pierwszy od lat sekretarz nie miał żadnej rady dla swego przełożonego. Stał tylko i z przerażeniem patrzył na jeńców.

– Jaki wyrok, wasza eminencjo? – spytał generał.

– Odeślemy ich do Rzymu, niech jego świątobliwość zadecyduje.

– Narazicie więc moje życie i misję, by ocalić tych zbójców? – syknął oficer. – Próbujecie umyć ręce, niczym Piłat.

Arcybiskup posłał mu smutne, pełne bezsilności spojrzenie.

– Proszę zatem zrobić z nimi, co uważa pan za stosowne, generale. Proszę ich zlikwidować.

Saluzzo zamknął oczy i rozpoczął modlitwę za zmarłych. Oficer jednym ruchem rozsznurował płaszcz i dobył szabli. Pierwszego jeńca pchnął w pierś, drugiemu rozplątał gardło. Kobieta zaczęła wyc i miotać się. Dźgnął ją prosto w serce, a potem przebił ostatniego więźnia.

– Teraz wreszcie wasza ekscelencja rozumie, że jesteśmy na wojnie i walczymy o przetrwanie. Albo my, albo oni. Nie można stać z boku i modlić się. Wasze ręce też musiały splamić się krwią.

Wytarł ostrze o ubranie jednego z jeńców, schował broń i zapiął płaszcz. Wyszedł ze stajni bez pożegnania. Arcybiskup został nad ciałami zabitych. Płakał w ciszy.

## 27 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (17 grudnia 1797 roku)



**J**uż kolejne rozdanie z rządu Kazikowi nie szła karta. Długo dumał nad kolorem atutu, aż ksiądz Skwarski zaczął syczeć i cmokać ponaglająco. Lux spojrzął na swojego partnera w wiście, doktora Hoffmana. Lekarz jednak grał uczciwie i nie próbował podpowiadać lub choćby sugerować wyboru spojrzeniem.

– Bez atu – zdecydował furier.

Ksiądz mruknął z zadowoleniem i położył na środku stolika jedną ze swoich kart. Natychmiast też odsłonił następną z kupki, kładąc ją koszulką do dołu. Hoffman rzucił swoją, niższą. Potem nadeszła kolej na Majera Baumana, Żyda uwolnionego z papieskiego więzienia w San Leo, który zdecydował się wstąpić do Legionów. Położył swoją kartę, niepewnie patrząc na duchownego. Ten zaakceptował ruch łaskawym skinieniem głowy. Wcześniej sam wybrał początkującego legionistę na swego partnera, twierdząc, że woli grać w duecie z uczciwym Żydem niż z Żydem masonem. Doktor Hoffman musiał zatem walczyć ramieniem z ramieniem z niezbyt radzącym sobie w grze Kazikiem. Chłopak nie palił się do rozgrywki, bo ze względu na brak stawki nie niosła ze sobą żadnych emocji. Gra na pieniądze była w Legionach surowo zakazana i musieli się temu przepisowi podporządkować. Niestety, karty pozostawały jedną z niewielu rozrywek prostego żołnierza i by nie umrzeć z nudów, pozostawało brać udział w rozgrywce na dozwolonych zasadach.

Legioniści siedzieli w ciasnej klitce – w jednym z pokoików na parterze starej kamienicy w Cattolica. Kilka dni temu zasiedlili część domów w niewielkim miasteczku, które z trudem pomieściło blisko dziewięciuset wojaków. Na szczęście kilka dni temu trzy kompanie, na rozkaz Dąbrowskiego, pomaszerowały do niedalekiej Mociny. Kapralowi znacznie poprawiło to humor, bo razem z fizylierami wywędrował podporucznik Turkiewicz. Furier miał teraz jednego wroga mniej. Po odbytej służbie w kwatermistrzostwie i wypisaniu kwitów prowiantowych na następny tydzień zdecydował się więc usiąść do stolika jako czwarty do wista. Oficjalnie, zgodnie z rozkazem jenerała, miał teraz udzielać szeregowym legionistom

lekcji czytania.

Ksiądz zgarnął lewę i z zadowoleniem sięgnął po kubek. Ten jednak okazał się pusty, tak samo jak dzbanek na wino. Skwarski od razu posmutniał. Spojrzał na młodzieńca i uśmiechnął się promiennie.

– Kaziu nasz kochanieńki, z pewnością masz gdzieś skitraną jaką butelczynę, jak każdy przyzwoity furier. Przyniósłbyś ją, bo straszny tu ziąb. Te włoskie sukinsyny nie chciały dać choćby polana na opał.

– Jak Boga kocham, nie mam ani kropli. – Lux uderzył się w pierś, aż zadudniło.

Tym razem mówił prawdę, bo każdy zorganizowany dodatkowo alkohol z własnej i nieprzymuszonej woli wręczał kapitanowi Borowskiemu lub jego strzelcom. Po pierwsze, nadal pozostawał wdzięczny oficerowi za okazane zaufanie, a po drugie – planował wkupić się do jego kompanii i niedługo prosić o przeniesienie do strzelców. Zwiąłby w ten sposób Turkiewiczowi i być może zyskał cennych sojuszników w poszukiwaniu truciciela.

– To umówmy się, w sposób czysto honorowy, rzecz jasna, że ta para, która przerznie rozdanie, leci do karczmy po gorzałkę lub wino. Na własny koszt! – zaproponował ksiądz, zgarniając kolejną lewę.

Kazik wzruszył ramionami. Stać go było na taki wydatek. Zakup całej nawet beczułki niespecjalnie by go dotknął.

– Prezentujesz, Władku, dość dyskusyjny pogląd na przepisy o hazardzie – mruknął Hoffman, marszcząc brwi. – Gotów jestem jednak zgodzić się na twoją propozycję. Ale to umowa na słowo honoru, rzecz jasna, żaden zakład! A masz!

Lekarz huknął o stół asem i zgarnął lewę. Mrugnął do Kazika porozumiewawczo.

– Nie strasz, konowale – prychnął Skwarski. – Nie takich masonów robiłem już w konia. O, to przebij, skoroś taki mądry.

– Jeden Żyd z Sochaczewa próbował wstąpić do rytu okultystycznego, ale pogonili go precz – odezwał się Majer Bauman. – Okazało się, że starozakonni są odporni na ich czary i wzywani w ich obecności książęta piekieł nie pojawiają się. A może chodziło o egipskich bogów, a nie o diabły? Nie pamiętam...

– Ha! – przyklasnął ksiądz.

– Panowie, nie mylcie łóż, tyle razy wam to mówiłem. Istnieją tajne organizacje wolnomularskie opierające się na okultyzmie i mistycyzmie, ale to margines. Ja jestem przedstawicielem loży oświeczonej, zrzeszonej w Wielkim Wschodzie Francji. Nie porównujcie mnie i moich braci do bandy oszołomów modlących się do demonów i nieistniejących bóstw.

– Jest pan w stanie oszacować, panie doktorze, która z łóż pieczętuje się jakim znakiem?

Tak się składa, iż podejrzewam jedną z masońskich organizacji o zatrucie żywności dla Legionu – powiedział warszawiak. – I jestem na jej tropie!

– Co ty opowiadasz, chłopcze? – oburzył się Hoffman.

– Mnie to zupełnie nie dziwi! – Duchowny poruszył się niespokojnie i rzucił kartę. – Banda wariatów i fanatyków, trzeba ich powstrzymać. Jak ich wytropiłeś, Kaziu? Jak możemy ci pomóc?

– Jeszcze nie wiem, a co do tropienia, to po prostu podejrzałem, jak knują. Opatrzyli pieczęcią część beczek w głównym magazynie. Jestem pewien, że żywność w tych beczkach jest zatruta. Zameldowałem o tym, komu trzeba, ale kazano mi zapomnieć o sprawie i trzymać gębę na kłódkę.

– Jakim znakiem opatrzone beczki? – spytał Żyd. – Znam się co nieco na mistycyzmie. Kiedyś toczyłem uczone dysputy z chasydami i liznałem trochę ich wiedzy.

Kazik opisał symbol, który widział na beczkach. Bauman podrapał się z zadumą po brodzie, ale zanim coś wymyślił, odezwał się Hoffman:

– Otwarty trójkąt pod ptakiem to pewnie węgielnica – symbol masoński, którym pieczętują się różne ryty. Oznacza równowagę i szczerłość. Natomiast ptak dziobiący pierś to pelikan karmiący własną krwią młode. W symbolice wolnomularskiej oznacza ofiarność.

– Równowaga, czyli porządek, oraz ofiarność, czyli pomoc. – Majer zadumał się. – To ma się nijak do trucicia żołnierzy. Coś się nie zgadza.

– Może masoni chcą przywrócić równowagę w tym kraju, pozbywając się niewygodnego wojska, czyli nas? – przytomnie zauważył ksiądz. – Pelikan poświęcający się dla sprawy to niewinne ofiary, które mogą ucierpieć od trucizny!

– Bzdura – oburzył się lekarz. – Gdyby w beczkach znajdowała się trucizna lub coś do zabijania, opieczętowano by ją symbolem szpady, czyli walki, lub znakiem sztyletu, czyli zemsty. Pelikan to przede wszystkim opiekuńczość, nigdy zabijanie. W beczkach jest dobra żywność, która ma trafić jako pomoc do kogoś, kto przywróci równowagę. Pojemniki zostały przez masonów przeznaczone do celów wyższych, jako konieczne wsparcie. Podejrzałeś, Kaziu, coś niezwiązanego z truciem. Wcisnąłeś nos w sprawy wyższe, dlatego dowództwo, powiązane być może z wolnomularstwem, kazało ci trzymać gębę zamkniętą. Niedobrze, że nie posłuchałeś i pleciesz o tym, komu popadnie...

– Zaraz, zaraz! – Skwarski uniósł palec. – Znaczy, że masoni podprowadzili beczki z naszym żarciem, by komuś je dać? A co z nami? Kto nakarmi żołnierzy?

– Nie kłopotz się, klecho. – Hoffman machnął ręką. – Generał nie pozwoli zemrzeć nam z głodu. Jedzenie musiało trafić do potrzebujących po cichu, dyskretnie. Dlatego skradziono je z wojskowych magazynów. Widocznie tak było trzeba. Nam, maluczkim, nie powinno być

o tym wiadomo. Zapomnijcie wszyscy o tej rozmowie, dla dobra Legionów i nas samych.

Duchowny zgarnął ostatnią lewą i sugestywnie pokazał na pokaźną kupkę kart.

– Który z was goni do karczmy? – spytał krótko. – Tylko szybko, bo mnie okrutnie suszy!

Kazik skinął głową Hoffmanowi i złapał rzuconą przez doktora monetę. Nałożył kurtkę mundurową i zapiął ją, zostawiając otwarte wyłogi na znak, że nie jest na służbie. Zarzucił nieco wyświechtany już płaszcz i wyskoczył na zewnątrz.

Cattolica pograżyło się w ciemnościach, siąpił zimny deszcz, a chwilami nawet zacinał, gdy szarpały nim podmuchy ciągnącego znad morza wiatru. Furier ruszył żwawym krokiem w stronę najbliższej karczmy. Wolałby wrócić na własną kwaterę – wprawdzie nieogrzaną, ale przynajmniej suchą i bezwietrzną. Gdy wróci do kompanów, łyknie kilka łyków wina – bo pewnie większość wypije nienasycony Skwarski – a potem pójdzie do siebie i zagrzebie się w słomie służącej za posłanie. Musi się wyspać, bo o świcie trzeba zameldować się u kwatermistrza po prowiant dla kompanii. Przyspieszył kroku, dawał długie susy nad kałużami i łatami topniejącego śniegu. Wreszcie wpadł w jaśniejące ciepłym światłem drzwi austerii.

Skinął głową siedzącym wokół kominka legionowym wiarusom, którzy sączyli cienkie piwo i grzali się przy ogniu. W kącie, przy stole, siedziała gromadka podejrzanych typów – pewnie miejscowych rybaków odpoczywających po pracy. Kazik podszedł do karczmarza i rzucił mu kilka drobnych monet. Otrzymał dwie kamionkowe butle wina, które natychmiast schował do przepastnych kieszeni płaszcza. Znikł z gospody niczym cień – na wypadek, gdyby żołnierze zażądali poczęstowania ich alkoholem.

Ledwie przeszedł na drugą stronę uliczki, gdy z austerii wyszło trzech osobników. Ruszyli za oddalającym się furierem, niemal natychmiast się rozdzielając, jakby próbowali go oskrzydlić. Warszawiak przeklął pod nosem. Brakowało mu tylko bijatyki z miejscowymi, którzy chcieli pewnie ograbić samotnego żołnierzyka. Przez chwilę zastanawiał się, czy rzucić się do ucieczki, przy próbować walczyć. Szybkim krokiem skreślił w boczną uliczkę i wyciągnął tasak z pochwy. Nie miał przy sobie innej broni, ale nawet krótka szabla mogła sporo zdziałać.

Przystanął w cieniu, nasłuchując odgłosu kroków. Obwiesie głośno chlupotali w błocie, nie próbując zachować ostrożności. Najwyraźniej myśleli, że Kazik ucieka i chcieli go dogonić.

Pierwszemu, który wypadł z za rogu, chłopak po prostu podstawił nogę. Mężczyzna runął jak długi, przeklinając głośno po włosku. Drugiego furier zdzielił płazem tasaka w łeb, strącając czapkę i chyba ogłuszając. Chłopina padł na kolana, a po sekundzie zwałił się w kałużę. Ostatni agresor zatrzymał się poza zasięgiem warszawiaka. W jego dłoni błysnął pistolet. Lux poczuł, jak miękną mu kolana. Dzieliły ich co najmniej cztery kroki, zbyt daleko, by zdołał dobiec do przeciwnika i zadać cięcie.



– Proszę, proszę, to mi się podoba! – usłyszał czystą polszczyznę. – Taki młody, a taki zdolny. Coraz bardziej cię lubię, kapralu!

Słabe światło księżycy przebiło się wreszcie przez chmury i oświetliło twarz mężczyzny. Kazik ze zgrozą rozpoznał zakręcone wąsiki i elegancki frak. Awanturnik Zaręba, podający się za polskiego admirała.

– Opuśćmy broń, nie wypada tak mierzyć do siebie. Pewnie wzięłeś moich chłopców za rozbójników, co mnie nie dziwi. Mordy mają zakazane, a i stroje plugawe. No cóż, trudno dziś o porządnych żołnierzy, bitnych, ale i potrafiących zadbać o powierzchowność. Ale my tu gadu-gadu, a w karczmie czeka grzane wino. Choć, kapralu, napijemy się, pogadamy.

– Nie mamy o czym gadać, bandyto – warknął chłopak. – Zamordowałeś tych nieszczęsnych włościan, a winą próbowałeś obarczyć mnie.

– Widzę jednak, że udało ci się wykpić! To mnie cieszy. – Oficer uśmiechnął się.

Kazik czuł, jak ogarnia go złość. Miał ochotę rąbnąć tasakiem w gładką buźkę elegancika, który był zwykłym rozbójnikiem.

– Zaimponowałeś mi, kapralu. Potrzebuję takich jak ty. Śmiałych i sprytnych. Mam dla ciebie propozycję...

– Wsadź ją sobie w dupę, bandyto! – Lux ciągle ścisnął w garści rękojeść masywnej szabli.

Zaręba też nie schował pistoletu, choć trzymał go lufą skierowaną w ziemię. Jego ludzie już zebrali się z bruku i próbowali doprowadzić do ład. Patrzyli na furiera z jawną wrogością.

– To nieelegancko nazywać mnie słowami obelżywymi, skoro sam wzięłeś pieniądze za udział w rabunku – z urazą w głosie powiedział admirał. – Przymknąłeś oko na to, co robili moi chłopcy, choć wiedziałeś, jak to się skończy.

– Dobrze wiesz, że nie miałem innego wyjścia.

– Bo się bałeś? To nie jest usprawiedliwienie. Chyba zdajesz sobie sprawę, jak zareagowałyby na nie sąd polowy. – Awanturnik ponownie się uśmiechnął. – Jeśli oficer doprowadziłby przez tchórzostwo do śmierci niewinnych, sąd pozbawiłby go patentu i wygnał z Legionów. Ale jeśli coś takiego zrobiłby byle podoficer, sądę, że skończyłby w kajdanach i po prostu zgniłby w lochu. Chcesz zaryzykować i złożyć zeznania? Lepiej nie, lepiej, by nikt nie dowiedział się o tym nieszczęsnym zdarzeniu, prawda?

Kazik zazgrzytał zębami.

– Czego ode mnie chcesz?

– Niczego... choć mam dla ciebie propozycję – rzekł Zaręba niezrażony oporem kaprala. – Skoro nie chcesz porozmawiać w ciepłej karczmie, możemy pogadać tutaj. Chodzi o twoją karierę w Legionach. Przyznasz, że nie zapowiada się zbyt dobrze. Szanse na awans są niemal żadne, żołd spóźnia się miesiącami, brakuje żarcia, mundurów, broni, nawet zwykłych butów.

Dąbrowski nie jest w stanie zapewnić podkomendnym właściwie czegokolwiek, tylko przegania ich z miasteczka do miasteczka i każe bić się z chłopami. U jego boku nie ma szans na zdobycie łupów ani na żołnierską chwałę. Zamiast wielkich bitew i bogactw czeka cię śmierć z głodu lub od chorób. Tego oczekiwałaś, idąc do wojska? Nie marzyły ci się podróże, piękne kobiety, chwalebne czyny i trzos pełen złota?

Lux schował tasak do pochwy, kiedy zorientował się, że były legionista próbuje skaptować go do swojej bandy.

– I znajdę to wszystko u twego boku, admirale? – spytał, pogardliwie dodając wymyślony przez awanturника tytuł.

– Więcej, mój młody przyjacielu! I nie oferuję ci działania w bandzie łupiącej włościan, to byłoby żałosne. – Zaręba też zdecydował się schować broń. Dwaj obwiesie, nierozumiejący po polsku, również ochłonęli, widząc spokojniejsze zachowanie rozmówców. – Nie jestem zwykłym rozbójnikiem, za jakiego mnie uważasz. Działam dla wyższej sprawy, a napad na tamte gospodarstwo był częścią większego planu. To kolejna akcja prowadząca do utraty zaufania Dyrektoriatu do Legionów. Nie ukrywam bowiem, że chcę je zniszczyć.

– Dlaczego? Z zemsty?

– To dłuższa historia, ale rzeczywiście jest w tym wszystkim także aspekt zemsty. – Awanturnik skinął głową. – Ci gnoje poniżyli mnie i przegnali niczym kundla. Zapłacą za zhańbienie mego honoru. Nie myśl jednak, że działam sam, w pojedynkę! Jestem agentem sił zbrojnych Królestwa Neapolu i Sycylii. Nie byle awanturnikiem, a oficerem regularnej armii. I jako dostojnik wojskowy zdolny do paletowania<sup>[34]</sup> mam prawo werbować żołnierzy i przyznawać im awanse. Zatem wybieraj, chłopcze: wolisz klepać biedę i zbierać baty w Legionach, czekając na pewną śmierć z wyczerpania lub od chłopskich wideł, czy zechcesz wreszcie rozpocząć prawdziwą karierę w armii potężnego imperium, które już niedługo podbije całą Italię i powali na kolana wielką Francję?

– Nie słyszałem zbyt wiele o tym królestwie – bąknął Kazik.

– To potężne państwo, które zajmuje całą południową część półwyspu. Sprzymierzone jest z Anglią, a także z Austrią, na jego tronie bowiem zasiada królowa pochodząca z Habsburgów. Ale nie będę robił ci wykładu z polityki. Dla nas ważne jest, że Neapolitańczycy są obrzydliwie bogaci i chętnie werbują obcokrajowców do swojej armii. Z miejsca oferuję ci stopień sierżanta i mego adiutanta, a za kilka miesięcy, jak tylko zacznie się wojna o Italię, dostaniesz patent oficerski i u mego boku weźmiesz udział w zdobyciu Mediolanu, Wenecji, Werony. Potem czeka nas droga na Paryż i złoto, złoto, złoto. Zanim kampania się skończy, będziesz nosił epolety kapitana, a może majora.

– Ta – sceptycznie mruknął Lux, ale w głębi duszy zaczął zastanawiać się nad propozycją admirała. Gdy sytuacja w Legionach stanie się beznadziejna, przejście do innej armii może

okazać się bardzo sensowne. Inna perspektywa to wstąpienie do wojska francuskiego lub powrót do domu. Tego ostatniego wolałby uniknąć.

– Przez jakiś czas będziemy działali na tyłach wroga jak dotychczas. Ataki na tabory, dywersja, napady na cywili i zrzucanie winy na Legiony lub Cisalpińczyków. Czekamy na rozpoczęcie działań regularnych, a wtedy przejdziemy do czynnej służby w szeregach. Póki co, możemy tu szaleć, ile dusza zapagnie – mamy zupełnie wolną rękę. Nie mów, że sakiewka pełna lirów nie przypadłaby ci do gustu. A z każdym dniem będzie coraz więcej złota – obiecywał Zaręba.

– Nie wiem, to trudna decyzja. – Kazik wzruszył ramionami. – I jakaś taka niehonorowa.

– Tylko nie zaczynaj o honorze! – Oficer wykrzywił usta w grymasie. – A zresztą, jak sobie chcesz! Jeśli znów kiszki zagrają ci marsza lub poczujesz ogień w lędźwiach, pamiętaj, że ja w tym czasie będę obżerał się mięsiwem i pieścił pulchną Włoszkę. I jeszcze jedno! Ani słowa o tej rozmowie, bo wyda się, że przyjąłeś pieniądze za przymknięcie oka na mordowanych włościan. Zjeżdżaj teraz do tego swojego Legionu, no już.

Warszawiak ukłonił się Zarębie i ruszył w swoją stronę. Po kilku krokach zawahał się jednak i odwrócił do admirała.

– Jakie są warunki przejścia na służbę Neapolu?

– Zamelduj się w karczmie, którą dziś odwiedziłeś. Z bronią i amunicją, przydadzą się – odparł awanturnik. – Masz kilka dni do namysłu. Przez jakiś czas będę działał w okolicy, ale prędzej czy później pewnie zostanę wezwany do Neapolu. Bywaj, żołnierzu!

Kazik zasalutował mu niedbale i skręcił za róg. Musiał przemyśleć kilka spraw. Nie był na tyle naiwny, by wierzyć w każde słowo bandyty, ale ofertę zmiany munduru wypadało potraktować poważnie. Polacy walczyli we wszystkich armiach Europy i robili w nich prawdziwe kariery. Czy barwy sztandaru, pod którym się walczyło, miały tak naprawdę jakiegokolwiek znaczenie? Albo hasło na nim wyszyte?

Pomyślał o trójkolorowej wstędze na kontrepolecie<sup>[35]</sup> i widniejącej na nim sentencji: *Ludzie wolni są braćmi.*

Akurat!

## 29 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (19 grudnia 1797 roku)



**W**nocy grenadierzy Pierwszego Batalionu rozbili kolejną bandę złożoną z chłopów wiernych papieżowi. Walka nie była ciężka ani krwawa. Po pierwszej salwie włościanie sami złożyli broń i oddali się do niewoli. Szef batalionu, pułkownik Białowiejski, kazał rozbroić powstańców i wypuścić ich do domów. Zatrzymano tylko księdza, który nimi dowodził, ale po interwencji Dąbrowskiego jego też uwolniono. Generał nie życzył sobie, by legioniści byli przeklinani tak samo jak Francuzi, którzy nie wahali się łupić kościołów ani mordować duchownych. Polacy mieli okazywać buntownikom łaskę, a religii i miejscom kultu szacunek, by zyskać zaufanie i poważanie miejscowych. Ku zaskoczeniu wielu niechętnych Dąbrowskiemu członków sztabu ta taktyka zaczęła przynosić owoce. W południe kwaterę generała odwiedziła delegacja mieszkańców Cattolica, która wyraziła ubolewanie z powodu incydentu z chłopami. W ramach przeprosin legioniści otrzymali kilka beczek wina i worków mąki.

Przed wieczorem większość wojska zdążyła się upić, nie licząc żołnierzy pełniących warty i wysłanych na patrole. Kazik rozdał ostatnie dzbanki napełnione młodym, kwaśnym winem i wyruszył do ulubionej karczmy, w której można było spotkać najemników Zaręby i samego admirała. Lux ciągle zastanawiał się nad dezercją, ale póki nie dręczyli go masoni, nadęci oficerowie ani prości legioniści podejrzewający o trucicielstwo, a intendentura wydawała pełne racje żywnościowe, niespecjalnie spieszyło mu się do zmiany barw. Poza tym okazało się, że jedna z córek karczmarza jest niezwykle urodziwa, a w dodatku posyła wysokiemu młodzieńcowi powłóczyście spojrzenia.

Warszawiak nadal był pogrążony w żałobie po Sofii – a przynajmniej czasami, gdy sobie o niej przypominał – ale potrzeby młodego mężczyzny zaczynały dawać o sobie znać. Obraz dziewczyny jeszcze nie zatarł się w jego pamięci, ale uśmiechy Belli coraz bardziej wypierały miłość do niedoszłej narzeczonej. Dziś po raz pierwszy śnił o karczmarce, a nie o córce stolarza. Bella miała brązowe oczy i zadarty nosek, a skórę śniadą, jakby opaloną nawet

w zimę. Pod grubą wełnianą sukienką wyraźnie rysowały się szerokie biodra i okazały biust. Była bardziej kobieca niż młodziutka jeszcze Sofia. I przez to niezwykle pociągająca.

Rankiem, gdy przechodził obok austerii, wybiegła ze środka, by dać mu kubek mleka. Osiągnął wtedy szczyt swych umiejętności w posługiwaniu się włoskim, zasypując ją komplementami. Śmiała się, gdy kaleczył jej rodzimą mowę, ale potem cmoknęła go w policzek i kazała przyjść po zmroku. Spojrzała mu wtedy głęboko w oczy i oblizała wargi w sposób tak wyzywający, że Kazikowi krew omal zagotowała się w żyłach.

Cały dzień zastanawiał się, jaki prezent jej przynieść. Tym razem nie musiał wykładać jedzenia z magazynu, bo dziewczyna miała żywności pod dostatkiem. Dopiero po służbie, gdy żołnierze rozleźli się po mieście, Lux udał się na łowy. O zmroku dotarł na rynek Cattolica, ozdobiony starym wodotryskiem i zasadzonym niedawno przez republikanów „drzewkiem wolności”. Wszedł do warsztatu garncarskiego, ale prócz dzbanków i misek znalazł tu tylko trochę tandetnych figurek i gwizdków – nic nadającego się na prezent. Na szczęście obok znajdowali się skład bławatny, w którym legionieście udało się kupić błękitną chustkę z prawdziwego jedwabiu.

Zapłacił za nią fortunę – całego lira. Za tę sumę mógłby balować przez kilka dni, ale perspektywa spotkania z Bellą okazała się bardziej pociągająca. Ładny i kosztowny prezent zostanie doceniony przez dziewczynę, a wtedy zwróci się po stokroć. Kazik już wyobrażał sobie, jak pieści i całuje pełne piersi karczmarki, jak ta rozchyła przed nim uda i dopuszcza go do...

Pogrążony w zamyśleniu nie zauważył niepozornego osobnika, który wyszedł tyłem zza rogu kamienicy. Wpadli na siebie z impetem. Furier zdołał utrzymać równowagę na śliskim bruku, ale pechowy mężczyzna już nie. Z piskliwym okrzykiem pacnął tyłkiem w kałużę. Przetoczył się i próbował poderwać na nogi, ale znów się pośliznął i chlusnął w błoto.

– Do mnie, wiara! – wrzasnął. – Mordują!

Natychmiast w uliczce pojawiło się kilkunastu polskich fizylierów. Warszawiak zorientował się, że miotający się na ziemi mężczyzna jest polskim oficerem. Rogatywka spadła mu z głowy i chlapnęła w wodę. Furier schylił się i podniósł nakrycie, by zbytnio nie zamokło. Tymczasem oficer zapanował nad sobą, widząc, że nikt go nie morduje, a jedynie zderzył się z kimś. To samo zauważyli fizylierzy, bo zatrzymali się i roześmiali w głos. Kazik podał czapkę mężczyźnie poprawiającemu mundur. Ich spojrzenia się spotkały.

– Ty... – wycodził przez zęby podporucznik Turkiewicz. – Znowu ty, Lux.

Chłopak zaklął w myślach. Co za pech! Cholerna klątwa! Jak nic klątwa! Skąd w Cattolica wziął się ten pajac i jakim fatalnym zrządzeniem losu znów się spotkali? I to akurat teraz!

– Pan wybaczy, podporuczniku – mruknął. – To moja wina.

– Pewnie, cymbale! – piskliwie rozdarł się oficer. – Wszyscy widzieli, jak na mnie napadłeś! Zamach na życie oficera, z tego się nie wywiniesz, Lux! Aresztować go! Do lochu tego bandytę! A potem pod mur i kula w łeb!

– Nie napadłem na pana, to zwykłe oszczerstwo! – oburzył się Kazik. – Wszyscy widzieli, to był zupełny przypadek.

– Zarczucacie mi kłamstwo, kapralu? – syknął podporucznik. – Jak żyję, nikt mnie jeszcze tak nie obraził! Gdybyście tylko byli szlachcicem lub oficerem, mógłbym żądać satysfakcji, a tak...

– Ależ nic nie stoi ku temu na przeszkodzie – niespodziewanie rozległ się mocny głos.

Od strony fontanny zbliżało się niespiesznym krokiem dwóch oficerów. Mówiącym okazał się Piotr Wierzbicki, kapitan kompanii Luxa.

– Tak się składa, że w Legionach wszyscy jesteśmy braćmi, niezależnie od stanu, wiary czy piastowanej funkcji – powiedział kapitan. – Poza tym kapral Lux jest szlacheckiego stanu. Jesteście zatem, panowie, równi sobie pochodzeniem. Na czas pojedynku obaj zdejmiecie kurtki z oznaczeniem stopni i staniecie się zupełnie równi. Jestem gotów pełnić funkcję sekundanta kaprala Luxa.

– A ja przyjmę zaszczyt sekundowania panu, podporuczniku Turkiewicz – odezwał się drugi z przybyłych, kapitan Hauman.

Kazik zamarł z otwartymi ustami, zaskoczony takim obrotem sprawy. Wprawdzie legioniści pojedynkowali się często i niejednokrotnie z byle powodu – wystarczyło krzywe spojrzenie lub nieopatrznie wypowiedziana uwaga – ale tę dziwną rozrywkę uprawiali wyłącznie oficerowie. Nie zdarzało się, by któryś z nich zażądał satysfakcji od podoficera.

– Zgoda. – Turkiewicz zastrzygł wąsikami. – Wyzywam was, kapralu Lux. Zapłacicie krwią za zbrodnie, których dopuściliście się wobec regulaminu i mojego honoru. To ostatnie byłbym skłonny znieść, przełknąć jakoś zniewagi, ale skoro nie jest w stanie dopaść was sprawiedliwość sądu polowego, dla dobra Legionów zmuszony jestem wymierzyć ją osobiście.

– Przyjmuję – zdołał wyrzucić z siebie warszawiak.

– Zwykle pojedynkujemy się o świcie – powiedział Wierzbicki. – Niestety, nasz furier ma w tym czasie służbę, będziemy więc zmuszeni przenieść pojedynek na godziny popołudniowe.

– Zatem spotkamy się dopiero pojutrze, bo z kolei jutro po południu ja mam służbę. Wybiorę też broń i miejsce pojedynku jako poszkodowany na honorze. Żegnam, panowie.

Podporucznik zasalutował kapitanom i dumnym krokiem pomaszerował w ciemność. Któryś z fizylierów poklepał Kazika po plecach, by dodać mu otuchy. Kapitan Hauman odszedł w mrok, razem z legionistami. Lux został sam z Wierzbickim. Młody kapitan uśmiechał się przyjaźnie i beztrosko, jakby czekała ich wspólna zabawa. Kapral ostatecznie doszedł do

wniosku, że wszyscy oficerowie są kompletnie szurnięci. Niech ich piekło pochłonie razem z tym ich honorem.

Już miał zamiar odmeldować się i czym prędzej pędzić do Belli, by wypłakać się w jej bujny biust, gdy Wierzbicki położył mu dłoń na ramieniu.

– Umiesz się bić, Kaziu?

– Pewno. – Furier wzruszył ramionami. – Całe dzieciństwo tłukłem się na pięści z chłopakami ze Starówki. My z Nowego Miasta zawsze mieliśmy z nimi na pieńku.

– Nie chodzi mi o walki na pięści. – Kapitan pokręcił głową. – Jak sobie radzisz z szermierką lub strzelaniem?

– Gorzej. Na lekcje fechtunku nie mogliśmy sobie pozwolić. Czasem się wygłupialiśmy z żakami ze Szkoły Rycerskiej i po piwie walczyliśmy na kije, ale szermierką bym tego nie nazwał.

– Niedobrze. Mamy tylko dwa dni, by nauczyć cię robić szablą. – Oficer nagle się zasępił. – O ćwiczeniach strzelania z pistoletu pojedynkowego nawet mowy nie ma. Zresztą Turkiewicz i tak wybierze szablę, bo z pistoletu może trafić nawet łamaga, a zgrabnie pociąć szablą trzeba umieć. Wie, że jesteś młody i pewnie nie potrafisz walczyć. Pokroi cię na plasterki, by wreszcie zdobyć respekt wśród żołnierzy. Nie oszczędzi cię, Kaziu.

– Co robić, panie kapitanie? – Lux spochmurniał.

– Spróbujemy cię trochę podszkolić, byś choć potrafił utrzymać szablę w garści.

– Ale ja nawet nie mam prawdziwej broni. Tylko przydziałowy tasak.

– Nie szkodzi. Najpierw potrenujemy kijami, potem tasakami, a na koniec dam ci pomachać moją oficerską szablą. – Wierzbicki objął furiera za szyję i pociągnął za sobą. – Idziemy, szkoda czasu. Zaczniemy trening od razu.

Chłopak spojrział przez ramię w dal, na wylot uliczki, przy której mieszkała Bella. Nici z dzisiejszego spotkania. Miał w dodatku fatalne wrażenie, że już nigdy jej nie zobaczy. Zrezygnowany, bezwolnie pozwolił się zaprowadzić do kwatery kapitana Wierzbickiego.



## 30 frimaire'a VI roku ery republikańskiej (20 grudnia 1797 roku)



**P**o pierwszej lekcji Kazika rozbolało całe ramię, od dłoni aż po bark. Następnego dnia, kiedy dobosze zaczęli bić pobudkę, z trudem poderwał się ze sterty słomy służącej mu za posłanie, bo okazało się, że zeszywniały mu także mięśnie nóg, głównie uda i łydki. A wszystko to tylko po ćwiczeniach postawy, kroków, wypadów, doskoków i odskoków. Przecwiczili także sposób trzymania szabli, pozycje dłoni i wymachy. Furier zmęczył się straszliwie i był zaskoczony, jak ogromnym wysiłkiem jest uprawianie szermierki. Zdumiał go również stopień komplikacji czegoś pozornie tak prostego jak młócenie żelastwem. Okazało się, że fechtunek bardziej przypomina piekielnie skomplikowany taniec dworski niż radosną walkę.

Kolejna lekcja miała się odbyć jeszcze za dnia, na rzymskiej, porządniej wybrukowanej drodze za miasteczkiem. Wierzbicki nie chciał uczyć chłopaka walki w błocie, uważając, że bardzo ważna jest praca nóg, a tej nie da się wyuczyć na śliskiej powierzchni. W grę nie wchodził też trening w stajni, a to z powodu kiepskiego oświetlenia. Prawdziwej sali do ćwiczeń fechtunku w Cattolica nie było.

Kapitan zdobył za to dwie szable treningowe o wiklinowych koszach i brzeszczotach z zakrzywionego drewna. Wielu oficerów legionowych ćwiczyło szermierkę w każdej wolnej chwili, a niektórzy mieli nawet stosowny do tego rynsztunek. Kazik dostał więc solidne, skórzane rękawiczki i karwasze do ochrony przedramion.

– Przydałoby mu się porządne suspensorium, żeby poćwiczył obronę uderzeń w jaja – zauważył ksiądz Skwarski, który w towarzystwie legionisty Baumana przyszedł kibicować młodzieńcowi. – Nie ma to jak zdradzieckie kopniaki w przyrodzenie, mówię wam.

– Na polu bitwy wszystkie chwytaki są dobre – zgodził się Wierzbicki – jednak pojedynek ludzi honoru to co innego. Walczymy honorowo i godnie, z szacunkiem dla przeciwnika. Każdy cios poniżej pasa lub jakiegokolwiek nieuczciwe zachowanie jest czymś skandalicznym i może doprowadzić do przerwania pojedynku.

– Nie miałbym nic przeciwko... – bąknął Kazik.

Klecha z Żydem usiedli na rozsypującym się ze starości murku biegnącym wzdłuż drogi. Kiedyś stanowił część starożytnych fortyfikacji, ale później niemal zupełnie go rozebrano, używając kamieni do budowy fundamentów pobliskiego kościoła. Skwarski wyciągnął z kieszeni płaszczka kamionkową butelkę, wyszarpnął zębami korek i poczęstował Baumana. Wierzbicki i Lux rozebrali się do samych koszul, choć ze wschodu, od strony morza, wiał nieprzyjemny, chłodny wiatr. Kazik ujął w dłoń drewnianą szablę o rękojeści zrobionej na wzór prawdziwej. Chwycił ją tak, jak został wczoraj nauczony. Kciuk umieścił przy głowicy, o centymetr od kosza, tak samo palec wskazujący. Palec serdeczny dociska rękojeść do poduszki dłoni, a dwa środkowe lekko poprawiają uchwyt. Cały schemat miał zapobiegać wytrąceniu broni i umożliwiać precyzyjne zadawanie ciosów.

– Postawa! – zakomenderował oficer.

Warszawiak wyciągnął broń przed siebie, stanął bokiem do kapitana, wysunął nieco prawą nogę. Ugiął kolana, w duchu jęcząc z bólu. Uda ciągle dawały mu się we znaki. Wierzbicki zmierzył go surowym spojrzeniem, ale nic nie powiedział, co mogło znaczyć, że furierowi udało się z grubsza przybrać prawidłową pozycję.

– Kroki! *Passo avanti!* – rozkazał kapitan.

Lux zrobił krok w przód, pamiętając, by rozpocząć prawą nogą. Ciągle trzymał szablę uniesioną, z wyprostowanym łokciem.

– *Passo indietro! A fondo!*

Krok w tył i wypad!

– *Radoppio! Ballestra!*

Podwójny wypad! Doskok!

– *Salto indietro!*

Odoskok!

Kazik zrobił susa w tył, zachwiał się, ale nie opuścił broni. Skwarski zaczął klaskać.

– Cisza! – uspokoił go oficer.

Uśmiechnął się jednak do furiera. Młodzieniec okazał się niezwykle pojętnym uczniem, choć dwa dni szkolenia i tak nie pozwolił mu stanąć naprzeciw wyćwiczonemu szermierzowi. Ale może uda mu się zachować twarz i nie przegrać zbyt sromotnie.

Wierzbicki ćwiczył fechtunek z italskim mistrzem, gdy Legiony Polskie formowały się w Mediolanie. Szermierka włoska mocno różniła się od polskiej sztuki walki szablą, ale była znana w całej Europie z niezwyklej skuteczności. Dlatego i Luxa oficer uczył walki według szkoły mediolańskiej.

– *Molinelli!* – zakomenderował.

Teraz Kazik miał ćwiczyć wymachy, trzymając nadgarstek sztywno, a ruchy szablą wykonując całym ramieniem.

– *Molinello di figura interna, di petto!* – syknął kapral, próbując ciąć najpierw w lewy policzek kapitana, a potem w jego bok.

Oficer bez wysiłku sparował oba uderzenia i zadał pchnięcie w brzuch furiera. Kazik jęknął i złamał się wpół.

– *Colo di punta*<sup>[36]</sup> – zauważył Skwarski z powagą.

– Właśnie – przytaknął Wierzbicki. – Dziś przerobimy pchnięcia i cięcia, a potem połączymy je z wypadami i zastawami. Pokazuję i objaśniam! No, nie jęcz tak. Wstawaj i patrz, co robię!

Pokaz rozpoczął się od demonstracji zastaw. Chłopak zdawał sobie sprawę, że powinien dobrze je opanować, jeśli chciał przeżyć choćby początek walki. Oficer machał drewnianą szablą z gracją, powtarzając po kilka razy każdą pozycję. Lux natychmiast próbował naśladować jego ruchy. Przećwiczyli siedem podstawowych zasłon i ich wersje niskie, służące do ochrony nóg i podbrzusza. Potem kapitan zademonstrował, jak z parad przechodzić do riposty – czyli zadawania pchnięć i cięć natychmiast po odbiciu broni przeciwnika.

– Szczególnie wbij sobie do łba pchnięcia. Polacy rzadko je stosują, przyzwyczajeni do robienia szablą z konia. Turkiewicz może mieć problemy z odbiciem szybkich i zdecydowanych pchnięć, szczególnie następujących jeden po drugim. Mierz w bok i brzuch, ale nie wahaj się dźgać w szyję i twarz, gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność – tłumaczył nieco zasapany i spocony Wierzbicki. – Teraz spróbuj się zasłonić przed pchnięciem. Patrz, to jest kawacja, *cavazione*, czyli pchnięcie okrężne. Swoim ostrzem omijam półkolem twój brzeszczot i dźgam cię w kichy!

Lux znów jęknął boleśnie i zgiął się wpół. Zamiast pracować łędźwiami w łóżku Belli, zaliczał kolejne siniaki. Cholerna wojna.

– Pięknie! – pochwalił ksiądz. – Ale wymaga dużej gracji, a Kazio, jak na razie, umie tylko młócić, jakby walił cepem.

– A mnie się jego styl podoba – wtrącił Bauman. – Tylko niech się więcej rusza. Jeśli będzie cały czas krążył i tłukł szablą jak opętany, może Turkiewicza wyprowadzić z równowagi, otumanić, a dzięki temu wywinąć się śmierci. Ruchliwość i spryt to doskonała taktyka i niejednemu uratowała życie. Przy okazji przypomniawszy mi się pewna historia. W Sochaczewie mieliśmy takiego jednego oberwańca – nazywał się Mosze Rozenberg. Ukradł kiedyś na targu gęś, a zwinął ją ze straganu braci Błotnickich, złośliwych sukinsynów. Gonili go przez cały Sochaczew, aż wreszcie dopadli przy moście nad Bzurą. Chcieli Rozenbergowi skrócić kark, a jego zawszonego trupa cisnąć do rzeki. I byliby groźbę spełnili, ale Mosze

wetknął gęś pod pachę i sam się rzucił w nurty. Tyle go widzieli.

– Ale jaki to ma związek z Kazikiem? – zdumiał się Skwarski.

– Niech on sobie tę opowieść przemyśli na spokojnie. Ma czas do jutra – odparł Żyd, wpadając w mentorski ton. – Powiem tylko, że Mosze się nie utopił. Dobrze pływał i umiał nurkować, był szybki i sprytny. Jeszcze niejedną gęś później ukradł.

Warszawiak zmarszczył brwi, spoglądając na Baumana. Żyd sugerował mu wzięcie nóg za pas. Tylko w ten sposób Lux mógł uratować życie. Nie podejmować beznadziejnej walki, ale zwać, zniknąć bez śladu, tak jak zrobił to Mosze.

– Dosyć tych wioskowych mądrości – burknął Wierzbicki. – Wracamy do pracy. Z braku czasu musimy pominąć wiązania, zasłony śrubowe i okrężne. Nie zdążymy też z batutami, rozbrojeniem i przeniesieniem. I tak nie zdołałbyś ich opanować na szybko. Poćwiczymy riposty po poszczególnych zasłonach. Atakuj mnie cięciami, a ja będę pokazywał i objaśniał.

Drewniane brzeszczoty zadudniły, ścierając się ze sobą raz za razem. Kazik zacisnął zęby i walczył z pasją, próbując stawiać przeciwiczone zasłony i natychmiast zadawać ciosy. Nagle kapitan zamarkował cięcie w bark kaprała, ominął jego zastawę i rąbnął przeciwnika w brzuch.

– Znowu – sapnął furier, zwijając się z bólu.

– To była finta – wyjaśnił oficer. – Czyli zwód mający oszukać przeciwnika. Musisz uważać na takie sztuczki. Dobry szermierz zna ich kilka, a mistrzowie mają własne finty – skomplikowane i niemożliwe do uchwycenia okiem. Miejmy nadzieję, że Turkiewicz do mistrzów się nie zalicza. Nie jęcz, stawaj!

Lux wyprostował się i z wysiłkiem przyjął postawę szermierczą.

– Unikniesz pułapek, jeśli będziesz trzymał możliwie największy dystans. Nie wahaj się cofać, ale uważaj, by nie upaść. Staraj się nie zdradzić ataku ruchem nóg czy ustawieniem ręki. Patrz na nadgarstek przeciwnika. To on będzie sygnalizował, gdzie i w jaki sposób uderzy ostrze – tłumaczył Wierzbicki i po raz kolejny zaatakował.

Kazik walczył tak długo, jak był w stanie utrzymać broń w ręku. Potem ramię zaczęło mu omdlewać i kapitan kilka razy boleśnie mu przyłał. Wreszcie oficer stwierdził, że trzeba zakończyć szkolenie, bo młody szermierz ulegnie kontuzjom. Zarazem jednak dowódca dziwił się, że chłopak zrobił aż tak ogromny postęp. Gdyby dać mu trochę czasu, z pewnością świetnie opanowałby robienie szabłą. Szkoda tylko, że miał marne szanse na przeżycie pojedynku.

Kazik doszedł do identycznego wniosku. Z pewnością szermierka mogła okazać się świetną zabawą, ale nie w tych okolicznościach. Potrzebował wielu godzin na ćwiczenia, a potem licznych starć z różnymi przeciwnikami, by opanować tę piękną sztukę. Turkiewicz, od dziecka

kształcony na żołnierza, urodził się pewnie z szablą w rękę. Poszatkuję furiera już nie tylko ze zwykłej złośliwości, ale by pokazać wszystkim, jakim jest bezlitosnym i groźnym wojakiem. Wszak piszczący gołowąs tylko marzył o tym, by wreszcie zyskać poważanie i szacunek wśród legionistów.

Wieczorem Lux wymknął się z kwatermistrzostwa, gdzie trwał rozładunek prowiantu przywiezionego z Rimini. Do roboty zostali zagnani wszyscy furierzy z batalionu i kilkunastu legionistów. Warszawiak pokręcił się chwilę przy wozach, a potem dał susa w ciemność. Pognał do karczmy, gdzie skinieniem głowy przywitał się z włoskimi najemnikami admirała Zaręby. Dywersanci z armii wrogiego królestwa jak gdyby nigdy nic popijali kwaśne wino i palili fajki, czekając na szefa, który dwa dni temu wyjechał po rozkazy i środki do prowadzenia walki.

Kapral wahał się, czy do nich podejść i po prostu zgłosić akces do wstąpienia w ich szeregi. Niechby pomogli mu zdezerterować i zabrali jak najdalej stąd. Tylko co, jeśli pod nieobecność Zaręby głośno go wyśmieją i pogonią precz?

Stał chwilę przy szynkwasio, aż wreszcie z zaplecza wyszła Bella i zatrzepotała do niego rzęsami. Uśmiechnął się do niej i gdy pościerała stoły, a potem przyniosła awanturnikom pełne dzbanki, wymknął się za nią na podwórko karczmy. W kieszeni ciągle trzymał błękitną, jedwabną chustkę, której jeszcze nie miał okazji jej wręczyć. Dziś był jednak nie w sosie, by czynić do niej awanse. Zamiast tego zwierzył się jej z problemów.

– Ucieknij – poradziła krótko. – Chyba to lepsze niż dać się zabić.

– Tylko dokąd? Do Neapolu? Do Rzymu? Wrócić do Polski?

– Masz jakieś pieniądze? Potrzebuję trochę na przygotowanie ci schronienia. Przekupię sąsiadkę, by zgodziła się ciebie ukrywać. Będiesz musiał u niej posiedzieć co najmniej miesiąc. Kobięcina będzie chciała za to trochę złota.

Spojrzał w brązowe, błyszczące oczy dziewczyny. Tym razem zamiast pulchnej córki karczmarza, którą wszyscy klepali w tyłek i podszczyrywali, dostrzegł inteligentną i sprytną kobietę. Po chwili wahania zaufał jej.

– Kilka franków, trochę soldów i dwadzieścia denarów.

– Przy sobie? – spytała.

Lux czuł ciężar monet w wewnętrznej kieszonce kurtki, ale powstrzymał się przed sięgnięciem po nie. Drażniło go niejasne przecucie, że lepiej tak szybko nie dawać pieniędzy dziewczynie. Przemógł się jednak i wyciągnął cały swój majątek z ukrycia. Bella schowała skarb w przepastnych kieszeniach sukienki.

– Poczekaj, zaraz przyniosę ci jakieś ciuchy mojego ojca – powiedziała. – Pójdiesz na kwaterę i przebierzesz się, a potem wrócisz tutaj. Tylko nie za szybko, koło północy. Do tego

czasu dogadam się z sąsiadką. Będziesz się u niej ukrywał, aż wojsko opuści Cattolica. Potem mój ojciec wymyśli ci jaką robotę i zamieszkas z nami.

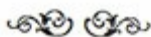
– Mam siedzieć w szafie u jakiejś kobieciny i tygodniami cię nie widzieć?

– Co dzień będę przynosić ci jedzenie. – Uśmiechnęła się wyzywająco. – Spędzimy razem dużo czasu. Całe wieczory, a może i noce.

Skromnie spuściła wzrok, a jej policzki zapłonęły rumieńcami. Kazik nabrał powietrza w płuca, by ochłonać. Perspektywa wydała mu się całkiem interesująca. Najważniejsze, że dawała szansę ocalenia. Posiedzi kilka tygodni na garnuszku Belli i skorzysta z jej wdzięków, a potem sięzobaczy.

Dziewczyna znikła, a po paru minutach wróciła z tłumokiem ubrań. Cmoknęła chłopaka w policzek i wróciła do karczmy. Ruszył do klitki, w której mieszkał razem z kilkoma legionistami. Ksiądz Skwarski spał kompletnie pijany, chrapiąc, aż chałupa się trzęsła. Bauman leżał pod grubą warstwą słomy i nie dawał znaku życia. Kazik przebrał się w otrzymane ciuchy. Spodnie okazały się za krótkie, tak samo jak rękawy koszuli. Kubrak był wielki i śmierdział czosnkiem. Tylko kapota okazała się całkiem wygodna. Włoską, chłopską czapkę, przypominającą dużą skarpetę, zdołał jakoś wcisnąć na głowę.

Dezertier spojrział jeszcze na śpiących przyjaciół i wymknął się w mrok. Dla niego wojna już się skończyła.



Przed karczmą powinno być pusto o tej porze – ojciec Belli zamykał przed północą. Tym razem jednak Kazik dostrzegł jakieś postacie znikające wewnątrz. I bez tego całą drogę dręczył go niezrozumiały niepokój i wyrzuty sumienia. Szczególnie dziwiło go to ostatnie. Skąd nagle te rozterki? Zaczęło go obchodzić, co pomyślą o nim legioniści, że wezmą go za tchórza i zdrajcę? Najbardziej rozczaruje kapitana Wierzbickiego, który ręczył za niego jako sekundant. Uciekając, splamił jego oficerski honor. Głupio też trochę przed kapitanem Borowskim, który miał go za odważnego i przyzwoitego. A chłopaki co powiedzą? Bracia Kura i ksiądz Skwarski? Bauman i doktor Hoffman? Może pomyślą, że powstańcy go zadźgali i trupa wrzucili do morza? Może będą szukać ciała Kazika albo pomsty za jego śmierć? Pewnie do głowy im nie przyjdzie, że zwyczajnie stchórzył.

Przystanął na rogu kamienicy i patrzył na karczmę, bijąc się z myślami. Jeśli do niej wejdzie, nie będzie już mógł się wycofać. Może lepiej wrócić?

Ale wtedy z własnej woli położył głowę pod ostrze podporucznika Turkiewicza. No i co tu robić? Zaciskał i rozluźniał pięści. Wreszcie powoli podpełzł pod okno austerii, rozglądając się ostrożnie i bacząc, by ciągle pozostawać w ciemności. Zajrzał ostrożnie przez okopconą, brudną szybę.

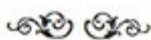
Wewnątrz, przy drzwiach, stało dwóch legionistów z tasakami w garści. Kolejnych dwóch siedziało przy stole, razem z jakimś podoficerem. Lux rozpoznał w nim sierżanta, który wtrącił go do szopy służącej za więzienie w czasie oblężenia San Leo. Karczmarz mówił coś do żołnierzy, a Bella stała oparta o kontuar i uroczo się do Polaków uśmiechała.

Pułapka! Zdrada!

Natychmiast kucnął, a potem rzucił się na łeb na szyję w dół uliczki. Pędził w ciemność, nie bacząc, że może rozbić głowę o mur lub drzewo. Jasny gwint, ale by się wpakował! Dlaczego tak głupio zaufała Belli? Co właściwie o niej wiedział? Może uśmiechała się i wdzięczyła do wszystkich bez wyjątku? Trafiła frajera, który oddał jej równowartość kilku żołdów i uwierzył, że dziewczyna pomoże mu zdezerterować. A ona po prostu poszła zameldować legionistom o uciekinierze. Za pomoc w złapaniu dezertera należała się jej sowita nagroda. W ten sposób, niemal bez wysiłku, zarobiła jednej nocy kupę forsy.

Dlaczego był tak głupi? Gdyby wlaźł do gospody, to jutro, zamiast zginąć w pojedynku, po prostu stanąłby przed plutonem egzekucyjnym. I zaufaj tu, człowieku, kobiecie!

Furier pędził przed siebie, choć atak paniki już dawno minął. Teraz próbował wyładować złość i gniew. Gdyby zachowywał się godnie i uczciwie, nigdy nie wpakowałby się w podobną kabałę!



Wybiegł z za rogu i z impetem wpadł wprost w objęcia Hoffmana. Przewrócili się obaj pod nogi kilku mężczyzn, z którymi szedł medyk.

– To ty, Kaziu? – ucieszył się lekarz, gdy już odzyskał oddech. – Aleś się wystroił!

Towarzyszący doktorowi nieśli trzy lub cztery latarnie, które skąpały uliczkę w żółtym, mdłym świetle. Kapral zorientował się, że większość tych ludzi ma na sobie cywilne, dość niechlujne ubrania. Tylko Hoffman i jeszcze dwóch mężczyzn odzianych było we fraki i surduty. Cała banda sprawiała dziwne wrażenie, szczególnie że wszyscy nieśli broń – i to przede wszystkim muszkiety z założonymi bagnetami.

– Co to za dzieciak? – spytał po włosku jeden z elegantów.

– Kapral z Drugiego Batalionu – odparł Hoffman.

– Dobrze wygląda, niczym chłopak z miasta – zauważył drugi z mężczyzn w surducie. – Umiesz po włosku, chłopcze?

– Uczę się, panie doktorze – odparł Kazik.

W świetle latarni udało mu się rozpoznać obu strojnisiów. Pierwszym był cisalpiński kapitan, którego czasem widywał w Rimini, a towarzyszył mu chirurg-major Pierwszego Batalionu, Jan Bagutti. Co oficer i dwóch lekarzy robiło nocą z uzbrojoną bandą obwiesiów?



– Dobra, bierzemy go. Przyda się każdy piechur w cywilu – zdecydował włoski kapitan.

Nie oglądając się za siebie, ruszył przodem. Kilkunastu mężczyzn pomaszerowało różnym krokiem, w którym warszawiak rozpoznał wojskowy dryg i dyscyplinę. Obwiesie byli zatem przebranymi żołnierzami. Lux nie znał żadnego, co mogło sugerować, że wszyscy to Cisalpińczycy.

Hoffman chwycił chłopaka za ramię i pociągnął za sobą. Przez chwilę wędrowali w milczeniu pustymi uliczkami miasteczka, by wreszcie minąć posterunek na rogatkach. Kazik szedł oszołomiony, nie śmiejąc zadawać pytań. Sierżant, pełniący funkcję dowódcy warty, zsalutował przechodzącym przebierańcom. Cisalpińczycy wymaszerowali z miasteczka drogą prowadzącą na południowy zachód, w kierunku granicy z Państwem Kościelnym.

– Gdzie my właściwie idziemy, panie doktorze? – odważył się odezwać Lux.

– Na wojnę, Kaziu, na wojnę.

Kilkanaście minut później oddział przebranych żołnierzy armii republikańskiej przekroczył granicę i wtargnął na obszar wrogiego państwa.

## 1 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (21 grudnia 1797 roku)



O świcie słońce nieśmiało wyjrzało zza chmur. Średniowieczne mury zamku Sforzów, tkwiącego na niewielkim wzniesieniu w środku Pesaro, rozjaśniły się na chwilę, by znów pograć w szarości i półmroku. Kazik obserwował papieskie miasto, kucając za stertą starych cegieł leżących przy drodze. Przed paroma chwilami cisalpińscy przebierańcy napadli tu na pięcioosobowy patrol, który wybrał się na rutynową kontrolę okolic miasta. Kościelni piechurzy byli tak zaskoczeni, że nawet nie próbowali się bronić. Natychmiast rzucili neapolitańskie muszkiety i podnieśli ręce. W ten sposób Lux wszedł w posiadanie broni palnej i bagnetu o trójkątnym ostrzu. Okazało się, że wszystkie zdobyte egzemplarze są stare i mają niesprawne zamki. O strzelaniu nie było więc mowy, ale pewności dodawał mu sam dotyk broni.

Furier nie czuł się zbyt dobrze, biorąc udział w samobójczej akcji, na którą nawet się nie pisał. Nie miał pojęcia, czemu Dąbrowski wysłał w głąb terenu wroga oddział straceńców, w dodatku dowodzony przez łapiduchów. Nikt mu nic nie wyjaśniał, a w czasie trwającego pół nocy marszu nakazano im milczenie. Potem kulili się w jakimś jarze, czekając na wschód słońca. Zmarzli okropnie, a szczególnie Kazik, który ubrany był najbardziej skąpo.

Złapani papiści zostali skrępowani i porzuceni przy drodze. Ku zdziwieniu kaprała nie podejrznięto im gardeł, co było tylko kuszeniem losu. Nikt o zdrowych zmysłach nie zostawia za plecami zdolnych do walki przeciwników. Nie wiedział, czy zrobiono tak przez miękkie serca doktorów, czy też miała to być akcja bez rozlewu krwi.

Lux był przekonany, że wpakował się w tę awanturę przez dręczącą go klątwę. Wszak w normalnych okolicznościach było niemożliwe, by – niezależnie od tego, co zrobił – ciągle wpadał w coraz to większe kłopoty. Chcąc uniknąć beznadziejnego pojedynku, omal nie został aresztowany jako dezertor. Ledwie udało mu się wywinąć, a wpakował się w operację na terenie wroga. Tutaj przynajmniej miał szansę zginąć godnie, jak żołnierz, z bronią w rękę. Może jednak los zaczął się odwracać?

– Panie doktorze, co my tu robimy, u licha? – szepnął do Hoffmana, gdy Cataneo dał rozkaz przemieszczenia się.

Oddział truchtał teraz wąską ścieżką wijącą się wzdłuż murów miasta. Wokół rosło mnóstwo kolczastych chwastów, ale też szlachetne cyprysy i pinie. W oddali ciągnęły się równe szeregi drzewek winogronowych, między którymi tkwiły pojedyncze chałupy i szopki. Hoffman sapał coraz bardziej, nieprzyzwyczajony do wysiłku.

– Walczymy o wolność – wydyszał.

– W piętnastu chłopów? Z batalionem papistów?

– Chodzi tylko o sprowokowanie zamieszek i nastraszenie miejscowych władz – odparł lekarz. – Dąbrowski rozpoczął samodzielną akcję przeciw Państwu Kościelnemu, ale ma zakaz prowadzenia działań zbrojnych. Między Republiką Cisalpińską a Rzymem panuje pokój. Nie możemy uderzyć na nich tak po prostu, ale możemy zapobiegać rozruchom i zamieszkom, by chronić ludność cywilną.

– Aha, czyli jako że miejscowi „patrioci” nie palą się do wszczęcia rewolucji, my mamy im pomóc? – domyślił się Kazik.

– Otóż to, chłopcze. Mamy wskazać im drogę, pokazać, jak to się robi.

– Rozpocząć awanturę, mówiąc wprost. – Lux skinął głową.

– Cisza tam! – syknął włoski kapitan. – Nie gadać po polsku. Kiedy wpadniemy do miasta, macie używać tylko włoskiego, jasne? A teraz szykować broń, uderzamy z marszu.

Furier poczuł miłe podniecenie. Zapomniał o głodzie i zimnie. Krew zaczęła żwawo krążyć w żyłach, wypierając zmęczenie. Uniósł muszkiet do pozycji bojowej, przyspieszył kroku.

Trucht przeszedł w bieg. Mur miejski migał ostrymi krawędziami, żołnierze niemal się o niego ocierali. Stare fortyfikacje zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Kazik przesunął się na czoło kolumny, pędząc jak na skrzydłach. Niespodziewanie wypadli na szeroką, wybrukowaną drogę. Minęli przysadzistą basztę i znaleźli się tuż przed bramą. Krata tkwiła uniesiona, do wjazdu szykowały się pierwsze wozy. Na gnających mężczyzn patrzyło kilku zupełnie zaskoczonych wartowników. Pierwszy oberwał kolbą w brzuch, kolejny zaliczył pięścią w zęby, a reszta natychmiast uniosła ręce i cofnęła się pod ścianę.

– Do wartowni! – zakomenderował doktor Bagutti.

Furier rzucił się do żelaznych drzwi za bramą. Uderzył barkiem jakiegoś człowieka, ścinając go z nóg, w locie wymierzył mu kopniaka i wpadł do przestronnego pomieszczenia. Znajdowała się tu grupa mężczyzn, w tym kilku uzbrojonych wartowników prężących się w równym szeregu. Najwyraźniej trwała odprawa lub inspekcja. Przed piechurami stał wysoki oficer z błyszczącymi akselbantami<sup>[37]</sup> na ramionach. Towarzyszyło mu dwóch młodszych szarż.

– Co to ma znaczyć? – ryknął na Polaka papieski sierżant, prawdopodobnie dowódca warty.

Lux grzmotnął go kolbą w pierś i odepchnął na bok. Wymierzył bagnet w najważniejszego oficera i szturchnął go w brzuch. Za plecami słyszał Cisalpińczyków, którzy z łomotem pchali się do środka. Oficer odepchnął broń Kazika i sięgnął po rękojeść rapiera wiszącego u jego pasa. Kaprał zamachnął się do pchnięcia, ale ktoś zdzielił go w plecy. Poleciał w przód, wprost na dwóch młodszych oficerów broniących dowódcy własnymi pierściami.

Na wartowni zakotłowało się. Rozległy się krzyki i przekleństwa. Warszawiak oberwał pięścią w ramię, a sam dźgnął bagnetem jednego z młodszych oficerów. Nie mógł wziąć zamachu, więc cios okazał się za słaby. Szpic nie przeszedł nawet przez mundur mężczyzny. Zjechał po błyszczącym pasie jego bandolier.

– Parol! – niespodziewanie oświadczył najwyższy stopniem papista, opuszczając rapier.

Kazik i dwóch najbliższych Cisalpińczyków natychmiast wymierzyło bagnety w jego pierś. Oficer z dumną miną złapał swoją broń za ostrze tuż pod jelicem i skierował rękojeść do agresorów.

– Komu mogę złożyć kapitulację? – spytał spokojnie. – Kto panami dowodzi?

– Ja. Chirurg-major Bagutti. – Doktor wystąpił z tłumu.

– Pułkownik Strogotti – oznajmił oficer, wręczając mu rapier. – Dowódca garnizonu Pesaro.

Furier z trudem powstrzymał śmiech. Przypadkowo złapali najwyższego rangą oficera w mieście. Tak po prostu, bez strat w ludziach. Czyżby klątwa faktycznie go opuściła, a koło fortuny zaczęło się obracać? Jeśli tak, czeka go szczęście i pomyślność! Teraz już tylko same sukcesy. Żadnych masonskich trucicieli, narwanych oficerów i zdradzieckich dziwek, tylko powodzenie w boju, sława i chwała.

Bitewna euforia rozsadzała młodzieńca. Miał wrażenie, że mógłby przenosić góry, zaatakować w pojedynkę Gwardię Szwajcarską i wziąć do niewoli samego papieża. Nie czuł bólu ani zmęczenia, jednak z chęcią napiłby się wina.

Tymczasem jeńcy zostali rozbrojeni i zamknięci w wartowni. Na straży przed zaimprovizowaną celą postawiono jednego z cisalpińskich wojaków. Do pomocy przydzielono mu dwóch „patriotów”, od których w ciągu kilku minut dosłownie zaroilo się w okolicy.

– Zbiórka! Do szeregu! – wrzeszczał kapitan.

Na szczęście zwycięzcy nie rozbiegli się w poszukiwaniu łupów. Zdawali sobie sprawę, że sukces odnieśli tylko dzięki niebywałemu szczęściu i na razie nie było czego świętować. Do oddziału dołączyło ochoczo kilkunastu „patriotów”, uzbrojonych w broń odebraną wartownikom.

– Teraz zrobimy im pokaz rewolucyjny – oznajmił doktor Bagutti. – Drzeć się na całe

gardło, nie żałować razów burżujom i bogaczom. Naprzód! Za mną!

Banda ruszyła główną ulicą Pesaro, wrzeszcząc wniebogłosy rewolucyjne hasła. Ludzie wylegli z bram i zaułków, w oknach pojawiły się kobiety. Kazik frunął na czele pochodu, obok dwóch lekarzy, i wymachiwał nad głową muszkietem. Na jakimś placyku „patrioci” dopadli błyszczącej od złotych ozdób karety i z rykiem przewrócili ją na bok. Stangreci uciekli w popłochu, konie puszczono ulicą, okładając je po zadach. Z powozu wywleczono starszego jegomościa we fraku z żabotem. Odarto go z kosztowności i kopniakami pogoniono precz. Potem w okna mijanej rezydencji, należącej do pewnego markiza, poleciały kamienie.

– *Democrazia o la morte!*<sup>[38]</sup> – wrzeszczał Kazik.

– *Abbaso la tirrania!*<sup>[39]</sup> – dodawał Hoffman.

– *Viva la libertà!*<sup>[40]</sup> – krzyczeli „patrioci”.

U wylotu ulicy pojawiła się grupa papieskich żołnierzy. Cisalpińczycy bez rozkazu sięgnęli po rogi z prochem i podsypali panewki. Broń nabili jeszcze przed atakiem na miasto. Teraz wystarczyła chwila, by mieli gotowych do strzału kilkanaście muszkietów.

– Mierzcie wysoko, nad głowy! – zakomenderował doktor Bagutti. – Wolny ogień, starajcie się wyglądać na amatorów.

Gruchnęły pierwsze strzały. Cisalpińczycy palili chaotycznie, starając się nikogo nie trafić. Żołnierze papiescy również nie okazywali chęci do walki. W pośpiechu się wycofali, zostawiając rewolucjonistom wolną drogę.

– Podpalcie któryś pałac – rozkazał kapitan. – Dobrze byłoby przetrzepać skórę kilku burżujom. Księży nie ruszać.

Warszawiak razem z Hoffmanem łomotali kolbami w drzwi co bardziej wystawnych domów, a „patrioci” rzucali w okna kamieniami. Cisalpińczycy wdarli się do jednego z pałacyków i z zerwanych zasłon oraz mebli rozpalali w salonie ognisko. Właściciele zdołali zbiec, choć dwóch lokajów próbowało chronić dobytek pryncypałów, za co zostali poturbowani. Rozbawiony nietypową bitwą Lux zdarł z jednego z pechowców liberię, po czym nałożył zarówno eleganckie spodnie, jak i frak z białymi wyłogami i koronkowymi obszyciami kołnierza.

W mieście wybuchła panika i kompletny chaos. Natychmiast utworzyły się grupki miejscowych obwiesiów, którzy pod pozorem rewolucji próbowali rabować, co wpadło im w ręce. W kościołach uderzono w dzwony na trwogę. Pożary wybuchły w kilku miejscach, choć jak się potem okazało, „patrioci” podpalili tylko chwiejące się szopy z sianem i jeden chlewik.

– Dobra nasza. – Bagutti uśmiechnął się. – Teraz pora udać się do pałacu. Ponoć dziś rano przyjechał doń sam gubernator. Mamy cholerne szczęście.

Spojrzenie lekarza padło na Kazika, który dostał kubek młodego wina od pewnej przychyłnej rewolucjonistom kobiety. Pił łąpczywie, bo od wrzasków i gonitw po ulicach strasznie zaschło mu w gardle.

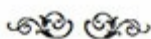
– Ty, gagatku, pójdiesz ze mną – rozkazał major. – Będiesz udawał mojego służącego, masz odpowiedni strój. Ale jeszcze niech mnie ktoś walnie w zęby. Muszę wyglądać na pobitego. Może pan, doktorze, uczyni mi ten honor?

Polak ukłonił się grzecznie i zakasał rękawy, jakby szykował się do zabiegu medycznego.

– Jak rozumiem, bez wybijania zębów? – upewnił się, a potem trzasnął chirurga-majora prosto w nos.

– Te italiańskie pieski zajmują polskim lekarzom najwyższe stanowiska w armii – szepnął Hoffman do Kazika w chwili, gdy Bagutti podnosił się z ziemi, trzymając się za zakrwawioną twarz. – Zawsze miałem ochotę któremuś rozwalić gębę.

Lux spojrział ze zdumieniem na wiecznie opanowanego i grzecznego doktora, a potem parsknął śmiechem. Służba w armii zaczynała być zabawna.



Arcybiskup Saluzzo stał w oknie Pałacu Dożów i pocierał dłonią srebrny krzyż wiszący na jego piersi. Brudnoszare chmury przetaczały się nisko nad Pesaro, miasto wyglądało ponuro i nieprzyjaźnie. Kilka bijących w niebo kolumn dymu i dudnienie licznych dzwonów potęgowało w dostojniku poczucie osaczenia i osamotnienia. Gdzieś po ulicach tego do niedawna bogobojnego i spokojnego miasta z wyciem i rykiem uganiały się hordy żądnych krwi szaleńców, opętanych francuskimi kłamstwami o wolności i równości. Z każdą minutą przybywało rewolucjonistów. Zaraza rozprzestrzeniała się, ogarniając kolejne umysły i przeistaczając spokojnych mieszczan w żądnych krwi mścicieli. Nim minie dzień, zaczną rabować i palić kościoły. Na drzewach zawisną arystokraci i księża, a miejscowość pograży się w chaosie. Ogarnie ją morze ognia i przemocy.

Wszystkie rewolucje wyglądały tak samo i tak samo się kończyły. Saluzzo wielokrotnie walczył z ruchami liberalnymi mogącymi zagrozić boskiemu łaadowi panującemu na ziemi. Straszliwą ironią losu było to, że rewolucja dopadła go tutaj, w ukochanej ojczyźnie.

– Czemu mnie tak doświadczasz, Panie? – szepnął, tuląc w dłoni krucyfiks.

Czyżby było mu pisane zginać jako męczennik za wiarę i ład, zawisnąć na szubienicy lub oddać głowę pod ostrze gilotyny? Jak do tego doszło? Gdzie popełnił błąd? Jako gubernator prowincji starał się słuchać głosu ludu, rozumieć jego potrzeby. Złagodził restrykcyjne prawo, zbierał podatki, rezygnując z bezwzględności, okazywał łaskę i zrozumienie. I co go spotkało?

– Wasza ekscelencjo, pewien człowiek domaga się natychmiastowej audiencji. – Do komnaty bez pukania wszedł sekretarz, Karol Majochoy.

– Jaki człowiek? Kto taki?

– Mieszkaniec Pesaro, sądząc po stroju – szlachcic – odparł doradca. – Jest bardzo wzburzony i twierdzi, że ma waszej ekscelencji coś niezwykle ważnego do powiedzenia.

– Wprowadź. – Saluzzo skinął głową.

Kiedy drzwi znów się otworzyły, do komnaty wpadło dwóch mężczyzn w asyście sekretarza i czterech papieskich gwardzistów. Przybyszem był starszy pan – w eleganckim, ale rozchełstany fraku – o koszmarnie zakrwawionej twarzy i spuchniętym nosie. Towarzyszył mu służący w podartej liberii – młody chłopak o jasnych, bystrych oczach. Obaj sprawiali wrażenie cudem ocalałych z rzezi. Dyszeli ze zmęczenia, a ich twarze były pobladłe z przerażenia. Z pewnością walczyli dziś o życie.

Szlachcic padł na kolana przed Saluzzo i złapał go za dłonie, by je ucałować. Jego służący runął na klęczki i wniósł błagalnie ręce do arcybiskupa. Po twarzy młodzieńca płynęły łzy.

Dostojnik poczuł dławienie w gardle. Wzruszenie zamgliło mu wzrok. Cóż za straszne rzeczy musiały spotkać tych ludzi i jakie okropieństwa w tej chwili dotyczą papieskich poddanych.

– Ratujcie nas, ratujcie w imię boże! – wykrzyczał szlachcic.

– Jesteście tu bezpieczni, mój chłopcze. – Biskup pogładził mężczyznę po głowie. – Zaraz przeniesiemy się do pilnie strzeżonego zamku.

– Ratujcie miasto, ocalcie mieszkańców! Wyprowadźcie wojsko z pałacu, wasza ekscelencjo. Przywróćcie ład.

– Nie mogę tego zrobić, mamy za mało ludzi. Raptem czterystu piechurów załogi, słabo wyszkolonych i o niskim morale – odparł dostojnik. – Obawiam się, że nie byliby w stanie zapanować nad szalejącym tłumem i nie otworzyliby ognia. Szybciej sami przyłączą się do grabieży. Jedyne, co mogę zrobić, to zawrzeć wrota zamku i modlić się. Nikt nie wdrze się do środka, ale miasto jest stracone...

– A co z naszymi żonami, matkami i dziećmi? – Szlachcic podniósł się z klęczek, za to jego służący zaczął załamywać ręce i głośno płakać. – Pozwolisz im wpaść w łapy szalejących antychrystów, skążesz na pohańbienie i męki, wasza ekscelencjo? Co z tysiącami niewinnych, którzy nie zdołają schronić się w zamku? Nie zostawisz ich chyba!

Saluzzo znów ścisnął krucyfiks, szukając w nim wsparcia i pocieszenia. Ten nieszczęśnik ma rację. Nie wolno dopuścić do masowego mordy i grabieży. Trzeba coś zrobić.

– Wezwij pomoc, panie – zażądał człowiek z rozbitym nosem. – Poproś o wsparcie polskiego generała, który stoi o pół dnia drogi stąd. To jedyna szansa dla naszych rodzin na przeżycie, jedyna szansa dla Pesaro!

Arcybiskup spojrział na sekretarza. Majochy z powagą pokiwał głową. Obaj wiedzieli, że to

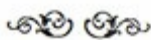


jedyne rozwiązanie i myśleli o nim niejednokrotnie. A teraz nie mieli innego wyjścia, jak błagać Polaków o pomoc i z własnej woli oddać miasto w ich ręce. Tylko kondotierzy mogli zaprowadzić porządek w mieście i powstrzymać szalejących rewolucjonistów.

– Przynieście mi papier i atrament – powiedział Saluzzo. – Natychmiast napiszę list do Dąbrowskiego. Karolu, dostarczysz go osobiście do rąk generała.

– Wasza ekscelencja pozwoli, że będę towarzyszył jego sekretarzowi. – Bagutti uklonił się.  
– Dla bezpieczeństwa, rzecz jasna.

Książe Kościoła spojrział na szlachcica podejrzliwie, ale na zgodę tylko skinął głową.



Kazik otarł łzy z twarzy i splunął na marmurową posadzkę. Nie zwrócił uwagi na spojrzenie papieskiego oficera, który odprowadzał ich do wyjścia. Szedł dwa kroki za doktorem Baguttim i czuł się coraz pewniej. Dali we dwóch niesamowite przedstawienie, a on, ku własnemu zdumieniu, odkrył w sobie zdolności dramatyczne. Udawał strach i żal tak udatnie, że niemal sam w nie uwierzył. Arcybiskup łyknął przynętę i lada chwila gruba ryba – miasto Pesaro – znajdzie się na polskim haczyku. Niesamowite, w jaki sposób można prowadzić wojnę! Fortele okazywały się skuteczniejsze niż otwarty atak.

Z każdym krokiem Lux szedł coraz bardziej zadowolony. Nie znał dotychczas smaku zwycięstwa. Nie wiedział, ile radości może sprawić wojskowy sukces. Żałował, że nie może dzielić szczęścia z chłopakami z Legionów, ale liczył, że już niedługo znów się z nimi spotka. Plany dezercji traktował jako nieaktualne. Postanowił, że nie będzie uciekał. Ani przed masonami, ani przed podporucznikiem Turkiewiczem.

– Może życzy pan sobie odpocząć, coś zjeść lub się napić? – zaproponował doktorowi oficer.

– Z chęcią skosztuję wina z papieskich piwnic, jeśli łaska – odparł Bagutti. – Wiele o nich słyszałem.

– A ja proszę o coś do jedzenia – dodał niepytany Kazik.

– Idź, chłopcze, do kuchni. – oficer skinął mu. – Tamtym korytarzem, potem w dół i w lewo.

– Tylko się nie schłaj – rzucił za nim Bagutti. – Za kwadrans widzę cię przy bramie. Sam pan wie, kapitanie, ile teraz jest problemów ze służbą. Trudno dziś o lokaja, który nie byłby pijakiem i chamem.

Chłopak uklonił się obu mężczyznom i ruszył we wskazanym kierunku. Już po chwili dotarł do celu, kierując się bardziej zapachem niż radami oficera. Dwie pulchne kuchenne natychmiast zajęły się zmaltretowanym chłopakiem. Choć kuchciki patrzyli na to z zazdrością, Kazik został posadzony przy stole i uraczony ciepłym plackiem z kawałkami warzyw,

posypanym serem. Wiedział, że to danie nazywa się *pizza*, choć nie zdarzyło mu się go jeszcze skosztować. Przyzwyczajony do niewyszukanego, wojskowego wikt, zachwycił się, czując w ustach mieszankę aromatów i smaków. Spałaszował całą porcję i w przypiływie dobrego humoru ucałował kuchenną w rękę. Dostał za to ścierą w gębę, ale pański gest musiał zrobić wrażenie na kobiecie, bo spytała, czy nadal jest głodny. Oczywiście, Lux bez wahania przytaknął.

Okazało się jednak, że świeże dania już się skończyły, a obiad nie jest jeszcze gotowy i jedyne, co może dostać, to suszone mięso na drogę. Nieco rozczarowany, zgodził się łaskawie i podziękował, kłaniając się kucharkom w pas. Poszedł z kuchcikiem do spiżarni, do której jednak nie został wpuszczony. Zatrzymali się w korytarzu, gdzie stały, przykryte szarym płótnem, wielkie beczki. Kuchcik odsłonił jedną z nich i uniósł wieko.

– Bierz, tylko nie za dużo. To żarcie dla naszego wojska.

Polak sięgnął do środka, gdzie, poukładane jedne na drugich, leżały zaskakująco znajome łąty mięsa. Widocznie wszystkie armie żywiły się tym samym. Beczki też wyglądały znajomo. Furier wziął dwa kawałki mięsa i spojrzał uważnie na wieko, gdy kuchcik je zamykał. Ku zgrozie Luxa na drewnie tkwiła czarna pieczęć z pelikanem rozdziobującym pierś i węgielnicą. Masoński znak!

Chłopak poczuł, że kolana zaczynają mu dygotać. Oni byli wszędzie! Beczka musiała tu trafić z magazynów legionowych. Papiści okradali polskie wojsko przy pomocy wolnomularzy! To nie mieściło się w głowie!

Wyszedł z pałacu jak otepiały, niemrawo międląc w ręku dwa kawałki mięsa, z których każdy w armii cisalpińskiej uchodził za dzienną rację. Po namyśle cisnął je w błoto. Kto wie, może były zatrute?

## 2 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (22 grudnia 1797 roku)



**D**o Cattolica dotarli o piątej rano. Sekretarz arcybiskupa szybko domyślił się, że usłużny szlachcic jest w jakiś sposób związany z republiką, a towarzysząca mu banda to żołnierze cisalpińskiej armii. Trzymał jednak język za zębami, a przed obliczem generała Dąbrowskiego jeszcze bardziej spokorniał, zmalął i zbladł tak, że niemal stopił się ze ścianą oficerskiej kwatery. Kazik nie został wpuszczony do środka, ale za to łaskawie pozwolono mu odejść do kwatery, by nałożyć mundur. Okazało się, że szukano go jako dezertera, ale wystarczyły krótkie wyjaśnienia doktora Hoffmana, by natychmiast został zrehabilitowany.

Furier przebrał się z ulgą i cisnął w kąt strój lokaja. Na szczęście żaden z legionistów nie widział go w liberii, bo na długie tygodnie stałby się pośmiewiskiem. Ledwie rzucił się na słomę, by choć na chwilę się zdrzemnąć, gdy na zewnątrz rozległ się łomot werbli. Furier zwłókł się z posłania i zaczął pakować plecak. Wiedział, co go czeka. Legion wyruszał, by zająć zdobyte miasto. Zdobyte przez Kazika.

Po raz trzeci w ciągu dwóch dni Lux przemaszerował drogę między Cattolica a Pesaro. Po drodze o mało nie stracił przytomności ze zmęczenia, bo dwie noce z rzędu nie zmrzył oka. Ostatnie kilometry pokonał trzymany pod ramiona przez bliźniaków Kura. Pozwolił sobą sterować i prowadzić, gdzie wola. Zasnął, gdy tylko legioniści posadzili go na chwilę pod drzewem. Nie obudził się, kiedy niesiono go do zamku Sforzów, który przekształcono w koszary cisalpińskiej armii. Ominęło go rozbieranie papieskiej załogi, wydawanie podwójnych racji żywnościowych dla uczczenia sukcesu i wreszcie wkopanie – w obecności załamane go arcybiskupa – „drzewka wolności” na placu przed Pałacem Dozów.

Saluzzo okazano należne honory, dostał nawet osobistą obstawę, którą u jego boku miał pełnić przynajmniej jeden polski oficer. Do zamku sprowadzono dotychczasową radę miejską – oficjalnie dla ochrony przed tularczyką, a w rzeczywistości po to, by uwięzić ją razem z papieskim gubernatorem. Arcybiskup został więc internowany w swoim pałacu, a w zamku zamieszkało ponad siedmiuset polskich legionistów i kompania Cisalpińczyków. Kwaterować

miał tu także generał Lacchi, dowódca Pierwszej Legii Polskiej.

Lux obudził się dopiero wieczorem, potwornie głodny i spragniony. Okazało się, że koledzy ułożyli go w niewielkim pomieszczeniu gospodarczym leżącym na uboczu, dzięki czemu w spokoju przespał prawie osiem godzin. Powinien natychmiast wyruszyć na poszukiwanie Wierzbickiego, by mu się wreszcie zameldować i z powrotem przejąć obowiązki furiera, a potem odszukać podporucznika Turkiewicza, by dać mu satysfakcję, a więc pozwolić posiekać się na plasterki. Zamiast tego spokojnie skierował się do zamkowej kuchni, której lokalizację zdążył poznać dzień wcześniej.

Zastał w niej tylko kuchcików szorujących gary. Ci zastygli z otwartymi gębami, rozpoznając w polskim żołnierzu lokaja, którego karmili dzień wcześniej. Szczególnie zmieszana minę miał chłopak, który częstował go suszonym mięsem.

– Co się tak gapicie, bęcwały? – przyjaźnie spytał furier. – Pan uczył, by napoić spragnionego i nakarmić głodnego. Dajcie coś do jedzenia.

– Ale skąd? Polacy wszystko wyżarli, a klucz od spiżarni zabrali. – Kuchcik rozłożył ręce.

– Co wy mi za bajki wciskacie? Kuchenni nie mają dostępu do żarcia? Myślicie, że urodziłem się wczoraj?

Nie musiał nalegać zbyt długo, by coś się znalazło. Wyszedł na dziedziniec, zając pajądę chleba z kawałkiem wołowiny. Dostał też kubek mleka. Zapadła już grudniowa noc. Na pustym przedpolu niewielkiego zamku rozpalono kilka ognisk. Grzali się przy nich fizylierzy, obok stały muszkiety poustawiane w kozły. Panowała podwyższona gotowość – pewnie na wypadek buntu tych mieszczan, którzy pozostali przyjaźni papieżowi. Kazik zbliżył się do ognia, gdzie, jak to furiera, przywitano go przyjaźnie. Niestety, nie miał nic dla kompanów, ani kropli alkoholu. Któryś wiarus poczęstował go odrobiną tytoniu w cienkiej fajeczce, własnoręcznie wydrążonej w patyku. W ramach podziękowania Lux opowiedział im o prowokowanej rewolucji, w której sam wziął udział. Gawędy przy ognisku były częstą rozrywką, zatem słuchano go z uwagą, zadając pytania i ciesząc się sukcesu.

– Jak tak dalej pójdzie, do Wielkanocy zdobędziemy wszystkie miasta stąd do Rzymu – podsumował szeregowy Biernacki.

– Głupiś i tyle – burknął Anzelm Kura. – Pokażemy tylko, na co nas stać i że Italiańcy mogą nam co najwyżej buty woskować, a wtedy Wielki Bartek<sup>[41]</sup> przekona się, że Polacy to nie byle kto i każe nam zaatakować Austrię. Pójdziem na cholernych Habsburgów i najdalej do Wielkanocy odbijem z ich łap Kraków.

Wizja roztoczona przez legionistę bardzo się wszystkim spodobała i została potraktowana jak prorocstwo. Kazik patrzył w ogień, rozmyślając nad słowami przyjaciela. Nie mógł sobie wyobrazić, że za kilka miesięcy dojdą do Polski. Jego tam jeszcze nie ciągnęło, nie miał za bardzo do czego wracać. Co więcej, dręczyło go przecucie, że miną długie lata, nim

zawędruje w rodzinne strony. Jeśli w najbliższych dniach nie zostanie zaszlachtowany przez podporucznika Turkiewicza.

Podrapał się po głowie, myśląc, jak by tu wymigać się od pojedynku. Sprawa nie wyglądała ciekawie, szczególnie że na szali leżał też honor sekundantów. Jeśli Kazik stchórzy i wycofa się rakiem, zasłaniając służbą lub chorobą, obrazi kapitanów Wierzbickiego i Haumana. Czego jak czego, ale kolejnych wrogów wśród oficerów nie było mu trzeba.

Tkwiał tak przy ogniu, słuchając jednym uchem rozmów legionistów, którzy zajęli się wspomnianiem rodzin i swoich domów. Nic dziwnego, jutro wszak miała nadejść Wigilia Bożego Narodzenia i wszystkim zrobiło się tęskno za bliskimi. Niektórzy z wężaczy nie odwiedzali domu od kilku lat. Ci z reguły milczeli, pogrążeni we wspomnieniach. Młodszy legioniści z kolei czuli potrzebę opowiedzenia kompanom o swoich matkach i narzeczonych, braciach i wujach. O tym, co się u nich jada i jakie są zwyczaje w regionie. Albo choćby o tym, kto się upił na pasterce i co z tego wynikło.

– Chodźcie no, kapralu, na boczek, mam do was pewną sprawę. – Niespodziewanie ktoś położył rękę na ramieniu Kazika.

Żołnierz odwrócił się i ujrzał nieznanego mu z widzenia legionistę, który odwracał twarz od ognia, jakby jego blask go raził. Lux położył dłoń na rękojeści tasaka. Może to jakiś konfrater podporucznika Turkiewicza? Odciągnął go na bok i wymierzą sprawiedliwość?

– Ktoś ty? – spytał wprost.

– Pomagier doktora Hoffmana – odparł tamten, cofając się w cień. – Chodź już, bo na ciebie czekają.

– Czekają? Kto na mnie czeka?

– Ty już dobrze wiesz kto, nie udawaj głupka. Idziemy, bo będą kłopoty – odpowiedział posłaniec tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Furier ruszył za nim, zaskoczony własną potulnością. Zachowanie mężczyzny było jednak pozbawione groźby czy nieszczerości. Przekazał tylko polecenie i był przekonany, że Lux wie, o co chodzi i kto na niego tak niecierpliwie czeka. Ciekawość pchnęła więc chłopaka za legionistą.

Weszli przez drzwi w lewym skrzydle zamku i przemaszerowali pogrążonym w ciemności korytarzem. Na kamiennej posadzce stukanie buciorów o drewnianych podszewkach niosło się głębokim echem. Obcasy trzaskały niczym muszkietowe strzały. Kazik poczuł się nieswojo, bo znaleźli się w opuszczonej i upiornie ponurej części zamku. Posłaniec nie odzywał się słowem. Szedł za to pewnie, jakby przemierzał tę drogę setki razy. Wreszcie skierował się do drzwi, za którymi wiły się schody w dół, do piwnic.

– O nie, dalej nie zrobię kroku – kapral pokręcił głową – dopóki nie dowiem się, gdzie

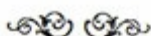
idziemy.

Dałby głowę, że z otchłani w dole dobiegał basowy pomruk, jakby muzyka organów lub trąb. Wyraźnie też z piwnic snuł się blady, upiorny blask. Pachniało siarką i zgnilizną, niczym na bagnach. Kazik cofnął się o krok.

W odpowiedzi nieznajomy wyciągnął z kieszeni płaszcz pistolet. Odciągnął kurek, a lufą szturchnął Luxa w brzuch.

– Idź – powiedział. – Nie pozwól im długo czekać, dobrze ci radzę.

Furier posłuchał. W głosie posłańca nie było żądy mordu ani nienawiści. Pistolet miał być tylko argumentem, a nie sposobem wymierzenia kary. Kazik zszedł po schodach. Te wiły się jak skorupa ślimaka, wprost w żarzący się w dole straszliwy blask.



Muzyka dudniła coraz głośniejsze, ale była stłumiona, jakby dochodziła z trzewi spoczywającego pod zamkiem śpiącego potwora. Smród też się nasilał, a kojarzył się z oddechem gigantycznej bestii – bił wyziewem trucizny i zgnilizny. Lux zszedł do przestronnej pieczary o wysokim sklepieniu. Wewnątrz było jasno dzięki licznym stojakom na pochodnie. Tkwiły w nich dziwne łuczywa, żarzące się nie ogniem, a bladozielonym blaskiem. One też były źródłem niesamowitego smrodu. Kazik ze zgrozą zorientował się, skąd zna ten zapach, ni to siarki, ni gazów błotnych. Tak samo pachniały wymiociny otrutych nieszczęśników, w tym jego Sofii. A blade światło miało ten sam kolor i nienaturalność co światło, którym opalizowały nieczystości zabitych.

Ta sama trucizna! Zabijała i świeciła bez ognia. Kapral z trudem opanował szcęknięcie zębami. Sięgnął do rękojeści tasaka, ale nie zdecydował się go dobyć. W tym właśnie momencie dostrzegł mroczne postaci stojące za upiornymi pochodniami. Wynurzyły się z mroku i stanęły w dwóch szeregach, tworząc szpaler prowadzący w głąb pomieszczenia.

Organy uderzyły w dostojną nutę. Dźwięk zatrzęsł trzewiami Kazika i prawie namacalnie nacisnął na jego pęcherz. Chłopak zadygotał, ale powstrzymał się przed popuszczeniem w spodnie ze strachu. Mężczyźni, którzy tworzyli szeregi, ubrani byli w sięgające ziemi peleryny z kapturami. Ich twarze pozostawały całkowicie niewidoczne, tak samo jak szczegóły sylwetek. Wyglądali niczym duchy z otchłani. Wszyscy nucili basem melodię graną przez piekielne organy. Lux zrozumiał, że czekają, aż ruszy środkiem ich szpaleru. Drgnął, rozważając, czy nie rzucić się do ucieczki, ale zamiast tego postąpił pewnym krokiem przed siebie.

On, warszawiak z dziada pradziada, nie będzie się bał bandy pajaców poprzebieranych za upiory. Jeśli wydaje się im, że łatwo go nastraszą, to srodze się mylą. Zaraz im pokaże, kto kogo powinien się bać. Szedł między mężczyznami, starając się zaglądać pod kaptury. Chyba

popsuł im tym nastrój, bo jeden z nich nawet się cofnął, widocznie nie chcąc zostać rozpoznany.

Po kilkunastu krokach dojrzał kraniec pieczary, pogrążony dotychczas w mroku. Jak na zawołanie rozblęły dwie olejowe latarnie, tkwiące w stojakach w rogach komnaty. Oświetliły podwyższenie, na którym stał mężczyzna w masce o dziwacznym kształcie, wyobrażającym słońce otoczone wiankiem złotych promieni. Za jego plecami wisiała chorągiew przedstawiająca piramidę z okiem nad wierzchołkiem. Dalej stała niewielka fisharmonia, za której klawiaturą siedział jeden z legionowych muzyków, w zwykłym mundurze. Kazik zdążył się już domyślić, że wezwali go wolnomularze i właśnie stoi przed masońskim mistrzem. Oby to był ryt związany z nauką, a nie okultyzmem. Choć z drugiej strony, jedni i drudzy byli sobie warci. Banda świrów, po których można wszystkiego się spodziewać.

– Kazimierzu Lux! – zagrział mistrz czystą polszczyzną. – Stoisz przed Oświeconymi, którzy próbują zaprowadzić Ład i Światłość na tym padole łez. Nasza misja została zakłócona, a zadanie, które ma przynieść chwałę całej ludzkości, rozprzestrzenić Wolną Myśl i Mądrość, po raz kolejny staje w obliczu katastrofy. Choć nie jesteś w żaden sposób związany z naszym rytym, muszę nalegać, byś się przed nami otworzył i okazał chęć współpracy. Ponoć wyraziłeś wolę przystąpienia do zgromadzenia?

Podoficer zamarł ze zgrozy. Rzeczywiście, prosił doktora Hoffmana o wprowadzenie do loży, ale zrobił to na polecenie generała Kniaziewicza, by wypełnić powierzone przez niego zadanie. Miał przystąpić do każdej bandy, która wydawała się podejrzana o otrucie legionistów. Śledztwo zostało jednak umorzone na osobisty rozkaz generała Dąbrowskiego. Czyżby to on stał na piedestale, przebrany za słońce?

– Tak, panie – wykrztusił furier. – Prosiłem o możliwość przystąpienia do stowarzyszenia.

– Nie jest łatwo dostąpić tego zaszczytu – odparł mistrz. – Musisz wykazać się silnym, krystalicznie czystym charakterem, odwagą i gotowością do poświęceń. Ważne jest także zrozumienie naszych celów, świadomość tego, do czego dążymy. Jesteś poza tym zbyt młody, by zasiąść w loży. Jeszcze długa droga przed tobą, wiedz jednak, że bywają wyjątki i ryt potrafił nagradzać ludzi godnych, niezależnie od ich stanu, wieku i majątności.

– Czego ode mnie oczekujecie, panie? – Kazik patrzył śmiało w złote oblicze.

– Pomożesz nam rozwiązać pewien problem. Zadam ci teraz kilka pytań. Wiedz jednak, że oczekujemy odpowiedzi szczerych. Nie tolerujemy matactw i kłamstw. Każemy je z największą surowością.

– Powiem prawdę – oznajmił Lux.

– Wiemy, że byłeś świadkiem pieczętowania znakami masońskimi beczek z żywnością i amunicją na zamku Sismondo w Rimini.



– Tak, widziałem ludzi, którzy znakowali prowiant – przytaknął młodzieniec.

– Kto to zrobił? – krótko spytał mistrz.

Kazik rozpoznał wtedy Giuseppe Rebuffa i kapitana Roosa. Ten pierwszy był nadętym Italiańcem, który często otwarcie pogardzał Polakami, natomiast Adrian Roos, Niemiec w polskich oddziałach, wielokrotnie okazywał serce prostym żołnierzom. Lux służył pod jego rozkazami od początku kariery w armii i uważał oficera za „swojego”. Jako chłopak z warszawskiego podwórka kierował się czasem – gdy było mu to na rękę – specyficznym kodeksem, bezwzględnie zakazującym wydawania kompana w ręce władz. Nieważne, co straszego ten by zrobił. Zawsze należy chronić swojego.

– Beczki pieczętował zakapturzony oficer armii cisalpińskiej, a towarzyszyli mu kwatermistrz legionowy, pan Rebuff i żołnierz, którego nie rozpoznałem – skłamał bez wahania.

Przesłuchujący milczał dłuższą chwilę, wpatrując się złotym obliczem w Kazika.

– Ponoć widziałeś te same beczki w spiżarni zamku w Pesaro – zadudnił mason.

– Znalazły się na stanie armii papieskiej, a ich zawartością byli karmieni żołnierze z miejscowego garnizonu – przytaknął chłopak.

– Nikt z naszych braci nie pieczętował beczek, a po zajęciu Pesaro nie znaleziono żadnych pojemników, o których mówisz – oznajmił mistrz. – Publicznie oskarżasz wolnomularzy o kradzież żywności oraz amunicji i przekazanie ich wrogowi. Twierdzisz przy tym, że w tym procederze wziął udział wysoko postawiony kwatermistrz i dwóch oficerów.

– Mówię prawdę – wycedził Lux przez zaciśnięte gardło. Miał wrażenie, że ktoś założył mu pętlę na szyję i zaczął dusić. Co go podkusiło, by opowiadać chłopakom o tych sprawach? Hoffman doniósł o wszystkim masonom i teraz ci odpowiednio za to podziękują.

– Nasz ryt co rusz staje się celem ataków ze strony walczących o władzę ugrupowań i elit arystokratycznych – powiedział główny wolnomularz. – Dla wielu istnienie i działalność stowarzyszenia są bardzo niewygodne. Twoje opowieści sprawiają wrażenie inspirowanych przez naszych wrogów i mogą mieć na celu zniszczenie wizerunku rytu. Mają spowodować, byśmy zostali wyjęci spod prawa i skazani na całkowicie tajną działalność. Zdajesz więc sobie sprawę, chłopcze, że twoje słowa są bardzo niebezpieczne? Masz jeszcze jednak szansę, by naprawić swe czyny. Powiedz prawdę, kto kazał ci opowiadać podobne rzeczy?

Kazik kątem oka widział, że sylwetki za jego plecami się przesunęły. W każdej chwili spodziewał się pchnięcia sztyletem w plecy. Zaczynał się obawiać, że nie wyjdzie żywy z tej piwnicy. Jego śmierć będzie rytualnym obrzędem, pokazem siły i jedności loży. To dlatego aż tylu ich się tu zebrało. Urządzają pokazowy proces.

– Nie kłamie, wasza miłość. – Uderzył się pięścią w pierś. – Jacyś masoni kradną żywność,

zatrzuwają ją lub przekazują nieprzyjacielowi. Sprawdźcie stany magazynowe w księgach – z pewnością będzie brakować kilkunastu beczek mięsa! Dlaczego nie zapytacie Rebuffa, komu oddał beczki?

– Kwatermistrz Rebuff wyjechał do Mediolanu i obecnie jest poza naszym zasięgiem – odparł mistrz. – Księgi kazaliśmy sprawdzić naszemu bratu z intendentury. Wszystko się w nich zgadza, nie zginął nawet funt mąki.

– A ten brat to kto? Może jest zamieszany w spisek! – oburzył się chłopak. – Nie widzicie, że macie szczury w szeregach?

– Nikt nie łamie wolnomularskiej przysięgi, chłopcze. To niemożliwe. Wszyscy jesteśmy ludźmi honoru – spokojnie odparł mason. – Skoro o honorze mowa, to czy zdajesz sobie sprawę, że atak na lożę jest jednocześnie atakiem na honor Legionów? Co będzie, gdy do Dyrektoriatu dotrze, że polscy bracia rytu okradają własną armię i współpracują z nieprzyjacielem? Napoleon rozkaże nas rozwiązać, pod nóż pójdzie zarówno polska loża, jak i Legiony. Tego chcesz? Chcesz, byśmy wszyscy zostali pohańbieni?

– Ależ skąd! – oburzył się Kazik. – Zrobię wszystko, co konieczne, by honor Legionu nie ucierpiał. Uwierzcie mi jednak, że ktoś z was popełnia straszliwe czyny. Nie tylko kradnie, ale i dopuszcza się morderstw. To z pewnością także on zatrzał mięso, od którego zginęli strzelcy i cywile.

– Jeden z nas? Skąd ten wniosek? Zbyt pochopnie szafujesz oskarżeniami. – Słońce pokręciło głową.

– Przecież trucizna była tym samym, co świeci w tych łuczywach. – Lux doskoczył do najbliższego stojaka i złapał pochodnię.

Obrócił się, zataczając łuk lśniącem upiornie kijem. Czarne sylwetki stały wokół ciasnym szeregami. Nie cofnęły się przed zaimprovizowaną bronią.

– To nowa substancja, której właściwości nie są jeszcze dobrze znane – przemówił jeden z kapturów. Kazik rozpoznał głos doktora Hoffmana. – Możliwe, że jest silnie trująca i ktoś wykorzystał ją do ataku na Legion. Loża nie miała z tym jednak nic wspólnego. Uspokój się, Kaziu. Odstaw to na miejsce.

– To któryś z was, dranie! I teraz próbuje dobrać się do mnie, oskarżyć o oczernianie loży i Legionów – wycedził kapral, trzymając w górze pochodnię. – Nie poddam się jednak łatwo, będę walczył do końca. No, który spróbuje mnie załatwić? Co, boicie się pojedynczo? Żaden nie stanie jeden na jednego, będziecie mnie bić kupą? I po co było to gadanie o honorze?

Nie dać zrobić z siebie ofiary, nie pozwolić się zaszczuć! – myślał Lux intensywnie. – Zawsze trzeba przejmować inicjatywę, wszak najlepszą obroną jest atak.

– Który z was stoi za zamachami, gadać! – ryknął. – Kto próbuje mnie wrobić? Kto ma

dostęp do masonskich pieczęci i możliwości, by wysłać wozy z beczkami na teren wroga? Wystarczy znaleźć tego człowieka, a będziecie mieli winnego! Chyba że ten sukinsyn stoi za wysoko. Może to ty, mistrzu? Ty jesteś mordercą kobiet i dzieci? Zdrajcą i papieskim szpiegiem?

Kazik wymierzył łuczywo w słoneczne oblicze. Tym razem jednak przesadził. Mistrz ryknął wściekle i odrzucił pelerynę, odsłaniając polski mundur oficerski. Dobył szabli i zeskoczył z piedestału.

Jasna cholera, obraziłem tego pajaca! – pomyślał furier rozpaczliwie.

Na przeprosiny było już jednak za późno. Kazik obrócił w dłoni drzewce łuczywa, wyobrażając sobie, że trzyma rękojeść szabli. Ustawił kciuk naprzeciw palca wskazującego, palcem serdecznym docisnął drewno do poduszki dłoni. Zanim mistrz-słońce go dopadł, przyjął prawidłową postawę szermierczą.

Ostrze kierowało się na jego głowę.

Zasłona i odskok!

Stał trzasnęła w drewno, chłopak sparował cięcie i znalazł się dwa kroki dalej. Oficer natarł ponownie.

Cięcia celowane w brzuch i prawy policzek. Pchnięcie w pierś, głowę. Cięcia w lewy bok, cięcia w prawy bok. Żaden cios nie dotarł do celu.

Chłopak zasłaniał się sprawnie, cofając krok za krokiem. Mistrz atakował tak szybko, że Kazik nie miał szans odpowiedzieć ripostą. Zresztą kawałek jaśniejszego drewna nie mógł zrobić przeciwnikowi zbyt wielkiej krzywdy. Pozostawała więc obrona i modlitwa, by szermierzowi powinęła się noga. Lub by się opamiętał.

– Jestem niewinny! – wrzasnął furier. – Wszyscy się na mnie uwzięli, a ja tylko próbuję wykonywać swoje obowiązki!

Kolejnej szarży słońca nawet nie próbował parować, tylko obrócił się na pięcie i jednym potężnym susem skoczył między zakapturzonych masonów. Nie zdążyli się przed nim rozstać, wpadł w nich i ściał jednego z nóg. Runęli obaj, zaplątani w pelerynę wolnomularza. Kapturem spadł mężczyźnie z głowy, odsłaniając przerzedzoną czuprynę doktora Hoffmana.

– Znowu – wyjął lekarz.

– Raczy pan wybaczyć, panie Jakubie. – Kazik przeturlał się w bok, zostawiając medyka, którym początkowo planował się zasłonić przed opadającą szablą.

Właściwie powinien złośliwie wystawić Hoffmana na razy, przecież przez niego tu trafił. To lekarz powtórzył masonom wszystkie opowieści Luxa. Mimo to młodzieniec nie czuł do niego urazy, zbyt lubił spokojnego i poważnego doktora. Rozumiał, że ten jest po prostu wierny swojej konfraterni.

– Dość tego, mistrzu! – Hoffman zaskakująco żwawo poderwał się z ziemi i własną piersią zasłonił chłopaka.

Słońce zapanowało wreszcie nad gniewem i opuściło ostrze. Nieruchome, złote oblicze patrzyło wyniośle na kaprała, który wiedział, że znów ważą się jego losy.

– Niech ci będzie, Lux – wysapał mistrz spod maski. – Sprawdzimy dyskretnie, który oficer wyfasował ostatnio zaprzęg do transportu. Jeszcze raz sprawdzimy też księgi magazynowe...

– To bezcelowe – przerwał mu Kazik. – Dobremu kwatermistrzowi zawsze wszystko będzie się zgadzać, choćby magazyn świecił pustkami. Sprawdźcie lepiej, kto miał dostęp do świecącej trucizny.

– Te dwie sprawy nie muszą mieć ze sobą związku – wtrącił Hoffman. – Proszę wybaczyć, mistrzu. – Skłonił się, gdy słońce zwróciło się w jego stronę, po czym zarzucił kaptur na głowę.

– Doktor ma rację, truciciel nie musiał mieć nic wspólnego z kradzieżą żywności, choć obie sprawy uderzają w honor Legionu i naszą organizację – zauważył mistrz i wreszcie wsunął szablę do pochwy. Warszawiak spostrzegł, że to pozbawiona ozdób „kościuszkówka” o charakterystycznym kanciastym kabłąku. Niewielu oficerów przywiozło do Legionów własną, polską broń. Przy odrobinie szczęścia Kazik zidentyfikuje przywódcę loży i będzie się trzymał od niego z daleka.

– Jeśli okaże się, Lux, że to intryga kierowana przez szkodników na garnuszkach obcego mocarstwa, a ty z nimi współpracujesz i celowo wprowadzasz zamęt, potraktujemy cię bardzo surowo – ostrzegł mistrz. – Głupcy, którzy próbują nam szkodzić, konają w męczarniach. I nie obawiaj się, nie użyjemy przeciw tobie trucizny albo podobnie niskiego i uwłaczającego honorowi skrytobójstwa. Wystarczy żelazne ostrze w rękach zdolnego szermierza, a skazany zdycha całymi godzinami i czuje każdą kroplę krwi wypływającą z rozprutych bebeczków.

Kaprał przełknął ślinę. Jeśli masoni dowiedzą się o jego konszachtach z Zarębą, może mieć poważne kłopoty. Już lepiej rzucić się podporucznikowi Turkiewiczowi pod szablę.

– Doktor będzie miał cię na oku, chłopcze – oznajmiło słońce. – Masz pilnie rozglądać się za ludźmi, którzy towarzyszyli Rebuffowi w pieczętowaniu beczek. Jeśli któregoś dostrzeżesz, natychmiast zamelduj o tym Hoffmanowi. Ale jeśli okaże się, że żadne beczki nie zginęły i tylko rozpuszczasz wrogą propagandę...

– A co z trucicielem? – dopytywał się Kazik. – Chciałbym pomóc wam go wytropić. Mam z nim do pogadania. Zabił moją narzeczoną i splamił mój honor.

Co ja gadam? – sam się zdumiał. – Zaczynają mi się udzielać te ich bzdury o honorze.

Słońce znów świdrowało go błyszczącymi zimno oczami. Mistrz podniósł upuszczoną przez chłopaka pochodnię. Oglądał ją chwilę.

– Skąd mamy te zabawki? – rzucił w pustkę. – Uczniu Melchiorze, skąd wzięłeś tę substancję?

Jeden z masonów wystąpił z szeregów, rozkładając ręce.

– Od pewnego aptekarza z Rimini – odparł niepewnym głosem. – Ów jegomość należał do założonej przez Cagliostro Łoży Egipskiej. Podawał się za jego ucznia, mistyka i badacza wiedzy tajemnej. Zabiegał o przyjęcie do francuskiego rytu, a na znak dobrej woli przekazał nam całą beczułkę białego proszku zalanego wodą. Po wysuszeniu to coś pali się białym ogniem, dymiąc straszliwie. Zmieszane z tłuszczem jest bezpieczne i tylko świeci w ciemności. Myślałem, że doskonale nadaje się do wykorzystania w spotkaniach jako element dekoracyjny i potęgujący nastrój...

– Skąd ten człowiek to wziął? – groźnie huknął przywódca.

– Twierdzi, że stworzył tę substancję sam, z kości zwierząt i moczu.

– Trzeba by wysłać kogoś do Rimini, by przesłuchał tego gagatka – nieśmiało wtrącił Kazik.

– Pojedziecie tam we dwóch, Lux – zdecydowało słońce – razem z Hoffmanem. Jutro dostaniecie oficjalny rozkaz, by zbadać stan żywności w magazynie. Tak po prawdzie, to żołnierze od jakiegoś czasu skarżą się na nieświeże mięso, po którym co drugi okrutnie choruje.

– Rozkaz, panie... mistrzu. – Kazik wyprężył się na baczność.

– A teraz wynocha – warknął oficer. – I pamiętaj, Lux, mamy cię na oku!

Chłopak zsalutował i dziarskim krokiem ruszył do wyjścia. Miał wrażenie, że z każdym stągnięciem unosi się lekko nad ziemią. Jak wielką ulgę przyniosła mu świadomość, że to nie wolnomularze stali za morderstwem Sofii. Poza tym znów udało mu się ujść z życiem, a w dodatku wracał do śledztwa.

I to mając po swojej stronie potężną organizację.

## 3 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (23 grudnia 1797 roku)



**K**olejny dzień spędzili w marszu. Kazik przywykał do tego, że służba w armii, która miała być ciągiem wspaniałych przygód na polach bitew, była faktycznie nieustannym zdzieraniem podeszew lub oczekiwaniem. Całe szczęście, że trafiły mu się solidnie wykonane buciory, więc – mimo sporego już zużycia – jeszcze trzymały się kupy. Co prawda materiał w kilku miejscach się przetarł, przez co furier ciągle miał przemoczone onuce, ale zdążył się przyzwyczaić do tej niewygody. Mimo wszystko marzyły mu się porządne, oficerskie buty ze skóry i z odpowiednio wysoką cholewą, a nie takie jak te, zrobione przez makaroniarzy – nie dość, że były liche, to jeszcze za krótkie, więc trzeba było nakładać powyżej nich getry, by nie świecić gołymi łydkami. We Włoszech porządne buty zdawały się równie trudne do zdobycia, jak miska gorącego, świątecznego barszczu z grzybami lub pierogi z kapustą.

Swojskie jedzenie było ostatnio marzeniem wszystkich legionistów, bez względu na szarżę. Żołnierze coraz częściej gadali o kapuście i kaszy ze skwarkami, wspominali polskie jabłka i ze łzami w oczach mówili o piwie. Tego ostatniego, ku ogólnej rozpaczycy legionistów, w Italii właściwie nie produkowano. Jak długo zaś można pić wino i zagryzać kluchami? Kazik oddałby półroczny żołd za pęto gorącej białej kiełbasy z chrzanem i kufel piwa.

Odruchowo pomasaował się po burczącym brzuchu. Miło byłoby choć w jutrzejszą Wigilię zjeść coś smacznego i swojskiego. Niestety, dziś w plecaku miał tylko kawałek suchego, włoskiego chleba *pagnotta*. Italiańcy robili nie najgorsze pieczywo, ale wojsko otrzymywało to z najpodlejszej, grubo mielonej mąki. Często zatem zgrzytało w zębach lub trzeba było wypluwać twarde ziarna.

– Jak myślisz, Kaziu, zdążymy do garnizonu przed zamknięciem kuchni? – spytał zdyszany Hoffman.

Lux narzucił ostre tempo, sadząc długimi nogami pokaźne kroki. Starszy wiekiem lekarz musiał mocno się napocić, by nie zostać w tyle. Szli starożytnym traktem prowadzącym wzdłuż wybrzeża, drogą najkrótszą z możliwych. Mieli do pokonania blisko trzydzieści kilometrów,

co nie było jakąś szczególnie dużą odległością. A że nie opóźniały ich tabory, bez wysiłku powinni pokonać ten odcinek jeszcze przed wieczorem. Minęli już Cattolica i zbliżali się do Riccione, które leżało mniej więcej w połowie drogi.

– Jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś odwiedzimy naszego aptekarza i zadamy mu kilka pytań – powiedział kapral. – Nie zamelduję się w twierdzy, dopóki nie wykonam zadania. Złapię truciela, choćbym miał przemaszerować całą Italię wzdłuż i wszerz.

Mistrz wolnomularski musiał być wysoko postawionym oficerem, bo furier dostał rozkaz wymarszu od swojego kapitana jeszcze wczoraj, raptem dwie godziny po rozmowie z masonami. Warszawiakowi zależało, by się wykazać i jak najszybciej dokończyć tę sprawę. Znowu odżyła w nim żądza zemsty za śmierć Sofii, a poza tym miał ochotę pokazać tym cholernym wolnomularzom, że nie jest byle chłystkiem.

Trakt prowadził przez gęsto zaludnione tereny zamieszkałe głównie przez adriatyckich rybaków. Dwaj piechurzy często spotykali ludzi zajętych zwykłą robotą mimo świąt. Mężczyźni reperowali sieci, smołowali dna łodzi, przenosili kosze i skrzynie na ryby. Kazik pozdrawiał wszystkich i machał ręką, ale rzadko kto zwracał na niego uwagę. Rybacy ignorowali dwóch wędrowców – jednego umundurowanego i z polską kanciąstą rogatywką na głowie, a drugiego ubranego w niebieski surdut wojskowego lekarza i czapkę z kotylionem.

– Lud jest wierny papieżowi – powiedział Hoffman, gdy po raz kolejny rybacy odwrócili się do nich tyłem, udając, że nie widzą wędrowców. – Nie rozumie, że przynieśliśmy wolność i pokój. To dlatego nasza misja, niesienie Światłości, jest tak ważna. Ludzi prostych trzeba uczyć, by byli świadomi świata, który ich otacza. Inaczej zawsze będą ślepo słuchali księży i brzuchatych biskupów.

– Chyba tę wolność mają w nosie – zauważył Kazik. – Zależy im tylko na tym, by mieć co włożyć do miski i płacić jak najmniejsze podatki. To znaczy – żyć w spokoju, jak u pana Boga za piecem.

– Widzisz? Jesteś im podobny, też myślisz tylko o napchaniu brzucha. Nie dbasz o rzeczy wielkie – piękno wiedzy, duchowy rozwój i samodoskonalenie.

– W przeciwieństwie do was, jaśnie oświeconych panów, ja po prostu umiem postawić się w ich sytuacji. Zwyczajnie ich rozumiem. – Kapral wzruszył ramionami. – I zanim zaczniecie ich uczyć, radzę, byście dobrze ich nakarmili. Inaczej nie będą chcieli słuchać.

Hoffman burknął coś pod nosem, ale po chwili pokiwał głową z powagą. Już nawet chciał przyznać chłopakowi rację, gdy ten zatrzymał się w pół kroku i spojrzał w głąb mijanej uliczki. Skinął głową lekarzowi.

– Nasze chłopaki – oznajmił.

Przed wejściem do jednej z rozsypujących się kamieniczek stało czterech fizyliarów

z żółtymi wyłogami mundurów. Piechurzy rozmawiali głośno i radośnie, na koniec wybuchnęli śmiechem. Skupili się wokół kaprała, który każdemu wetknął coś w dłoń. Nawet z odległości trzydziestu kroków Kazik dostrzegł, że były to monety. Przeczucie mówiło mu, że powinien natychmiast się odwrócić i zniknąć, udając, że niczego nie widział. Interesy robione w ciemnych uliczkach nie lubiły świadków. W takie sprawy nie powinno się wciskać nosa, o czym wiedział młody szlachcic, który przyjaźnił się z dziećmi warszawskiej ulicy i słyszał z ich ust wiele opowieści o szemranych sprawach. Doktor Hoffman jednak tego nie wiedział. Zanim furier zdążył go powstrzymać, lekarz wykrzyknął pozdrowienie i pomachał piechurom.

– To pewnie patrol z Rimini. – Uśmiechnął się do Kazika. – Będziemy mieli towarzystwo w drodze do garnizonu.

Fizylierzy ucichli w jednej chwili, ich kapral dał znak kompanom, którzy zareagowali nerwowo, sięgając po broń. Lux wycedził przekleństwo i zasalutował żołnierzom. Jedyna szansa, by uniknąć awantury, to udawać, że niczego się nie widziało.

– Jestem doktor Hoffman, chirurg trzeciej klasy z Drugiego Batalionu – przedstawił się uśmiechnięty medyk.

– Kapral Klein z patrolem, Trzeci Batalion Pierwszej Legii. – Podoficer, chudy młodzieniec o pociągłej twarzy i podkrążonych oczach, skinął głową.

– Wracacie do Rimini, kapralu? – Lekarz nie zauważył nerwowego zachowania żołnierzy, które jednak nie umknęło Kazikowi. – Może zabierzemy się razem z wami?

– Jeszcze nie, panie doktorze. Mamy zadanie skontrolować szosę adriatycką aż do Cattolica. Do twierdzy wracamy dopiero wieczorem.

– To się wam trafiło, tuż przed Wigilią uganiać się do nocy za buntownikami!

– Służba bywa czasem *de fatigue*<sup>[42]</sup>. – Klein wzruszył ramionami.

– No cóż, zatem spokojnego patrolu! – Kazik spróbował zakończyć spotkanie. Machnął piechurom i odwrócił się, by ruszyć w dalszą drogę.

W tej chwili drzwi rudery otworzyły się ze skrzypieniem i z budynku wyszło trzech mężczyzn. Dwóch osiłków w drobnomieszczańskich kapotach i obszarpanych spodniach oraz elegant we fraku i z zakręconymi w górę wąsikami – admirał Zaręba. Na jego widok furier skamieniał, za to agent Królestwa Neapolu cały się rozpromienił.

– Kogo widzę! Kapral Lux i doktor Hoffman! Co za spotkanie!

Łagodna twarz lekarza ściągnęła się w gniewnym grymasie. Kazik rozpoznał obu osiłków, którym niedawno dał popalić w Cattolica. Oni też pamiętali niefortunne dla siebie spotkanie, bo na widok młodzieńca obaj sięgnęli za pazuchy po broń.

– Co pan tu robisz, Zaręba? – burknął Hoffman. – Nadal narazasz dobre imię Legionów na szwank?



– Dobrze imię? Też mi coś! – prychnął admirał. – Prowadzę tylko interesy. Już przez chwilę nawet myślałem, że panowie przybyli do mojej faktorii handlowej w sprawie finansowej, jak ci fizylierzy. Szczególnie ucieszył mnie widok kaprała Luxa, w którym pokładam wielkie nadzieje. No co, macie mi coś do zaoferowania? Kapral Klein z chłopakami przynieśli pistolet i czterdzieści patronów do muszkietów. Opłacało im się – będą mogli w święta trochę się rozerwać w zamtuzie. Za broń i amunicję płacę złotem. To co macie dla mnie? Może chcecie się przyłączyć do mojej kompanii? Na Luxa od dawna czeka miejsce u mego boku. Mogę jednak przyjąć i pana, medyk zawsze się przyda.

– Jak śmiesz sugerować coś takiego, sukinsynu? – wycedził lekarz. – Jestem człowiekiem honoru. Jeszcze dziś władze legionowe dowiedzą się o twoich knowaniach i kreciej robocie, którą wykonujesz. Idę natychmiast zameldować o tobie w Rimini. Tym razem nie ujdiesz sprawiedliwości, zapłacisz za swe zbrodnie, zdrajco.

Kapral Klein zmarszczył brwi. Znalazł się w nieciekawej sytuacji. Przyłapano go na sprzedaży broni, co prawo legionowe traktowało równie surowo jak dezercję. Spojrzał z ukosa na Hoffmana, kładąc dłoń na rękojeści tasaka. Kazik za to patrzył uważnie na Zarębę. Czego ten drań oczekiwał? Próbował chyba skompromitować możliwie najwięcej legionistów, by skłonić ich do dezercji i przejścia na swoją służbę. Chciał każdego obarczyć winą za jakąś zbrodnię, zamykając możliwość dalszej służby w Legionach, dlatego wmanewrował Kazika w napaść na gospodarstwo, rabunek i mord. Tego samego próbował właśnie z kapralem Kleinem. Chciał sprowokować go do zamordowania doktora. Wtedy miałby haki na wszystkich – Luxa, Kleina i jego żołnierzy – a w dodatku pozbyłby się niewygodnego, nazbyt honorowego medyka.

– Nikomu nie będziemy o niczym meldować – głośno oznajmił Kazik. – Niczego tu nie widzieliśmy, nikogo nie spotkaliśmy. Rozejdziemy się w pokoju. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Hoffman wyczuł napięcie w głosie chłopaka i wreszcie dotarło do niego, że jego życie jest zagrożone. I to niekoniecznie ze strony Zaręby. Cofnął się o krok, wyraźnie pobladył.

– Zaufacie, kapralu Klein, temu żydomasońskiemu łapiduchowi, który o każdym swoim kroku melduje kompanom ze stowarzyszenia? – prychnął awanturnik. – Wszak sam powiedział, że zaraz o wszystkim doniesie. Wtedy staniecie przed plutonem egzekucyjnym. Ty też, Lux, bo doktora z pewnością zainteresuje wiadomość, że wziąłeś udział w rabunku i mordzie cywili.

– Nieprawda! Próbowałem temu zapobiec – wycedził Kazik. – Podstępnie wmanewrował mnie pan w tamte morderstwa, admirale.

– Próbowałeś im zapobiec? Z tego, co pamiętam, przyjąłeś zrabowane złoto i udałeś, że nie słyszysz krzyków mordowanych. – Oficer uśmiechnął się. – Ciekawe, jak zinterpretuje tamte

wydarzenia generał Dąbrowski?

Klein puścił rękojęć tasaka, za to sięgnął do kieszeni płaszcza. Hoffman pobladł jeszcze bardziej, cofnął się kolejny krok. Kazik spojrzął obcemu kapralowi w oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Zaręba uśmiechnął się złośliwie. Wiedział, że obaj szacują szanse na zwycięstwo w ewentualnym starciu. Kazik chciał uratować życie Hoffmana, choć dla obu podoficerów byłoby wygodniej pozbyć się niewygodnego medyka. Admirał liczył na to, że u Luxa zwycięży rozsądek. Jeśli jest na tyle głupi, by dać się zabić dla przyjaciela, to jego strata – pomyślał. Nie potrzebował w oddziale wrażliwych durniów.

– Szkoda czasu, panowie – powiedział w końcu. – Załatwmy tę sprawę i chodźmy razem się napić. Na mój koszt. Wiem, gdzie tu można dostać przednie wino i dobrze zjeść.

Kapral niemal niezauważalnym ruchem głowy skinął warszawiakowi. Furier odpowiedział mrugnięciem i wyszarpnął tasak z pochwy. Klein wyciągnął z kieszeni pistolet skałkowy. Zaręba uśmiechnął się, zadowolony z decyzji podjętej przez unteroficerów. Hoffman załkał ze strachu.

Klein obrócił się do admirała i wymierzył broń prosto w jego twarz. Huknął strzał. Chmura dymu ogarnęła awanturnika, zasłaniając jego wykrzywioną w grymasie zdumienia twarz. Kazik skoczył na najbliższego włoskiego osiłka i ciął go zgodnie z naukami Wierzbickiego.

*Sciabolata drigatta* – krótkie cięcie. Zgiąć rękę w łokciu. Krok do przodu i wyprost. Ostrze tasaka wystrzeliło niczym żmija i z ohydny trzaskiem rozrąbało czaszkę nieszczęśnika. Drugi pomagier Zaręby z krzykiem wyciągnął pistolet, ale furier był szybszy. Kolejne krótkie cięcie, tym razem w przedramię przeciwnika. Upuszczony pistolet plusnął w kałużę. Mężczyzna krzyknął z bólu i chwycił się za krwawiącą rękę.

*Colpo di punta* – proste pchnięcie. Kazik dźgnął, ustawiając ostrze płasko. Tasak wszedł gładko w pierś Włocha, wślizgując się między żebra. Osilek spojrzął na Luxa z wyrzutem, a potem zakrztusił się krwią. Nogi się pod nim ugięły i runął w błoto. Furier zastygł nad trupem, dysząc z przerażenia i podniecenia. Nigdy jeszcze nie zaszlachtował człowieka. Poszło gładko, ale wrażenie było paskudne. Ludzie nie umierali tak jak w opowieściach.

Zaręba leżał twarzą do dołu w powiększającej się kałuży krwi. Zbój z rozrąbaną czaszką dogorywał, kopiając nogami w błocie. Jeden z fizylierów kucnął przy admirałe i zabrał się do przeszukiwania jego kieszeni.

– Zostaw – warknął Klein. – Zabieramy się stąd, zanim zleżą się ludzie.

Kazik złapał pod ramię ciągle skamieniałego z zaskoczenia Hoffmana i pociągnął go do wylotu uliczki.

– Chodu! – syknął.

Po chwili cała grupka biegła traktem w kierunku Rimini. Medyk szybko się opanował

i spojrzął z wdzięcznością na obu podoficerów.

– Dziękuję, panowie. Jestem wam zobowiązany – powiedział. – Możecie być pewni, że nikomu nie zdradzę, co tu zaszło. Niech wszystko związane z Zarębą jak najszybciej ulegnie zapomnieniu. Ten człowiek zasłużył sobie na paskudną śmierć i spoczynek w bezimiennej mogile.

Klein machnął niedbale ręką, jakby nie stało się nic godnego uwagi. Zaufał medykowi i jego słowo w pełni mu wystarczyło. Nie potrzebował podziękowań ani przysięg. Poklepał za to Kazika po plecach.

– Dobra robota, Lux – podsumował. – Gdzieżeś się tak nauczył robić szablą?

– E tam, wziąłem tylko kilka lekcji u swego kapitana – odparł warszawiak, ciągle ściskając w garści rękojeść tasaka.

Spojrzał na okrwawione ostrze, jakby zaskoczony jego wyglądem, a potem, zapominając o wytarciu, wsunął je do pochwy.

– Kilka lekcji? Człowieku, pochłastałeś ich jak zawodowy szermierz! Masz prawdziwy talent! – skomentował któryś z legionistów.

– I do tego *bravoure de gentilhomme!*<sup>[43]</sup> – dodał Klein.

Lux uśmiechnął się niepewnie. Ciągle czuł się dziwnie. Nie zawładnęła nim euforia ani duma – tak naprawdę chciało mu się rzygać. Hoffman zauważył stan młodzieńca i by mu ulżyć oraz odciągnąć jego myśli w inną stronę, zaczął opowiadać o wybrykach Zaręby. Awanturnik ów zgłosił się wiosną do Legionów, podając się za oficera artylerii litewskiej – jak się okazało, niezgodnie z prawdą. Służył w stopniu podporucznika w Pierwszym Batalionie, gdzie sprowokował kilka bójek i urządził pijaństwa z prostymi żołnierzami. Ukarano go aresztem za nagminną grę w karty i łamanie regulaminu. Po uwolnieniu zgwałcił gospodynię, która prowadziła jego kwaterę w Mediolanie. Wiedząc, że grozi mu aresztowanie i proces, a po udowodnieniu winy – kajdany, ukradł żołd przeznaczony dla całej kompanii i uciekł. Zaocznie go zdegradowano i wydalono z Legionów, ale nie ścigano, wierząc, że wrócił do Polski. Gdy Hoffman skończył mówić, Lux dodał, że Zaręba prowadził kaptowanie legionistów do armii Królestwa Neapolu, co bardzo wzburzyło lekarza.

Nagle dostrzegli domy Rimini w oddali i wznoszącą się nad miastem twierdzą. Klein pożegnał się grzecznie i oznajmił, że nie zamierza jeszcze stawiać się w garnizonie, bo oficjalnie jego sekcja jest do wieczoru na patrolu. Postanowili więc z chłopakami urządzić sobie wieczerzę wigilijną w jakiejś austerii.

– Tylko się nie schlajcie – pożegnał ich Kazik.

– Ależ skąd! – oburzył się kapral piechoty. – Mimo to wypiję twoje zdrowie, furierze!

Fizylierzy zniknęli w jednej z ciasnych uliczek, upchanych na siłę kamieniczkami i domkami

wyglądającymi, jakby pamiętały czasy rzymskiego imperium. Lux oparł się o mur i pomasaował skronie.

– Chyba też musisz się dziś napić, chłopcze – powiedział Hoffman. – Dobrze ci to zrobi.

– Nie lepszy byłby jakiś syrop lub eliksir na skołatane nerwy?

– Nie ma co niepotrzebnie szpikować się lekami. Nasz drogi przyjaciel, ksiądz Skwarski, uważa, że od aptek i lekarzy bezwzględnie trzeba trzymać się jak najdalej oraz że przed wszystkimi dolegliwościami człowiek ustrzeże się, jeśli dwa razy do roku porządnie się upije. Raz wiosną, a potem koniecznie jesienią, na zmianę pogody.

– To dlatego nasz klecha tak dużo zaprósza<sup>[44]</sup>. – Kazik uśmiechnął się. – Po prostu zapobiega katarom i dba o zdrowe nerwy.

– To fakt, Władek za kołnierz nie wylewa. Oczywiście, zawsze pija dla zdrowotności. – Medyk skinął głową.

– Idziemy do karczmy? Wolałbym odwiedzić naszego aptekarza truciciela jeszcze przed nocą.

– Nie wydawaj pochopnych wyroków. – Hoffman pogroził mu palcem. – Wiemy tylko, że piguła wyprodukował truciznę, ale mógł ją sprzedawać, nie zdając sobie sprawy, co kupujący z nią robią.

– Jasne – burknął furier, który powoli dochodził do siebie po szoku. – Wie pan, gdzie ten gagatek ma aptekę?

– Na samym rynku, na Piazza Cavour. Ponoć naprzeciw wodotrysku, który nazywa się Fontana della Pigna.

– Italiańce mają jakieś niezwykle upodobanie do wodotrysków.

– Ten postawili jeszcze w czasach rzymskich. – Lekarz skinął głową. – Sam Leonardo da Vinci podziwiał jego konstrukcję.

– Kto taki?

– Nieważne. – Medyk machnął ręką. – Idziemy. To niedaleko.

Na miejsce dotarli po kilku minutach marszu uliczkami Rimini. Z mijanych okien unosił się zapach smażonych na oliwie ryb, od którego furierowi zaczęło burczeć w brzuchu. Mieszczanie szykowali wigilijne wieczerze, a z oddali, z otwartego kościoła, niosły się świąteczne śpiewy. Kazik nagle zatęsknił za Warszawą, za niedogrzanym domem i zrzędzeniem ojca.

– To tutaj. – Hoffman wskazał drzwi, nad którymi wisiał mosiężny szyld z węzłem oplatającym kielich Higieji.

Młodzieniec energicznie załomotał kołatką. Ku jego zaskoczeniu wrota uchyliły się same. Furier spojrzał pytająco na medyka. Ten położył palec na ustach. Obaj zdawali sobie sprawę,

że w taką pogodę nie zostawia się otwartych drzwi. Lux powoli wyciągnął tasak, a jako że broń ciągle umazana była we krwi, ostrze nawet nie zazgrzytało.

Chłopak wśliznął się do środka. Znalazł się w ciemnej sieni, pachnącej chemikaliami i ziołami. Gdzieś w głębi apteki paliła się świeca lub lampa oliwna. Hoffman wszedł za furierem i pchnął go przed siebie, wysyłając pierwszego.

Kazik ostrożnie stawiał stopy. Znalazł się w komnacie o wysokim sklepieniu, spod którego zwisały wypchane okazy zwierząt z wyróżniającym się – i nieodzownym w takim miejscu – aligatorem. Na kontuarze stały dwa świeczniki, których chybotliwe światło migotało w dziesiątkach słoików i butelek wypełniających regały. Aptekarz siedział na krześle, przy pulpicie, na którym widniały rozłożone papiery i wielki kałamarz. Głowę miał odchyloną w tył tak, że patrzył prosto w sufit. W jego gardle ziała okropna, krwawarana.

– Poderżnięte – szeptem zauważył Lux. – I to chyba jego własnym nożem do przycinania piór.

Wskazał na ostry nożyk o zakrzywionym ostrzu, leżący na podłodze, w plamie krwi.

– Jasna cholera – warknął lekarz. – Spóźniliśmy się. Ktoś postanowił go uciszyć.

– Niech pan nie mówi tak głośno – szepnął kapral. – Morderca może tu ciągle być.

– Niemożliwe. – Medyk pokręcił głową. – Spójrz na ręce piguły, od spodu pojawiły się już plamy opadowe. Świece też niemal całkiem się wypaliły. Ktoś zabił go co najmniej kilka godzin temu.

– Sukinsyn wie o naszym śledztwie – mruknął Kazik, po czym podszedł do biurka. Wziął do ręki plik kartek zarysowanych tabelkami. – Pewnie porusza się konno, skoro przybył tu kilka godzin temu. To ktoś z pana kompanów z loży. Któryś mason zdradził i współpracuje z wrogiem. Mówiłem o tym mistrzowi, ale tylko się nabzdyczył, zamiast posłuchać rozsądnego człowieka.

– Co tam masz? Pokaż. – Lekarz wyjął zapiski z rąk chłopaka.

– Chyba okultystyczne brednie. – Furier wzruszył ramionami. – Albo rachunki, trudno powiedzieć.

Hoffman zbliżył zapiski do światła i chwilę wodził po nich palcem.

– To naukowe notatki i przepisy. Bardzo cenna rzecz! Może pomóc w śledztwie. Ładuj wszystkie papiery do mantelzaka, tamte też. I te księgi.

– Będzie pan miał co czytać przed snem – zauważył Kazik.

– Ty również, mój chłopcze. Pomożesz mi w badaniach, wszak umiesz czytać?

– Umieję – mruknął Lux ponuro.

Właśnie zdał sobie sprawę, że zamiast w spokoju się dziś upić, spędzi noc na studiowaniu zapisków szalonego naukowca. Niezbyt pociągała go ta perspektywa, ale jak powiedział

kapral Klein – służba bywa czasem *de fatigue*.

## 4 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (24 grudnia 1797 roku)



W rezydencji lorda Hamiltona, ambasadora brytyjskiego w Królestwie Neapolu, często goszczono Marię Karolinę. Władczyni przybywała tu sama lub z córkami, by pogawędzić ze swoją przyjaciółką Emmą. Najsłynniejsza na świecie tancerka często zabawiała jej wysokość śpiewem lub tańcem, ale ostatnio damy coraz więcej czasu spędzały na poważnych rozmowach. Emma Hart, a obecnie lady Hamilton, śliczna dziewczka z londyńskich doków, miała coraz większy wpływ na międzynarodową politykę i kształtowanie się potęgi południowoitalskiego królestwa. To ona dodawała otuchy monarchini i wiernie wspierała wszystkie jej decyzje, często bezwzględne i okrutne.

W wigilijny wieczór, zaraz po uroczystej wieczerzy, jej wysokość raczyła zostawić w pałacu gromadkę dzieci i swego małżonka Ferdynanda Burbona, by na zaproszenie Emmy odwiedzić ją w ambasadzie. Przyjaciółka chciała przedstawić jej kogoś znacznego, mogącego mieć wpływ na dalsze losy państwa.

Kamerdynerzy wprowadzili ubraną w ciemną krynolinę królową do sali balowej. Zwykle kobiety spotykały się w sypialni lub buduarze Emmy, wśród damskich bibelotów i ciepłych barw, a gdy chciał je odwiedzić ambasador, przenosiły się do przytulnej bawialni. Dziś jednak Emma czekała w najważniejszym pomieszczeniu rezydencji – owalnej sali zwieńczonej kopułą z kasetonami. Komnatę rozświetlał gigantyczny, podobny do pająka kandelabr z setkami świec. Obfita iluminacja świadczyła o wysokiej randze spotkania i szacunku dla gości.

Maria Karolina obrzuciła obojętnym spojrzeniem odświeżone przystrojone pomieszczenie o ścianach z półkolumnami z różowego marmuru, doskonale kontrastującymi z białymi draperiami w oknach i posadzką z czarno-białą rozetą. Wzdłuż ścian stały ustawione półkoliście kanapy, a w rogu przycupnęła kilkusobowa orkiestra, cicho grająca spokojną melodię.

Emma błyszczała niczym drogocenny brylant, zupełnie przyćmiewając urodą swoją przyjaciółkę. Władczyni nie miała jej tego za złe, wręcz przeciwnie – bez kompleksów lubiła

patrzeć na tancerkę i cieszyć się jej pięknem. Ucałowały się na powitanie, a ściągnięta dotychczas troską twarz jej wysokości rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

– Pięknie pachniesz, Mary – powiedziała lady Hamilton. – To nowe pachnidło, prawda? Czuję dużo olejków kwiatowych. Letni ogród.

– Przywieziono mi je ze Stambułu. Podoba ci się zapach? Jutro dostaniesz flakonik.

– Dziękuję, wasza wysokość. – Tancerka dygnęła wdzięcznie. – Ale przejdźmy do rzeczy. Przedstawię ci dziś mojego adoratora, brytyjskiego generała. Jego porady mogą okazać się niezwykle przydatne w tworzeniu armii Neapolu. To jeden z najlepszych oficerów w Imperium Brytyjskim.

– Ciekawa jestem tego jegomościa. – Królowa uśmiechnęła się. – Naprawdę jest czarujący? Co ma w sobie takiego, że tak namiętnie zdradzasz z nim męża?

– Lord Hamilton to miły człowiek, sama wiesz. Ale ma już swoje lata i jako kochanek dawno przeszedł w stan spoczynku. Dostał mnie od kuzyna w prezencie, w ramach podziękowań za spłacenie długów. Jak mogłabym więc pałać gorącym uniesieniem do kogoś, kto dostał mnie za pieniądze? Wyszłam za niego za mąż, bo na nic lepszego nie mogłam wtedy liczyć. Wolałam to niż przymieranie głodem i taniec w burdelach. Jestem teraz wielką damą i pozostanę wdzięczna Williamowi do końca życia, ale nie może oczekiwać wierności. Jestem młodą kobietą, mającą duże potrzeby. A on staruszką. Mój mąż dobrze o tym wie, poza tym jest rozsądny i nie przeszkadza mi w romansach.

– Oszczędzicie sobie w ten sposób skandali, popieram takie małżeńskie porozumienie. To dobrze, gdy rozsądek góruje nad dumą i uprzedzeniami.

– Wiem, że mnie poprzesz, cokolwiek bym zrobiła. – Emma zatrzepotała rzęsami. Skinęła na lokaja stojącego przy drzwiach z tacą w dłoni. – Kazałam przygotować twój ulubiony poncz z pomarańczami. Spróbuj, duszko.

Władczyni umoczyła usta w napoju i skinęła głową z uznaniem.

– Jestem zazdrosna o tego generała – powiedziała. – Zabiera mi ciebie, ślicznotko.

– Ależ to coś zupełnie innego, Mary! Ciebie kocham miłością czystą i piękną, jesteśmy powiązane braterstwem dusz. Horatio natomiast jest gorącym ogierem, którego uwielbiam dosiadać. Łączy nas żądza, fizyczne uzależnienie.

– Ech, młodość – westchnęła królowa i wypła kolejny łyk napoju.

Uwielbiała trzpiotowatość i naturalną szczerłość prostej dziewczyny, którą Emma na zawsze pozostała. Tylko przy niej zapominała o troskach i potrafiła bawić się równie dobrze jak w młodości, w Wiedniu, u boku ukochanej siostry.

Kamerdynerzy w białych liberjach i perukach ukłonili się, po czym otworzyli główne drzwi do sali, wpuszczając trzech Anglików. Maria Karolina odstawiła kielich i skinieniem głowy



pozwoiliła zbliżyć się przybyszom. Pierwszym z nich był baron John Acton, premier Królestwa Neapolu i najbardziej zaufany współpracownik monarchini. Towarzyszył mu ambasador i mąż Emmy, lord Hamilton, a między nimi szedł przystojny, wyprężony jak struna oficer w galowym brytyjskim mundurze z królewskim Orderem Łaźni na piersi. Prawy rękaw munduru miał pusty i wetknięty w kieszeń. Wszyscy skłonili się w pas przed jej wysokością, a Emma dokonała prezentacji:

– Kontradmiral wicehrabia Horatio Nelson.

Marynarz ukłonił się po raz kolejny, a potem przywitał się grzecznie, nie szczędząc komplementów dla urody i sławy królowej. Maria Karolina zauważyła, że oficer ma uszkodzone również prawe oko i najprawdopodobniej nie widzi na nie.

Poharatany niczym stary wilk – pomyślała z uznaniem. – Potrzebuję takich żołnierzy w armii Neapolu.

– Przejdźmy bliżej kominka, bo sala jest nieco niedogrzana – zaproponowała Emma, po czym poprowadziła gości do wykończonej marmurem niszy, nad którą znajdowało się potężne zwierciadło w złotej ramie.

W kominku przyjemnie trzaskały polana, choć i tak nie dawały zbyt wiele ciepła. Obok stały trzy kanapy z mahoniu obitego adamaszkiem. Ubrane w niewygodne krynoliny damy nie mogły jednak tak po prostu usiąść, zebrani stali więc w okręgu.

– Gdzie odniósł pan chwalebne rany, kontradmirale? – spytała królowa, nie kłopotząc się konwenansami.

– Wzrok w oku odebrał mi odłamek wyrzucony przez francuską kulę armatnią. Stało się to w czasie szturm Korsyki, cztery lata temu. A rękę straciłem na Teneryfie, latem tego roku – lekkim tonem odparł marynarz.

– Obie rany zadali panu Francuzi – z uznaniem zauważyła władczyni. Nelson błyskawicznie zdobył jej serce. Każdy człowiek zabijający zaborców i poświęcający się walce z nimi zyskiwał w oczach Marii Karoliny. – Ja też toczę z nim boje.

– Dotarła do mnie wieść o waleczności waszej wysokości. – Nelson skłonił się.

– Próbuję ich powstrzymać przed zajęciem Państwa Kościelnego, ale nie mogę otwarcie na nich uderzyć – poskarżyła się. – Po pierwsze, brak mi armii z prawdziwego zdarzenia. O właśnie, co powie pan na stanowisko głównodowodzącego mojej floty? Jestem gotowa potroić pańskie apanaże i oddać pełną władzę nad marynarką Królestwa Neapolu i Sycylii. Jeśli się pan zgodzi, ofiaruję tytuł książęcy i wybrane księstwo w Italii.

Oficer spojrzał uważnie na jej wysokość. Ambasador chrząknął zaskoczony, nie wiedząc, jak ma zareagować na tak otwartą próbę skaptowania najzdolniejszego oficera brytyjskiej marynarki. Tylko premier Acton nie wyglądał na zmieszanego ani zdziwionego propozycją. On

sam przyjął podobną ofertę z rąk Marii Karoliny i chwalił sobie tę decyzję. Nadal służył Imperium Brytyjskiemu, a przy okazji robił karierę i pomnażał fortunę na neapolitańskim dworze.

– To zaszczyt, wasza wysokość, ale, niestety, jestem związany przysięgą – odparł Nelson. – Służę Jerzemu III, królowi Wielkiej Brytanii i Irlandii. I pozostanę na jego służbie aż do śmierci.

– Jest pan nie tylko zdolnym dowódcą, ale i człowiekiem honoru – zauważyła Maria Karolina. – Zazdroszczę Jerzemu III takiego poddanego.

– Mogę jednak służyć waszej miłości radą i pomocą dyplomatyczną – dodał po chwili oficer.

Słyszał o Marii Karolinie wiele dobrego z ust Emmy, ale w bezpośrednim kontakcie kobieta ta zyskiwała jeszcze bardziej. Choć jej uroda już przygasła, nadal mogła poszczycić się iście królewską, dumną postawą. Z jej głosu biła niezwykła siła i majestat. Odziana w jedwabie i koronki, upudrowana dama zaimponowała surowemu żołnierzowi.

– Brytania bardzo potrzebuje silnego sojusznika w tej części Europy – powiedział Acton. – Jeśli Neapol stanie się militarną potęgą, będzie można z dwóch stron uderzyć na Francję. W interesie Londynu jest więc wsparcie budowy neapolitańskiej armii. Wasza pomoc, kontradmirał, będzie działaniem na chwałę Wielkiej Brytanii.

– Będę zabiegał o wsparcie militarne i finansowe dla Neapolu. – Kontradmirał ukłonił się ponownie. – Mam pewne wpływy w Izbie Lordów, mogę więc obiecać, że już niedługo do Neapolu powędruje angielskie złoto i broń. Nie jestem jednak w stanie wiele zrobić dla Państwa Kościelnego.

– To przedmurze Neapolu, które prawnie nam się należy – powiedziała królowa. – Obecnie Francuzi próbują je zająć, rozniecając w prowincjach papieskich rewolucję, którą inicjuje armia kondotierów.

– Wysyłając cudzoziemców, Dyrektoriat zachowuje czyste ręce. Oficjalnie pozostaje w stanie pokoju z Rzymem – dodał Acton.

– Kondotierzy nigdy nie byli silni ani militarnie, ani moralnie. – Nelson wzruszył ramionami. – Wyślijcie doświadczonych oficerów, by wsparli armię papieża. Regularne wojsko zawsze pobije najemników.

– Tylko że ci kondotierzy to Polacy. – Królowa pokręciła głową. – Są lepsi niż cała włoska armia razem wzięta, bardziej doświadczeni i zdeterminowani. W dodatku działają z pobudek ideologicznych. Ich generał z własnej inicjatywy zaatakował Państwo Kościelne.

– Polacy? – zdziwił się oficer. – To oni mają armię? Myślałem, że ten kraj już nie istnieje. Ach, rozumiem. Przyłączyli się do Francuzów, bo ci są wrogami Rosji i Austrii. Ale co im da

podbicie Rzymu? Co oni chcą ugrać?

– To nieistotne – wtrąciła się Emma. – Ważne, że dzień po dniu zajmują kolejne miasta...

– I przesuwiają się na południe – dodała władczyni. – Jeśli przekroczą Apeniny, otworzą Francuzom drogę do Rzymu. A wtedy Państwo Kościele przestanie istnieć i Francja stanie u naszych bram.

– To nieuniknione. Zostaniemy sąsiadami największego europejskiego imperium. Państwa zła i rewolucji – podsumował Acton.

– Do tego czasu musicie mieć armię z prawdziwego zdarzenia – zauważył Nelson. – I być gotowi godnie powitać wroga. A najlepiej go uprzedzić i samemu uderzyć.

– Brakuje nam czasu. – Monarchini westchnęła. – Dlatego Rzym musi utrzymać się jak najdłużej, by być buforem między nami a Francją.

– Trzeba zatem powstrzymać Polaków – podsumował kontradmirał.

Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco. Najwybitniejszy brytyjski dowódca, słynny z nieprzewidywalnych zabiegów strategicznych i taktycznych, zastanawiał się, jak zatrzymać republikańską armię. Od jego rady mogły zależeć losy półwyspu lub nawet całej Europy.

– Pokażcie mi mapy z miastami zajęтыми przez Polaków – powiedział. – Może coś wymyślę.

## 5 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (25 grudnia 1797 roku)



**D**oktor Hoffman wywalczył u dowódcy placu<sup>[45]</sup> przydział pracowni na terenie garnizonu Rimini. Medyk okazał się na tyle operatywny, że – ku zaskoczeniu Kazika – otrzymali do wyłącznej dyspozycji cały obszerny kompleks pomieszczeń, który znajdował się w oddzielnym budynku otoczonym szopami. W dawnych czasach pełnił funkcję zamkowej kuchni. W głównej izbie znajdował się więc potężny piec z wnęką do pieczenia chleba i osobno wydzielonym podgrzewaczem, nazywanym w Polsce szabaśnikiem. Z wyposażenia kuchennego został jedynie masywny, długi stół, pieńek do rąbania mięsa i stojąca w kącie beczka na wodę. Resztę sprzętów dawno już rozgrabili Francuzi.

Dzięki znajomościom w intendenturze furier zorganizował kilka garści słomy do wypchania sienników, drewno opałowe i pęk łojowych świec. Od włoskich kwatermistrzów wybrał również trochę ponadprzydziałowego mięsa, jednak doktor, gdy tylko je zobaczył, kazał rzucić psom.

– Nie czujesz, jak cuchnie? – oburzył się. – Co ci przyszło do głowy, by brać na wpół zgniłe mięso?

– Na warszawskich targach można było takie kupić okazji, Żydzi dawali je za pół darmo. – Chłopak wzruszył ramionami. – Wystarczy porządnie umyć, usunąć larwy much, natrzeć majerankiem lub innymi saporami<sup>[46]</sup> i porządnie upiec lub rozgotować. Wtedy nie czuć, że jest trochę nieświeże.

– Oj, do czego bieda pcha warszawski lud. – Doktor pokręcił głową. – I dobrze się czułeś po takiej uczcie? Ilu z was chorowało, jedząc zepsutą żywność?

– Wielu srało potem krwią lub rzygało niczym koty – przyznał Kazik. – Widocznie dali za mało przypraw. Niejeden osłabł i zmarł, taki los...

– Zapamiętaj sobie, chłopcze: nigdy nie jedz czegoś takiego! – Hoffman potrząsnął zawiniątkiem z mięsem. – W zepsutym jedzeniu wytwarzają się trujące jady i zakaźki zarazy,

jakich nie powstydziałaby się Pandora. Jeśli jaki sprytny Żyd na targowisku zaoferuje ci zgniłe mięso, powiedz mu, żeby je sobie wsadził w... Zresztą sam wiesz, co mu powiedzieć, by zrozumiał!

– Cały czas dostajemy takie jedzenie od Cisalpińczyków – burknął Lux.

– To skandal! Napiszę o tym do generała Dąbrowskiego! – Lekarz poczerwieniał z oburzenia. – Jawna zbrodnia! Ilu ludzi trafia przez to do lazaretu?

– Nie wiem, ale ciągle ktoś choruje.

– Zajmę się tym natychmiast po skończeniu śledztwa dotyczącego śmierci aptekarza – obiecał Hoffman. – Rozłóżmy teraz wszystkie kartki z notatkami tego nieszczęśnika. Trzeba skorzystać z dziennego światła i spojrzeć na to szerzej.

Kazik wykonał polecenie i na ogromnym kuchennym stole, którego blat nosił ślady po nożach, tasakach, rozlanych sosach i krwi zarżniętych zwierząt, rozłożył mniej lub bardziej okrwawione kartki.

– Z tej strony rachunki za mikstury, tu przepisy na maści, tu wykaz ingrediencji. Posegreguj osobno ziołowe, osobno z wyciągami i nalewkami. Uporządkuj to wszystko i przemyśl. Spróbuj ruszyć łepetyną, chłopcze – rozkazał medyk. – Ja pójdę do zamkowej biblioteki. Ponoć w skrzydle nazywanym Pałacem Izoldy ostało się trochę woluminów, w tym traktaty alchemiczne.

– Będzie pan grzebał w księgach, a ja mam siedzieć z nosem w papierach? Tym się zajmują wolnomularze? A wieczorem przebierzemy się w peleryny i maski i będziemy pajacować przed piramidą z wiszącym nad nią okiem?

– Nie kpij sobie, Kaziu. – Lekarz łagodnie pogroził mu palcem. – Poszukiwanie prawdy i wiedzy wymaga pracochłonnych studiów, a czasem jest to również przekopywanie się przez pożółkłe woluminy. Poszukam jakichś informacji o tej świecącej truciźnie. Wiedza o tym, z czego i w jaki sposób się ją otrzymuje, może doprowadzić nas na trop mordercy. Siedz tu i szukaj tajemnic ukrytych w notatkach. A teraz bywaj!

Młodzieniec spojrział smętnie na znikającego za drzwiami lekarza. Ani mu w głowie było tkwić nad nudnymi dokumentami. Poszukiwania w woluminach, dogłębne studia i rozważania, też coś! Człowiek czynu, prawdziwy wojak, nie będzie zajmował się czymś takim! To uwłacza godności mężczyzny!

Spojrzął na papiery zabazgrane drobnym pismem. Choć z drugiej strony, tak naprawdę, lubił pisanie i lektury. Nigdy nikomu się do tego nie przyznał, bał się śmieszności, ale właśnie dlatego okazał się tak dobrym furierem. Potrafił dokładnie wszystko policzyć, wypełnić stosowne dokumenty kwatermistrzowskie, przygotować meldunki i kwity. Niegdyś starannie pisał i pracowicie ćwiczył kaligrafię. Lubiał też przeglądać księgi i dyskutować o nich

z żakami ze Szkoły Rycerskiej. Obecnie wszakże lepiej, by chłopaki z Legionu się o tym nie dowiedzieli, bo stanie się pośmiewiskiem.

Teraz jednak nikt go nie widział, więc po zastanowieniu zagłębił się w lekturze i segregowaniu notatek. Przekładał kartki z kupki na kupkę, żałując, że nie ma przy sobie niczego do pisania. Przydałoby się porobić uwagi i co cenniejsze przemyślenia zanotować. Co mogły znaczyć sumy zapisane w osobnej tabelce, przy których stały tylko inicjały? Przychody miał aptekarz spore, ale i wydatki niczego sobie. Płacił krocie rzeźnikom za ogromne dostawy kości, kupował też krowi i koński mocz, który gromadzili dla niego okoliczni chłopci, a osobną listę stanowiły akuszerki, od których brał łożyska. Kazik pobladł, gdy rozszyfrował to ostatnie. Po co skubańcowi było coś takiego? Po godzinie grzebania Lux znalazł odnośniki i ze zgrozą odczytał, że aptekarz dodawał ludzkie łożyska do maści odmładzających!

Zbrodniarz!

Lektura wciągała go coraz bardziej, aż wreszcie natrafił na niemieckie nazwisko Hennig Brand. Prawdopodobnie to on przekazał aptekarzowi przepis na otrzymywanie trucizny z moczu, bo jego dane figurowały przy recepturze. Nie sprawiała ona wrażenia specjalnie skomplikowanej, a polegała przede wszystkim na zagęszczaniu moczu i wyprażeniu pozostałości. Otrzymywało się w ten sposób niewielką ilość białego, świecącego w ciemności proszku. Aptekarz wyliczał w notatkach koszty produkcji – nie wyglądały zbyt korzystnie. Dopiero kiedy nawiązał korespondencję ze szwedzkim aptekarzem, Carlem Scheele, prace nabrały tempa. Szwed wymyślił, jak otrzymać substancję z kości, co znacznie zwiększyło wydajność i opłacalność produkcji.

Kazik nauczył się obu odnalezionych nazwisk na pamięć. Wyglądało to na międzynarodowy spisek trucicieli i dewiantów. Teraz należało jeszcze znaleźć w zapiskach nazwisko mordercy aptekarza, a sprawa zostanie wyjaśniona. Niestety, pigularz lubił zapisywać kontrahentów inicjałami lub nadawał im przezwiska. Wśród kupujących maści upiększające i pudry były między innymi Panna Wrzód, Ospowata, Kinol i Czarna Wdowa. Z kolei „proszek miłosny” kupowali u niego Grubas, Mały Ptaszek, Jedwabny Fular i Łysy Zwis. Kazik domyślił się, że to celowe działanie, by zachować anonimowość klientów, nawet w razie kradzieży ksiąg rachunkowych. Świecąca substancja w ogóle nie znajdowała się w indeksach. Widocznie jej kupcy byli księgowani gdzie indziej lub aptekarz postanowił ich nie notować.

Rozmyślenia przerwało Kazikowi łomotanie do drzwi. Jednym ruchem zgarnął z blatu papiery i wrzucił je do beczki. Dopiero wtedy pozwolił gościom wejść do środka. Kuchnię nawiedziło dwóch cisalpińskich kwatermistrzów, tych samych, od których Lux dostał zepsute mięso. Zapomniane zawiniątko z nieświeżą żywnością leżało na krawędzi wygasłego pieca.

Włosi przywitali się wylewnie, jakby od lat nie widzieli furiera i okrutnie się za nim stęsknili. Nieco go to zaskoczyło, bo rankiem traktowali go zgoła odmiennie, jak każdego

namolnego interesanta. Zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem, bo z pewnością czegoś chcieli.

Sierżant Cornelio Piria drapał się nerwowo po wielkim brzuszysku, na którym mundur z trudem się dopinał. Sumiaste wąsy zwisały smętnie po bokach nalanej, spoconej twarzy. Jego kompan, Valentino Maturi, był chudym cywilem ubranym w wyświechtany, czarny surdut. Zacierał ręce niczym Żyd dobijający targu i mrużył małe, chytre oczka.

– Kapralu kochany, dlaczego nie powiedziałaś, że mieszkasz z jego ekscelencją doktorem Hoffmanem? – spytał Maturi. – Przecież potraktowalibyśmy was zupełnie inaczej. Do głowy nie przyszłoby mi dawać legionowemu medykwowi niezbyt świeże mięso. Niepotrzebnie naraziłaś doktora na niewygody. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało po spożyciu.

– Chyba nie sądzi pan, że zjedliśmy coś takiego! – huknął Kazik. – Tu jest, o proszę. Doktor już prowadzi badania w tej sprawie.

Obaj kwatermistrze pobladli z wrażenia.

– Co ty mówisz, Casimiro! – Piria zadygotał niczym galareta. – Jakie badania, na rany Chrystusa!

– Badania nad jadami wychodzącymi ze zgnilizny. Zobaczymy, ilu legionistów się pochorowało i zmarło od spożycia zepsutego mięsa – lodowato odparł Polak.

– Chwileczkę, nie róbmy nic pochopnie. – Maturi podpełzł do Luxa niczym wąż. – Założmy, że daliśmy ci to mięso przez pomyłkę, a tak naprawdę było przeznaczone dla psów...

– Nawet psów nie karmi się czymś takim – warknął furier. – Będziecie musieli wytłumaczyć się z trzymania zgnilizny w magazynie i wręczania jej żołnierzom.

– Przechowujemy próbki nieświeżego mięsa, by prowadzić na nim eksperymenty nad „uzdatnianiem” żywności – przyznał Piria ze skruchą. – To dla dobra Legionów. Mięso przysyłane przez intendenturę z Mediolanu psuje się po drodze, a polski generał kazał nam zrobić wszystko, co możliwe, by żołnierze nie chodzili głodni. Wojska nie stać na wyrzucanie wołowiny i baraniny, więc musimy ją rozdawać, nawet jeśli trochę zalatuje. Kiedy jednak mięso zbytnio się zepsuje, można je przecież „uleczyć” pewnymi metodami...

– Jakimi, do stu diabłów? – Kazik wcisnął rogatywkę na głowę i przekrzywił ją zawadiacko.

– Różnymi, ale obiecaj, że nikomu nie powiesz – odezwał się Maturi. – Myje się mięso w mydlinach, płucze solanką, naciera ziołami, piżmem<sup>[47]</sup>, cybetami<sup>[48]</sup>, dragantami<sup>[49]</sup> i pinelami<sup>[50]</sup>. Próbujemy różnych sztuczek, w tym nowoczesnych ingrediencji dostarczanych przez pewnego światłego męża. I uwierz, kapralu, że działamy za wiedzą najwyższych władz.

– Zatem nic się nie stanie, jeśli dowiedzą się o tej pomyłce i próbie otrucia doktora Hoffmana i mnie?

– Nie dramatyzuj, nie ma potrzeby robić z igły widły. – Grubas podszedł do chłopaka i położył wielką łapę na jego ramieniu. – Nikt się nie dowie. Dogadamy się, jak to kwatermistrze, no nie? Nie chcesz dostawać dodatkowej gorzałki, świeżego mięsiwa przeznaczonego dla oficerów? Możesz sprzedawać wódkę żołnierzom i szybko potroić żołd. Wystarczy, że będziesz trzymał język za zębami i przekonasz Hoffmana, by o wszystkim zapomniał, a nie pożałujesz. Beczułka gorzałki co miesiąc i dodatkowe żarcie.

– Wchodzisz? – spytał Maturi.

Kazik zmarszczył chytrze brwi, udając, że się zastanawia. A więc jednak los zaczął się odwracać! Szczęście zaczynało się do niego uśmiechać, pani fortuna niedługo napełni jego trzos brzęczącym rozkosznie złotem. O to przecież chodziło – załapać się w kwatermistrzostwie, nachapać się, zarobić fortunę i bimbać na wszystko. Na przesadnie honorowych oficerów, na głupie rozkazy, na całą tę wojenkę.

– Zaopiekujemy się tobą, chłopaku, jak swoim. – Piria szturchnął go w bok. – Odkujesz się i wkrótce nabierzesz ciała.

Furier oczami wyobraźni zobaczył się grubego jak sierżant Piria, a do tego ze złotymi pierścieniami na tłustych paluchach.

I zrobiło mu się głupio.

– Czekajcie, panowie. – Jakaś myśl, uparcie krążąca po głowie Luxa, a niedająca się zwerbalizować, wreszcie dotarła do jego świadomości. – Jaki to świątły mąż daje wam nowoczesne ingrediencje?

– Pewien aptekarz na osobiste polecenie naszego przełożonego – odparł Maturi. – Mówiłem przecież, że działamy za wiedzą i zgodą najwyższej szarzy.

– Wasz najwyższy dowódca? Generał cisalpiński? – Kazik we wspomnieniach zobaczył oficera pieczętującego beczki masońskim znakiem.

– No, nasz dowódca, przecież mówię.

– A zostały wam jakieś ingrediencje?

– Nie. Wszystkiego użyliśmy do prób – natychmiast odpowiedział Piria.

Lux wyczuł ewidentne kłamstwo. Tak czy inaczej – nie miało to znaczenia. Ważne, że wreszcie wpadł na trop. Należący do wolnomularzy generał truje legionistów, oszukuje swoich współbraci i wysyła wojskową żywność głodującym papistom, a potem morduje aptekarza, który wie zbyt wiele. Niebezpieczeństwo grozi zatem zarówno Kazikowi i Hoffmanowi, jak też tym dwóm chytrym kwatermistrzom.

– Wasz generał jest w garnizonie? – spytał.

– Całkiem niespodziewanie przyjechał wczoraj – przyznał sierżant. – Dziś go nie widziałem, ale możliwe, że jest jeszcze w mieście.



Lepiej, by doktor Hoffman nie spotkał go w ciemnym zakamarku forticy lub w nieuczęszczanej bibliotece. Kazik złapał pas z tasakiem i zapiął go na biodrach. Wcisnął w ręce Pirii zawiniątko ze zgniłym mięsem.

– Muszę lecieć – powiedział. – A my będziemy kwita, jeśli przyślecie mi porządny kawał baraniny i dwie butelki wina. I lepiej, by w waszym magazynie znalazły się owe tajemnicze ingrediencje. Doktor będzie chciał je zobaczyć. To moje jedyne warunki, niczego więcej od was nie chcę.

Furiera zaskoczyły własne słowa, albowiem tym pańskim, honorowym gestem wyparł się łatwych dochodów, o których do niedawna tak marzył.

Do niedawna. Ostatnie wydarzenia coś w nim zmieniły.

– Aha... Jak trafię do Pałacu Izoldy? – Zatrzymał się w drzwiach.

Po chwili gnał na łeb, na szyję ciemnymi, wilgotnymi korytarzami średniowiecznej twierdzy. Odkąd polskie wojsko wymaszerowało zajmować kolejne papieskie miasta, w koszarach zrobiło się pusto. Nieliczna cisalpińska załoga i jedna legionowa kompania zajmowały się patrolowaniem wybrzeża i traktów prowadzących do San Leo i Pesaro. Na krążgankach i parapetach ciągnących się wzdłuż murów nie wystawiano już straży. Większość pomieszczeń ziała pustką, na dziedzińcu nie odbywały się ćwiczenia, dreptały tu tylko pociągowe konie, które obsługiwały magazynkwatermistrzostwa.

Młodzieniec przesadził susami pusty dziedziniec i pomknął w głąb narożnej wieży. Dysząc, pokonał klatkę schodową i z impetem wpadł do jednego z pomieszczeń. W locie wyszarpnął tasak z pochwy, szykując się do walki.

Hoffman spojrzał na niego zza wysokiego pulpitu do pisania na stojąco. Medyk był sam w komnacie zastawionej regałami niegdyś uginającymi się od ksiąg. Teraz część woluminów leżała zrzucona na kamienną podłogę, a po dwóch regałach pozostały tylko drzazgi. Widocznie przeznaczono je na opał, tak jak i okazałą porcję księgozbioru. Tu i ówdzie walały się powydzierane kartki, większość półek świeciła pustkami. Kazik aż syknął, widząc takie zniszczenia.

– Co cenniejsze dzieła zabrali Francuzi. Średniowieczne księgi są już zabezpieczone w Paryżu – powiedział lekarz, widząc minę chłopaka. – Z pewnością zostaną zwrócone, gdy w Italii się uspokoi.

– Z pewnością. – Kazik skinął głową.

Podejrzewał jednak, że dzieła staną się ozdobą kolekcji członków Dyrektoriatu i zasilą skarbce nowej, rodzącej się właśnie republikańskiej arystokracji. Arystokracja musi być wszędzie, nawet w kraju rządzonym przez lud.

– Nikogo pan nie spotkał? Żadnego cisalpińskiego generała?

– Żywej duszy. – Doktor wzruszył ramionami. – Za to coś znalazłem. I to wcale nie w starożytnych dziełach, ale w nowoczesnym opracowaniu. I przypomniało mi się, że kiedyś już czytałem o tej substancji. Insurekcja kościuszkowska odsunęła mnie od naukowych badań, zarzuciłem uzupełnianie wiedzy, ale już wiem, czym jest świecąca trucizna.

– Ja nie tylko wiem, co to takiego, ale nawet załatwiłem, że kiedy zejdziemy do kwatery, znajdziemy próbkę tej substancji. – Kazik uśmiechnął się triumfalnie i pociągnął medyka za sobą.

Zeszli spokojnie na dół i przeszli przez dziedziniec na tyły zamku, do swojej kuchni. Rzeczywiście, kwatermistrze potraktowali warunek furiera poważnie i jego życzenia zostały spełnione. Na wielkim blacie czekały dwie butle wina i zawiniątko z mięsem. Obok spoczywał ceramiczny słoje. Lux podniósł go i zaniósł do pozbawionej okien spiżarni, gdzie panowała ciemność. Zerwał pokrywę, odsłaniając zawartość.

Niewielkie pomieszczenie rozjaśniła wydobywająca się z naczynia białozielonkawa poświata. Hoffman z westchnieniem obejrzał świecący proszek.

– Po naszymu to coś nazywa się koścień – powiedział medyk. – Bo najwięcej tego jest w kościach.

– E tam, fachowa nazwa to *phosphorus*, co znaczy „dający światło” – z wyższością oznajmił Lux. – A przepis na tę niezwykłą rzecz nasz pigularz dostał od Niemca, Henniga Branda.

– To nazwisko znanego alchemika, który zmarł niemal osiemdziesiąt lat temu. – Hoffman uśmiechnął się.

– A szwedzki aptekarz Carl Scheele od jak dawna nie żyje? – spytał nieco zmieszany młodzieniec.

– Z tego, co mi wiadomo – żyje. Jest jednym z najbardziej znanych badaczy-alchemików – odparł doktor. – Nasz tragicznie zmarły aptekarz po prostu zdobył przepisy dwóch wielkich naukowców i rozpoczął masową produkcję *phosphorus*. Tylko po co?

– Chciał nim peklować zgniłe mięso?

– Skąd ten pomysł? Przecież to trucizna – burknął lekarz i zatkał słoje. – Substancja może mieć mnóstwo zastosowań, a użycie jej do zatrucia mięsa to część jakiegoś diabelskiego planu.

– Chyba nawet wiem, który z diabłów za tym stoi... – mruknął Kazik z zadumą.

Nie zdążył jednak powiedzieć lekarzowi o swoich spostrzeżeniach, bo drzwi kuchni z impetem się otworzyły i do środka wpadło pięciu umundurowanych Cisalpińczyków, uzbrojonych w muszkiety z nałożonymi bagnetami. Dowodził nimi niski sierżant, który wymierzył ostrze szabli w szyję zaskoczonych kaprała.

– Jesteście aresztowani – oznajmił. – Odłóżcie broń.

Lux uniósł obie ręce, za to Hoffman oburzył się napaścią.

– Co to ma znaczyć? – wrzasnął. – Kto nas aresztuje i pod jakim zarzutem?

– Jesteście oskarżeni o trucicielstwo – odparł sierżant. – Dowód zaraz przy was znajdę. Chyba chodzi o słoje, który pan trzyma, doktorze. Proszę postawić go na stole i wystawić ręce do skrępowania.

– Kto kazał nas aresztować? – potulnym głosem spytał Kazik.

– Generał Giuseppe La Hoz d’Orlz – odparł sierżant. – Dowódca Legii Cisalpińskiej.

Lux spojrzał znacząco na Hoffmana.

– I już pan wie, który z diabłów za tym wszystkim stoi – powiedział.

Zacisnął zęby z bezsilnej złości. Znał teraz nazwisko drania, który zabił Sofię i splamił honor zarówno jego, jak i całego Legionu Polskiego. Tyle że nie mógł mordercy nic zrobić.

## 6 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (26 grudnia 1797 roku)



**P**odporucznik Turkiewicz przejął służbę po kapitanie grenadierów i zgodnie z poleceniem zjawił się rankiem u drzwi sypialni arcybiskupa Saluzzo. Gubernator prowincji nie spieszył się jednak z opuszczeniem komnaty, choć wiedział, że warta honorowa czeka pod drzwiami. Z jednej strony towarzyszący mu stale oficer miał go ochraniać, z drugiej – był kimś w rodzaju wartownika, który pilnował, by arcybiskup nie znikł z pałacu. Nic więc dziwnego, że dostojnik nie pałał do swojej eskorty gorącym uczuciem. Mimo że Polacy byli grzeczni i traktowali go bardzo porządnie, pozostawał ich więźniem.

Młody podporucznik przechadzał się po korytarzu, pogwizdując pod nosem, by dodać sobie odwagi. Pierwszy raz pełnił taką funkcję i był nią szczerze przejęty. Asystowanie wysokiemu rangą dostojnikowi kościelnemu to miła odmiana po ciągłym użeraniu się z niesfornymi legionistami, którzy za nic w świecie nie chcieli nauczyć się szacunku do wyższych rangą. Ile nerwów stracił na ciągłej walce o poważanie. Ile się nawydzierał, ile łajań i skarg wygłosił pod adresem szeregowców. Wszystko jak grochem o ścianę. I to przez tego cholernego kaprala Luxa, który kilkakrotnie ośmieszył go publicznie, zrujnował pieczołowicie budowany wizerunek, zdruzgotał cały autorytet podporucznika i śmiertelnie uraził jego honor. Na koniec znikł, niby to wykonując rozkazy, zamiast zapłacić krwią za zbrodnie. Na Kaziku Turkiewicz skupił odpowiedzialność za wszystkie swoje niepowodzenia. Nawet za to, że legioniści szepczą i podśmiewają się za jego plecami. Dopóki ziemia nosiła to diabelskie nasienie, Luxa, oficer nie mógł spokojnie spać. Ale prędzej czy później dopadnie tego gnojka i publicznie, na oczach wszystkich, zabije.

Drzwi sypialni się otworzyły i ze środka wyszedł arcybiskup. Saluzzo ubrany był w czarny, skromny habit, którego jedyną ozdobą był wiszący na szyi srebrny krzyż. Turkiewicz zasalutował, trzaskając obcasami, i przedstawił się grzecznie. Gubernator uśmiechnął się łagodnie i pokiwał głową.

– Miło cię widzieć, synu – powiedział po polsku. – A teraz pójdziemy do kaplicy na

poranną modlitwę.

Przeszli korytarzem do kaplicy pałacowej, gdzie czekał już na nich sekretarz Karol Majochy. Zamiast odbyć krótką, milczącą modlitwę, Saluzzo odprawił mszę, na której pojawili się aresztowani przez Polaków członkowie papieskiej rady miejskiej i, ku niezadowoleniu podporucznika, kilku szeregowych legionistów. Turkiewicz wiercił się w pierwszym rzędzie, czując się niepewnie i nieswojo. Nie wiedział, jak ma się zachować – łączyć za arcybiskupem krok w krok czy pozwolić mu swobodnie odprawiać modły. W dodatku oficer był głodny i liczył na śniadanie w towarzystwie duchownego.

Niestety, do jadalni pałacowej dotarli dopiero przed południem. Wcześniej Saluzzo zażyczył sobie pospacerować po pięknym pałacowym ogrodzie. Chodził powoli między imponującymi wodotryskami i finezyjnie przyciętymi cisami oraz piniami.

– Wasza ekscelencja cierpi przez ten areszt – zauważył Turkiewicz, gdy wreszcie udali się w kierunku jadalni.

– Moim pragnieniem jest jak najszybsze dołączenie do Ojca Świętego – odparł duchowny. – Dalszy mój pobyt w tej prowincji nie ma większego sensu, skoro i tak wszędzie płoną rewolucyjne ognie, a papieska armia nie jest w stanie sobie z nimi poradzić.

– Po to właśnie my tu jesteśmy – z dumą odrzekł Polak. – Nie dopuścimy do mordów i grabieży. Mieszkańcy prowincji są bezpieczni, zupełnie jak wasza ekscelencja.

Duchowny spojrział boleśnie na młodzieńca i tylko pokręcił głową.

– Kolejne miasta należące do Kościoła wpadły w ręce republikanów. Ponoć generał Lecchi zajął Fano – powiedział po chwili.

– Trzy dni temu. – Turkiewicz pokiwał głową. – Wyzwolenie spod papieskiego jarzma proklamowała też Senigallia. Wysłaliśmy żołnierzy, by wspomóc ruch wolnościowy i uspokoić sytuację. Tak samo do Fossombrone, które prosiło nas o pomoc. Z przykrością muszę poinformować waszą świątobliwość, że miejscowy proboszcz gromadził w katedrze broń i amunicję, w którą planował zaopatrzyć mieszczan wiernych papieżowi. Gdyby nie nasza interwencja, doszłoby do krwawych walk między „patriotami” a zwolennikami władzy kościelnej.

– Inaczej mówiąc, gdyby nie Polacy, nasza ziemia spłynęłaby krwią – ponuro mruknął Majochy. – Jacy jesteście dla nas dobrzy, miłośnicy wolności. Przynosicie ludowi niechciane, co prawda, ale wyzwolenie. Uwolnicie ich spod opieki papieża i co dacie w zamian? Francuską okupację i głód?

Oficer zjeżył się ze złości i zastrzygł nerwowo rzadkim wąsikiem, zerkając spode łba na sekretarza. Z chęcią rozplątałby szablą łeb temu klesze, w którego głosie nietrudno było wyczuć kpinę i prowokację. Krok tylko dzielił nieszczęśnika od śmierci.

– Generał Lecchi ruszył na Urbino – wycedził przez zęby podporucznik. – Jeszcze dziś przed wieczorem stolica prowincji przejdzie w nasze ręce. I to nie będzie koniec. Z tego, co wiem, nasza armia ruszy dalej i jeszcze w tym tygodniu przekroczy Apeniny.

Arcybiskup zatrzymał się w pół kroku, jedną dłoń położył na krzyżu, drugą wsparł się o ścianę. Wzniósł oczy ku niebu, szepcząc modlitwę. A więc stało się! Papieska prowincja wpadła w ręce Polaków, a miasta, jedno po drugim, przechodziły na własność Francji. Przynajmniej udało się prowokacja Majochoy’ego i młody podporucznik wygadał dalsze plany Dąbrowskiego. W najbliższych dniach Polacy będą chcieli zająć miasta z drugiej strony gór, otwierając w ten sposób drogę na Rzym. Trzeba natychmiast poinformować o tym Piusa VI. Święte Miasto nie może wpaść w ręce republikanów!

Jedyna nadzieja w generale La Hozie. Nadchodzi pora, by pokrzyżować szyki polskim legionistom i zadać im cios w plecy. Czy generał będzie czekał na rozkazy z sojuszniczego Neapolu, czy wreszcie zrobi coś z własnej inicjatywy?

– Wasza ekscelencja źle się czuje? – Turkiewicz skoczył, by podtrzymać dostojnika.

– Wszystko dobrze, chłopcze. – Arcybiskup nie przyjął pomocy, wyprostował się i ruszył dalej. – Zbyt długo pościłem, zajęty modlitwą w intencji bezpieczeństwa ojczyzny. Pora spożyć posiłek, by zebrać siły. Wszystkim nam będą potrzebne.

– Wasza dostojność niepotrzebnie się tak przejmuje. – oficer uśmiechnął się. – Italia jest w dobrych rękach, w lepsze nie mogła trafić. Arcybiskup zna nas przecież, tyle lat mieszkał w Warszawie.

– Blisko dekadę – przyznał duchowny, wchodząc do jadalni.

Pałacowa służba nie została odprawiona, więc zatrzymanych obsługiwali lokaje i kucharze. Przy stole czekał papieski kamerdyner, który widząc wchodzących, natychmiast zapalił ogień pod maszynką do parzenia kawy. Kiedy usiedli przy stole, pomieszczenie wypełnił przyjemny aromat parzonych, dopiero co wypalonych i zmielonych ziaren. Turkiewicz poczuł ssącą pustkę w brzuchu. Powstrzymał się jednak przed sięgnięciem po pieczywo, bo dostojnik zaczął odmawiać modlitwę.

Prócz posypanych mielonym cukrem rogalików i ciasteczek oficer wypatrzył na stole polane lukrem bułeczki i kandyzowane owoce. Bardzo skromnie, w dodatku same słodyczne – nic konkretnego dla polskiego żołądka. Turkiewicz poczuł się rozczarowany.

– Pochodzi pan ze szlachty? Zdarzyło mi się gościć na polskich dworach i śniadania zapamiętałem jako niezwykle obfite – powiedział arcybiskup, sięgając po podaną przez kamerdynera maluteńką filiżankę z odrobiną gęstej jak syrop kawy. – Pamiętam gościny u księcia Radziwiłła. Na początek zaserwowano anyżówkę na pobudzenie żołądka, a potem obowiązkowo polewkę piwną ze śmietaną. Dalej była parująca kiełbasa, jaja w majonezie, kapłony na zimno, sztuka wołowiny w musztardzie, pasztet, półgąski i legumina. Na popicie

żołądkowa orzechówka, a to wszystko grubo przed obiadem!

– Owszem, ze szlachty. Wychowałem się w rodzinnej posiadłości, w Małopolsce. Ale nie jadaliśmy tak obficie, nawet od święta.

– Małopolska? Obecnie to Austria, jak mniemam? – złośliwie wtrącił Majochy.

– Już niedługo – burknął podporucznik i złapał słodki rogalik *cornetto*. Jak się okazało po przegryzieniu – wypełniony budyniem z wanilią.

– Może kawę? W Polsce wszak też ją lubicie, choć mocno rozcieńczoną śmietaną, z tego co pamiętam – zauważył Saluzzo. – Tak, jesteście gościnnym narodem, pełnym serca i dobroci. Ufam Dąbrowskiemu, wiem, że prowincja trafiła w możliwie najlepsze ręce. Martwi mnie jednak, że wy, dzielni i sławni żołnierze, najechaliście nas w interesie Francji. Dlaczego wybraliście sobie takiego sojusznika? Najgorszego europejskiego diabła!

– A z kim mieliśmy się sprzymierzyć, skoro największe imperia rzuciły się, by rozedrzeć naszą ojczyznę na strzępy? – Turkiewicz umoczył usta w kawie. Niemal natychmiast poczuł, jak uderza mu do głowy. Napój okazał się straszliwie mocny.

Arcybiskup wypił filiżankę jednym łykiem.

– Z Hiszpanią, rzecz jasna – powiedział. – Jeszcze nie wszystko stracone. Przejdźcie na stronę światła, przyłączcie się do armii Kościoła. Przywróćmy razem boży porządek na ziemi. Papież pomoże wam uzyskać przymierze z katolickim imperium, Polska zyska wielkiego sojusznika, który jest prawy i działa zgodnie z boskimi przykazaniami. Ojciec Święty pobłogosławi was...

– Ojciec Święty raczy błogosławić różne rzeczy, zwykle te, które akurat są dla niego wygodne – mówił oficer coraz bardziej piskliwym głosem, co zdarzało mu się zawsze, kiedy się zdenerwował. – Z tego, co sobie przypominam, potępił naszą majową konstytucję i pobłogosławił targowicę. Przypieczętował rozbiór Polski, namaścił go boskim blaskiem. Tego mu nie zapomnimy – honor nam nie pozwoli. Pius VI gorzko pożałuje tego, co zrobił Polsce. A królestwo Hiszpanii, choć może i potężne, w żaden sposób nie pomoże nam odzyskać ojczyzny. Te dwie sprawy wykluczają więc przymierze z Kościołem i stoją w sprzeczności z najwyższymi wartościami, którym wierny jest polski żołnierz.

– Jakie to wartości? – spytał arcybiskup.

– Honor i ojczyzna.

Saluzzo porozumiał się wzrokiem z Majochym. Próbowali przekabacić każdego oficera, który trafiał do warty honorowej arcybiskupa, ale nieważne, jakich argumentów by użyli i na jak wielkiego tępaka by trafili, efekt zawsze był ten sam. Mniej lub bardziej grzeczna odmowa.

Nie pozostało im zatem nic innego, jak wezwać na pomoc najpotężniejszego sojusznika.

– Wie pan może, gdzie aktualnie przebywa generał Giuseppe La Hoz? – spytał duchowny po dłuższej chwili milczenia.

– Z tego, co się orientuję, przyjechał dziś z Rimini z półszwadronem huzarów cisalpińskich – odparł podporucznik. – Chcesz zaprosić go do siebie, wasza dostojność?

– Jeśli byłby pan tak miły, poruczniku, i przekazał generałowi zaproszenie. – Arcybiskup uśmiechnął się. – Mam dla niego bardzo ważną wiadomość. To sprawa prywatna, można rzec – rodzinna. Wie pan, od lat byłem spowiednikiem jego rodu i mam smutną wiadomość o jego chorej matce.

– Oczywiście. Gdy zejdem z służby, natychmiast pognam, by powiadomić generała o życzeniu waszej wielbności – powiedział uspokojony Turkiewicz. – Jak rozumiem, o matce mam nic nie mówić.

– Sam go poinformuję – odparł książe Kościoła. – Zależy mi jednak na czasie. Czy mógłby pan teraz posłać żołnierza z listem do generała?

– Jak najbardziej. Proszę napisać list, a natychmiast zostanie przekazany cisalpińskiemu dowódcy.

– Karolu, mój drogi, przynieś, proszę, przybory do pisania. – Saluzzo uśmiechnął do swoich myśli.

*Narwany, młody oficerek. I choć, jak wszyscy Polacy, zupełnie niereformowalny, przynajmniej do czegoś się przyda. La Hoz musi jak najszybciej dowiedzieć się o planach Dąbrowskiego i przekazać je do Rzymu i dalej, do Neapolu. Im prędzej, tym lepiej.*



## 7 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (27 grudnia 1797 roku)



Cele w zamku Sismondo nie odbiegały od tych założonych w innych średniowiecznych twierdzach. Od kamiennej podłogi ciągnęło przeraźliwie, a po ścianach z surowego kamienia ściekały strużki wody. Kupa słomy, służąca za dwa posłania, okazała się całkowicie namoknięta i częściowo spleśniała. Więźniom nie dano nawet śmierdzącej łożówki do oświetlenia lochu. Lux z Hoffmanem mogli korzystać jedynie z odrobiny światła słonecznego wpadającego przez niewielkie okienko o szybach szarych od brudu. Po zapadnięciu zmroku siedzieli w ciemnościach.

Trzymano ich drugi dzień i zdawało się, że zupełnie o nich zapomniano. Żarcie – trochę rozwodnionych kluchów z serem – przyniósł im milczący Cisalpińczyk, który ostentacyjnie zignorował kategoryczne żądania doktora domagającego się natychmiastowego uwolnienia i spotkania z dowódcą garnizonu. Mówił o zdradzie w szeregach włoskiej armii i konieczności jak najszybszego powiadomienia dowództwa Korpusu Romanii. Strażnik nawet na niego nie spojrzał. Zaryglował z trzaskiem drzwi i poszedł.

– Pewnie głuchy – ocenił Kazik. – Takich strażników nie sposób przekupić czy przekabacić. Myślę, że generał La Hoz zadbał o to, by nas uciszyć. Dziwne, że obaj nie zostaliśmy w nocy zadżgani bagnietami.

– Zdrajca chce zrzucić na nas winę za otrucie żołnierzy i twojej niedoszłej narzeczonej – podsumował Hoffman. – Zamiast mordować, będzie nas tu trzymał, do nikogo nie dopuszczając. W tych warunkach za kilka dni zaczniemy chorować, a za dwa tygodnie obaj będziemy martwi. Najpierw dopadną nas dreszcze i biegunka, potem zacznie się osłabienie i ataki gorączki...

– Do tego czasu generał zdąży wykonać krecią robotę i rozbić Legiony – dodał chłopak. – Za dwa tygodnie nie będzie nas miał nawet kto szukać. Chwila! Słyszał pan?

Lekarz spojrzał z zaskoczeniem na furiera. Rzeczywiście, gdzieś z oddali dobiegały

stłumione głosy. Za grubymi ścianami ktoś się wydzierał. Kazik doskoczył do drzwi i przyłożył do nich ucho. Grube drewno tłumiło jednak dźwięk niemal tak dobrze jak kamień. Wreszcie chłopak położył się na zimnej, mokrej posadzce. Przysunął głowę do szpary pod drzwiami.

– Hej! Jest tam kto?! – ryknął.

– Lux, to ty? – po korytarzu rozniósł się zniekształcony głos. – Widziałem przez okno, jak cię prowadzili.

– Kto mówi?

– To ja, Stachowski! Siedzimy tu z Ryśkiem już ponad trzy niedziele – wyjaśnił więzień.

Furier odwrócił głowę do Hoffmana.

– To gefrajter Stachowski i sierżant Sawicki – wyjaśnił. – Odsiadują wyrok za pijaństwo i awantury. Chyba siedzą w celi po drugiej stronie korytarza. Hej, Franek! Kiedy wychodzicie?

– Jeszcze dziewięć dni! Za co cię przymknęli, Kaziu?

– Za niewinność! Widziałem zbyt wiele i pewien sukinsyn chce mi zamknąć gębę. Muszę stąd zwiać! Od tego może zależeć życie wielu chłopaków!

Na jakiś czas zapadła cisza, chyba Stachowski rozmawiał z sierżantem.

– Myślałem, że już cię rozstrzelali, Lux! – odezwał się tym razem Sawicki. – Jeśli chcesz wiać, wystarczy rozbroić strażnika, potem makaroniarzy na dole, przejść niezauważonym przez dziedziniec i zmusić dowódcę warty, by otworzył ci bramę. Możesz też po prostu stać się niewidzialnym i przeniknąć przez ściany, tak będzie łatwiej.

– Wystarczy, że pomożecie mi wydostać się z celi, bo jak zwiać z twierdzy, to wiem, już raz stąd uciekłem. Odwdzięczę się! Obiecuję!

W odpowiedzi rozległ się śmiech sierżanta. Kazik domyślał się, że legionistom ani w głowie atakować wartowników i narażać się na śmierć lub oskarżenie o dezercję. Odsiedzą jeszcze kilka dni i wrócą do szeregów. Po co im kolejna awantura? W imię czego? Wdzięczność furiera wyraziłaby się co najwyżej dodatkowymi porcjami żarcia i wódki. I to pod warunkiem, że ten kiedykolwiek wróciłby do służby. Wszak wszyscy wiedzieli, że za Kazikiem nieustannie ciągnęły się same kłopoty.

Lux wstał i machnął ręką ze złością. Tylko zamoczył mundur, a nic z dwoma pijakami nie ugrał. Doktor wzruszył ramionami. Nie pozostawało im nic innego, jak czekać i mieć nadzieję. Usiedli na mniej zgniłych kupkach słomy i dla zabicia czasu zaczęli gadać o dawnym życiu. Kazik wspominał ulubione zakątki rodzinnego miasta i swoje przygody w warszawskich zaułkach. Hoffman opowiadał o znajomości z Kościuszką i insurekcji, w której wziął udział jako lekarz – najpierw pułkowy, a potem dywizyjny. Później rozgadał się o swoich

wynalazkach, szczególnie chwając się projektem łodzi do pływania pod wodą. Kapral słuchał tego ostatniego z pobłażliwym uśmiechem, choć nie ośmielił się otwarcie kpić z marzyciela.

Przesiedzieli beczynnie kilka godzin. W tym czasie nie przyniesiono im nawet wody, nie mówiąc o jedzeniu. Kazik miał wrażenie, że żołądek zapada mu się coraz bardziej, aż wreszcie przykleja się do kręgosłupa. Teraz zjadłby nawet tamto nadgniłe mięso i to bez wcześniejszego „uzdrawiania”, nawet bez gotowania, na surowo. Marzył mu się też kufel marcowego piwa, które można było kupić w traktierni na Podwalu.

Obaj zaczęli przysypiać z głodu i chłodu, gdy rozbudził ich łomot odryglowywanych drzwi. Strażnik nie wszedł do środka, tylko skinął ponagląco. Przy końcu korytarza czekało na nich dwóch Cisalpińczyków z bagnetami na muszkietach. Furierowi zrobiło się nieswojo, gdy tak poważna warta powiodła ich po schodach do części zamku zajmowanej przez żołnierzy. Więźniów wprowadzono do komnaty z podłużnym stołem, na którym stały dwa wieloramienne świeczniki. Za blatem siedziało dwóch cisalpińskich oficerów i sierżant. Jeden z oficerów nosił epolety majora, a drugi kapitana. Mężczyźni przeglądali papiery, spoglądając nieprzyjaźnie na przybyłych. Kazik ze zgrozą spostrzegł na blacie znajomy słoik z *phosphorus*.

– Lekarz trzeciej klasy Jakub Hoffman i kapral-furier Kazimierz Lux, zgadza się? – spytał sierżant.

Obaj mężczyźni skinęli twierdząco.

– Panowie oficerowie, doszło do nadużycia. Byliśmy przetrzymywani niezgodnie z legionowym prawem. Muszę natychmiast zameldować o zdradzie i próbie zrzucenia na nas winy za morderstwa – nieskładnie przemówił Hoffman.

– Cisza! – ryknął sierżant.

– Nie udzieliłem oskarżonemu głosu – burknął major. – Nie zamierzamy tu z wami dyskutować ani wysłuchiwać waszych kłamstw. Stajecie, panowie, przed sądem polowym z oskarżenia o trucicielstwo i działalność na szkodę armii cisalpińskiej.

– Jesteśmy żołnierzami Legionów Polskich i możemy być sądzeni jedynie przez sąd legionowy! – oburzył się medyk.

– Legiony Polskie wchodzi w skład Korpusu Romanii, jesteście zatem żołnierzami korpusu i będziecie sądzeni jak żołnierze armii republikańskiej – spokojnym głosem odparł major. – Wasza narodowość i przynależność do danego oddziału nie ma znaczenia. Wracając do sprawy, sierżancie, czy to dowód?

– Tak jest. Oto słoje z trucizną użytą do zabicia dziesięciu strzelców, dwóch kobiet i dwójki dzieci. Od trucizny chorowało również kilku polskich oficerów, na szczęście żaden nie zmarł.

– Ten słoje dostaliśmy od cisalpińskich kwatermistrzów – wtrącił Kazik.

– Cisza! – ryknął sierżant. – Dwaj kwatermistrzowie zgłosili nam podejrzanych. Nic dziwnego,

że oskarżeni próbują się teraz mścić. Ponoć ci dwaj zbrodniarze próbowali namówić naszych kwatermistrzów do zatrucia mięsa przeznaczonego na porcje żywnościowe dla Legionów.

– Kłamstwo – wycedził ze złością Lux.

– Cisza, powiedziałem! – Sierżant poderwał się od stołu. – Bo każę cię wybatożyć!

– Coś takiego – odezwał się po raz pierwszy kapitan. – Polacy trują współbraci, włoskie kobiety i dzieci. Nigdy nie ufałem najemnikom z Północy. Całe szczęście, że wreszcie wyszła na jaw ich dwulicowość i mordercze skłonności. Gdy Dyrektoriat się o tym dowie, z pewnością zrobi z nimi porządek. Póki co, my mamy obowiązek wymierzyć sprawiedliwość.

– Protestuję, to jakaś kpina – warknął Hoffman.

Sierżant doskoczył do niego i spoliczkował z rozmachem. Kazik z warknięciem runął na podoficera i trzasnął go pięścią w bok głowy. Natychmiast oberwał kolbą muszkietu w plecy, a gdy się przewrócił, dostał jeszcze dwa kopniaki w zębra.

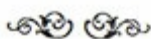
– Wystarczy – major spokojnym głosem zakończył potyczkę. – Nie mamy czasu na takie zabawy. Niniejszym, w imieniu Republiki Italii, uznaję winę oskarżonych. Doktor Hoffman, pochodzący z aptekarskiej rodziny medyk i alchemik, stworzył świecąca substancję o silnym działaniu trującym i przekazał ją kapralowi Luxowi. Ten, prawdopodobnie austriacki szpieg, wykorzystał ją do otrucia żołnierzy i cywilów, by siać chaos w pierwszej linii cisalpińskiej armii. Wina obu nie podlega dyskusji. Skazuję ich na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok zostanie wykonany o świcie. Odprowadzić więźniów do celi.

Lekarz pomógł furierowi wstać i po chwili obaj maszerowali z powrotem do swojego lochu. Cały proces trwał raptem kilka minut, a wyrok zapadł, zanim oskarżeni znaleźli się na sali rozpraw. Doktor w milczeniu rozmyślał nad intrygą, a Kazik kłął pod nosem.

Chłopak ożywił się, gdy znaleźli się w korytarzu prowadzącym do celi. Wymierzył kopniaka w mijane drzwi, za którymi prawdopodobnie siedzieli Stachowski z Sawickim.

– Ratujcie, bo rankiem nas rozstrzelają! – ryknął. – Jeśli to się stanie, honor Legionów zostanie na zawsze zhańbiony. Nasze oddziały zostaną zdradziecko zaatakowane i zniszczone! Zróbcie coś, do cholery! Chcą nas zamordować, by nie wydały się ich kłamstwa i matactwa!

Nie zdążył dodać nic więcej, bo jeden ze strażników pchnął go na ziemię i wymierzył kolejnego kopniaka. Lekarz zasłonił chłopaka własnym ciałem, za co również oberwał buciorem. Obaj wtoczyli się do swojej celi i padli na zgniłą słomę.



Ksiądz Skwarski w towarzystwie legionisty Baumana patrolował uliczki dopiero co zajętej stolicy papieskiej prowincji. W Urbino musiała ukrywać się zgniła burżuazja, która siedziała na piwniczkach wypełnionych beczkami przedniego wina. Chyba nic się nie stanie, jeśli

dzielni republikańscy żołnierze zarekwirują jedną z nich na prywatne potrzeby. Niestety, nocne wędrówki po ciasnych uliczkach rozległego miasta nic nie dawały. Włosi, jak zwykle, zanim poznali i polubili Polaków, ryglowali przed nimi drzwi. Rewolucyjnie nastawieni mieszczenie trochę obawiali się rosnących wojaków mówiących dziwnym, zupełnie niezrozumiałym językiem. Dlatego nawet drzwi karczem pozostawały dziś zamknięte dla księdza i Żyda.

Wreszcie dotarli na przestronny plac. Wznosiła się nad nim imponująca katedra o wejściu oflankowanym ogromnymi, niknącymi w ciemności kolumnami.

– No cóż, skoro Pan nie pozwolił mi dziś na zażywanie przyjemności, może dał mi w ten sposób znak, że najwyższa pora na zaniewany rozwój duchowy. Idę się pomodlić – oznajmił Skwarski, zdejmując z ramienia flintpas z muszkietem. – Bądź tak miły, Majer, i potrzyмай moją broń.

– Oczywiście, przyjacielu, idź porozmawiaj z Panem – zgodził się Żyd, przyjmując muszkiet kompana. – My, starsi bracia w wierze, musimy wam pomagać.

Skwarski zmierzył ponurym spojrzeniem brodate oblicze Baumana, ale nic nie powiedział. Odwrócił się, by wejść po schodach do świątyni, ale w tej chwili z katedry szybkim krokiem wyszedł duchowny w sutannie. Z szerokim uśmiechem rozłożył obie ręce, jakby chciał objąć Polaka.

– Bracia żołnierze, cieszę się, że przyszlście do świątyni – powitał ich zachwycony kapłan.

Skwarski nie odpowiedział, zaskoczony pojawieniem się Włocha. Rozpoznał w nim Vincenta Allodiego, proboszcza z Fossombrone, który dwa dni temu został aresztowany po odkryciu w jego kościele broni i amunicji. Dąbrowski kazał uwolnić duchownego, zabiegając w ten sposób o przychyłność ludu. Skąd proboszcz wziął się w Urbino i co tu robił?

– Czyżbyście szukali pociechy duchowej? Nie wydaje mi się, by takim chwatom była potrzebna. – Allodi objął Polaka niczym najlepszego druha. – Pewnie potrzebujecie stawy lub napojów, może towarzystwa dziewczek? Nie krępujcie się, mówcie śmiało!

– Te pierwsze dwie rzeczy bardzo by się przydały. – Skwarski skinął głową.

– Ta ostatnia również – dodał Bauman. – Przynajmniej dla mnie.

– Chodźcie, chłopcy, stąd kawałeczek do mnie na plebanię. Porozmawiamy, napijemy się czegoś. Dla bogobojnych chrześcijan coś się znajdzie nawet w tak trudnych i biednych czasach.

Allodi pociągnął Skwarskiego niemal siłą. Żyd ruszył za nimi, rozglądając się po placu. Oczywiście mu się wydało, że przesadna wylewność i gościnność klechy jest mocno podejrzana. Włoscy kapłani nie lubili republikańskich żołnierzy i tego nie ukrywali. Zaprowadzenie w ciemny zaułek dwóch legionistów aż nadto śmierdziało pułapką. Bauman bał się, że jego towarzysz, usłyszawszy o napitku, natychmiast stracił rozsądek i da się

zaprowadzić jak cieleń na rzeź.

– Wiem, że Francuzi nie wypłacali wam żołdu od tygodni, a ostatnio coraz bardziej skąpią jedzenia i picia – powiedział włoski ksiądz. – To okropne traktować w ten sposób chrześcijan. Dziwię się, że pozostajecie wierni tej zbieraninie rozbójników, która nazywa się Dyrektoriatem. Przecież ci dranie was okradają, a sami siedzą w ciepłych pałacach, które ukradli własnej szlachcie. Pławią się w luksusach, napełniają tłuste brzuszyska i liczą zabrane wam żołdy. Dlaczego nie rzucicie w diabły takiej służby i nie staniecie po stronie prawości? Przecież walcząc dla republikanów niszczących kościoły, narażacie swe dusze na potępienie.

– W imię wyższych racji, dla dobra ojczyzny, jestem gotów udać się do samego piekła – spokojnie odparł polski duchowny. – A ksiądz dobrodziej wie, że namawianie do dezercji może zostać ukarane śmiercią przez sąd legionowy?

– Ależ broń mnie, panie Boże, bym namawiał was do porzucenia służby! – oburzył się Włoch. – Ja tylko otwieram wam oczy, pokazuję, kim naprawdę są wasi dowódcy. To przecież banda masonów, którzy marzą o przejęciu władzy nad światem. Jesteście jedynie pionkami w ich grze. Za nic mają dobro waszej ojczyzny, są posłuszni jedynie swoim mistrzom i wierni interesom stowarzyszenia. Wysyłają was na diabelską wojnę, w ich imieniu niszczycie państwo prawa i sprawiedliwości, sami narażając się jedynie na śmierć i pohańbienie, a przede wszystkim – wieczne potępienie.

– Za to Państwo Kościelne jest niczym Królestwo Niebieskie, co? – parsknął Bauman. – Wy nie dbacie o polityczne ani handlowe interesy, a jedynie o szczęście i dobro ludu. My natomiast jesteśmy jako te zbłąkane owieczki, które ksiądz zamierza właśnie zagonić do stada. Byśmy wszyscy razem ocalili swe dusze i trafili do nieba...

W trakcie rozmowy ominęli katedrę i skręcili w boczną ulicę z ciasno pobudowanymi kamienicami. Skwarski zauważył, że zza półprzymkniętych okiennic obserwują ich mieszkańcy. Cała sytuacja zaczynała go irytować. Kilkudniowa przymusowa abstynencja doprowadziła go na skraj nerwowej wytrzymałości. Teraz, zamiast obiecane napitku, musiał znosić przekomarzanki. Allodi próbował ich niezdarnie przekabacić i skłonić do dezercji albo prowadził w pułapkę. Jedno i drugie zdecydowanie się legionowemu kapelanowi nie podobało.

– Dostyc podchodów. Czego ksiądz od nas chce, tylko szczerze. – Skwarski zatrzymał się gwałtownie na środku ulicy.

Ze skrzypieniem otworzyła się kolejna okiennica, a jakaś gruba Włoszka otwarcie, bez skrępowania wychyliła się i oparła imponujący biust o parapet, by lepiej widzieć zajście i słyszeć rozmowę. Żyd poczuł się, jakby stał na arenie otoczonej trybunami pełnymi widzów. Czuł na sobie spojrzenia gapiów.

– Chciałem zaproponować wam wstąpienie do armii Ojca Świętego, ale zdaje się, że źle

trafiłem – odparł Allodi. – Nie chcecie walczyć w słusznej sprawie, w obronie wiary i prawdy. Nie chcecie wysokiego żołdu, płatnego od zaraz, nie chcecie dostawać świeżej strawy i pić przedniego wina. Nie interesuje was uwielbienie i kto wie, może nawet miłość ze strony pięknych Włoszek. Nie chcecie też zadbać o własne dusze. Nie chcecie pozostać wierni Kościołowi katolickiemu...

– Jestem Żydem – nieśmiało wtrącił Bauman.

– Wolicie skazać się na wieczne potępienie, służąc opętanym przez szatana masonom i rewolucjonistom. Wolicie zginąć w niesławie, zapomniani i zhańbieni. Wasz wybór. Przemysłcie to jednak, mamy jeszcze trochę czasu. Póki co, jestem gotów, z czystego miłosierdzia, wspomóc was finansowo, byście poczuli smak służby po właściwej stronie. Kupię od was muszkiety i patrony. Zapłacę złotem, w tej chwili.

Wyciągnął z kieszeni sutanny mieszek z brzęczącą zawartością. Rozsznurował go i wysypał na dłoń kilka ciężkich, złotych monet. Bauman aż zagwizdał z podziwu, dawno bowiem nie widział takiej fortuny. Skwarski rozejrzał się za to pilnie. Obserwowała ich z okien chyba cała ulica. Kupno broni miało być najwyraźniej pokazem siły Kościoła i słabości republikańskiej armii.

– Chce ksiądz kupić naszą broń? – upewnił się jeszcze.

– Dam znacznie więcej, niż jest warta. Powiecie dowódcy, że zostawiliście ją w karczmie i zginęła, dostaniecie za karę po kilka kijów i tyle, nic wam nie będzie. Bierzcie, to prawdziwa okazja.

Skwarski uderzył od dołu w dłoń z monetami. Złote krążki poleciały wysoko i po chwili spadły z brzękiem na bruk. Bauman wyrwał mieszek z drugiej dłoni księdza, przez mgnienie oka walczył z chciwością, a potem cisnął woreczek w twarz Allodiego. Tymczasem polski duchowny powoli wyciągnął tasak z pochwy. Przerażony Włoch zrobił krok w tył.

– Zapamiętasz sobie tę lekcję na długo – powiedział kapelan. – Nie wolno obrażać honoru polskiego żołnierza, to bardzo poważny błąd. Należy ci się pokuta. Przechrzczę cię tą stalą, by zmasać twe winy. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Mówiąc, płazem broni okładał wycofującego się księdza. Ciosy spadały raz za razem, mocne i wymierzone bez litości. Allodi zaczął wrzeszczeć z bólu i przerażenia, próbując rękami osłaniać poobijane ciało. Z okien rozległy się oburzone okrzyki gapiów, ale Skwarski nie zwracał na nie uwagi. Lekcja udzielana proboszczowi była skierowana także do mieszczan.

Wreszcie ksiądz przewrócił się i zwinął, chowając głowę między rękoma. Bauman wymierzył mu jeszcze trzy kopniaki, a na koniec splunął. Kapelan złapał kompana za kołnierz i pociągnął w dół uliczki.

– Wystarczy – powiedział. – Weźmy kilka monet w ramach rekompensaty za uszczerbek moralny. Wejdziemy do najbliższej knajpy i niech tylko drzwi będą zaryglowane!

– Najwyżej puścimy całe miasto z dymem, ale dziś się napijemy.

Karczmarz jednak widział przez okno zdarzenie i nie ośmielił się zamknąć im wrót przed nosem. Dwaj legioniści zasiedli przy stole i zażądali jedzenia oraz napitków. Wino z tego rejonu słynęło w Europie, nawet to z niezbyt wyszukanych szczepów. Po chwili też popłynęło szerokim strumieniem w wysuszone gardła księdza i żydowskiego filozofa. Mężczyźni bawili się świetnie przez niemal trzy godziny, aż do karczmy wpadł patrol Cisalpińczyków, by aresztować ich za pobicie duchownego. Na nic zdały się protesty żołnierzy. Okazało się, że o sprawie huczało całe miasto i dotarła ona do przebywającego tu z wizytacją generała Dąbrowskiego. Dowódca nakazał ukarać winnych, by pokazać mieszczanom, że Polacy otaczają kapłanów szacunkiem i poważaniem.

Ksiądz Skwarski nie był tym pokazem zachwycony.



## 8 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (28 grudnia 1797 roku)



**D**rzwi celi się otworzyły i stanął w nich cisalpiński sierżant – ten sam, który dzień wcześniej wziął udział w procesie. Spojrzał ponuro na skazańców i bez słowa skinął im głową. Kazik przełknął ślinę i wstał z barłogu. Z trudem powstrzymał dygotanie kolan, nogi się pod nim uginały ze strachu, a pęcherz cisnął jak diabli. Głupio byłoby poszczać się w czasie egzekucji. Jak by to wyglądało! Chłopak odwrócił się więc i oddał mocz w dotychczasowe posłanie, czyli na zgniłą kupę siana. Hoffman powoli zapiął lekarski surdut i nałożył bicorne. Wyprostował się, gotów do wyjścia.

Lux nieskładnie mamrotał modlitwę, gdy prowadzono ich korytarzem. Mylił słowa, język mu się plątał. Trudno było znieść myśl, że idzie na śmierć. Mimo oczekiwań i gorących modlitw nocą nie przyszło zbawienie. Sąsiedzi z celi obok nie dokonali zamachu i nie pomogli w ucieczce. Nikt nie interesował się losem dwóch nieszczęśników, którym wrogowie Legionu zgotowali tak paskudny los.

Co innego iść na śmierć w szeregu, mając wokół kompanów. Gdy werble biją sygnał do ataku, a wokół słyhać świst kul i ryk wiarusów. Marsz korytarzem o świcie nie miał w sobie nic romantycznego. Kazik wiedział, że zdechnie, wijąc się z bólu, z muszkietową kulą w bebechach. Chyba że któryś ze strzelców okaże się łaskawy i strzeli mu prosto w łeb. Wszystko zależało od tego, kto znajdzie się w plutonie egzekucyjnym.

Wyszli na dziedziniec przed zamkiem. Na placu apelowym stał kapitan z wczorajszego sądu, a wraz z nim dziesięciu ustawionych w szereg Cisalpińczyków. Obok plutonu przeżył się malec w miniaturowym mundurze i z werblem zawieszonym na szyi. Na znak oficera dobosz zaczął bić jednostajny rytm. Hoffman, jak przystało na starego wojaka, kroczył pewnie, jakby szedł na spacer, a nie na śmierć. Furier dygotał, udając, że z zimna, i walczył z chęcią rzucenia się do ucieczki lub chociaż położenia się na ziemi i wczepienia pazurami w bruk. Głupio mu jednak było przed lekarzem i Cisalpińczykami. Kto wie, może z okien celi patrzyli też więźniowie?

– Ojciec przepowiedział, że jeśli nie wybiję sobie ze łba awantur i poszukiwania przygód, właśnie tak skończę – odezwał się drżącym głosem. – Na stryczku.

– Zatem się mylił – spokojnie odparł medyk. – Nie skończysz na stryczku, zostaniesz rozstrzelany.

– Marna to pociecha. – Kazik westchnął.

Kapitan uniósł rękę i werbel umilkł.

– Komu przekazać wasze mienie? – spytał krótko.

– Dowódcy Drugiego Batalionu – odparł Hoffman. – Proszę również przekazać mu...

– Nie zamierzam spełniać waszych zachcianek – przerwał kapitan. – Zdejmiecie mundury, by nie uległy zniszczeniu?

– Oczywiście – odparł doktor. – Należą do Legionu.

Szybko zdjął surdut i wręczył go sierżantowi. Po chwili wahania również kapral rozpiął kurtkę mundurową, rozwiązał czarny fular pod brodą, ściągnął białą kamizelkę i granatowe spodnie. Został boso, w samej koszuli i kalesonach. Brak było lodowato zimny. Po zamkowym dziedzińcu hulał wilgotny, pachnący morzem wiatr. Chłopak zorientował się, że przestał dygotać z zimna i strachu. Wciągnął powietrze głęboko w płuca, napawając się ostatnimi w życiu przyjemnymi doznaniem.

– Stanąc pod murem – rozkazał oficer.

– Tak po prostu? A gdzie odczytanie wyroku, spowiedź święta, ostatnie namaszczenie? – oburzył się Lux.

– Milczeć! – ryknął sierżant. – Bo dostaniesz przed śmiercią taki łomot, że nawet na tamtym świecie go nie zapomnisz!

– Rozumiem pośpiech, nie chcemy zatrzymywać panów zbyt długo przed śniadaniem – wtrącił Hoffman. – Ale przez zwykłą przyzwoitość przyzna pan, kapitanie, że jako żołnierzom sojuszniczej armii należy się nam ostatnie życzenie.

Cisalpiński oficer, który od początku sprawiał wrażenie niezadowolonego ze swojego zadania, spojrzawszy z niechęcią na lekarza. Widząc jednak spokojną twarz inteligentnego, starszego pana, westchnął ciężko i skinął przyzwalająco głową.

– Chcę napisać list z ostatnią wolą do dowódcy Legionu. Proszę również, by dołączono do niego słoje z *phosphorus*... znaczy, z zarekwirowaną trucizną – powiedział medyk.

Kapitan nie wyglądał na zachwyconego. Zanosilo się na to, że egzekucja będzie musiała poczekać, aż lekarz napisze list. Trudno, słowo się rzekło. Skinął na sierżanta i kazał mu gonić do kancelarii po papier, pióro i kałamarz.

– A wy czego chcecie, kapralu? – zwrócił się do Kazika.

Furiera ciągle męczyła wizja muszkietowej kuli wiercącej trzewia i perspektywa długotrwałej agonii, w której trakcie będzie rzygał i srał krwią, a nieczystości z jelit wypłyną mu do rany i zasmrodzą gównem krew. Z każdą chwilą coraz mocniej wyobrażał sobie cierpienia, wyolbrzymiając je niebotycznie. Jedyną szansą na szybką śmierć był strzał łaski, wymierzony przez zaufanego strzelca z plutonu egzekucyjnego. Na patałachów Cisalpińczyków nie było co liczyć – nawet gdyby chcieli, żaden z nich nie trafi w tak mały cel.

– Moim ostatnim życzeniem jest – powiedział, ostrożnie cedząc słowa – by pluton egzekucyjny składał się wyłącznie z polskich legionistów.

Kapitan wzniosł wzrok ku niebiosom, jakby oczekiwał od nich wsparcia. Zachował jednak zimną krew i poczekał na powrót sierżanta. Ten w końcu pojawił się z przyborem do pisania i słojem z trucizną. Wrzucił go do tłumoczek z mundurem Kazika i strojem Hoffmana.

– Skąd mamy mu wziąć polskich żołnierzy? – oburzył się podoficer. – Kompania legionowa wymaszerowała wczoraj. Została tylko jedna sekcja – pięciu fizylierów, którzy spóźnili się z powrotem z patrolu. Mamy jeszcze dwóch polskich więźniów odsiadujących drobne przewinienie.

– No i wystarczy. – Kapitan wzruszył ramionami. – Siedmiu strzelców, więcej nie trzeba. Sprowadzić mi ich, a żywo!

Lekarz wcisnął kapralowi kałamarz w dłoń i kazał się lekko pochylić. Rozłożył papier na plecach furiera i maczając pióro w trzymanym przez chłopaka naczyniu, zaczął pisać ostatni meldunek dla dowódcy. Po paru minutach na placu pojawiło się pięciu polskich fizylierów. Ku zaskoczeniu i uldze Kazika okazało się, że to pododdział kaprała Kleina z Pierwszego Batalionu. Chłopaki zabalowali w lupanarze i nie zjawili się przed wymarszem kompanii. Cisalpiński kapitan kazał ich zatrzymać w zamku – do czasu, aż otrzyma rozkazy, jak ma ich ukarać.

Po kolejnych dwóch minutach do plutonu egzekucyjnego zostali dołączeni gefrajter Stachowski i sierżant Sawicki. Obaj więźniowie byli ubrani w pocerowane i wyczyszczone mundury. Obaj byli też ogoleni. Widocznie nadmiar czasu pożytkowali na dbanie o schludny wygląd i naprawy umundurowania. Mocno to zaskoczyło wszystkich zebranych, nikt bowiem nie spodziewał się takiej dbałości o wizerunek po dwóch pijakach i awanturkach.

Obaj uścisnęli ręce skazańców, których mieli rozstrzelać, uśmiechając się przy tym wesoło. Śmierć nie robiła na starych wojakach najmniejszego wrażenia. Obaj zachowywali się tak, jakby spotkali się ze skazanymi w czasie spaceru na niezobowiązującej pogawędce.

– I co, Kaziu, nie złapałeś truciciela, który załatwił strzelców z Pierwszego Batalionu i twoją dziewczynę? – spytał Sawicki.

– Byłem blisko – ponuro odparł furier. – Ten drań okazał się lepszy i to on mnie załatwił. Doktor Hoffman oberwał trochę przypadkiem, niepotrzebnie zaangażował się w śledztwo.

– Taki los. – Lekarz wzruszył ramionami. – Zbrodniarz zapłaci za naszą śmierć, obiecuję ci, Kaziu. Zostaniemy pomszczeni. Dąbrowski nie pozwoli, by honor Legionu był w ten sposób obrażany.

– Zamknąć gęby! – ryknął cisalpiński sierżant. – Nie gadać po polsku!

Hoffman spojrział na niego z wyższością.

– Jesteśmy gotowi, panie sierżancie – powiedział.

– Chłopcy, strzelajcie celnie – furier poprosił kolegów. – Mierzcie prosto w łeb.

– Nie ma sprawy, synu. – Sawicki skinął głową. – Twoja czaszka rozbryźnie niczym dojrzały melon. Nic nie poczujesz.

– Dzięki stokrotne. – Kazik odetchnął.

– Dwa dni piłem twoje zdrowie, Lux – wtrącił się kapral Klein. – Zapewniłem ci je na wiele lat. I wszystko na marne! Szkoda tak świetnego szermierza. Wściecie, wiara, jak on robi szabłą? Aż miło popatrzeć! Na moich oczach usiekł dwóch drani tak, że nawet nie pisnęli.

– Powiedziałem, żebyście zamknęli gęby i nie świszczeli mi tu po polsku! – rozdarł się cisalpiński sierżant.

Doskoczył do Kleina i spoliczkował go z rozmachem. Kapral odepchnął go, czerwieniejąc z wściekłości.

– To napaść! – wrzasnął Włoch.

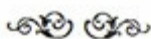
– Dostyc tego, sierżancie – boleśnie jęknął kapitan. – Proszę się nie awanturować, ale wreszcie wykonać wyrok.

Siedmiu legionistów zostało ustawionych w szereg, wręczono im nabite muszkiety plutonu egzekucyjnego. Kazik i Hoffman znaleźli się pod zamkowym murem, który nosił już ślady po kulach. Furierowi zdawało się, że kamienie za nim są nie tylko podrapane, ale i okrwawione. Kolana znów zaczęły mu dygotać. Wziął się jednak w garść i spojrział śmierci w oczy.

Dobosz zaczął wybijać wściekły, narastający rytm. Sierżant stanął z boku, prostopadle do szeregu strzelców. Kapitan odwrócił się tyłem, bardziej zainteresowany chmurami nadciągającymi od strony morza. Na rozkaz fizylierzy wznieśli muszkiety. Kazik widział teraz tylko czarne otwory luf, które za chwilę miały wybuchnąć ogniem.

– *Tuy!* Ognia! – wrzasnął sierżant.

Lux nie wytrzymał i zamknął oczy. Gruchnęła muszkietowa palba.



Królowa siedziała na łóżku, ubrana jedynie w nocną koszulę. Młoda pokojowa delikatnie rozczesywała jej włosy, starając się przy tym stąpać niczym kot i zachowywać, jakby w ogóle jej nie było. Maria Karolina nie lubiła, gdy służba przeszkadzała jej w rozmyślaniach. Jej

wysokość obracała w dłoniach koraliki koronki, niby odmawiając poranny różaniec, w rzeczywistości jednak myślami krążyła nad Rzymem i papieskimi prowincjami, wypatrując francuskich sztandarów i maszerujących zastępów wroga. Gdzieś tam jej największy sojusznik, zbuntowany generał cisalpiński, powinien właśnie dostawać rozkaz z Neapolu zawierający plan ataku opracowany przez kontradmirała Nelsona.

– Upudruj moją ulubioną perukę – rozkazała służącej. – Pojadę dziś z królewnami na mszę do katedry. Niech lud zobaczy modlącą się władczynię.

Dziewczyna dygnęła, nie mając śmiałości głośno przytaknąć.

– Jak masz na imię, dziecko? Ech, nieważne i tak nie zapamiętam. Powiedz, co tam ciekawego dzieje się w Neapolu?

– Wezuwiusz zaczął w nocy dymić – drżącym głosem odparła służka.

Ugryzła się w język, ale było już za późno. Przekazała niedobłą wiadomość, a posłańców niosących takie informacje nigdy nie traktowano zbyt łaskawie. Rzymscy cesarze często kazali ich okrutnie mordować.

– Wezuwiusz się przebudził. To zły znak, prawda? – powiedziała Maria Karolina.

Aktywność wulkanu zawsze kończyła się nieszczęściami. Po przebudzeniu Wezuwiusza miasto bombardowały głazy lub demolowała trzęsąca się ziemia. Neapolitańczycy modlili się, by potężna góra zawsze spała.

– Może to tylko odrobina dymu – niepewnie bąknęła służka. – Nic złego się nie stanie...

– Zostaw już moje włosy i pomóż mi się ubrać – zdecydowała monarchini.

Dziewczyna zasznurowała gorset swojej pani i wcisnęła jej wysokość w niewygodną, ale piękną krynolinę. Kiedy nakładała Marii Karolinie buty, rozległo się natarczywe pukanie do drzwi sypialni. Ktoś musiał mieć ogromny tupet, by tutaj niepokoić władczynię. Albo stało się coś złego.

Do komnaty zajrzała Maria Antonietta, najśliczniejsza i najmądrzejsza z królewskich córek. Dziewczynka dygnęła grzecznie, czekając na pozwolenie wejścia do matczynej sypialni. Monarchini zmarszczyła brwi, ale skinęła przyzwalająco.

– Mamo! – Dziewczynka chciała podbiec do królowej, ale zatrzymała się w pół kroku. – Wasza wysokość...

Spuściła skromnie wzrok, składając rączki na podołku. Maria Karolina z powagą kiwnęła głową. Królewny musiały nauczyć się porządnego zachowania i pamiętać, że zawsze i wszędzie są przede wszystkim członkiniami rodu panującego.

– Co się stało, Mario Antonietto?

– Cud! O świcie wydarzył się cud świętego Januarego! – oświadczyła córka.

Maria Karolina uśmiechnęła się z zadowoleniem. Dla odmiany był to bardzo dobry znak!

Dym z przeklętej góry to nic takiego w porównaniu z ożywieniem neapolitańskiej relikwii. W jednym z kościołów przechowywano szklaną fiolkę z wysuszoną krwią chrześcijańskiego męczennika. Dwa razy do roku, wiosną i w grudniu, zdarzało się, że skrzep zamieniał się w ciecz wyglądającą jak krew dopiero co upuszczona z ludzkiej żyły. I dziś znów się to stało. To jawny znak, że Stwórca i Pan w niebiesiech łaskawie spogląda na Neapol i jego mieszkańców. Wszystko zatem powinno się udać. Kontruderzenie papieskich wojsk, wspierane przez Królestwo Neapolu, z pewnością się powiedzie. Francuzi i ich sługusy zostaną pokonani i zniszczeni.

Królowa wstała i pocałowała córkę w czoło.

– Po śniadaniu pojedziemy do katedry i złożymy ofiarę świętemu Januaremu – zdecydowała.  
– Wybierzemy się otwartym powozem, by ludzie nas widzieli. Powiedz siostram, że mają ubrać się odświętnie.

– Co damy świętemu, mamó?

– Ofiarujemy datek na rzecz budowy poświęconej mu kaplicy – zdecydowała Maria Karolina. – Albo nie! Zapłacimy za namalowanie obrazu przedstawiającego jego męczeństwo.

Władczyni stanęła przed lustrem i chwilę podziwiała swoją postać. Pierwszy krok do pokonania Francji został przedsięwzięty i to nawet nie pod jej sztandarami, a już niebo zwiastuje zwycięstwo. Za kilka lat stolica królestwa przesunie się do Rzymu, a potem przyjdzie czas na wyrównanie rachunków z Paryżem. Maria Karolina już widziała się spacerującą na gruzach Wersalu, wśród gilotyn ścinających republikanów.

To przyszłość. Dziś zaś najważniejsze jest to, że lada chwila polski generał i horda jego barbarzyńców zostaną wybici i przegnani z Państwa Kościelnego. To będzie pierwsze zwycięstwo na drodze do prawdziwej potęgi.



Kazik wstrzymał oddech. To tak wygląda śmierć? Rzeczywiście była zupełnie bezbolesna. Nadal czuje zapach morza i wilgotnych zamkowych murów. Otworzył oczy i po chwili przetarł je ze zdumieniem. Doktor Hoffman stał obok, nawet nie draśnięty. Na placu leżał cisalpiński sierżant z krwawą dziurą w głowie. Sierżant Sawicki mierzył z muszkietu w plecy włoskiego kapitana. Rozbrojeni cisalpińscy żołnierze unieśli ręce w geście poddania. Kapral Klein powtórnie ładował swój muszkiet.

– Gapicie się jak cielęta w malowane wrota – zauważył gefrajter Stachowski. – Ubierajcie się, do cholery. Musimy stąd wiać.

Kazik pierwszy doszedł do siebie. Kilkoma susami dopadł do ubrań i szybko zaczął wciągać portki. Cisalpińczycy zostali zapędzeni do środka zamku i wepchnięci do pierwszej znalezionej komnaty, którą można było zaryglować. Jediną ofiarą buntu był nerwowy sierżant,

który oberwał kulkę od kaprala Kleina. Podoficer okazał się bardzo czuły na punkcie swojego honoru i publiczne spoliczkowanie odebrał jako śmiertelną zniewagę.

Sawicki, który osobiście zamknął jeńców, wyszedł z budynku w butach cisalpińskiego kapitana. W rękę trzymał bandolier<sup>[51]</sup> z przypiętą doń oficerską szablą. Rzucił zdobycz Kazikowi.

– Masz, młody – mruknął. – Skoro umiesz tym żelastwem dobrze robić, może ci się przydać. A teraz powiedz, gdzie jest owo tajemnicze wyjście z zamku, o którym opowiadałeś.

– Wszyscy wiejecie? – zdumiał się Lux. – Wiecie, co wam za to grozi?

– I tak jesteśmy zakałami Legionu – zauważył Klein. – Pijacy i buntownicy, niezdyscyplinowani i oczekujący na kolejne kary. Skoro mam wylądować w lochu, niech choć będzie za co!

Warszawiak parsknął nerwowym śmiechem.

– To co teraz? – spytał Stachowski. – Idziemy dopaść drania, który kazał cię rozstrzelać?

– Nie wiem, czy damy mu radę. – Furier podrapał się po głowie. – Chyba najważniejsze, co musimy teraz zrobić, to uratować Legion.

– Nie ma zatem na co czekać. – Sawicki pchnął Luxa. – Prowadź, bo zaraz w zamku ogłoszą alarm.

Kapral zarzucił bandolier przez ramię i oparł dłoń na rękojeści oficerskiej szabli. Obejrzał ją z podziwem. Piękna broń, nie to, co gówniany tasak piechura. W drugą rękę złapał jeden ze zdobycznych muszkietów i ruszył biegiem w kierunku stajni znajdujących się na tyłach. Fizylierzy i lekarz ruszyli za nim. W korytarzu za dziedzińcem spotkali grupę cisalpińskich piechurów, którzy żartowali, że Polacy pewnie spieszą się po wódkę. Kazik wiedział, że muszą opuścić zamek, zanim ktoś znajdzie trupa zastrzelonego sierżanta lub nim grupa kapitana zdoła się uwolnić.

Dopadli do przylegającej do murów szopy, w której znajdowało się tajne przejście. Lux wpadł do niej pierwszy i stanął jak wryty. Pękniecie w murze nie istniało. W miejscu, w którym ostatnio znajdowała się dziura, tkwiły szare kamienie wzmocnione jeszcze białą od świeżości zaprawą.

– Zamurowali nas! – wyjęczał furier.

– I co teraz, cwaniaku? – spytał Klein.

– Wyjdziemy główną bramą – oświadczył Hoffman. – Ja prowadzę. Zdjąć bagnety, muszkiety na ramię. I ustawić się w kolumnę marszową. Dwójkami.

Wracali tą samą drogą, tym razem idąc równym krokiem. W przejściu spotkali palących fajki Cisalpińczyków.

– I co, nie było wódki? – spytał z uśmiechem jeden z nich.

Żaden z fizylierów nie zareagował. Przeszli podwójnym<sup>[52]</sup> krokiem przez dziedziniec i po chwili dotarli do głównej bramy. Czterech włoskich wartowników zmierzyło ich obojętnym spojrzeniem. Jeden pokwapił się do wartowni po dowódcę. Piechurzy czekali. Kazik wstrzymywał oddech, czekając na podniesienie alarmu. Kiedy to się stanie, będzie za późno. Nigdy nie opuszczą zamczyska, wszyscy staną przed plutonem egzekucyjnym i tym razem nikt nie wysłucha ich ostatnich życzeń.

Z wartowni wyszedł niespiesznym krokiem oficer z ponurą twarzą. Lux jęknął cicho, bo rozpoznał w nim kapitana-kwatermistrza Roosa. Oficer był sympatycznym człowiekiem, ale zachowywał się przyjaźnie tylko wobec tych legionistów, których uważał za zdyscyplinowanych i dobrych żołnierzy. To właśnie jego Kazik ochronił przed wydaniem mistrzowi masonów, choć Roos był tym, który dał się omamić generałowi La Hozowi i pozwolił oznakować beczki, które potem znikły z magazynów.

– Doktor Hoffman? – zdziwił się Roos na widok medyka ze zbrojną asystą. – Co pan tu robi? Myślałem, że u boku Dąbrowskiego forsuje pan właśnie Apeniny!

Lekarz wykonał dziwny gest prawą dłonią, trochę jakby rzucał zaklęcie. Ku zdumieniu Luxa niby-czar podziałał. Kapitan zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na doktora rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

– Dostałem pewne zadanie do wykonania na tyłach naszej armii – powiedział medyk. – Muszę zadbać o to, by droga do Światłości stała otworem. Proszę otworzyć bramę, kapitanie.

Oficer odpowiedział tajemniczym gestem, nieco różniącym się od tego wykonanego przez Hoffmana, a potem nie zadając więcej żadnych pytań, wydarł się na wartowników, by otworzyli wrota. Kazik uzmysłowił sobie, że gesty były jakimś tajemnym kodem wolnomularzy. Przypuszczał, że Hoffman wykonał znak wymagający od Niemca podporządkowania i udzielenia pomocy, do tego pewnie poparty sugestią, że piechurzy wykonują jakieś ważne zadanie na rzecz masońskiej organizacji.

Wrota ze zgrzytem się otworzyły i grupa fizylierów wyszła z zamku, by po chwili zniknąć w wąskich uliczkach Rimini.



## 9 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (29 grudnia 1797 roku)



**K**apral Krawczyński prowadził pluton ciasnymi uliczkami Cattolica. Przez chmury momentami przebijało światło słoneczne, dodając życia wysokim, starożytnym ścianom domów i błyskając wesoło w licznych kałużach oraz strumykach płynących rynsztokami. Nie poprawiało jednak humoru podoficerowi, który zupełnie zagubił się w plątaniu przejść. Nie mógł zapytać nikogo o drogę, bo zupełnie nie rozumiał po włosku, do czego wstydził się przyznać podkomendnym. Tym zresztą specjalnie nie ufał, bo właściwie żadnego dobrze nie znał. Ledwie dwa dni temu przeniesiono go z Drugiej Legii do Pierwszej i nie zdążył jeszcze rozeznąć się, kto jest kim w oddziale.

W związku z pojawieniem się w kompanii płacił zwyczajowe frycowe, otrzymując najbardziej nieciekawe zadanie. Zamiast maszerować do ataku na papieskie miasta, szedł na tyły, eskortując dwóch rozrabiaków do aresztu. Ponoć jeden z szeregowych fizylierów był kapelanem, w co trudno było Krawczyńskiemu uwierzyć. Osobnik ów, nazywany księdzem Skwarskim, sprawiał wrażenie ponurego draba, obrażonego w dodatku na cały świat. Razem ze swoim kompanem upił się i pobił dotkliwie włoskiego klechę. Obaj mieli w nagrodę spędzić miesiąc w kajdanach, a konkretnie – odsiedzieć karę w garnizonie w Rimini.

– Ino mi się zdaje, czy chodzimy w kółko? – spytał jeden z legionistów.

Krawczyński spojrzał na niego z ukosa. Żołnierz szedł obok swojego brata bliźniaka, identycznego osiłka o szerokich barach i szelmowskim uśmiechu. Oczywiście kapral nie odróżniał ich, za to obaj wydawali mu się bezczelnymi chłopami, którym, odkąd przebrano ich w mundury, wydawało się, że pozjadali wszystkie rozumy.

– Skoroś taki mądry, Kura, to powiedz, którędy trzeba iść, by trafić na trakt do Rimini? – warknął ze złością.

– Proste – burknął piechur. – Trza się nam kierować na morze, o tam. Wzdłuż brzegu wiedzie stara droga, którą ponoć kiedyś podróżowali cysorze. Tak mówi nasz Żydowina, ale

ja tam nie wiem, czy to prawda.

Żydowina, czyli legionista Bauman, drugi z aresztowanych, ukłonił się kapralowi z niewinnym uśmiechem.

– To rzymski trakt. Znać po kamieniach milowych wyslizganych od deszczów, które padały na nie przez tysiąclecia – powiedział. – Jestem pewien, że niejeden cesarz jechał tą drogą.

– Nie pytałem cię, żołnierzu! – wrzasnął Krawczyński. – A tak w ogóle, to dlaczego nosicie brodę? Kto wam na to pozwolił? Służycie w saperach czy co?

Tylko wojskowi saperzy mieli prawo zapuszczania bród. Piechurzy mogli co najwyżej nosić wąsy, choć i te przysługiwały tylko weteranom, starym wiarusom. Żyd na takiego nie wyglądał. Nie wyglądał też na sapera – miał zbyt mikrą i lichą posturę. Nie utrzymałby nawet w garści potężnej saperskiej siekiery, a co dopiero mówić o jej użyciu. A co najważniejsze, Legiony nie dorobiły się jeszcze własnych oddziałów inżynieryjnych, broda była więc noszona niezgodnie z regulaminem.

– Jestem Żydem – z dumą oznajmił Bauman. – I ogolić się nie pozwolę! Chyba że stanie się jaki cud i coś mnie do tego przekona. Na to się jednak nie zanosz.

– W lochach Rimini albo się ogolisz, albo strażnicy powyrywają ci kłaki z gęby gołymi rękoma – prychnął Krawczyński, skręcając w uliczkę prowadzącą do wybrzeża. – Zobaczysz.

– Coś się pan go tak czepił? – odezwał się po raz pierwszy ksiądz Skwarski. – Bauman obiecał, że ogoli się po pierwszym naszym zwycięstwie, gdy stanie się prawdziwym żołnierzem. Teraz jest jeszcze rekrutem, który nie przeszedł chrztu bojem. To niedorobiony legionista, więc niech sobie nosi tę brodę.

– Niedorobiony? Ja niedorobiony? – zaperzył się Żyd. – Już ja wam wszystkim pokażę, niech tylko złapię jakiego papistę. Zobaczycie, jak potrafimy się bić, my, polscy Żydzi! Wstydu się najecie, kiedy zobaczycie mnie w walce.

Cały pluton zarechotał zgodnie. Bauman był najniższy i najchudszy w kompanii, do tego miał problem z utrzymaniem muszkietu prosto. Przy pierwszym próbnym strzelaniu odrzut broni przewrócił go na plecy. Zapału jednak nikt nie mógł mu odmówić, dlatego mimo wszystko został przyjęty do oddziałów. Legioniści poklepywali go teraz po plecach, dworując sobie z malca. Najlepiej bawili się bracia Kura i zaciągający śpiewnie legionista Biernacki ze Lwowa.

Krawczyński nieco ochłonął, dochodząc do wniosku, że nie może ciągle warczeć na żołnierzy. Oddział musiał go poważać, ale też uważać za swojego. Postanowił zmasać wrazenie nadętego ponuraka, przystanął więc przed mijaną właśnie austerią.

– Pluton stój! – zagrzmiął. – Czeka nas jeszcze długa droga, dobrze byłoby się czego napić przed marszem.

– Popieram! – Ksiądz Skwarski nagle się rozpromienił. – Wiedziałem, że pan kapral to dobry chrześcijanin. Chodź, synu, niech cię pobłogosławię. – Zrobił palcem znak krzyża na czole zaskoczonego kaprala, mamrocząc przy tym po łacinie. Na koniec zdjął swą legionową czapkę i wystawił ją do zgromadzonego w krąg plutonu. – A teraz, wiara, zrzucamy się na napitek. Dawać, co kto tam ma, a rychlej, nie żałować. Wiem, że nie przepiliście jeszcze całego żołdu.

Krawczyński, dla przykładu, pierwszy rzucił kilka denarów, po chwili piechurzy zaczęli grzebać w plecakach i kieszeniach. Posypały się drobniaki. Bracia Kura i Biernacki oddalili się na moment, szepcząc coś do siebie. Po naradzie wsypali do rogatywki kapelana garść srebrnych soldów. Ktoś zagwizdał z podziwem, Skwarski aż zachłysnął się powietrzem.

– Zarobilim – oznajmił Anzelm Kura. – Nie pytojcie, w jaki sposób, bo jeszcze mi wstydy.

– A tam, nawet jakbyście dupy dawali włoskim markizom, to nie ma znaczenia. Niech wam Pan Bóg błogosławi – uciął ewentualne pytania kapelan. – Czekaście, wiara. Idę po napitek.

Krawczyński już chciał go powstrzymać, bo przecież nie uchodziło, by aresztowany samowolnie oddalał się od eskorty, ale po chwili namysłu machnął ręką. Gdzie niby kapelan miałby uciec? Przecież Legion był teraz jego domem, a legioniści rodziną. Poza tym do uszu kaprala dotarło, że Dąbrowski ukarał ich tylko na pokaz, a za kilka dni daruje karę.

Skwarski wszedł do gospody, a legioniści, korzystając z tego, że coraz bardziej się rozjaśniało i było trochę cieplej, rozsiedli się na murku przy budynku austerii. Natychmiast któryś wyciągnął woreczek z tytoniem i w rękach żołnierzy pojawiły się fajki. Kapral również dobył swoją, a piechur będący właścicielem tytoniu nabił mu ją pierwszemu.

Krawczyński od razu poczuł się lepiej. Wystarczyło okazać trochę zrozumienia dla potrzeb żołnierzy, a natychmiast został zaakceptowany. Nie musiał się na legionistów wydzierać ani suszyć im głowy o regulaminy, by zyskać autorytet. Poznali w nim swojego chłopca i uznali za dowódcę, czego symbolem było honorowe nabicie fajki. Usiadł więc między nimi i głośno zaśmiał z jakiegoś prostackiego żartu.

Fajkę dostał także Bauman, który natychmiast odwdzieczył się legionistom opowieścią o sochaczewskim handlarzu tytoniem, który wzbogacił się, dodając do liści aromatyczne ziele i korzenie, w tym lubczyk. Ten ostatni składnik powodował, że po wypaleniu fajki mężczyźni stawali się nad wyraz chutliwi. Tytoń ten kupował głównie właściciel zamtuza, który częstował nim gości i w ten sposób zwiększał sobie obroty. Legioniści pokiwali głowami nad zaradnością i operatywnością starowierców, a gaduła Bauman zaczął kolejną opowieść, tym razem o żydowskich dziewczynach pracujących we wspomnianym sochaczewskim zamtuzie.

Nagle Krawczyński poczuł niepokój. Kapelan coś podejrzanie długo nie wracał.

– Bracia Kura do mnie. – Podoficer postukał cybuchem o obcas, wytrzepując z fajki popiół i resztę żaru. – Reszta niech się stąd nie rusza.

Bliźniacy podnieśli się z ociąganiem, ale posłusznie ruszyli za dowódcą. Podoficer pchnął drzwi karczmy. Wewnątrz panował półmrok i kapral musiał na chwilę przystanąć przy kontuarze, by przyzwyczać wzrok. W ponurym wnętrzu, przy podłużnych stołach, majaczyły pochylone nad miskami i kubkami sylwetki. Przy szynkwasio stał karczmarz i jego córka – ładne, pulchne dziewczę o mocno nadąsanej minie. Młoda kobieta nie spuszczała wzroku z grupy zgromadzonej przy największym stole. Skwarski nie uciekł tyłami austerii, za to przysiadł się do zbieraniny legionistów z różnych batalionów, sądząc po wyłogach.

Skąd tu, u licha, polscy żołnierze? – pomyślał Krawczyński. – Przecież większość powinna maszerować z Urbino w głąb Państwa Kościelnego.

Podchodząc, próbował wypatrzeć wśród nich najwyższego stopniem, ale dostrzegł jedynie dwóch kaprali, w tym jednego z dodatkowym galonem na rękawie, oznaczającym furiera. Legioniści na jego widok przestali gadać, za to od stołu wstał cywil w niebieskim surducie. Kapral uzmysłowił sobie, że to służbowy strój legionowego medyka. Zasalutował lekarzowi.

– O! A oto drogi dowódca mojej eskorty, kapral Krawczyński – przedstawił go Skwarski. – Siadajcie, kapralu, a ja wreszcie wyniosę chłopakom coś do picia.

– Bierzcie, ile chcecie, to wszystko na mój rachunek – łaskawie oświadczył Lux. – A niech tylko karczmarz wyda chrzczone wino, to spalimy mu tę budę. A pan czego się napije? Może grzanego wina z korzeniami? Polecam serdecznie!

Kazikowi policzki płonęły od wypitych trunków, a język zaczynał się plątać. Z radości po ocaleniu trochę przesadził z alkoholem. Dezerterzy i uciekinierzy maszerowali cały wczorajszy dzień, spali w jakiejś opuszczonej chałupie – wilgotnej, jakby postawiono ją na bagnach – a rankiem zawitali do Cattolica. Głodni i zziębnięci zostali zaprowadzeni przez furiera do miejscowej karczmy. Nikt nie oponował, nawet doktor Hoffman. Honor Legionu musiał poczekać, aż jego obrońcy odzyskają siły.

Lux dodatkowo twierdził, że ma do wyrównania rachunki z miejscową karczmarką. Mimo licznych kłopotów i obowiązków doskonale pamiętał, w jaki sposób Bella go wykorzystała, zdradziła i ograbiła. Nie zamierzał czynić jej krzywdy, ale marzyło mu się napędzenie dziewczynie lekkiego stracha. Mnóstwo satysfakcji sprawiła mu mina piękności, gdy wpadł do austerii na czele bandy. Bella rzuciła mu się na szyję, ale on zimnym głosem zażądał tylko jedzenia i picia. Przerazona dziewczyna nadszkwiała im, serwując co lepsze kąski i napoje. Zmęczonym i wygłodniałym legionistom wino szybko uderzyło do głowy, a żyły napełniło błogością i słodyczą. Zamiast rychło ruszyć w dalszą drogę, dezerterzy zostali na dłużej.

Kazik żądał coraz droższych trunków, najprzedniejszego wina i świeżego piwa, a do tego zamówił wszystkie włoskie potrawy, których nazwy zapamiętał, łącznie z pizzą i spaghetti. Bella uspokajała oburzonego ojca, który w pewnej chwili próbował po cichu wysłać parobka do ratusza z prośbą o wsparcie. Furier czuwał jednak, pamiętając zdradziecką naturę

gospodarzy. Parobek oberwał w nos, a gospodarz został kopniakami zagoniony do kuchni. Zemsta wydała się Luxowi niezwykle słodka i zamierzał przeciągać ją jak najdłużej.

– Doskonale, że spotkaliśmy pański pluton – zwrócił się Hoffman do Krawczyńskiego. – Niniejszym przejmuję nad nim dowodzenie. Mamy do wykonania misję najwyższej wagi.

– Mam inne rozkazy – spokojnie odparł kapral, ale przepił do medyka i uśmiechnął się z zadowoleniem, smakując wino. – Idę do Rimini z więźniami.

– Anuluję ten rozkaz – oznajmił lekarz, któremu policzki również zapłonęły czerwienią. – Ruszamy natychmiast do Pesaro, aby ostrzec generała Dąbrowskiego o spisku Cisalpińczyków i groźbie zdradzieckiego ataku. To jest ważniejsze niż pańskie rozkazy.

– Zresztą ksiądz Skwarski twierdzi, że jest niewinny – dodał kapral Klein.

– Winny czy nie, to nie ma znaczenia. – Krawczyński wzruszył ramionami. – Ma trafić do lochu i koniec. Udzielę wam wsparcia natychmiast po odprowadzeniu jeńców.

Hoffman spojrzał kapralowi głęboko w oczy, a potem wykonał charakterystyczny gest, strzepując palcami, jakby rzucał czar.

– Nakazuję wam w imieniu łoży!

– Co mi pan macha przed nosem? – prychnął podoficer. – Oddać się mogę pod dowództwo wyższego stopniem i choć medycy są oficerami, nie wydaje mi się, bym musiał słuchać pańskich rozkazów. Dostałem bezpośrednie polecenie od kapitana Wierzbickiego i tylko on może mnie odwołać.

Medyk westchnął ciężko. Kapral nie był wolnomularzem, jak zresztą większość prostych żołnierzy. W dodatku popisywał się uporem godnym osła. Nie rozumiał, że wsparcie każdego muszkietu mogło, w razie konfrontacji z wrogiem, przechylić szalę zwycięstwa na ich korzyść. Dodatkowych dziesięciu legionistów, a z księdzem i Żydem dwunastu, mogło mieć kluczowe znaczenie w bardzo prawdopodobnym starciu.

Lux mrugnął znacząco do Kleina. Nie pozostało im nic innego, jak obezwładnić Krawczyńskiego. W łeb i po sprawie.

Klein przesunął się na ławie, a jeden z jego żołnierzy wstał, niby chcąc wyjść do ustępu. Kazik uśmiechnął się do Krawczyńskiego i podsunął mu półmisek z makaronem w sosie, a Klein chwycił za dzban, by napełnić kubek trzeciego kaprala. Gdy ten skinął przyzwalająco głową, Klein zamachnął się dzbanem, mierząc w głowę opornego podoficera. Niespodziewanie od stołu poderwał się jeden z braci Kura i chwycił go za przegub, blokując cios. Drugi bliźniak dobył tasaka i znalazł się za plecami Krawczyńskiego, osłaniając jego tyły.

– Co robicie, Kury? – oburzył się Lux.

– Nie będziemy się przyglądali, jak bijecie naszego dowódcę – mruknął Alojzy. – On jest

z nami.

– Dziękuję, panowie. – Uratowany podoficer skinął bliźniakom i wyciągnął spod stołu lewą rękę, w której ścisnął pistolet z odciągniętym kurkiem. – Potrafię o siebie zadbać, ale każda pomoc jest mile widziana.

Drzwi karczmy się otworzyły i do środka weszli Skwarski oraz Bauman z dwoma kolejnymi piechurami. Widząc, co się dzieje, ksiądz skoczył między legionistów, wymachując rękoma.

– *Pax! Pax* między chrześcijanami, powiadam! Opuście broń, bracia!

Krawczyński kciukiem opuścił kurek i położył pistolet na stole. Klein, zamiast roztrzaskać kapralowi dzban na głowie, z pochmurną miną napełnił mu kubek. Zatraskany ksiądz pokręcił głową.

– Na chwilę spuścić was z oczu i zachowujecie się jak sztubacy – powiedział z przyganą. – A ty, Jakubie, do jasnej cholery, przyglądasz się temu z otwartą gębą i nie reagujesz? – zagrmiał do wyraźnie zmieszanego Hoffmana. – Już ja znam was, masonów! Gadacie o równości i braterstwie, ale gdy przyjdzie co do czego, nie przeszkadza wam nawet trucicielstwo lub zdrada.

– Właśnie próbuję zapobiec wielkiej zdradzie i klęsce Legionów – burknął lekarz. – Co mam zrobić, by przekonać tego podoficera do pomocy?

– Powiedzieć mu całą prawdę – wtrącił Bauman. – Kto kogo chce zdradzić i zamordować? Sami z chęcią posłuchamy.

– Dobra – zdecydował Kazik. – I tak rychło stąd nie ruszymy, możemy zatem zrobić sobie przerwę na gawędę. Zawołajcie wszystkich chłopaków, niech też posłuchają. Karczmarko! Kończy nam się wino! Rusz, do cholery, to tłuste dupsko! Za co ja płacę?

Bella z marsową miną znikła w drzwiach piwniczki, a Lux parsknął złośliwym śmiechem. Krawczyński zauważył, że młody furier jest kompletnie urżnięty i nie nadaje się do dalszego marszu. Nie zapowiadało się, by obrońcy honoru Legionu zbyt rychło ruszyli ze swoją pilną i straszliwie ważną misją. Kapral rozluźnił się nieco. Miał u boku nowych, ale wiernych żołnierzy, na których mógł polegać. Jego samego zaskoczyła postawa braci Kura, ale i jednocześnie wzruszyła.

Tymczasem Hoffman zaczął opowiadać żołnierzom o niesamowitej truciznie, którą cisalpiński generał kupił od aptekarza z Rimini. Kazik postawił na stole słój i otworzył go, prezentując biały proszek opalizujący zielonkawą poświatą. Kilku legionistów przeżegnało się z lękiem. Doktor kontynuował opowieść o tym, jak La Hoz przekonał należących do masońskiej loży kwatermistrzów, by w dobrej wierze, nie zdając sobie sprawy z tego, co robią, użyli trucizny do „poprawienia” mięsa, które przeznaczone było dla sztabu legionowego. Potem generał nakłonił wyższych rangą zaopatrzeniowców do wydania beczek

z żywnością, niby z przeznaczeniem dla głodujących chłopów, a faktycznie – dla papieskiej armii. W końcu zaś cisalpiński dowódca zorganizował grupy awanturników i dezertersów, które w przebraniach legionowych dokonywały mordów i rabunków.

– La Hoz prowadził akcje mające nadszarpnąć wizerunek Legionów, a wreszcie całkiem je zniszczyć – mówił Hoffman, popijając co kilka zdań z kubka. – Zrzucił na nas winę za morderstwa, próbował otruć i uczynić dezertersami. Obraził honor Legionu, obraził nas wszystkich.

– Teraz z pewnością planuje zadanie kolejnego ciosu – dodał Kazik. – Za wszelką cenę musimy go powstrzymać.

Głowa furierowi ciążyła, a język zamieniał się w kołek. Musiał podeprzeć brodę oburącz, opierając łokcie o stół.

– Proszę nam wybaczyć napaść, kapralu Krawczyński, ale potrzebujemy wsparcia pana plutonu – dokończył lekarz. – Wszyscy złamaliśmy prawo i regulamin, by ratować naszą armię i zmuszony jestem prosić pana o to samo.

Zagadnięty opróżnił kubek i trzasnął nim o stół.

– Przepraszam przyjmuję, żalu nie chowam – odparł. – I zgadzam się przyłączyć ze swoimi ludźmi do waszej bandy. Legioniści Skwarski i Bauman są wolni, przynajmniej do czasu, póki nie uratujemy Legionów.

– Wiwat! – ryknął ksiądz. – Niech żyje! Karczmarko, gdzie to wino?! Ludzie czekają, ruszaj się, dziewczyno.

– Pogońcie ją, chłopcy – wybełkotał furier i oparł czoło o stół. – Jeśli będzie chciała zapłaty, powiedzcie, by odliczyła od mojego rachunku. Reszty nie musi wydawać, niech sobie zatrzyma. Wybaczam jej wszystko...

Zamknął oczy, z trudem przełykając ślinę. W żołądku kotłowały mu się makarony w ogromnej ilości wina, świat zaczynał wirować coraz szybciej i szybciej. Lux wyciągnął z kieszeni zmiętą chustkę z błękitnego jedwabiu, prezent dla Belli. Zwymiotował w nią, a potem pod stół, na swoje buty i wyszorowaną, posypaną trocinami podłogę. Chusteczkę wręczył dziewczynie, po czym stracił przytomność.

## 10 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (30 grudnia 1797 roku)



O budził go przejmujący chłód. Szczeka mu drżała, a zęby dzwoniły jak u umierającego na błotną gorączkę czy febrę. Widział konających na te choroby, gdy Legion stacjonował w okolicach Mediolanu. Pewnie jego też w końcu dopadła jakaś zaraza. Okazało się, że leży zagrzebany w słomie obok chrapiącego księdza Skwarskiego. Westchnął ciężko, łapiąc się za obolałe od wymiotów gardło. Mdłości przewracały mu trzewia do góry nogami, a w głowie kotłowało się, jakby chodził w kółko. Wypełzył na czworakach z barłogu, w którym pokodem leżeli odsypiający pijaństwo legioniści.

Kapral Klein siedział ze zboląłą miną w kącie stajni i patrzył tępo w okienko, za którym widać było błękitne niebo. Pogoda ciągle się poprawiała.

– Robimy pobudkę? – spytał, spoglądając z ukosa na ledwie ruszającego się Luxa.

– Ciągłe jesteśmy w Cattolica? – spytał furier.

– W Pesaro. Przymaszerowaliśmy tu nocą – odparł Klein. – Podziękuj Kurom, bo całą drogę nieśli cię na zmianę na plecach.

Dotarli zatem do zdobytego miasta, ale z jakiegoś powodu nie znaleźli się w zamku. Pewnie chłopaki doszli do wniosku, że jeśli stanęliby w takim stanie przed dowódcą, wszyscy natychmiast zostaliby rozstrzelani. Lux domyślił się, że ukryli się na przedmieściach, by dojść do siebie i z grubsza doprowadzić do ładu.

Wstał i chwiejnym krokiem dopadł do wrót stajni. Jednym susem wyskoczył na zewnątrz i opadł na kolana, wstrząsany wymiotami. Usta wypełniła mu ślina i gorzka żółć. Kaszłał i prychał, rycząc, jakby chciał wyrzygać cały żołądek. Łzy wypełniły mu oczy, ślina kapała z ust.

– Nigdy już nie tknę wina – wyjęczał.

Kiedy otarł oczy, okazało się, że stajnia znajduje się na tyłach jakiegoś gospodarstwa, a tuż obok płynie całkiem szeroka rzeka. Foglia – pomyślał przytomnie Lux. – W Pesaro wpada do



morza.

Podniósł się i z trudem doczłapał do brzegu. Klęknął na kamieniach i wsadził głowę pod wodę. Lodowate zimno uderzyło go niczym cios młotem. Przemógł się i trzymał zanurzoną głowę, aż ból z zimna stał się nie do zniesienia. Kiedy odpełził od brzegu, ze stajni właśnie pojedynczo wychodzili legionieści. W rozchełstanych mundurach, o bladych i zmęczonych twarzach, wyglądali jakby nocą stoczyli śmiertelny bój.

– Myślałem, że kogoś mordują – powiedział ksiądz Skwarski. – A to tylko Kazio raczył się wypróżnić.

– Królestwo za kubek piwa – wychrypiał kapral Krawczyński. – Matko Boska, ale mnie suszy.

– Nie wzywaj najświętszej pani na daremno – skarcił go kapelan. – Jesteśmy na tyłach składu mąki. Obok jest piekarnia, może znajdzie się jakie śniadanie dla zmęczonych żołnierzy. Napitki też rychło wywączamy.

– Macie tu wody, ile dusza zapagnie. – Bauman wskazał rzekę. – Wygląda na zdatną do picia.

– Nie pijam wody – oburzył się Skwarski. – To zbyt mocny trunek.

– Zbyt mocny?

– Groble rwie.

Legioniści ze zrozumieniem pokiwali głowami.

Powoli wylazł ze stajni cały oddział. Mimo przestróg kapelana, dotyczących straszliwej natury wody, większość fizylierów opłukała w niej twarze, a kilku odważyło się nawet napić. Kazik wytarł słomą buty umazane rzygowinami i błotem. Mundur również kwalifikował się do generalnego prania, a nawet cerowania. Śmierdział moczem i diabli wiedzą jakimi nieczystościami, poza tym skakały po nim hordy pcheł, które coraz bardziej dawały się piechurowi we znaki. Wielkimi krokami zbliżała się nieuchronna kąpiel. Lux westchnął boleśnie. W domu spokojnie wytrzymałby bez mycia do Wielkanocy, wojna wymuszała jednak tyle poświęceń.

– Gdzie doktor Hoffman? – Rozejrzył się za medykiem.

– Obudził się trochę przed tobą i natychmiast pognął do pałacu – odparł Klein. – Chce ostrzec dowódcę placu i wymóc na nim wysłanie gońca do Dąbrowskiego i przydział wozu. Kazał, byśmy zameldowali się, skoro tylko doprowadzimy się do względnie regulaminowego wyglądu.

– Przydział wozu? – spytał któryś z fizylierów.

– Pojedziemy śladem Legionu do Urbino – odparł kapral. – Pora się zbierać, panowie. Nie stać jak cielęta, zapiąć mundury! Filipiak, cymbalisto, zapnij portki i zawiąż fular! Wyglądasz,

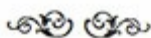
jakbyś wyszedł prosto z burdelu!

Natychmiast wskoczył w skórę podoficera i zaczął w niewybrednych słowach obsztorcowywać ludzi. Krawczyński przyglądał mu się z ukosa, ale po chwili zaczął doprowadzać do ładu własny pluton. Kaprale sprawdzili nawet stan ładunków w patrontaszach, skałki do kurków i czystość oraz suchość muszkietów. Ksiądz Skwarski i Bauman, jako szeregowi legionieści, zostali postawieni na bacność i obaj dostali tasaki jako tymczasowe uzbrojenie.

– Furierze Lux, na co czekacie? – Ksiądz wydarł się na Kazika, który nadal próbował doczyścić spodnie i kurtkę. – Zajmijcie się swoimi obowiązkami. Wojsko jest głodne i czeka na prowiant.

– Jasne – burknął chłopak i rozejrzał się za wspomnianą piekarnią.

Nie pozostało mu nic innego, jak zwalczyć słabość i zabrać się do roboty, czyli zorganizować żarcie dla kompanów. Podciągnął bandolier z włoską oficerską szablą i ruszył różnym krokiem do piekarni.



Doktor Hoffman szedł szybko w stronę Piazza del Popolo, głównego miejskiego placu, który otoczony był najpiękniejszymi pałacami w Pesaro – siedzibami władz i możnych. Poranek należał do przyjemnych i spokojnych. Pogoda znacznie się poprawiła, a wiatr od morza przyniósł ciepło, które zupełnie stopiło śnieg. Medyk głęboko wdychał rześkie powietrze, by jak najszybciej oprzytomnieć. Miał nadzieję, że nie czuć już od niego alkoholu, a oczy nie płoną czerwienią typową dla nałogowych pijaków.

Minął handlarzy ryb, którzy wrócili z portu z wozem pełnym owoców morza. Teraz część towaru w skrzyniach wędrowała do czyszczenia i wędzenia, a część od razu na targowisko. Lekarz przepchnął się między gadającymi robotnikami i parobkami, minął tragarzy wynoszących meblez jakiegoś domostwa i kilka kobiet wracających z praniem znad rzeki.

Przy wyjściu z uliczki prowadzącej na rynek minął go patrol konnych huzarów cisalpińskich, na których widok Hoffman poczuł się bezpieczniej. Papiści jeszcze nie zaatakowali. Teraz wystarczyło udać się do dowódcy placu, który mieszkał w niewielkim zamku, będącym siedzibą garnizonu Pesaro, ale za dnia urzędował w Pałacu Dożów – tym samym, w którym do niedawna przyjmował interesantów papieski gubernator, arcybiskup Saluzzo.

Pałac był prostokątnym budynkiem o dachu zwieńczonym zębami ozdobnych blanków i o fasadzie upiększonej eleganckimi arkadami podtrzymywanymi przez kilka kolumn. Doktor obciągnął poły surduta i ruszył na skos przez plac. Z oddali widział stojącą przed wejściem do pałacu wartę, ale nie przyglądał się jej zbyt, bo jego wzrok przyciągnęła wyłączona na

zimowy okres fontanna, bez której nie mogło obyć się żadne włoskie miasteczko. Dopiero gdy znalazł się bezpośrednio przed wejściem, spojrzął na kilku stojących swobodnie żołnierzy.

Na ich widok poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, a gardło zaciska się z przerażenia. Dwóch wartowników nosiło cisalpińskie mundury. Mieli jednak oderwane zielono-biało-czerwone wstęgi z kontrepoletów, a zamiast nich przyszyte na czapkach żółto-białe kotyliony papieskie. Kolejnych dwóch zbrojnych było cywilami z takimi samymi kotylionami na piersiach. Najstraszniej wyglądał ostatni z mężczyzn, wysoki elegant o zakręconych ku górze wąsach i głowie owiniętej białym bandażem – zdrajca i dezterter Zaręba.

Hoffman skrzył gwałtownie, jakby jego uwagę przyciągnął dawno niewidziany znajomy. Niestety, osoba medyka, wyróżniająca się na niemal pustym placu, zwróciła uwagę papistów.

– Rodaku drogi, nie poznajesz swojego? – rozległo się za jego plecami. – Panie doktorze, proszę nie udawać głuchego! Chyba nie zrobi mi pan tej nieuprzejmości i nie odejdzie bez przywitania i rozmowy!

Medyk przeklął w myślach i przyspieszył kroku. Pesaro wpadło w ręce wroga! Pora wiać! Rzucił się do panicznej ucieczki.

– Zatrzymać go! – krzyknął Zaręba po włosku. – Ale nie strzelać, durnie!

Hoffman wpadł w boczną uliczkę. Gnał na łeb, na szyję, sadząc ogromne susy po bruku wiodącym w dół zbocza. Wyślizgane kamienie błyszczały od wody, więc kroki lekarza były niepewne i chwiejne. W pewnym momencie pośliznął się, po czym kawałek przejechał na pośladkach, ale natychmiast zerwał się do dalszego biegu. Słyszał za sobą przekleństwa i krzyki, ale nie tracił czasu na oglądanie się.

W locie zahaczył o stojącą na wozie handlarzy skrzynię z rybami i zepchnął ją na bruk. Deski trzasnęły, mnóstwo śliskich rybek rozsypało się pod nogi prześladowców. Hoffman wpadł między wracające z targu kobiety i prześliznął się między nimi jak piskorz. Skrzył w kolejną uliczkę, na której końcu ujrzał grupę huzarów. Machnął do nich ponagląco. Ratunek był blisko.

Huzarzy, przyciągnięci krzykami i zamieszaniem, ruszyli stępa w jego kierunku. Doktor zwolnił kroku, dysząc. Nie te lata na podobne zabawy. Uśmiechnął się do nadjeżdżającego jeźdźca i w tym momencie dojrzał kotylion na jego piersi. Było jednak za późno na ucieczkę. Oberwał kopniakiem w pierś i runął plecami wprost na stragan z glinianymi naczyniami.

Jęknął boleśnie, gdy blat uderzył go w krzyż. Do wtóru trzasnęły o bruk strącone dzbanki i miski, a straganiarka wrzasnęła na całe gardło. Medyk został wyciągnięty z rumowiska przez silne ręce goniących go mieszczan i zagoniony z powrotem przed Pałac Dożów za pomocą szturchnięć oraz kopniaków. Zaręba czekał na niego, uśmiechając się szeroko.

– Co pan tu robi, Hoffman? – spytał krótko.

– A jak myślisz, gadzie?

Zaręba poprawił skórzaną rękawiczkę i grzmotnął go pięścią w brzuch. Lekarz zgiął się w pół i nie upadł tylko dzięki temu, że pod ramiona trzymało go dwóch mieszczan. Zdrajca trzasnął go pięścią w pochyloną twarz i poprawił uderzeniem w bok głowy.

– Wezwano mnie do chorego! – wrzasnął wijący się z bólu doktor. – Przybyłem z Rimini do chorego oficera z garnizonu.

– Nie trzeba było tak od razu? – burknął zdrajca. – Taki jest pan czuły na krzywdę cierpiących, a mnie nie udzielił pomocy, mimo że konałem z dziurą we łbie. Całe szczęście, ten cholerny kapral nasypał za mało prochu do pistoletu i kula nie strzaskała mi czerepu, a jedynie się po nim ześliznęła.

– Myślałem, że nie żyjesz – wyjęczał Hoffman.

Powiększająca się grupa gapiów rozstała się przed duchownym w kożusku narzuconym na sutannę. Srogie oblicze księdza szpeciły zadrapania i purpurowe krwiaki, przez które wyglądał upiornie. Medyk poczuł zimne ciarki na plecach – bał się klechy jeszcze bardziej niż awanturnika.

– Złapaliście francuskiego heretyka, sądząc po stroju – powiedział ksiądz, oglądając złowrogim wzrokiem sylwetkę jeńca.

– Polski lekarz wojskowy, doktor Hoffman – odparł Zaręba. – Ale owszem, to heretyk, republikanin i do tego mason.

– Świetnie – ucieszył się ksiądz. – Przed atakiem na fort urządzimy pokazowe egzekucje ośmiu plugawych „patriotów”, których żeśmy złapali, i tego masona. Spalimy wszystkich na stosie, tak jak powinno się to robić ze wszystkimi heretykami.

Zaręba wzruszył ramionami, nie interesowały go te sprawy. Liczył na szybkie zdobycie miasta. Z zajęciem rynku i pałacu poszło jak z płatka. Pilnowało go tylko czterech Cisalpińczyków, którzy, gdy tylko zobaczyli bandę Zaręby, natychmiast przeszli na papieską stronę. W ręce wyzwolicieli spod francuskiej dominacji wpadli jeszcze członkowie republikańskiego magistratu, których tak bardzo chciał spalić Allodi. Klecha przybył do miasta o świcie na czele blisko dwustu uzbrojonych po zęby chłopów i mieszczan wiernych Kościołowi. Ksiądz, pobity przez polskich legionistów, pałał żądzą mordy i marzył o krwawym odwecie na republikanach. Gdyby nie interwencja La Hoza, z marszu ruszyłby do ataku na zamek Pesaro.

A przecież szturm trzeba było solidnie przygotować, by zaskoczyć załogę twierdzy, zastraszyć ją i zmusić do kapitulacji. Pilnowała jej ledwie garstka żołnierzy, którzy narobią w gacie, gdy po zmierzchu zobaczą morze pochodni niesionych przez papieską armię. W zamku Polacy trzymali uwięzionego arcybiskupa Saluzzo i prawowitą radę miejską. Ich

uwolnienie i zajęcie zamku będzie sygnałem do rozpoczęcia rewolty i powszechnego ataku na republikanów. Legiony zostaną odcięte od zaplecza, osaczone i rozbite. Kraj wróci w ręce Ojca Świętego, a Francuzi dostaną mocnego kopniaka w tyłek. Polecą z takim impetem, że zatrzymają się dopiero w Paryżu.

– Co tu się wyprawia, u diabła? – spytał wysoki oficer w kapturze.

Mieszczanie, których zebrał się już okazały tłum, po raz kolejny się rozstąpili. Generał Giuseppe La Hoz d'Orlz, do niedawna dowódca Legii Cisalpińskiej, a od dziś przywódca papieskich rebeliantów, odrzucił kaptur, odsłaniając dumne oblicze. Spojrzał gniewnie najpierw na Zarębę, który bezradnie rozłożył ręce, a potem na księdza Allodiego.

– Po to kazałem ukryć nasze wojska po prywatnych domach i zachować spokój oraz ciszę, byście robili gonitwy po ulicach i samosądy na placu? – warknął. – Trzysta kroków stąd jest twierdza, której załoga nie ma jeszcze pojęcia o naszym istnieniu i tak ma pozostać. Czy to jest zrozumiałe?

– Ująłem tylko żołnierza wrogiej armii i chciałem odprowadzić go do aresztu – bąknął Zaręba.

– Czemu jednak miało służyć publiczne bicie tego nieszczęśnika? – rzucił generał. – Już z nim do lochu. A ksiądz proboszcz niech zapanuje nad emocjami – nie pora i miejsce na robienie pokazów.

– Proszę mi wybaczyć, generale. – Allodi uklonił się, kładąc dłoń na piersi. – Nie mogę doczekać się chwili, gdy oswobodzimy jego ekscelencję arcybiskupa i na powrót wzniesiemy krzyż nad miastem.

Generał spojrzał na leżące przy fontannie „drzewko wolności”. Symbol republikański, który „patrioci” posadzili w miejsce krzyża, został już wyrwany z korzeniami i połamany.

– Nawet to nie mogło poczekać? – syknął La Hoz.

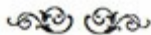
Jak mam prowadzić do trudnego boju armię fanatyków i idiotów? – pomyślał ze złością. – Miesiące upłyną, zanim zapanuję nad tymi szaleńcami i wpoję im dyscyplinę oraz poszanowanie dla rozkazów.

– Zabrać jeńca i rozejść się – zagrzemiał. – A pan, admirale Zaręba, dopilnuje, by żaden z mieszczan nie zbliżył się dziś do zamku. Wiemy, że część ludzi jest przychylna republikanom i z radością poinformowałyby ich o planowanym ataku. Posadźcie też tutaj drzewko wyglądające podobnie do tego, które zniszczyliście. Jeśli jakiś patrol opuści zamek, ma niczego nie zauważyć. I zdejmijcie papieskie kotyliony, do jasnej cholery! Przebrać rebeliantów w mundury cisalpińskie. Wszystko ma wyglądać po staremu, jakby nic się nie działo.

– Rozkaz, wasza ekscelencjo! – Najemnik wyprężył się.

– A pan schowa tę swoją upudrowaną gębę – syknął cicho La Hoz. – Bo jeszcze ktoś pana rozpozna i doniesie Polakom.

Generał odwrócił się i wszedł do pałacu. Całe szczęście, że udało mu się nakłonić do przejścia na stronę papieża kilkudziesięciu swoich ulubionych żołnierzy. Przynajmniej w nich miał jakieś oparcie, bo na najemnikach i ochotnikach trudno mu będzie polegać podczas nadchodzącej kampanii.



Sierżant Sawicki od razu przejął dowodzenie, choć jeszcze przed wylądowaniem w celi odpruł galony i oficjalnie pozostawał zdegradowany do końca lutego. Kazał ustawić się żołnierzom w dwa plutony, na których czele maszerowali kaprale Krawczyński i Klein. Kazik szedł na samym końcu, razem z księdzem Skwarskim i Baumanem.

Legioniści przeszli szeroką ulicą, ciągnącą się wzdłuż dużego parku. Za drzewami i pasem esplanady wznosiła się stara twierdza pobudowana na planie kwadratu z czterema narożnymi basztami. Piechurzy widzieli republikańskie chorągwie powiewające uspokajająco nad blankami. Żadnemu z piechurów nie spieszyło się, by zameldować się dowódcy. Nie wiadomo, kto kierował placem i jak zareaguje na dwudziestu dezerterów i uciekinierów, którzy przybyli „ratować honor Legionu”. Całe szczęście, że doktor Hoffman poszedł przodem i wszystko wytłumaczy. Może zdoła załagodzić sytuację, bo gdyby trafili na oficera nerwowego i nazbyt trzymającego się regulaminu, mógłby kazać po prostu rozstrzelać bandę Luxa.

Kurant na wieży zaczął bić dwunastą. Sierżant Sawicki skręcił w ulicę oddalającą ich od twierdzy i prowadzącą na Piazza del Popolo. Może Hoffman spotkał się z radcami miejskimi, omijając wojskowego komendanta, i już czeka na nich z wozem? Jak dobrze pójdzie, za kilkanaście minut wygodnie wyjadą z miasta w kierunku Urbino.

– Niech to jasna cholera – warknął sierżant.

Na drugim końcu uliczki pojawiła się grupa polskich legionistów. Prowadził ich oficer, sądząc po widocznych z daleka kutasach majtających się na rogatywce.

– I co teraz, chłopaki? – spytał gefrajter Stachowski. – Wiejemy?

– Walimy w łeb oficera, to może jego chłopcy przyłączą się do nas – zaproponował Klein. – Z którego to batalionu? Widzicie wyłogi?

– Z Drugiego – mruknął jeden z legionistów. – Zielone obszycia.

– To nasi – zauważył Kazik. – Może z mojej kompanii? Wszystkich dobrze znam. Jeśli będziemy mieli szczęście, oficer okaże się równym chłopem i pozwoli nam odejść.

Nie mieli. Pluton prowadził podporucznik Turkiewicz. Choć warszawiak spuścił głowę,

oficer natychmiast go wypatrzył – z powodu ponadprzeciętnego wzrostu furiera. Zatrzymał Sawickiego niedbałym gestem i wskazał Luxa.

– Czołem! Jestem zmuszony odebrać panu jednego z żołnierzy – oznajmił z wyższością, widząc, że ma do czynienia jedynie z podoficerem.

Na widok Kazika tak się zezłościł, że nawet nie zainteresował się, skąd wziął się w Pesaro kolejny legionowy oddział i dokąd prowadził go sierżant z oderwanymi oznakami stopnia.

– Pan wybaczy, poruczniku, ale nie mogę wydzielić nikogo z pododdziału. Mamy zadanie do wykonania, do widzenia – burknął Sawicki i wyminął oficera.

– Stać! – zapiszczał Turkiewicz, a jego cienki wąsik najeżył się groźnie. – Kapral Lux to niebezpieczny buntownik i element rozbijający dyscyplinę, a do tego krzywoprzysięzca i kłamca pozbawiony odrobiny przyzwoitości! Szkodnik i gnojek niegodzien nosić polskiego munduru. Dawać mi tego obsrańca, na miejscu zasiekę go niczym wściekłego psa!

– Ożeż ty... Wypraszam sobie! – wrzasnął Kazik.

Ciągle szumiał mu w żyłach wczorajszy alkohol, rozniecony wypitym do śniadania piwem. Zmęczenie i zdenerwowanie dawało się chłopakowi we znaki, a przez mocne przeżycia ostatnich dni miał nerwy napięte do granic możliwości. Nagromadzone ostatnio emocje wybuchły w nim wściekłością i agresją. Omal nie rzucił się na nadętego oficera z gołymi rękoma.

– Co sobie wyobrażasz, ty cholerny gnojku, że z racji epoletów możesz mnie bezkarnie obrażać?! – ryknął na Turkiewicza. – Mam dość ciągłego pomiatania i traktowania jak chłopca do bicia! Ty mały, mściwy pluskwiaku, zaraz ci pokażę, co znaczy dopiec warszawiakowi!

Podporucznik zagotował się z oburzenia i złapał za rękojeść szabli. Skwarski i Bauman chwycili Kazika pod ramiona, osadzając w miejscu. Gdyby pobił oficera, tego z pewnością by mu nie darowano. Z kolei Sawicki i Klein zablokowali drogę wściekłemu Turkiewiczowi.

– Dlaczego mówi pan, że Lux to krzywoprzysięzca? – zimno spytał Klein, bardzo czuły na punkcie honoru, nie tylko swego.

– Obraził mnie wielokrotnie i w ramach zadośćuczynienia poprzysiągł udzielić mi satysfakcji – odparł oficer, który nagle się opanował, mając przed sobą dwóch roślących chwatów, najwyraźniej za nic mających jego szarżę. – Potem jednak uciekł jak ostatni tchórz.

– Jestem w każdej chwili gotów jej panu udzielić – odparł Lux. – Nie mogłem się stawić w terminie, bo wysłano mnie do innych zadań. Możemy się bić, choćby tu i teraz.

– Nie mamy na to czasu – bąknął Bauman. – Zabawy oficerów w pojedynki mogą chyba poczekać...

Nikt jednak nie słuchał Żyda. Żołnierze Turkiewicza ustawili się w półokrąg za plecami oficera, udzielając mu milczącego wsparcia. Skoro w grę wchodziło honorowe

rozstrzygnięcie, wszystko inne musiało poczekać. Kapral Klein zasalutował podporucznikowi, skupiając na sobie uwagę.

– Jestem gotów sekundować Luxowi, o ile nie ma pan nic przeciwko – oznajmił.

– Ja będę sekundował podporucznikowi Turkiewiczowi. – Sierżant, który maszerował u boku oficera wyciągnął do niego rękę.

– Zgoda – rzekł podporucznik. – Idziemy zatem do zburzonej świątyni na przedmieściu.

W strzaskanym trzęsieniem ziemi starym kościele zdążyły się już odbyć dwa pojedynki między polskimi oficerami, choć Legiony stały w mieście raptem od kilku dni. Opuszczona, leżąca na uboczu świątynia stała się nieformalnie głównym placem pojedynkowym.

Turkiewicz odwrócił się na pięcie i nie oglądając za siebie, ruszył przodem, prowadząc trzy plutony na miejsce starcia. Jego żołnierze sprawiali wrażenie zadowolonych z takiego obrotu sprawy. Zapowiadało się ciekawe widowisko, umilające nudną służbę na tyłach armii. Kompani Luxa też wyglądali na zaciekawionych i zdawali się nie pamiętać o ważnej misji i czekającym doktorze Hoffmianie. Co jak co, ale w obliczu honorowej sprawy wszystko inne musiało poczekać.

– Całkiem nieźle szło ci z szablą ćwiczebną – pocieszał Kazika kapelan. – Pamiętaj, o czym mówił ci Wierzbicki, a dasz sobie radę z tym gogusiem. Nie wdawaj się w długie wymiany ciosów, tylko napieraj i tnij go z całych sił.

– Z ramienia. Wał go, prostując całą rękę równocześnie – dodał Bauman, który w życiu nie walczył szablą. – Łokieć i nadgarstek razem. Ciach i rąb. Najlepiej w łeb. Szablę masz porządną, z kutej włoskiej stali, giętkiej i mało kruchej. Nie bój się, że pęknie.

Kazik kiwał głową, coraz bardziej pewny siebie. Nie tak dawno posiekł dwóch bandziorów Zaręby, nie dając im najmniejszych szans. Wystarczy, że i teraz będzie tak samo szybki i zdecydowany, a Turkiewicz nic mu nie zrobi.

Po kilkunastu minutach marszu dotarli do murku ciągnącego się wokół miasta i minęli bramę, nie kłopotząc się wartą. Rogatek pilnowało zaledwie dwóch niepozornych Cisalpińczyków ubranych w podarte i brudne mundury. Turkiewicz nie poświęcił im nawet spojrzenia, nie uważając ich za godnych opowiedzenia się. Wszystkim legionistom umknął fakt, że obaj wartownicy mieli świeżo odprute pagony z republikańskimi barwami. Obaj też natychmiast po przejściu Polaków porzucili stanowisko i pognali w głąb miasta.

Wkrótce fizylierzy znaleźli się pośród ruin będących świadectwem dawnego trzęsienia ziemi. W niebo mierzyły pojedyncze ocalałe kominy i zgruchotane ściany. Wiele cegieł i kamieni zabrano, wykorzystując jako budulec przy stawianiu nowych budynków, gdziekolwiek jednak wciąż leżały rumowiska. Największym obiektem w okolicy był pozbawiony wrót i dachu kościół. Budowla miała częściowo zniszczoną jedną ścianę, ale



wewnątrz znajdował się wolny od gruzu obszerny placyk – dawna nawa – o kamiennej podłodze, idealny do pojedynków. Legioniści natychmiast rozstawili się w okrąg. Trzy plutony przemieszały się ze sobą w zgodzie.

Kazik stanął naprzeciw Turkiewicza i zaczął, tak jak podporucznik, rozpinąć kurtkę mundurową. Zdjęli rogatywki i kamizelki, by po chwili zostać jedynie w koszulach i spodniach. Teraz już nie różnili się szarzą – byli młodzieńcami ubranymi w niemal identyczne koszule. Stali się równi i mogli walczyć ze spokojnym sumieniem.

Klein podszedł do sierżanta będącego sekundantem podporucznika. Uścisnęli sobie rękę i zaczęli omawianie warunków pojedynku. Dyskusja nie przebiegała jednak gładko. Klein nie chciał się na coś zgodzić, podniósł głos i gestykulował żywo. Do furiera dolatywały tylko fragmenty rozmowy.

– Nie, to nie wchodzi w grę! – oponował kapral. – Lux pozostanie w takim wypadku bez szans! Nie zgadzam się!

Sierżant był jednak uparty. Rozmowa przeciągała się w nieskończoność. Legioniści porozsiadali się po kątach, kilku wyjęło fajki i zaczęło kurzyć. Kazik mierzył się wzrokiem z Turkiewiczem. Wściekły podporucznik z trudem przełknął ślinę i groźnie marszczył brwi. Warszawiak czuł się coraz pewniej, zaczął uśmiechać się do przeciwnika, jeszcze bardziej wyprowadzając go z równowagi. Wreszcie, po niemal półgodzinnej dyskusji, Klein, spocony i zły, podszedł do furiera.

– Turkiewicz, jako poszkodowany na honorze, ma prawo do wyboru broni i zasad – powiedział.

– I co, mam się bić z zawiązanymi oczami? – parsknął Kazik.

– Coś w tym rodzaju – ponuro mruknął sekundant. – Niestety, nic nie mogłem zrobić...

Lux poczuł się nieswojo. Ponury humor kaprala źle wróżył.

– Jak ma wyglądać pojedynek?

– Nie będziecie walczyć na szable, ale strzelać się. Turkiewicz uważa, że zniewaga była najwyższego stopnia, więc żąda, by wbrew temu, co mówią zwyczaje, otrzymać przywilej pierwszego strzału.

– Zgoda – wycedził Kazik przez zaciskające się gardło.

– Ale zażyczył sobie, byście się strzelali „przez płaszcz” – dokończył Klein.

– Co to znaczy?

– Z odległości kilku kroków, jakichś pięciu. Będzie cię miał na wyciągnięcie ręki, z takiej odległości nie może chybić. Musisz stać bez ruchu i czekać na jego strzał. Dopiero wtedy, jeśli nie padniesz trupem, możesz sam strzelić. Rozumiesz?

Lux skinął głową. Nie będzie więc żadnego honorowego starcia, tylko wykonanie wyroku.

Po raz kolejny w ciągu dwóch dni chcą go rozstrzelać. Przynajmniej będzie mógł zginąć z podniesioną głową i bronią w ręku. Niezbyt to budująca wizja, ale co zrobić? Uciekać? Skoczyć w ruiny i wiać? Ale jak wtedy będzie wyglądał w oczach chłopaków? Niczym tchórz i łajza.

Splunął na kościelną posadzkę. Jakim cudem wpakował się w takie bagno? Za chwilę pozwoli się zabić z powodu honoru, który zawsze miał gdzieś. Zginie jak jeden z tych nabzdyczonych i nadętych oficerów – idiota mający się za szlachetnego rycerza. Może machnąć ręką na to wszystko, odwrócić się i wracać do domu? Do Warszawy dojdzie na piechotę najdalej w dwa miesiące.

– Przyjmuję! – oznajmił głośno. – Nabijajcie pistolety, panowie!

– To nie będzie szermierki? – Bauman zasmucił się. – Szkoda.

Sekundanci starannie nabili dwa pistolety, dokładnie odmierzyli proch, wrzucili wybrane kule do luf i ubili stemplami. Potem wymienili się bronią.

– Stań do niego bokiem – poradził Klein, wręczając Kazikowi pistolet z odciągniętym kurkiem. – Osłonisz w ten sposób pierś. Może trafi cię tylko w ramię i przeżyjesz. Powodzenia, brachu.

Młodzieniec stanął w wyznaczonym punkcie, także podporucznik zajął swoje miejsce, rozglądając się, czy wszyscy dobrze widzą jego krwawą zemstę. Uśmiechnął się triumfalnie do Luxa i uniósł broń. Furier zacisnął zęby ze złości. *Żeby ginąć w tak durny sposób! Niech to diabli!*. W przypiływie brawury obrócił się i stanął do przeciwnika przodem, odsłaniając pierś i brzuch.

Turkiewicz uniósł broń na wysokość oczu, ale nie wyprostował ręki. Napawał się triumfem, cieszył chwilą, w której pokaże wszystkim żołnierzom, że nie wolno go bezkarnie obrażać. Wreszcie zyska należne mu uznanie i szacunek.

Tym razem warszawiak nie zamknął oczu. Patrzył w wylot lufy, który niemal mógłby dotknąć, tak blisko siebie stali. Lux czuł uniesienie i pewność właściwego wyboru. Tym razem robił to, co należało. Nie będzie się musiał wstydzić, nawet gdy znajdzie się na tamtym świecie.

Zagrzmiał strzał, który przetoczył się echem po kościele. Huk zwielokrotnił się i odbijał od ścian, brzmiał, jakby zagrała cała karabinowa palba. Sekundant Turkiewicza runął na twarz z krwawą dziurą w plecach. Kula świsnęła koło głowy Kazika. Tylko że nie wystrzelił jej podporucznik. Turkiewicz skulił się, opuścił pistolet i skoczył na furiera. Upadli obaj na posadzkę.

– Padnij! – wrzasnął oficer. – To pułapka!

Dopiero wtedy Lux zrozumiał, że to, co słyszał, nie było zwielokrotnionym echem. Przez

wyłom w bocznej ścianie i otwarte wrota strzelali do nich jacyś ludzie. Powietrze wypełniły kłęby dymu śmierdzącego spalonym prochem.

– Do broni, chłopcy! – wrzasnął kapral Klein.

– Plutony w dwuszereg! – Turkiewicz poderwał się z posadzki. – Nałóż bagnet!

Oficer wymierzył pistolet w tłum kłębiący się przy wejściu i szykujący się do kolejnej salwy. Kazik stanął obok oficera i wystrzelił zaraz po nim. Nie widział, czy kogoś trafił, bo dym i tak wszystko zasłonił. Skoczył pod ścianę po swój muszkiet. Bagnetu nie miał, ale i tak poczuł się pewniej, ściskając broń w garści. Stanął z boku błyskawicznie formującego się dwuszeregu.

– Naprzód! Do ataku! – wrzasnął podporucznik, pistoletem wskazując kierunek.

Piechurzy ruszyli biegiem, rycząc wściekle. Wiedzieli, że muszą dopaść wroga, zanim ten ponownie nabije muszkiety. Napastnicy tłoczyli się w szerokim wejściu. Fizylierzy uderzyli na nich z impetem, dźgając bagnetami w wyćwiczonych pchnięciach. Większość legionistów służyła wcześniej w armii austriackiej. Byli zawodowcami, wielu walczyło w insurekcji kościuszkowskiej. Przeciwnicy, zaskoczeni błyskawicznym kontratakiem w trakcie nabijania muszkietów, nie mieli najmniejszych szans.

Biegący w drugim szeregu furier widział walące się ciała o brzuchach i piersiach podziurawionych bagnetami. Przeskoczył nad wijącym się z bólu żołnierzem w cisalpińskim mundurze i w locie grzotnął go kolbą w głowę. Legioniści rozsypali się na niewielkim placu przed kościołem. Ścigali uciekających w popłochu napastników – w większości mieszczan i chłopów w brudnych kozuchach lub wełnianych kapotach. Włosi wiali w panice, prócz kilku roślejszych bandziorów, którzy zwarli się z legionistami.

– Wiara, do mnie! – piskliwie wrzeszczał Turkiewicz stojący na schodach kościoła.

Lux rozejrzał się po placu. Rebelianci uciekali na wszystkie strony, choć było ich co najmniej dwa razy tylu co Polaków. Część zbierała się ponownie dopiero na drodze prowadzącej do miasta. Krzyczał na nich jakiś wysoki mężczyzna w eleganckim surducie i z głową owiązaną bandażem. Włosi zebrali się przy nim posłusznie, tworząc groźnie wyglądający tłum.

– Widziałeś tego sukinsyna, Kazik? – spytał z oburzeniem Klein. – To ten zdrajca Zaręba. Musiałem chybić, gdy strzelałem mu w łeb. I to jest nauczka, by zawsze porządnie dobijać wrogów. Zapamiętaj to sobie. Nigdy nie zostawiaj ich jeszcze żywymi i nie okazuj skurwysynom łaski!

– Dzięki za radę – burknął warszawiak do starszego kolegi.

Rzeczywiście, rebeliantami dowodził admirał Zaręba. Z każdą chwilą spośród ruin wybiegali kolejni papiści, uzbrojeni w większości w wojskowe muszkiety lub myśliwskie

strzelby. Niektórzy trzymali widły i siekiery. Na oko była ich co najmniej setka. Legioniści biegiem wrócili do kościoła, chroniąc się w jego murach. Na placu zostało kilku dogorywających rebeliantów. Jakby dla potwierdzenia swoich rad kapral Klein, wracając do świątyni, dźgnął kolejno dwóch z nich bagnetem w gardło.

– Oddział, zdjąć bagnety – rozkazał Turkiewicz. – Nabijanie spieszne!

Podporucznik ciągle ścisnął w drżącej dłoni pistolet. Wreszcie się opamiętał i sięgnął po kurtkę i czapkę. Kazik również zaczął się ubierać. Stali obok siebie, szamocząc się z ubraniami. Tymczasem legioniści nabijali muszkiety w tempie znacznie przewyższającym prędkość, z jaką robili to Włosi.

– Melduję, że mamy dwóch poległych i jednego rannego. – Sawicki z własnej inicjatywy przejął funkcję sierżanta. – Wszyscy oberwali w zdradzieckim ataku.

– Mieliśmy szczęście, że Italiańcy to takie patałachy<sup>[53]</sup> – zauważył Skwarski. – Obok mnie świsnęły trzy kule. Gdybyśmy to my pukali, żaden z nas nie wyszedłby bez szwanku.

– Co robić, co robić? – mamrotał oszołomiony Turkiewicz. – Skąd się tu wziął tak silny oddział papistów?

– Zostali zwerbowani i uzbrojeni za pieniądze Neapolu – odparł Kazik. – Dowodzi nimi polski awanturnik, niejaki Zaręba. Dawny oficer legionowy, obecnie w służbie obcego mocarstwa.

– Skąd to wiesz, Lux? – piskliwie zdumiał się oficer.

– Mówiłem panu, że wykonuję ważne zadania. Wiem nie takie rzeczy i spieszyłem, by o nich zameldować generałowi, ale nie raczył pan słuchać...

Tymczasem Bauman, posuwając się przy ścianie, wrócił do wrót kościoła i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Huknął strzał, ale Żyd nie cofnął głowy. Z zimną krwią oszacował sytuację.

– Jesteśmy oblężeni – powiedział. – W poprzek drogi postawili wóz i obsadzili go strzelcami. Usadowili się też wszędzie w ruinach. Za każdą kupą kamieni siedzi przynajmniej jeden łobuz z muszkietem i celuje w kierunku kościoła.

– Niedobrze. – Kapral Krawczyński westchnął. – Jeśli wyjdziemy, natychmiast nas wystrzelają.

– Co robić, co robić? – mamrotał blady podporucznik.

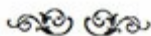
– Może paktować? – zaproponował Bauman.

– Musimy ostrzec naszych w zamku – powiedział Kazik. – I jak najszybciej zameldować dowództwu o rebelii. Inaczej papiści przejmą Pesaro i inne miasteczka, odcinając Legiony od zaplecza.

– Sprytny plan wymyślili ci Neapolitańczycy. – Skwarski pokiwał głową. – Musimy działać

szybko, by pokrzyżować im szyki.

Tymczasem na zewnątrz rozległ się kolejny wystrzał. Kula wpadła przez dziurę w murze i świsnęła nad głowami legionistów. Papiści dawali im do zrozumienia, że są na zewnątrz i czekają.



Doktor Hoffman siedział w piwnicy Pałacu Dożów. Za towarzystwo miał trzech młodzieńców, jak się okazało – miejscowych gorących „patriotów”, którzy zostali przechwyceni przez rebeliantów, gdy próbowali ostrzec polską załogę zamku. Medyk miał z nimi sporo zajęcia, bo wszyscy zostali dotkliwie poturbowani. Jeden z republikanów oberwał nawet od huzara szablą przez plecy, a życie uratowała mu tylko gruba kapota. Szabla jednak rozplatała mu skórę, która rozjechała się, odsłaniając różowe mięso.

Lekarz dobijał się do drzwi, wrzeszcząc, że potrzebuje opatrunków, a do tego igły i nici. Szybko pojawił się jeden z rebeliantów, ale tylko po to, by trzasnąć medyka w twarz i zażądać ciszy.

Ranny pechowiec wykrwawiał się więc powoli, jego skóra zrobiła się sucha i gorąca. Medyk próbował opatrzyć ranę własną koszulą, którą porwał na pasy. Nic więcej zrobić nie mógł.

Przez kilka godzin nikt nie interesował się jeńcami, nie przyniesiono im jedzenia ani picia. Dopiero po południu drzwi piwnicy się otworzyły i do środka wszedł ksiądz Allodi, mając za towarzystwo i ochronę osiłka z okutą żelazem pałką w garści. Na widok srogiej miny duchownego trzej młodzieńcy poruszyli się niespokojnie. Dwóch z nich cofnęło się pod ścianę, najciężej ranny zaś zamarł, leżąc na brzuchu.

– Gnijecie za życia, bezbożnicy – triumfalnie zauważył proboszcz. – Już spotyka was kara za doczesne grzechy i herezje. Ha! Ale nie przyszedłem tu z was się natrząsać, tylko udzielić wam kapłańskiej posługi. Zginiecie marnie, usmażycie się żywcem na stosie, jak przystało na wszystkich republikanów. Macie jednak szansę wybłagać lepszą śmierć. Błagajcie o przebaczenie, wyznajcie grzechy, ukorzcie się, a spróbuję wywalczyć dla was godne traktowanie.

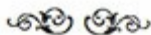
– Przynieście nam coś do picia i przybory dla medyka, a wygłoszę wyznanie wiary – odezwał się jeden z młodzieńców. – Przyznam się do wiary, w którego boga chcecie, i do grzechów, jakie sobie tylko zamierzycie.

Ksiądz skinął głową i osiłek wymierzył chłopakowi cios. Republikanin zdążył zasłonić się rękoma. Chrupnęła kość gruchotana żelazną pałką, a republikanin wrzasnął z bólu. Zwinął się w kłębek, trzymając za rękę. Z przerażeniem patrzył na górującego nad nim oprawcę.

– Chyba się nie rozumiemy – wycedził duchowny. – Nie przyszedłem tu żartować, lecz

uratować wasze dusze. Chcecie tego czy nie – najpierw po kolei się wypowiedacie, otworzycie swoje dusze i przyjmiecie w nich Pana. Potem opowiecie mi o rozmieszczeniu republikańskich wojsk, o tym, dokąd zmierzają, jak dobrać się do ich taborów – wszystko, co wiecie. Czy to jasne? Od kogo zatem zaczniemy? Może od ciebie, chłopcze, skoro i tak dostałeś już pierwszą lekcję?

Doktor Hoffman poczuł, że dygoce ze strachu. Zakończona żelazem pałka naprawdę mogła skłonić go do przyjęcia chrztu i wyśpiewania wszystkiego, co wie. Ciekawe, co teraz działo się z Kazikiem i legionistami, gdzie byli i dlaczego, na wszystkie wolnomularskie ryty, jeszcze nie dotarli do pałacu i go nie uwolnili?



Admirał Zaręba przechadzał się wzdłuż wozu najeżonego lufami muszkietów. Czas płynął nieubłaganie i powoli zbliżał się zmierzch. Legioniści siedzieli w kościele i od czasu do czasu dawali ognia przez dziury w ścianach. Nie kwapili się do wyjścia z nory i samobójczego ataku. Niechby tylko spróbowali wybiec z ruin. Na wozie postawionym w poprzek drogi do miasta stała przykryta płótnem trzyfuntowa armatka nabita szrapnelami. Wystarczy jeden strzał, by poszatkować tę garstkę fizylierów na kawałeczki. Potem pozostanie tylko dobijanie rannych i grabież.

Niestety, Polacy nie chcieli ruszyć do ataku, nie reagowali też na wezwania do złożenia broni. Za chwilę Zaręba będzie musiał odwołać znaczną część swego oddziału i razem z nim ruszyć, by dołączyć do generała La Hoza. W szturmie na zamek będzie potrzebny każdy żołnierz, a admirał nie mógł zostawić za własnymi plecami trzech plutonów polskich fizylierów. Musiał ich pozabijać. Za wszelką cenę. Gdyby tylko zgodzili się poddać! Obiecałby im zwolnienie na parol, a potem, kiedy już odłożyliby broń, kazałby ich rozstrzelać. Ze zwykłej złośliwości, bo go wkurzyli, unieruchamiając jego oddział w tych ruinach na pół dnia bezowocnej pukaniny.

– Maccone, do mnie! – wrzasnął do cisalpińskiego dezertera. – Zabierz swoich z ruin i wracajcie do generała. Powiedz mu, że niedługo dołączę z resztą.

– Co z Polakami?

– Gównu cię to obchodzi! – warknął Zaręba. – Zaraz się z nimi rozprawię.

Cisalpińczyk wrzucił ramionami, a potem zagwizdał na palcach. Machnął ręką, przywołując do siebie ludzi. Większość oblegających kościoł posłusznie się wycofała i podbiegła do żołnierza. Legioniści musieli zauważyć ruch, bo ich czapki pojawiły się na chwilę w dziurawym murze świątyni. Admirał został na stanowisku z ledwie trzydziestoma swoimi bandziorami i zabijakami, których zwerbował w ostatnim miesiącu. Przynajmniej na tych łobuzach mógł polegać – większość była zawodowymi mordercami i rozbójnikami,

niektórzy dezertkami z regularnej armii.

Obciągnął poły surduta i wyszedł przed wóz, stając sam na drodze. Teraz jego ludzie obsadzali jedynie stanowiska przy wozie z armatą.

– Hej tam, wiarusy! – wrzasnął po polsku. – Nie róbcie mi tego i nie kaźcie was wszystkich grzebać żywcem. Za chwilę będę tu miał armaty i ostrzelam kościół. Wystarczą dwie kule, byście wszyscy spoczęli pod gruzami! I po co to, do diaska? Daję wam ostatnią szansę, przyłączcie się do armii Ojca Świętego, a zachowacie życie!

– Za mało dostałeś kulek w łeb, Zaręba?! – wrzasnął Klein. – Czekaj, a dostaniesz kolejną. Podejdz no bliżej, z łaski swojej!

Ku zdumieniu admirała kapral wyszedł z kościoła i wymierzył w niego muszkiet. Wypalił z przyłożenia, bez celowania, oczywiście nie trafiając. Natychmiast zagrzmiały lufy najemników Zaręby. Kule przeleciały obok awanturnika i pacnęły w ziemię wokół odważnego Kleina albo zafurkotały wokół niego.

– Niech to cholera – wycedził admirał.

Jego wojacy głupio opróżnili muszkiety, strzelając do pojedynczego celu. To mogła być zasadzka Polaków.

I faktycznie była. Z kościoła natychmiast wysypał się tłum fizyliarów. Część z nich kucnęła, unosząc broń, pozostali zaś stanęli im za plecami, w drugim szeregu. Młody oficer wrzasnął piskliwie:

– Cel! Ognia!

Zanim najemnicy Zaręby zabrali się do ładowania muszkietów, gruchnęła w nich precyzyjna, mordercza salwa. Sam admirał przytomnie rzucił się na ziemię i przywarł do niej płasko. Kule świsnęły nad nim, załomotały w wóz i miękko wbiły się w ciała najemników. Kilku chłopców z jękiem osunęło się na ziemię. Ktoś wrzeszczał płaczliwie.

– Hura! – Fizyliarzy z rykiem rzucili się do ataku na bagnety.

Mieli do pokonania kilkadziesiąt kroków. Admirał poderwał się na równe nogi i potężnym susem wskoczył na wóz. Zerwał płótno z armatki. Lufa mierzyła wprost w biegnących Polaków. Awanturnik złapał za stojącą na pace lampkę oliwną, która czekała zapalona właśnie w tym celu. Przyłożył jej płomyk do krótkiego lontu wetkniętego w otwór zapalający. Syknęło i lont z trzaskiem zaczął się palić. Fizyliarzy byli o kilkanaście kroków. Za jedno uderzenie serca szrapnele zamieniły ich wszystkich w siekane kotlety.

Jeden z legionistów sadił ogromne susy, wyprzedzając kompanów. Rzucił się szczupakiem i w locie, oburącz, złapał za lufę armatki. Uwiesił się na niej całym ciężarem ciała i przechylił ją w dół. Zaręba dobył szabli i zamierzył się, by rozplatać mu łeb.

Lont w tej sekundzie się dopalił i armata ryknęła basowo. Cały ładunek prasnął w ziemię,

tylko kilka rykoszetów zafurkotało w powietrzu. Cięcie admirała zostało zablokowane ostrzem trzymanym przez wysokiego chudzielca, który pojawił się jak spod ziemi. Oficer rozpoznał w nim furiera Luxa, który w ostatniej chwili osłonił wiszącego na armatniej lufie księdza Skwarskiego.

Wiedziałem, że to dobry żołnierz – pomyślał Zaręba o Kaziku. – Szkoda, że zaraz porąbię sukinsyna.

Zadał trzy błyskawiczne cięcia, niemal bez zamachu, celując kolejno w policzek, lewy bark i szyję. Ku jego zdumieniu młody kapral wszystkie ciosy przyjął na eleganckie zastawy niczym zawodowy szermierz. Odpowiedział płaskim, trochę niezdarnym cięciem i błyskawicznie je ponowił.

– Palę się! – wrzasnął kapelan, któremu płonący proch z wystrzału armatniego podziurawił spodnie i poparzył nogi.

Portki Skwarskiego zajęły się żywym ogniem. Natychmiast rzucił się na niego legionista Bauman i zaczął klepięciami gasić kompana. Tymczasem wokół trwało mordercze starcie na bagnety, fizylierzy dźgali bandziorów Zaręby z prawdziwą furią i bez litości. Nie zważali na prośby o łaskę i na miejscu dobijali wszystkich, nawet niezdolnych już do walki.

Admirał zeskoczył z wozu, wściekle wywijając szablą. Natarł na Kazika z pasją – zamierzał załatwić choć jednego legionistę, zanim zostanie pokonany. Lux cofał się krok po kroku, kolejno przyjmując obronne postawy szermiercze. Nie miał możliwości wyprowadzenia kontry, mógł tylko rozpaczliwie się bronić. Zrozumiał, że nie ma szans z awanturnikiem, bo ten jest zbyt doświadczony.

Zaręba wykonał skomplikowaną fintę, ominął ostrze broniącego się Luxa i już sięgał piórem szabli do jego szyi, gdy cięcie zostało zablokowane przez czyjąś szablę. Obok furiera stanął młody oficer z cienkim wąsikiem, płynnie przyjmując atak Zaręby. Turkiewicz odepchnął Kazika i złożył się do gwałtownej kontry. Lux nie ustąpił jednak pola, od boku rzucając się na najemnika i tnąc go przez udo. Admirał syknął z bólu i spojrzał z nienawiścią na kaprala. Jednocześnie odsłonił się na mgnienie oka i to wystarczyło, by kontra Turkiewicza pokonała jego obronę.

Szabla spadła na bark najemnika i rozplątała go, łamiąc kość obojczyka. Oficer natychmiast zakończył walkę pchnięciem w brzuch admirała i odsunął się, dysząc ciężko. Zaręba opadł na kolana, a potem zwałił się na wznak.

– Drugi raz próbuje nas wziąć na ten sam numer – mruknął warszawiak.

Stanął nad pokonanym i zamachnął się mocno. Rąbnął szablą w odsłonięty kark najemnika. Włoska stał gładko rozplątała kręgosłup, a twarda ziemia zadziałała niczym pień. Głowa admirała potoczyła się drogą, krwawiąc obficie.



Kapral Klein z uznaniem poklepał Kazika po plecach. Wokół trwało dobijanie rannych i poddających się bandytów. Turkiewicz, o twarzy bladej z przejęcia, wycierał ostrze szabli w białą chusteczkę w wyhaftowanym herbem i monogramem. Potem spojrzął na furiera. Chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Turkiewicz uśmiechnął się lekko i rzekł:

– Dobra robota, Lux.

Noc z 10 na 11 nivôse'a  
VI roku ery republikańskiej  
(noc z 30 na 31 grudnia 1797 roku)



**A**rcybiskup Saluzzo stał przy oknie swojej celi i patrzył na coraz liczniejsze ognie na linii drzew otaczających zamek. Nawet tu dobiegały go słowa kościelnej pieśni, dobywającej się z setek gardeł. Słońce dawno już zaszło, miasto ogarnęły ciemności, ale zamiast uśpić Pesaro, mrok zdawał się je dopiero rozbudzać. Gruchnęły pierwsze strzały z muszkietów, pojedyncze płomyki z luf rozbłyskiwały wokół twierdzy, na razie ledwie kłusząc jej mury. Wierny papieżowi lud gęstniał, tężał z każdą chwilą, coraz liczniej wychodząc z wąskich uliczek i rozsypując się wśród drzew.

Karol Majochy, dzielący celę ze swoim przełożonym, zaczął głośno odmawiać modlitwę dziękczynną. *Hosanna!* Oto bogobojni mieszkańcy prowincji przybyli, by wyzwolić kościelnego dostojnika i przegnać najeźdźców.

Z zamkowego korytarza dobiegły okrzyki po polsku. Nieliczna załoga obsadzała mury zamku, szykując się do odparcia szturm. Całe szczęście, że Polacy nie dysponowali artylerią, a z racji niskiej liczebności nie byli też w stanie powstrzymać tłumu, który niósł długie drabiny. Oficer dowodzący twierdzą – gburowaty kapitan – nie raczył jeszcze przybyć do arcybiskupa, by prosić go o rozpoczęcie paktów i powstrzymanie rebeliantów. Legioniści zamierzali bronić zamku i chwalebnie polec w starciu z liczniejszym przeciwnikiem.

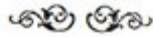
– Przestań, Karolu – Saluzzo uciszył podekscytowanego sekretarza. – Przez butę Polaków zginie dziś wielu chrześcijan. Nie ma się z czego cieszyć.

– Wybacz, wasza ekscelencjo, ale trudno mi się opanować. Skoro Polacy tak bardzo pragną dać się tu pozabijać, to ich sprawa.

– Mam nadzieję, że naszą armią dowodzi rozsądny człowiek, który nie dopuści do mordu. Liczę, że zaraz wyśle emisariuszy. – Arcybiskup przeżegnał się i położył rękę na krzyżu wiszącym na jego piersi.

– Będę się o to gorąco modlił – posłusznie przytaknął Majochy i uśmiechnął się szeroko.

Wiedział, że arcybiskup też cieszy się w duchu z tej niespodziewanej odsieczy. Przecież była ona triumfem wierności i oddania, widomym znakiem posłuszeństwa ludu wobec Kościoła.



Ksiądz Allodi zanurzył ręce w misce z wodą, a ta natychmiast zabarwiła się na czerwono. Niepotrzebnie rzucił się na przesłuchiwanego „patriotę”, który nie chciał otworzyć serca na prawdziwą wiarę. Najpierw odmówił ponownego przyjęcia Boga, a potem jeszcze opluł księdza i próbował go zaatakować. Okuta żelazem pałka strzaskała mu nos i zgruchotała szczękę, a ciosy wymierzone pięściami Allodiego dokończyły dzieła. Szczeniak padł bez życia i na nic się zdały zabiegi doktora Hoffmana, który chciał zatrzymać go na tym świecie. Trudno, dusza jednego heretyka nie dostąpi łaski oczyszczenia na stosie. Już trafiła do piekła.

Z placu przed pałacem dobiegały krzyki i śpiewy. Armia papieża pod wodzą generała La Hoza pomaszerowała zdobyć twierdzę i uwolnić arcybiskupa. Gdy to się uda, rozpocznie się oczyszczanie miasta ze zwolenników republiki i miłośników Francuzów. Wiele domów zostanie dziś splądrowanych, na drzewach zawisną tłumy heretyków. Zapłoną też stosy – o to Allodi zadba osobiście.

Ktoś łomotał w drzwi pałacu. Mocno, jakby kolby muszkietów tłukły w drewno. Ksiądz poczuł pałący niepokój. Co tam się dzieje?

Wytarł ręce w sutannę i wziął ze stołu pistolet. Broń była nabita. Allodi odciągnął kurek i wetknął broń do kieszeni. Wybiegł z piwnic pałacowych i wpadł do głównego korytarza. Przed zamkniętymi drzwiami stało czterech uzbrojonych w myśliwskie strzelby mieszczan. Za plecami duchownego pojawił się wierny osiłek z żelazną pałką, wciąż ubabraną krwią.

– Co tam się dzieje? – warknął ksiądz. – Kto tam?!

– Otwierać w imieniu republiki! – zadudnił czyjś głos.

Kapłan poczuł przerażenie i falę paniki. Wojsko cisalpińskie? Polacy? Przecież miało ich nie być w mieście! To jakiś żart?

I co teraz? Budynek nie był fortecą. Jeśli przeciwnicy się uprą, wleżą do pałacu przez okna. Pora zniknąć i ostrzec generała La Hoza.

– Zostańcie tu i pilnujcie wejścia. Pod żadnym pozorem nie otwierajcie drzwi – rozkazał mieszczanom. – Ty, chłopcze, pójdiesz ze mną.

Osiłek posłusznie pokiwał łysą głową i ruszył za kapłanem. Przerażeni strażnicy nie śmieli się przeciwstawić i zostali przy drzwiach, które znów zatrzęsły się od uderzeń. Ksiądz dostojnym krokiem odszedł w głąb korytarza i wyszedł na wewnętrzny dziedziniec pałacu,

zajęty przez piękny ogród. Rzucił się przez niego biegiem, sadząc potężne susy. Przyboczny ruszył za nim, człapiąc wielkimi stopami.

Przemknęli przez suterene, dotarli do opuszczonej kuchni i stanęli pod drzwiami dla służby. Allodi odryglował je pospiesznie i wyjrzał ostrożnie na ciemną ulicę. Pusto i cicho. Z oddali dobiegały strzały, a więc rozpoczął się szturm zamku. Ksiądz skinął na osiłka i puścił go przodem. Tak na wszelki wypadek.

Błysnęło oślepiająco i w oczy duchownego uderzył gorący dym, śmierdzący siarką niczym samo piekło. Wielkolud wypuścił pałkę i cofnął się do kuchni, trzymając za brzuch. Spomiędzy palców obficie wypływała czarna krew.

Postrzał w wątrobę – pomyślał ksiądz, cofając się z przerażeniem.

– Dobry strzał, Bauman! – rozległy się na zewnątrz słowa po polsku. – Twój pierwszy zabity wróg, Żydzie! Brawo za dobry pomysł z obstawieniem tyłów pałacu. Należy ci się order. Chrzest bojowy masz zaliczony. Szczury próbowały się wymknąć, a my je caps!

Do kuchni weszło dwóch znanych Allodiemu legionistów – brodaty maluch i rumiany pijak. Po chwili dołączyło do nich kolejnych dwóch zbrojnych. Jeden z nich wymierzył bagnet w brzuch proboszcza i zamachnął się do pchnięcia, ale ksiądz Skwarski odepchnął go, ratując Włochowi życie.

– Czekaj, człowieku! Co się tak palisz do bitki? Nie widzisz, że masz do czynienia z duchownym? Trochę szacunku dla sutanny! – dudnił po polsku kapelan.

Allodi nie rozumiał ani słowa. Wiedział, że pijak, który kilka dni temu tak dotkliwie go poturbował, teraz z pewnością go rozpoznał i pewno się z niego natrzęsa, bo uśmiechał się złośliwie i plugawie, heretyk jeden. Pewnie będzie chciał dokończyć dzieła i zatłuc włoskiego kapłana. *Oni wszyscy są tacy sami, barbarzyńscy republikanie. Bezbożnicy szumowiny.*

– A czy my nie znamy tego pana? – Skwarski szturchnął Baumana. – Niepoprawny łobuziak z naszego proboszcza, no nie? No nic, napijemy się razem, pogadamy, to może znajdziemy jaką nić porozumienia. Teraz trzeba go związać i przetrząsnąć pałac. Pewnie gdzieś tutaj trzymają doktora Hoffmana...

Ciągle mówił po polsku. Wyciągnął rękę do Allodiego, co ten odebrał jako początek bicia. Cofnął się kolejny krok i sięgnął do kieszeni sutanny. Nie pozwoli się dręczyć republikanom! Nigdy! Polegnie w boju, zostanie męczennikiem, obrońcą wiary. Wyszarpnął pistolet, wymierzył w pierś Skwarskiego i wystrzelił.

– Chryste – zacharczał legionowy kapelan i zgiął się wpół.

– Nie! – wrzasnął Bauman.

Żyd uniósł muszkiet i bagnetem pchnął Włocha w pierś. Niemal natychmiast spadły na duchownego kolejne ciosy zadane przez pozostałych legionistów. Allodi próbował zasłaniać

się rękoma, lecz szpikulce bez wysiłku przebijały jego sutannę i gładko wchodziły w trzewia, dziurawiły płuca i spadały na wyciągnięte ręce. Osunął się na podłogę i zwinął w kłębek, ale trzech żołnierzy dźgało go nieustannie i z pasją.

Bauman opanował się pierwszy i rzucił na pomoc Skwarskiemu. Kapelan siedział nieruchomo, opierając się plecami o kuchenny piec. Głowę miał pochyloną, a pierś obficie zbroszoną krwią. Nie ruszał się.

Żyd przytulił głowę poległego przyjaciela do piersi i zapłakał.



Kazik rozerwał zębami tłusty papier patronu i wsypał do lufy zawarty w nim proch, a potem wrzucił kulę i resztę papieru. Wyciągnął stempel i wsunął go do lufy, uderzył mocno dwa razy, a potem zamocował pręt na swoim miejscu. Czynności miał dobrze przećwiczone, jak każdy legionista. W myślach odliczał dwanaście sekwencji ruchów koniecznych do załadowania broni według francuskiego regulaminu. Wstrzymał się przed podsypaniem prochu na panewkę, spoglądając z ukosa na Turkiewicza. Młody oficer krążył od ściany do ściany u wylotu uliczki, miotając się niczym tygrys w klatce.

Przed nimi kłębił się pstrokaty tłum papieskich rebeliantów, którzy nie zdawali sobie sprawy, że mają za plecami blisko trzydziestu legionistów. Polacy wiedzieli jednak, że nie stanowią dla papistów specjalnego zagrożenia, gdyż buntowników było około trzech setek, upojonych własną siłą i zwycięską atmosferą. Byli w świetnym humorze, mimo że jeszcze nie posmakowali krwi wroga. Z kolei załoga twierdzy nie odpowiadała na ich strzały i śpiewy.

– Powinniśmy spróbować przebić się do zamku – odezwał się doktor Hoffman.

Uwolniony z pałacu medyk znajdował się w opłakanym stanie. Na twarzy nosił ślady pobicia, a resztki ubrania wisały na nim w strzępach. Papiści zabrali mu elegancki surdut i francuski kapelusz, nie miał też koszuli, a jedynie kamizelkę nałożoną na gołe ciało. Dopiero potem zarzucił na ramiona kurtkę mundurową po poległym księdzu Skwarskim.

– Sądzi pan, że mamy szansę dobiec do bramy? – drżącym głosem spytał Turkiewicz.

– Jeśli ruszymy biegiem – czemu nie. To raptem jakieś trzysta kroków.

– Nie uda się – mruknął kapral Krawczyński. – Nie zapominajcie, że tam na koniu siedzi generał La Hoz, doświadczony oficer. Wystarczy jedno jego słowo i buntownicy wystrzelają nas jak kaczki. Może któryś szczęściarz dobiegnie do bramy, ale nie wiadomo, czy załoga mu ją otworzy.

– Uderzymy na tyły buntowników tam, gdzie jest wyjście na esplanadę – zaproponował kapral Klein. – Wszyscy pomyślą, że przybyła odsiecz dla obrońców. Może rebelle się wystraszą...

– Gdybyśmy mieli choć jedną armatę, nawet bym się nie zastanawiał – odparł podporucznik – jednak trochę nasmało.

– Musimy się ruszyć, bo zaraz nas wypatrzą – wtrącił Sawicki. – Uderzmy i zmyjmy plamy z honoru.

– Zmyjemy je własną krwią! – ożywił się Klein, tak czuły na sprawy honorowe. – Wolę zginąć w boju, niż stanąć przed sądem wojennym.

Kazik jęknął w duchu. Po raz kolejny będzie musiał nadstawiać karku dla tego cholernego honoru. Swojego, swoich druhów i całego Legionu. Tak naprawdę wolałby się wycofać i poczekać na ruch załogi zamku, a najlepiej zwiać stąd jak najdalej.

A niech to wszyscy diabli! Ostatnio tyle razy patrzył w oczy śmierci, że zaczynała mu być obojętna. Powoli zamieniał się w wąsacza, legionowego weterana.

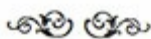
– Mam coś, co może zastąpić artylerię – powiedział.

Turkiewicz spojrzał na niego podejrzliwie. Warszawiak wyciągnął z kieszeni kurtki słój z *phosphorus*.

– Panie doktorze, co się stanie, jeśli wrzucimy do tego naczynia kilka patronów z prochem, a potem podpalimy? – furier zwrócił się do Hoffmana. – Widziałem, jak od tego zapaliło się ciało świętej pamięci Sofii. Trudno było je ugasić.

– Myślę, że słój może rozerwać się niczym granat. – Doktor pokiwał głową. – Może nawet mocniej. Dobry pomysł, Kaziu. Dajcie, chłopcy, trochę patronów, a żywo!

Lux uśmiechnął się do zaskoczonych legionistów i podał im jedyny dowód w śledztwie. Słój, który mógł zmazać z niego zarzut trucicielstwa, miał teraz miał posłużyć jako broń.



Arcybiskup Saluzzo zgodził się przejść z celi do komnaty, w której zebrał się sztab obrony zamku. Wiedział, że rozpoczną się pakt o poddanie twierdzy i uwolnienie jego osoby. Kroczył więc powoli, z dumnie wyprostowanymi plecami, ale głowę trzymał skromnie opuszczoną, jak przystało na zatroskanego pasterza, który pragnie jedynie ocalić swoje owieczki.

Czekał na niego wąsaty, posępny kapitan i dwóch podporuczników – skromny sztab polskiej załogi. Kapitan wskazał mu bez słowa fotel, którą to propozycję Saluzzo milcząco zignorował. Potem oficer spokojnie nalał wino do blaszanego kubka i podał naczynie dostojnikowi.

– Skoro nie chce pan usiąść, możemy wspólnie stanąć przy oknie – powiedział.

Arcybiskup podszedł do okna i spojrzał z dumą na morze migających pochodni i błyski z luf muszkietów ostrzeliwujących twierdzę.

– Jest pan gotów złożyć kapitulację? – spytał.

– Wręcz przeciwnie – odparł dowódca. – Nie otrzymałem rozkazów dających mi taką możliwość.

– Chyba nie dostał pan również rozkazów nakazujących samobójczą śmierć i utratę załogi? – spytał Karol Majochy, który towarzyszył zwierzchnikowi niczym cień.

– Nie zamierzam popełnić samobójstwa. Będziemy walczyć, jak przystało na polskich żołnierzy – odparł oficer. – Kazałem przyprowadzić was tutaj, byście mogli bezpiecznie obserwować, jak przeganiamy rebeliantów i wichrzycieli. Mam obowiązek dbać o zdrowie i życie waszej ekscelencji i to zadanie jest moim absolutnym priorytetem. Nie będę zatem paktował z bandytami, po prostu wyjdę i dam im łupnia. Miłego wieczoru, panowie. Pozwolicie, że się oddalę i zajmę swoimi obowiązkami. Towarzystwa dotrzyma wam jeden z moich podporuczników.

Zasalutował zamasyście i wyszedł z komnaty w asyście jednego z młodszych oficerów. Saluzzo pomasaował czoło, które zaczęło go boleć. Po chwili zobaczył, jak na zamkowym dziedzińcu kapitan staje na czele ustawionej w dwuszereg, nielicznej załogi zamku. Dowódca wyciągnął szablę i dał znak warcie, by otworzyła bramę.

Arcybiskup pokręcił głową z niechętnym uznaniem. Polacy zawsze byli nieobliczalni.



Kazik zważył w ręku cięższy, bo dodatkowo napchany teraz prochem słoje. Nikt inny nie odważył się wziąć w rękę dziwnego granatu wypełnionego świecąca trucizną. Furier oddał swój muszkiet doktorowi Hoffmanowi i spojrzął po raz ostatni na ustawionych w skromną kolumnę kompanów. Jeden z braci Kura mrugnął do niego porozumiewawczo, Bauman uśmiechał się blado. Turkiewicz skinieniem głowy dał znak do rozpoczęcia.

Warszawiak podsunął granat sierżantowi Sawickiemu, który kilkoma pyknięciami rozpałił żar w swojej fajeczce, a potem przytknął ją do zwitka natłuszczonego papieru z patronu, który został wetknięty w słoje. Zaskwierczały ziarna prochu i zaimprovizowany lont zapalił się ogniem.

Furier ruszył biegiem w stronę hordy nieprzyjaciół. Nie wiedział, ile ma czasu, nim lont się dopali. Chciał podbiec jak najbliżej, by trafić w sam środek zgrupowania przeciwników. Gnał, wyciągając nogi i modląc się, by nie upaść. Minął kilku gapiów kibicujących rebeliantom, przesadził skokiem jakiś ciemny kształt i kiedy ogień zaczął niknąć w głębi słoja, rzucił pociskiem.

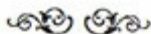
Granat przeleciał nad głowami i pochodniami buntowników, po czym z impetem trzasnął o ziemię. Przez dwa uderzenia serca chłopak był przekonany, że nic się nie stanie. I wtedy błysnęło oślepiająco, a potężny huk wstrząsnął powietrzem. Białe światło rozdarło ciemność, jakby piorun uderzył w sam środek sił rebelianckich. Na wszystkie strony rozbryznęły się

płonące drobiny *phosphorus*. Zapalały ubrania, wgrzyzały się w ciała przerażonych ludzi.

Kazik dobył szabli i machnął na kroczący w ciemności oddział.

– *Tuy!* – piskliwie wrzasnął Turkiewicz. – Cel! Pal!

Muszkiety legionistów zagrzmiały jednym głosem, wtórując niedawnemu wybuchowi.



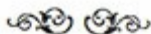
Generał La Hoz spokojnie siedział w siodle, przyglądając się światłu setek pochodni trzymanyh przez jego wojsko. Nagle oślepił go potężny błysk. Białe ognie rozbryznęły się w papieskich szeregach. Kilka ognistych iskier spadło na zad generalskiego konia. Oficer zaklął wściekle, próbując utrzymać się w siodle. Przerażone zwierzę zakwiliło z bólu i uniosło się na tylnych kopytach, młóćąc przednimi powietrze.

La Hoz wyszarpnął nogi ze strzemion i rzucił się w bok, by nie zostać przygniecionym przez walącego się rumaka. Przeturlał się po ziemi i legł bez ruchu, jęcząc.

Zagrzmiała salwa, niepokojąco równa i zgrana. Armia papieża rozpierzchnęła się z wrzaskiem. Ludzie płonęli lub przewracali się, rażeni kulami. La Hoz poderwał się na równe nogi, dobywając szabli.

– Formuj szyk! – ryknął. – Podoficerowie do mnie!

Nie widział jeszcze, skąd strzelał wróg i jak ustawić wojsko, ale był pewien, że szybko zapanuje nad chaosem.



– Nabijanie spieszne! – rozkazał Turkiewicz.

Stał z boku kolumny, trzymając szablę. Legioniści z wprawą szykowali się do powtórnej salwy. Pierwszy szereg, który dotychczas kuczał, podniósł się, by załadować muszkiety. Oficer oddychał szybko, spoglądając nerwowo to na swoich żołnierzy, to na kłębiących się rebeliantów, którzy próbowali ustawić się w szereg. Na szczęście nie byli regularnym wojskiem, więc przydzieleni do nich podoficerowie nie mogli zapanować nad zamieszaniem.

– Gotowi? – zapiszczał podporucznik.

– Broń gotowa do palby! – zameldował Sawicki, kucając i opierając łokieć o kolano.

– Cel! Pal! – wrzasnął Turkiewicz. – Baczność! Broń do nogi! Nastawcie bagnety! Broń do ataku!

Dym po kolejnej salwie nawet się jeszcze nie rozwiął, gdy bagnety z trzaskiem trafiły na lufy. Polski dowódca wiercił się w miejscu, niczym koń rwący do gonitwy.

– Szereg *en bataille*<sup>[54]</sup>! Podwójny krok! Naprzód marsz!

Legioniści zakłębili się, formując szyk. Tym razem nie gnali jak szaleni, ale szli równym



krokiem, wyciągając nogi i trzymając muszkiety pochylone. Tworzyli równy, pojedynczy szereg, stykali się ramionami. Przemieszczali się niczym najeżony bagnetami mur. U jednego ich boku szedł Turkiewicz, a u drugiego pojawił się Lux z włoską szablą w rękę.

Tłum cofał się przed nimi, mimo że przywódcy buntu próbowali zmusić hałastrę do ustawienia. Wreszcie któryś z papistów wystrzelił z muszketu do nacierających Polaków. Niecelnie, ale jego próba dodała rebeliantom animuszu. Choć nie zdołali sformować szyku, to przynajmniej zbili się w gęstą gromadę, gotową odeprzeć nacierających. Turkiewicz wiedział, że szanse jego oddziału gwałtownie maleją.

– Naprzód, wiara! Do ataku! – wrzasnął, wymachując szablą i rzucając się do biegu.

Kazik czuł strach zmieszany w euforią. Nogi niosły go same, maszerował popychany bitewnym uniesieniem. Ryknął najbardziej basowym głosem, jaki udało mu się wydobyć, i pogroził buntownikom pięścią. Szereg trzymał szyk, rażno ruszając do ataku.

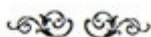
Lux ciął znad głowy najbliższego stojącego mu na drodze osobnika z widłami. Szabla uderzyła niczym stalowa błyskawica – nieszczęśnik nie miał szansy choćby na cofnięcie. Chrupnęła rozrąbywana czaszka i rebeliant runął w tył, bryzgając krwią zmieszaną z mózgiem. W tej samej chwili mur legionistów wbił się w tłum, prac na niego w morderczym szale. Włosi cofnęli się, dżgani bez zmiłowania. Za fizylierami zostały wijące się w agonii ciała mieszczan i chłopów.

– Trzymać szyk! – wrzeszczał Sawicki. – Równo, równo!

Któryś z legionistów oberwał siekierą w obojczyk, innego postrzelono prosto w brzuch. Sierżant pchnął barkiem najbliższego piechura, zmuszając go do zacieśnienia szeregu.

– Szusuj! Szusuj! – ryczał.

Fizylierzy ciągle utrzymywali równą linię, przesuując się krok za krokiem. Coraz ciężiej, jakby siłą własnych ramion, pchali przed sobą wzburzony tłum. Lux młócił szablą na lewo i prawo, nawet nie starając się utrzymywać szermierczej postawy. Wreszcie chwycił rękojeść oburącz i wymachiwał bronią jak szalony, osłaniając lewe skrzydło szeregu. Ostrze oficerskiej szabli co chwila o coś zahaczało, rozplątywało ciała, ubrania, odbijało pchnięcia bagnetów i ciosy wideł. Pot i tryskająca zewsząd krew zalewały Kazikowi oczy, momentami nic nie widział. Rąbał na oślep, a świst szabli i krzyki rannych dodawały mu siły i animuszu. Wiedział, że muszą kroczyć naprzód, by przełamać szyki wroga, inaczej wszyscy zginą.



Generał La Hoz zaklął wściekle, widząc, jak jego buntownicza armia chwieje się i cofa przed garstką Polaków. Za szeregiem legionistów zostawało pobojuwisko usłane ciałami Włochów, natomiast fizylierzy niemal nie odnosili strat. Ich linia zdawała się wcale nie topnieć, a zabójcza sprawność zawodowych wojaków miażdżyła papistów, zmuszając ich do

odwrotu.

Gdzie był ten cholerny Zaręba? Jego zabijacy byli teraz niezwykle potrzebni. Jeśli się nie pojawią i nie przechyłą szali zwycięstwa na stronę buntowników, cały wysiłek pójdzie na marne – cały misterny plan wywołania rebelii w zajętej przez Polaków prowincji. Republikanie zatriumfują i oddadzą włoską ziemię we francuskie ręce. Wszystko rozstrzyga się tu i teraz.

Coraz więcej papistów porzucało broń i chyłkiem oddalało się między drzewa, by po chwili zniknąć w wąskich uliczkach miasta. Religijny i patriotyczny zapał topniał błyskawicznie.

– Stać, skurwysyny! Do szeregów! – wściekał się generał. – Wracać do boju, tchórze, małpie bękarty, zawszone gównojady!

Dobyl szabli i zaczął płażować nią uciekających powstańców. Kilku faktycznie zawróciło, ale inni po prostu mijali go bokiem lub ruszali w przeciwnym kierunku. La Hoz doskoczył do któregoś i w szale pchnął go w brzuch. Ostrze gładko wbiło się w trzewia i, okrwawione, wyszło plecami. Oficer spojrzał w twarz uciekiniera, oświetloną ogniami pochodni. To był jeszcze chłopiec, zasmarkany nastolatek. Patrzył na dowódcę szeroko wytrzeszczonymi oczami, łapiąc spazmatycznie powietrze. La Hoz wyszarpnął szablę i odepchnął umierającego.

– Niech to wszyscy diabli – wycedził.

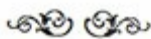
Jego spojrzenie trafiło na młodego oficera dowodzącego Polakami. Szczeniak wymachiwał szablą, kalecząc kolejnych papistów. Zdecydowanie prowadził oddział, niszcząc plany generała. La Hoz ruszył w jego stronę i dopadł go kilkoma susami. Natarł na gówniarza wściekle. Ich szable zwały się ze zgrzytem. Turkiewicz przyjął pierwsze dwa cięcia i odpowiedział zwinną kontrą, niemal odrąbując La Hozowi nogę. Generał uchylił się w ostatniej sekundzie, ale ostrze polskiej szabli rozcięło mu spodnie i drasnęło skórę.

Wymierzył kopniaka w kolano podporucznika i trzasnął go rękojeścią szabli w twarz. Kiedy oficer runął do tyłu, rąbnął go jeszcze przez bark. Chciał doskoczyć do niego i przyszpilić do ziemi, ale w tej chwili, nie wiadomo skąd, gruchnęła następna równa salwa. Kule zafurkotały w powietrzu, ścięły z nóg kolejnych buntowników.

– Hura! – ryknął oddział fizylierów, który pojawił się za plecami walczących w otwartej bramie zamku.

Obsada twierdzy opuściła mury i ruszyła do ataku. Buntownicy znaleźli się w kleszczach. La Hoz odbił pchnięcie bagnetem zadane przez krępego legionistę i cofnął się w mrok. Najbardziej zajadli papiści jeszcze walczyli, ale większość starała się za wszelką cenę opuścić pole bitwy. Generał schował szablę do pochwy i wmieszał się w tłum uciekających.

Pesaro było stracone.



Szyk fizyliarów rozpadł się i legionieści rozbiegli się po poboju, ścigając niedobitki buntowników. Większość pochodni dogasała porzucona na ziemi, pole bitwy pograżyło się w ciemności rozrywanej co chwila błyskami pojedynczych wystrzałów. Ponad huk muszkietów wzbijały się już nie kościelne, podniosłe śpiewy, ale krzyki i błagania o litość. Rozpoczęło się dobijanie rannych. Fizyliarze z zamku i ci przybyli z odsieczą padli sobie w ramiona. Ktoś śmiał się głośno, polskie przekleństwa i okrzyki mieszały się z włoskimi prośbami o parol.

Kazik snuł się, zupełnie oszołomiony. Krew pulsowała mu w skroniach, wybijając jeszcze bitewny rytm niczym prawdziwy werbel. Ramię dygotało ze zmęczenia, szabla zaczęła nieznośnie ciążyć. Nie chciała się wsunąć do pochwy, tak była uwalana krwią i poszczerbiona.

Potknął się o jakiegoś leżącego nieszczęśnika, który jęknął boleśnie. Pomny przestróg kaprała Kleina, z trudem uniósł szablę, by zadać rannemu cios łaski i przy okazji usunąć z jego strony ewentualne zagrożenie. Powstrzymał się, gdy spostrzegł w mroku błysk na obnażonej szabli ściskanej przez rannego. Przyklęknął przy nim.

– To pan, podporuczniku? – spytał.

– Lux? To ja, Turkiewicz – drżącym głosem odparł oficer.

Okazja jak żadna inna, by pozbyć się kłopotu – pomyślał furier. – Wystarczy chlasnąć bufona po gardle i po sprawie. Nikt się nie dowie, a ja będę miał z głowy honorowe sprawy z tym pajacem.

– Żyje pan? – spytał po chwili wahania.

– Umieram – słabo odparł dowódca oddziału. – Czuję, że uchodzi ze mnie życie. Moja służba dobiegła końca. Zbliź się, Lux.

Kazik pochylił się nad rannym, trochę wbrew sobie. Turkiewicz złapał go za poły munduru.

– Mam prośbę, Lux. Powiedz generałowi Dąbrowskiemu, że obroniłem dla niego tę twierdzę. To wszystko. Zginałem, by generał doprowadził was do Polski. Tak powiedz. Moja krew przysłużyła się sprawie narodowej... Mam rację?

– Jasne. Ogromnie się pan jej przysłużył – bąknął warszawiak. – Ale sam pan to opowie Dąbrowskiemu. I swoim dzieciom, kiedyś tam, w wolnej Polsce.

– Nie pieprz, człowieku – syknął podporucznik. – Umrę tu, na obcej ziemi. Czekać, nie odchodzić. Jeszcze z tobą nie skończyłem. Słuchaj, Lux, przebaczam ci wszystko. Jesteś draniem i awanturnikiem, ale i dobrym żołnierzem. Zasłużyłeś, by walczyć w Legionach. I ty mi przebacz to, jak cię traktowałem i nazywałem. Słyszysz?

Kazik milczał. Było mu głupio, ale i czuł dziwną dumę. Nie spodziewał się pochwały,

szczególnie od Turkiewicza.

– Między nami pokój – powiedział. – A teraz niech pan się mnie złapie, idziemy do zamku.

Oficer jęknął płacząco, ale zarzucił ramię na szyję kaprała i pozwolił się podnieść. Chybotliwym krokiem ruszyli w stronę oświetlonej łuczycami, otwartej bramy twierdzy.

## 21 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (10 stycznia 1798 roku)



**B**al noworoczny na neapolitańskim dworze zakończył się o świcie, ale Maria Karolina nie zamierzała kłaść się spać. Wypiła dwie filiżanki kawy i zmieniła suknię na mniej wystawną, za to nieco wygodniejszą. Zamierzała pokazać się publicznie, więc mimo wszystko strój musiał być reprezentacyjny – ciężka krynolina na kościanym stelażu była obowiązkowa.

W południe wyszła z buduaru i dołączyła do czekającego na nią małżonka. Fryderyk Burbon nie wyglądał świeżo. Właściwie to chwiał się na nogach i wionęło od niego winem. Możliwe nawet, że został wyciągnięty z łóża którejś młodej nałożnicy. Maria Karolina udawała, że nic o nich nie wiedziała, faktycznie jednak sama wybierała mężowi kochanki, dbając, by były odpowiednio głupie i nie mogły zyskać wpływu na monarchę.

Jego wysokość pewnie był zły, że zmusza się go do marnotrawienia czasu na przegląd wojsk, kiedy w kolejce czeka odsypianie pijaństwa, a potem kolejne polowanie na ptactwo lub nawet wyprawa w lasy na grubszego zwierza. Z radością zostawiłby trudy sprawowania władzy swojej mądrej małżonce, ale z powodów proceduralnych nie wchodziło to w grę. Musiał więc chociaż udawać, że interesuje się rządami.

– Dobrze się spało, złotko? – spytał żony.

– Nie miałam czasu zmrużyć oka, musiałam przejrzeć meldunki z Rzymu – odparła.

Król podał jej rękę i oboje wyszli na pałacowy balkon. Przed nimi rozpościerał się przestronny plac wypełniony ciekawym widowiska ludem. W oddali, poza miastem, pięła się w niebo potężna góra – Wezuwiusz. Monarsza para pomachała poddanym i król łaskawie dał znak do rozpoczęcia wojskowej rewii. Ich wysokości mieli dziś obejrzeć tworzącą się neapolitańską armię, która być może niedługo ruszy do zwycięskich bojów z republikanami.

– Co zatem słyszeć w Świętym Mieście? – spytał władca, wybijając dłonią o biodro rytm marsza granego przez wojskową orkiestrę.

– Ambasador francuski, generał Duphot, został zamordowany – odparła ponuro.

Spojrzał na nią uważnie.

– Mamy z tym coś wspólnego?

– Tym razem nie, to wypadek w trakcie zamieszek przeciwko Francuzom – odrzekła Maria Karolina.

– Ha! I dobrze tak, żabojadam.

– Wcale nie jest dobrze. – Westchnęła. – To da Francuzom pretekst do otwartego ataku na Państwo Kościelne, spowoduje jego likwidację i wcielenie do Republiki Italii.

– Cholera. Nie będziemy już mieli za sąsiadów papistów, a republikanów – zrozumiał król.

– A co z tym wspaniałym planem wymyślonym przez angielskiego admirała, o którym mi tyle opowiadałaś?

– Nie udał się – wycedziła przez zęby coraz bardziej poirytowana władczyni. – Polacy odparli atak i stłumili rebelię. Ich bataliony przekroczyły Apeniny i zajęły kilka miast po zachodniej stronie gór, w tym Gubbio. Dziś prawdopodobnie wkroczą do Perugii i Foligno.

– A pies ich trącał. – Fryderyk machnął ręką. – Choć chyba są całkiem niezli, skoro pobili naszego generała. Jak mu tam?

– La Hoz d’Orlz. Generał twierdzi, że Polaków było zbyt wielu. Niestety, dostałam też meldunki od innych naszych szpiegów w cisalpińskiej armii i wiem, ilu naprawdę ich było.

– Tysiąc, dwa?

– Trzydziestu – zimno odparła Maria Karolina.

Król podrapał się pod peruką, co lud przyjął jako gest machania i odpowiedział entuzjastycznymi okrzykami. Po placu przemaszerowali muzykanci prowadzeni przez tamburmajora wymachującego ozdobną laską. Za nimi przeszli saperzy, a potem przejechał szwadron królewskich kirasjerów na pięknych koniach. Orkiestra ustawiła się z boku placu i rznęła dziarskiego marsza, nie żałując bębnów i trąb.

– Nie ma się czym przejmować. – Władca się uśmiechnął. – Polacy zajmują rybackie i góralskie miasteczka, *papa* Pius straci najwyżej kilka winnic...

– To nie są byle miasteczka. Polacy właśnie otworzyli drogę do Rzymu francuskiej i cisalpińskiej armii – warknęła królowa. – Nie dość, że żabojady mają teraz pretekst do ataku, to jeszcze gotową linię aprowizacyjną, by przeprowadzić nią całą armię. Państwo Kościelne możemy już traktować jako nieistniejące.

– Trudno. – Fryderyk wzruszył ramionami. – Niewielka strata, moim zdaniem. Popatrz tylko na naszą nową armię! Wiosną ruszymy papieżowi z pomocą i przegonimy Francuzów!

– Taką mam nadzieję – odpowiedziała lodowatym głosem.

Po placu przejechała właśnie artyleria konna, ciągnąc nowe angielskie armaty, które dopiero co przyplłynęły do Neapolu. Zbliżały się też równe czworoboki piechoty, błyszczące

lufami muszkietów. Podkute buty grenadierów i strzelców trzaskały o bruk, niemal zagłuszając orkiestrę. Setki sztandarów łopotały nad głowami żołnierzy niczym barwne chmury. Widok maszerującej potęgi robił wrażenie i nieco poprawiał humor królowej.

Już niedługo ta armia zetrze w proch francuskie, włoskie i polskie zastępy.

## 22 nivôse'a VI roku ery republikańskiej (11 stycznia 1798 roku)



**K**azik rozsiadł się na stopniu starożytnego amfiteatru, którego potrzaskane ruiny wznosiły się na obrzeżach Gubbio. Furierowi towarzyszyła kompania fizylierów, która właśnie zeszła z traktu. Trzy dni szli grząskimi, górskimi drózkami, wijącymi się między szczytami Apeninów. To był najbardziej wyczerpujący marsz w wojskowej karierze Luxa. Ciągłe musieli uważać na bandy górali wiernych papieżowi, zalewały ich błotniste strumienie z topniejącego śniegu, a do tego w grząskim terenie utkwili ich jaszczyk z prowiantem i amunicją. Warszawiak musiał wtedy rozdzielić całe jedzenie między żołnierzy, a kapitan Wierzbicki wręczył każdemu dodatkową porcję patronów, które upchnęli po kieszeniach i plecakach. Targali więc pełne mantelzaki, których ciężar dodatkowo dawał im w kość.

Nogi Luxa zostały uratowane dzięki porządnym, nowym onucom. Gdyby nie zapobiegliwość kapitana, który zdobył je dla kompanii, wszyscy mieliby teraz krwawe kikuty zamiast stóp. Łażenie po górskich drogach to nie spacerek.

Po dotarciu do miejsca przeznaczenia musieli zatrzymać się w rzymskim amfiteatrze i czekać, aż kapitan znajdzie im kwatery. Piechurzy rozsiedli się więc gdzie popadnie. Część zabrała się do jedzenia, część – do koniecznych napraw obuwia. Kazik z troską spojrzął na kłapiące podeszwy własnych butów. Zdjął kamasze, by dać odetchnąć nogom.

Zabierał się właśnie do rozwijania onuc, gdy na owalny plac amfiteatru weszło kilku oficerów, w tym major Drugiego Batalionu Józef Chłopicki. Towarzyszył mu podporucznik Turkiewicz, trzymający rękę na temblaku. Wciąż miał opuchniętą twarz – cios ręką szablą generała La Hoza złamał mu nos i zapewnił cesarską purpurę pod obydwoma oczami. Oficer miał także kontuzjowane ramię, ale wbrew własnym zapowiedziom nie dość, że nie umarł, to całkiem szybko doszedł do siebie. Dwóm oficerom towarzyszył doktor Hoffman, ubrany w nowy, błękitny surdut z połami sięgającymi kolan.

– Chyba nas znaleźli – mruknął kapral Krawczyński.



– Bydzie jakaś sprawa – dodał Anzelm Kura. – Miej nas w swojej opiece, święty Franciszku!

Kazik westchnął ciężko i szybko zawinął onuce, a potem włożył buty. Do tej pory nie wyciągnięto wobec nich żadnych konsekwencji w sprawie słynnej awantury. Jedyne furierowi odebrano włoską szablę i zwrócono ją właścicielowi. Potem ich banda została rozdzielona i powysyłana do swoich kompanii. Na wyrok mieli czekać do zebrania sądu polowego lub decyzji generała. Obecnie wszyscy żołnierze i oficerowie legionowi byli zaangażowani w operację zajmowania kolejnych miast i przesuwanie się ku Rzymowi, nie mieli więc czasu na rozprawy z awanturnikami.

– Lux, Krawczyński i reszta, do mnie – rozkazał Turkiewicz.

Legioniści, którzy brali udział w walkach w Pesaro, posłusznie wstali i wyszli na środek amfiteatru. Reszta kompanii przyglądała im się ciekawie. Krawczyński kazał fizylierm ustawić się w dwuszereg. Sierżant Sawicki, nadal zdegradowany, posłusznie stanął pośród prostych legionistów. Kazik zajął miejsce na lewym skrzydle. Wyprężyli się na baczność, piorunowani surowym spojrzeniem majora Chłopickiego.

– Wiem o was wszystko, łapserdaki, pijanice i ladaca – powiedział. – Powinniście zostać postawieni przed plutonem egzekucyjnym i rozstrzelani. Napaść na cisalpińskich żołnierzy w Rimini, permanentne bunty i nieposłuszeństwo, ucieczka z garnizonowego więzienia, dezercja. Co wy sobie wyobrażacie, że jesteście na wiejskiej zabawie? Jesteśmy polską armią, a to jest wojna! Macie szczęście, że generał Dąbrowski jest ostatnimi dniami niezwykle łaskawy. Gdyby to ode mnie zależało, już byście leżeli w zbiorowej mogile z dziurami po kulach w tych pustych łbach.

– Wezmę ich do galopu, panie majorze – powiedział Turkiewicz. – Już ja z nich zrobię dobry oddział. Niech pan da im szansę. Poręczę za nich słowem honoru.

– Nie pytałem pana o zdanie – burknął major. – Słyszeliście, odrapańcy? Podporucznik za was ręczy. Nie wiemdlaczego.

Chłopicki założył ręce z tyłu i zaczął się przechadzać wzdłuż szeregu. Szabla obijała mu się o bok, pobrzękując. Przyciągnęła spojrzenie Kazika. Miała charakterystyczny, dwukrotnie złamany kabłak. Kościuszkówka! Furier ze zgrozą przyjrzał się oficerowi. A więc to on jest masońskim mistrzem, to on próbował usiec go w gniewie.

– Generał twierdzi, że uratowaliście honor Legionu. W związku ze wzorową postawą awansował pana Turkiewicza do stopnia porucznika. Twierdzi, że powinienem nagrodzić i was – powiedział major. – Wybijcie sobie z głowy nagrody! Waszym obowiązkiem było zrobić to, co zrobiliście. Wypełniliście tylko swoją powinność. W ramach łaski darujemy wam wszystkie winy, choć o nich nie zapomnimy. Będę miał was wszystkich na oku, szczególnie was, sierżancie Lux!

– Jestem furie...

– Z rozkazu dowódcy Pierwszego Legionu, generała Lacchiego, zostaliście dziś awansowani na sierżanta! Nie wiem za co, ale niech będzie. Gratuluję awansu – cicho burknął oficer. – Koniec ze służbą w kwatermistrzostwie, jeszcze dziś obejmiecie obowiązki feldfebla w kompanii. Czy to jasne?!

– Tak jest! Ku chwale ojczyzny! – wrzasnął Kazik. – Panie majorze, jedno pytanie! Co z trucicielem La Hozem?

– Z kim? – burknął Chłopicki. – Generał La Hoz jest zwykłym dezerterskim. Nie miał nic wspólnego z truciem legionistów. To był wypadek. Kwatermistrzowie próbowali na miesiąc nowe rodzaje konserwantów i popełnili błąd. Jako że śledztwo wykazało też inne uchybienia przy rozdzielaniu żywności, obaj – Maturi i Piria – zostali już aresztowani.

– Ale dlaczego w takim razie La Hoz zabił aptekarza w Rimini? – dociekał nowo mianowany sierżant.

– To nie on go zabił. Aptekarz popełnił samobójstwo – odparł doktor Hoffman.

– Samobójstwo? Dlaczego?

– Podciął sobie gardło nożem do ostrzenia piór – dodał lekarz. – W jego rzeczach znaleziono listy do pewnej dziewczyny z San Leo, niejakiej Sofii. Starał się o nią od jakiegoś czasu, ale niespodziewanie panna odrzuciła jego zaloty w dość brutalny sposób. Do aptekarza dotarła wiadomość, że Sofia nie żyje, a w dodatku przypadkowo zginęła od trucizny, którą on sam wyprodukował. Nie mógł znieść myśli, że przyczynił się do jej śmierci.

Kazik poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Sofia kochanką jakiegoś starego pigularza? Dlaczego? Dla pieniędzy? Z drugiej strony, po śmierci ojca musiała jakoś zapewnić byt rodzinie. Bogaty aptekarz mógł być dobrą partią. Porzuciła go jednak... Czyżby dla niego?

Chłopak zamyślił się głęboko i przestał słuchać wywodów i łajania majora. Dopiero gdy oficer stanął przed nim twarzą w twarz, były furier się ocknął. Zobaczył, że inni żołnierze już odeszli, a tylko on stoi przed oficerem.

– Nie słyszeliście, sierżancie? Rozejść się! – wrzasnął Chłopicki, po czym dodał znacznie ciszej i mało oficjalnym tonem: – Czekał, jeszcze jedno. Uratowałeś nie tylko honor Legionu i swój własny, ale także naszej loży. Naprawdę dobrze rokujesz, Lux. Chciałbym cię kiedyś widzieć z oficerskimi szlifami jako jednego z nas, braci w „Jedności”. Ale musisz się jeszcze wiele nauczyć. Staraj się jednak, będę cię obserwował. A teraz zjeżdżaj mi z oczu.

Kazik zsalutował zamasyście, zrobił regulaminowy zwrot w tył i odmaszerował, by zmieszać się z tłumem kompanów. Na razie jedyne, co zamierzał, to postarać się o nowe buty i kilka kubków dobrego wina.

Jedno dla obolałego ciała, a drugie dla rozdartej duszy.

# PRZYPISY



**P**odobał się jej ten niebywale wysoki przystojniak. – Powiedzenie „za mundurem panny sznurem” pochodzi z czasów Księstwa Warszawskiego, czyli z okresu niewiele późniejszego od pierwszej batalii, w której uczestniczył Kazik. Polscy legionieści cieszyli się ogromnym powodzeniem wśród Włosek, które nazywały ich „jasnowłosymi olbrzymami z Północy”. Ponoć w czasie pobytu Legionów w Rzymie wszyscy oficerowie mieli kochanki, a niektórzy Polacy wzięli je nawet za żony. Później zdarzały się małżeństwa legionistów z Hiszpankami, Irlandkami, a nawet Angielkami. Przez owo niebywale powodzenie legionistów u pań prawdziwą plagą stały się w ich szeregach choroby weneryczne, zwane później w Polsce „chorobą legionową”. Kazik z kolei rozsmakował się w urokach czarnoskórych dziewcząt, ale zdarzyło się to później, w czasie walk na San Domingo. Doceniał też mulatki, ale szczególnie lubił te najczarniejsze, uważając je za najbardziej ogniste.

**Kantynoski** – W Legionach przypadały po dwie markietanki na batalion. Zaopatrywano je w konne wózki, na których woziły zapasy i z których je sprzedawały. Zwykle zostawały żonami podoficerów, choć o ich względy starali się także oficerowie. Przeważnie były młodymi dziewczętami z gminu, lecz trafiały się wśród nich i prawdziwe damy. Z powodu nieodwzajemnionej miłości do markietanki podporucznik Szatyński z Drugiej Legii popełnił samobójstwo.

**Kazik nałożył granatowy mundur (...). Z pietyzmem wcisnął na głowę wysoką na łokieć, kanciastą czapkę z czarnego płótna. Była ozdobiona zielonym otokiem uszytym z tego samego sukna co galon na rękawie i wyłogi.** – W czasach napoleońskich przykładano dużą wagę do kroju i barw umundurowania, gdyż te elementy odróżniały od siebie nie tylko rodzaje wojsk, ale też poszczególne pułki i bataliony. Polacy dostali zgodę na umundurowanie według wzoru kawalerii polskiej, a więc w granatowe stroje z karminowymi ozdobami. Barwy te początkowo przysługiwały grenadierom, natomiast strzelcy nosili do granatowych kurtek

zielone wyłogi. Potem zwyczaj ten zmieniono i barwami wyłogów rozróżniano nie rodzaje wojsk, ale poszczególne bataliony. Chodziło o to, by kolory wyłogów nawiązywały do barw dawnych polskich pułków i przez to noszące je oddziały stały się załączkami odrodzonych pułków, które planowano stworzyć po powrocie do ojczyzny. Charakterystyczna dla polskich formacji stała się wysoka rogatywka, początkowo pozbawiona daszka, za to z kitą i obszyciem w kolorze batalionu. Wspanialsze były rogatywki oficerów: zaopatrywano je w sznury, kutasy i bulony.

**...usta dziewczyny wypełniły się białym ogniem, od którego natychmiast zajęło się jej ubranie.** – Biały proszek świecący w ciemności to fosfor. Odkryty w XVII wieku przez niemieckiego alchemika, w czasach Luxa jeszcze nie znalazł zastosowania. Dopiero dwadzieścia lat później dopracowano metody otrzymywania go w dużych ilościach i zaczęto mieszać z siarką, by otrzymać substancję nakładaną na główki pierwszych zapalek. Szybko okazało się, że fosfor jest niebezpieczny nie tylko z powodu łatwopalności, ale też dlatego, że stanowi silną truciznę. W nadchodzącej epoce romantyzmu zapalaki stały się najpopularniejszą trucizną, używaną przez samobójców – bądź ubogich, bądź cierpiących młodych „Werterów”, bądź też nieszczęśliwie zakochane panny.

Gaz, który zapalił się w ustach martwej Sofii, to fosforowodór. Prawdą jest również, że wymioty otrutych fosforem świecą, choć oczywiście nie tak intensywnie, jak to – dla większego dramatyzmu – opisałem.

Granat fosforowy, który skonstruował Kazik, nie był używany w tamtych czasach, choć jego stworzenie nie było wykluczone. Ładunki wybuchowe z fosforem weszły do użycia dopiero w XX wieku, a największą popularność osiągnęły w czasie wojny wietnamskiej. Bomby z fosforem są straszliwą bronią zapalającą, której produkcja jest obecnie zakazana konwencjami międzynarodowymi.

**Polscy żołnierze, z braku opału, zrąbali w okolicy sporo drzewek winogronowych.** – Prócz tego zmarznięci legionieści wdzierali się do chałup, rabowali żywność i zabierali drwa na opał. Dąbrowski zasugerował oficerom przekazanie miesięcznego żołdu na pokrycie wojennych zniszczeń. Do Centralnej Admiralicji Emilii i władz miejskich Rimini wpłynęło dziesięć tysięcy franków – niebotyczna suma, znacznie przewyższająca koszty zniszczeń. Fakt, że armia inwazyjna zapłaciła za szkody, wywarł ogromne wrażenie na Włochach. Wielu niechętnych dotąd Polakom mieszkańców Italii zaczęło teraz wychwalać ich szlachetność.

**...za niechlujny wygląd i picie należy się nam tylko trzydzieści dni aresztu, ale mogą doliczyć jeszcze po dziesięć dni za bijatykę...** – Pod koniec 1797 roku obowiązywał jeszcze w Legionach bardzo surowy regulamin francuski. Dopiero w maju 1798 roku Dąbrowski wprowadził nieco łagodniejszy regulamin polski i utworzył sąd armijny. Więzienie legionowe

znajdowało się w Bolonii, gdzie zsyłano „w kajdany” zarówno szeregowców, jak i oficerów. Zgodnie z prawem francuskim zakazane zostały kary cielesne, ale polscy dowódcy kilkakrotnie je wymierzali, by uchronić podwładnych przed rozstrzelaniem. Bezwzględna karę śmierci wymierzano za morderstwo, okrutny gwałt, dezercję albo atak na oficera. Przypadki rozrabiania po pijanemu były bardzo częste, także wśród kadry oficerskiej. Polakom, przywykłym do piwa, szybko uderzało do głowy mocne włoskie wino.

**Po likwidacji rytu Wielkiego Wschodu Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego należą do rytu francuskiego, jak większość polskich masonów...** –

W Legionach bardzo popularna stała się przynależność do tajnych stowarzyszeń, szczególnie łóż masońskich. W Republice Francuskiej wolnomularstwo było zwalczane przez rząd rewolucyjny, ale tylko do czasu przyjęcia Napoleona do jednej z łóż. Kiedy ten objął pełnię władzy, uczynił z masonerii organizację właściwie urzędową. Najwięcej legionowych wolnomularzy działało w założonej przez nich samej loży „Jedność”, należącej do Wielkiego Wschodu Mediolańskiego. Wbrew temu, co napisałem, Józef Chłopicki nie był jej mistrzem, choć piastował w niej wysoką funkcję.

Katastrofalna w skutkach okazała się przynależność części oficerów do tajnej loży „Aurora”, która została oskarżona o działalność antyfrancuską. Uczestnictwo w niej Polaków było jedną z przyczyn – czy może pretekstów – zesłania Legionów na San Domingo.

**Zaręba, choć bez munduru, wyglądał na wielkiego pana, a w dodatku przedstawił się jako admirał.** – Sebastian Zaręba podawał się, w zależności od sytuacji, za oficera artylerii litewskiej, polskiego admirała, księdza albo francuskiego oficera. Określony jako „awanturnik niegodny imienia Polaka”, został wydalony z Legionów. Nie przeszkodziło mu to w dalszych kombinacjach, a podczas pobytu w Paryżu wciąż twierdził, że jest oficerem. Później pojawił się w armii Księstwa Warszawskiego jako kapitan, prawdopodobnie posługując się sfałszowanymi dokumentami.

**Już kolejne rozdanie z rządu Kazikowi nie szła karta.** – Gry karciane na pieniądze były w wojsku zakazane, ale prawa tego nie zawsze przestrzegano. Szczególnie że rozrywkę tę lubiły też najwyższe szarże. Namiętnymi graczami byli między innymi Józef Wybicki, generał Wielhorski czy sam Tadeusz Kościuszko. Zagorzałym wrogiem kart był za to generał Kniaziewicz – ale dopiero po tym, jak przegrał pieniądze armijne i omal nie popełnił z tego powodu samobójstwa. Z kolei generał Dąbrowski pozwalał grać na kwaterach, gdy nikt postronny nie mógł tego widzieć.

Najczęściej grano w wista, ale nie gardzono polskim mariaszem, tryszakiem, pancerołą, wetynem i biribi. Do gier uznanych za hazardowe – i przez to zakazanych – należał popularny faraon i oko (21).

**Legioniści pojedynkowali się często i niejednokrotnie z byle powodu.** – Zarówno w armii francuskiej, jak i polskiej służyło nazbyt wielu oficerów (w Legionach zwano ich „nadliczbowymi”), przez co nie liczone się z ich życiem. Pojedyunki traktowano jako formę treningu w sztuce walki i za udział w nich nie karano. Polacy bili się bardzo często – nie tylko między sobą, ale też z oficerami włoskimi i francuskimi. Tak bardzo słynęli ze skuteczności pojedynkowej, że starano się unikać z nimi zatargów. Prócz pojedynków o honor i dla prestiżu często walczone z błahych powodów wynikłych zazwyczaj z pijackich zatargów.

Najsłynniejszym pojedynkowiczem był kapitan Jakub Bogusławski, zwany Piekielnikiem. Odbył sześćdziesiąt starć, w których zabił piętnaście osób, samemu nie odnosząc żadnej rany.

**Ilu ludzi trafia przez to do lazaretu?** – Legioniści najczęściej chorowali na febrę wywoływaną przez wilgotny klimat i kiepskie, pozbawione witamin pożywienie. Z tego samego powodu częstą przypadłością był szkorbut. Z kolei na San Domingo aż kilka tysięcy (!) legionistów zmarło na żółtą febrę, przenoszona przez komary. Nagminne były również choroby skóry powodowane przez brud, w tym świerzb i parchy. Na skutek odżywiania się nadpsutym jedzeniem wielu żołnierzy cierpiało na tyfus brzuszny (dziś zwany dudem brzuszny) i dyzenterię (czerwonkę).

Chorób wenerycznych nie leczono z urzędu, nie odsyłano zatem cierpiących na nie legionistów do szpitala. Musieli się kurować za własne pieniądze, a jako że często biedowali, syfilis (obecnie określany kiłą) zbierał śmiertelne żniwo.

[1] Data według tzw. francuskiego kalendarza rewolucyjnego, obowiązującego we Francji w latach 1793-1806, w którym za początek nowej ery przyjmowano 22.09.1792, czyli dzień proklamowania republiki (przyp. red.).

[2] Furier (fr. *fourrier*) – podoficer odpowiedzialny za zaopatrzenie, kwatermistrz małego oddziału (przyp. red.).

[3] Unteroficer (niem. *Unteroffizier*) – podoficer (przyp. red.).

[4] Łapserdak (gwara żydowsko-warszawska) – obdartus (przyp. red.).

[5] *Gli uomini liberi sono fratelli* (wł.) – „Ludzie wolni są braćmi” – dewiza Legionów.

[6] Rebell (fr. *rebelle* – buntownik) – rebeliant, powstaniec. Potocznie używane przez legionistów określenie na wiernych papieżowi buntowników.

[7] Mantelzak (niem. *Mantelsack*) – worek lub tulejowaty pojemnik na płaszcz wojskowy (przyp. red.).

[8] Halsztuk (niem. *Halstuch*) – duża męska chusta, w wojsku używana jako szalik (przyp. red.).

[9] Strzelcy celni – potoczne określenie strzelców wyborowych, później (w okresie powstania listopadowego) nazwa ruchliwych, półsamodzielnych formacji, złożonych najczęściej z byłych myśliwych (przyp. red.).

[10] *Charité, bien entendue, commence per soi-même* (fr.) – „Miłosierdzie, rzecz jasna, należy rozpoczynać od samego siebie”, francuskie przysłowie znane już w średniowieczu, a spisane w XVIII w.

[11] Oficjalnie istniały dwa oddzielne państwa: Królestwo Neapolu i Królestwo Sycylii, jednak w praktyce stanowiły jedność pod rządami króla Ferdynanda Burbona i jego żony, Marii Austriaczki, dlatego potocznie nazywano je łącznym określeniem: Królestwo Neapolu i Sycylii (przyp. red.).

[12] *Qui vive?!* (fr.) – Kto idzie?!

[13] Awanpost (fr. *avant-poste*) – placówka ubezpieczająca, wysunięta w kierunku wroga.

[14] Aprosze (fr. *approches*) – zygzakowate rowy oblężnicze (przyp. red.).

[15] Wystrychować (stpol.) – ustrzelić.

[16] *Moustachus* (fr.) – wąsacze.

[17] Patronasz (niem. *Patronentasche*) – mała torba skórzana na ładunki (patrony) do broni palnej (przyp. red.).

[18] Dalekowidz (stpol.) – luneta.

[19] *Navis submarina* (łac.) – okręt podmorski.

[20] Król Stanisław August Poniatowski urządzał na warszawskich Bielanach ogromne zabawy plenerowe, przeznaczone dla wszystkich warstw ludności, od dworu do pospólstwa (przyp. red.).

[21] Bresza (niem. *Bresche*) – wylom w murach.

[22] Glacis (fr. *glacis*) – stok góry, a w umocnieniach fortecznych: przedpiersie.

[23] Polski sążen miał długość ok. 1,7 metra (przyp. red.).

[24] Określenia z warszawskiej gwary przestępczej, używane od XVIII do XIX/XX wieku. Klawisznik – włamywacz wyższej kategorii, posługujący się klawiszami (wytrychami); doliniarz – kieszonkowiec (od dolina – kieszeń) (przyp. red.).

[25] Destynować (od fr. *destiner* – przeznaczać) – wyznaczać.

[26] Według kalendarza rewolucyjnego tydzień miał dziesięć dni, czyli dekadę.

[27] Obywatel Capet – pogardliwe (nawiązujące do panującej niegdyś we Francji dynastii Kapetyngów) określenie króla Ludwika XVI, nadane mu przez rewolucjonistów.

[28] Denar – najmniejsza jednostka monetarna w państwach północnowłoskich. Od średniowiecza w północnej Italii podstawą był srebrny lir, któremu odpowiadało 20 soldów lub 240 miedzianych denarów.

[29] Flintpas (od niem. *Flinte* – strzelba) – ramię do noszenia broni.

[30] *Non sparate!* (wł.) – Nie strzelać!

[31] Ambrazura (fr. *embrasure*) – otwór strzelniczy.

[32] Feldcech (niem. *Feld* – pole, *Zeichen* – znak) – ozdobna taśma przy rękojeści szabli, dawniej oznaka stopnia. Symbol statusu w armii. W Legionach feldcech stanowił część przydziałowego umundurowania oficera.

[33] Chojrak (gwara warszawska od XVIII lub XIX w.) – odważny, zuch (przyp. red.).

[34] Paletowanie (prawdopodobnie od francuskiego *épaulette* – epolet) – prawo do nominowania żołnierzy na stopnie oficerskie.

[35] Kontrepolet, epolet (fr. *épaulette*) – dawna nazwa naramiennika na mundurze (przyp. red.).

[36] *Colo di punta* (wł.) – Pchnięcie w brzuch.



[37] Akselbanty (niem. *Achselband*) – sznury naramienne, jeden z wyróżników munduru generałów i oficerów specjalnych (przyp. red.).

[38] *Democrazia o la morte!* (wł.) – Demokracja lub śmierć! (popularne hasło włoskich republikanów).

[39] *Abbaso la tirrania!* (wł.) – Precz z tyranią!

[40] *Viva la libertà!* (wł.) – Niech żyje wolność!

[41] Mowa o Napoleonie.

[42] *De fatigue* (fr.) – uciążliwa.

[43] *Bravoure de gentilhomme* (fr.) – odwaga szlachcica.

[44] Zaproszać (gwara kresowa) – pić alkohol.

[45] Dowódca placu – nazwa funkcji dowódcy niewielkiej placówki lub obszaru. Zwykle zostawał nim niższy oficer.

[46] Sapory (łac. *sapor* – przysmak, ładny zapach) – staropolska nazwa na przyprawę.

[47] Stosowany w perfumerii wyciąg z gruczołów pizmowców (jeleni pizmowych).

[48] Wyciąg z gruczołów cywety – azjatyckiego kotowatego.

[49] Masa z cukru i żelatyny.

[50] Nasiona pinii.

[51] Bandolier (fr. *bandoulière* – pas przez ramię) – skórzany pas podtrzymujący broń.

[52] Krok podwójny – według regulaminu polskiego krok liczył 27 cali długości. Zwyczajny krok wykonywano w tempie 80 kroków na minutę, natomiast podwójny – 120 kroków na minutę.

[53] Patałach (gwara kresowa) – niezdara.

[54] *En bataille* (fr.) – do starcia.